

HORYZONTY

ZDARZENIA

ROBERT J.

SZMIDT



ŁATWO BYĆ BOGIEM

POLA DAWNO ZAPOMNIANYCH BITEW
TOM I



REBIS

HORYZONTY ZDARZEŃ

ROBERT J.
SZMIDT

**ŁATWO BYĆ
BOGIEM**

POLA DAWNO ZAPOMNIANYCH BITEW
TOM I



REBIS

DOM WYDAWNICZY REBIS

Część pierwsza

MISJA NOMADY

JEDEN

Układ Słoneczny, Sektor Alfa,

22.06.2354

– Pora wstawać, mój panie... – szepnęła wciąż jeszcze zaspana Monicatherine, przeciągając się zmysłowo w szeleszczącej pościeli.

– Jeszcze czas, słońce dopiero wschodzi... – mruknął Nike na tyle głośno, by go usłyszała, a zarazem na tyle cicho, by nie wyrwać jej z błógiego rozleniwienia.

Siedział, a właściwie półleżał w okrytym skórą tygrysa płytkim fotelu opodal łoża, wpatrując się w wąski wykusz okna. Sączył cierpkie wino z kryształowego pucharu i obserwował rozkołysane szczyty drzew i siny masyw górski w oddali. Pierwsze promienie przedświt dopiero co rozjaśniły horyzont, ale dawały dość światła, by można było rozróżnić każdy szczegół krajobrazu. Rzadkie chmury płynęły leniwie jak kłęby dymu z dogaszanego ogniska. Wśród nich baraszkowały, idąc w zawody z wiatrem, smukłe skrzydlate sylwetki. Zbyt charakterystyczne, by je pomylić z ptakami. Zbyt szybkie i zwinne. Zbyt błyszczące. Całe stado ognistoczerwonych smoków opuściło gniazda, by przywitać dzień w przestworzach.

– Dlaczego mnie nie zbudziłeś, mistrzu? – Pytanie dobiegło zza oparcia fotela tak niespodziewanie, że drgnął mimo woli, wypuszczając z dłoni puchar. Monicatherine podeszła tak cicho, a może to on odpłynął myślami zbyt daleko.

Kryształ upadł, na szczęście już opróżniony, na futra wyściełające kamienną posadzkę. Nie stłukł się, jedynie kilka kropel szkarłatnego trunku prysnęło na długie, śnieżnobiałe włosie. Zły znak... Nike skrzywił się. – Co cię trapi, kochany? – Dziewczyna przykucnęła tuż obok. Oparła głowę na jego ramieniu, a on przesunął opuszkami palców po długich włosach barwy złota.

– Przecież wiesz... – Pochylił się, by ją pocałować, ale w tej właśnie chwili wstała.

Przeszła obok niego naga, wciąż gorąca i zaspana. Stała przed oknem, zasłaniając cały widok, po czym pochyliła się zmysłowo, opierając łokcie o wąski parapet.

– Smoki... spójrz, kochany, jak ich dużo dzisiaj – powiedziała świadoma, że nie na skrzydlatych gigantach skupia się teraz jego uwaga.

– Lubię smoki – powiedział Nike, starając się, by zabrzmiało to obojętnie. – Jest w nich tyle godności, a zarazem są tak szalone.

Moni uśmiechała się, gdy to mówił. Chwilę później przyklękła pod oknem i razem patrzyli na wirujące w oddali ogniki. Bładoczerwona łuna świtu wciąż rosła na horyzoncie.

– Będzie mi ich brakowało... – Nike przymknął na moment oczy, ale nim zdążył je ponownie otworzyć, nagły błysk zmusił go do kurczowego zaciśnięcia powiek. Nie na wiele się to zdało. Wciąż miał wrażenie, że nagie słońce zapłonęło na wprost jego źrenic.

– Już siódma – usłyszał głos Monicatherine. – To ostatni apel. Nie możesz się spóźnić.

Oślepiający błysk uświadomił mu, że wyłączyła iluzjoner. Obraz kamiennego muru z wąskim wykuszem zniknął, a wraz z nim drzewa, góry, niebo i tańczące na wietrze smoki. Panoramiczny wyświetlacz zajmujący całą ścianę pokazywał teraz bezbrzeżną czerń przestrzeni kosmicznej i zawieszoną w niej planetę matkę. Dokładnie zsynchronizowane z iluzją Słońce wychynęło przed momentem zza krawędzi błękitno-białego globu. Fotochromatyczny krystalit natychmiast pociemniał, ale ten ułamek sekundy wystarczył, by porazić wzrok.

– Zdążę... – jęknął po części z bólu wywołanego błyskiem, a po części dlatego, że była to ich ostatnia wspólna iluzja.

– Zabrzmiało to tak, jakbyś nie miał zamiaru iść na ten apel. – Podeszła do niego, kręcąc biodrami, lecz zatrzymała się poza zasięgiem rąk. – Czy aby na pewno wszystko w porządku?

– Widziałas mój indeks – odparł wymijająco, nadal przecierając oczy. – Mam czwarty wynik na roku.

– Widziałam – przyznała. – I mówiłam ci, że to wystarczy... możesz mi wierzyć.

– Wierzę ci, kochanie. – Pochylił się nagle, by objąć ją w pasie, lecz schwytał tylko powietrze i ten niepowtarzalny, jakże ulotny zapach rozgrzanej skóry.

Monicatherine cofnęła się zwinnie o krok i nadal spoglądała na niego uważnie, jakby chciała utrwalić w pamięci ten widok: jego pociągłą twarz, prosty, ale niezbyt długi nos, wydatne kości policzkowe nadające mu bardzo męski wygląd, głęboko osadzone piwne oczy i kruczoczarne, krótko ścięte włosy porastające samą potylicę.

– Jesteś dzisiaj taki przygaszony... – szepnęła, gdy wstawał z fotela.

– Nie co dzień człowiek kończy akademię.

– Pasowanie to jeszcze nie wyrok – rzekła. – Przecież tak naprawdę nic się nie zmieni. Z twoim świadectwem na pewno zostaniesz w obrębie Układu Słonecznego. Może nawet załapiesz jakąś fuchę tutaj, na orbicie Ziemi.

– Tak, między nami nic się nie zmieni... – powiedział, choć doskonale zdawał sobie sprawę, że jego słowa są większą złudą niż iluzja, którą przed chwilą oglądali.

– Zbieraj się. – Rzuciła mu kombinezon, ten sam, który poprzedniego wieczoru tak pieczołowicie poskładała. Paradny strój kadeta ostatniego roku. – Masz tylko kwadrans do pierwszego gwizdka, a chciałabym jeszcze...

Nie musiała kończyć. Wiedział, czego chciała. Wiedział też, że tego właśnie najbardziej będzie mu brakowało.

* * *

– Bacność! – Trzy równoboczne formacje umundurowanych postaci wyprężyły się w ułamku sekundy. W tym miejscu wszystko oddziaływało na wyobraźnię. Półmrok ogromnego hangaru, obłe kształty myśliwców, wielkie bryły transportowców w oddali, a nade wszystko wszechobecny chłód uświadamiający uczestnikom tej ceremonii, że od nieskończonej próżni dzieli ich tylko kilkumetrowa warstwa helonu. – Na zakończenie apelu przemówi rektor-admirał Damiandreas Dreade-Ravenore! – Oficer dyżurny zaszalutował, spoglądając w kierunku wykładowców siedzących na trybunie honorowej, a potem zszedł z mównicy, ustępując miejsca postawnemu, kompletnie łysemu mężczyźnie.

„Dredd” był żywą legendą, jedynym oficerem w służbie czynnej, który walczył w zakończonej przed wiekiem wojnie. Choć miał na karku szesnasty krzyżyk i zaliczone sto trzydzieści trzy lata służby, nie wyglądał na starca. Osiem dekad przymusowej hibernacji zrobiło swoje – dzięki nim nadal wyglądał jak młody bóg. Wzrost koszykarza, kwadratowa szczeka, szerokie bary, mięśnie godne kulturysty, sprężyste, ale i pełne godności ruchy. Wszyscy kadeci zazdrościli mu tej sprawności, ale żaden nie przyznałby nawet na torturach, że w ciągu sześciu lat nauki poczuł choć odrobinę sympatii do rektora. Dredd był wyniosłym, sadystycznym sukinsynem i bardzo lubił przemawiać. Uwielbiał dręczyć fizycznie i werbalnie. Wiele razy przekonali się na własnej skórze o jednym i o drugim. Dlatego dawno już poprzysięgli, że żaden nie wyda z siebie najlżejszego dźwięku podczas mowy pożegnalnej.

– Kadeci, spocznij! – rozpoczął zwyczajowo, pokazując gruby plik kartek, na których zawarł tezy swego wystąpienia, a potem zamilkł wymownie, licząc na szmer zwątpienia. Tym razem jednak, zgodnie z postanowieniem, nie dali mu satysfakcji. Nie uszło to jego uwagi; kadeci z pierwszego szeregu dostrzegli, że nerwowo drgnęła mu powieka. – Zapewne nieraz zadawaliście sobie pytanie, dlaczego szkoliliśmy was w tak trudnych warunkach – rzekł, odkładając kartki na mównicę. – Dlaczego musieliście z zamkniętymi oczami przeprowadzać

najbardziej skomplikowane procedury alarmowe, skoro... – tu znowu zawiesił głos i przesunął wzrokiem po formacjach kadetów, zanim podjął mowę od powtórzenia, ulubionego chwytu retorycznego, który pozwalał mu przedłużyć wystąpienie – ...skoro od stu osiemnastu lat żadna jednostka floty nie brała udziału w walce. Nie mamy dzisiaj wrogów, to prawda. Ostatnia wojna zakończyła się absolutnym i bezdyskusyjnym zwycięstwem Federacji. Było to wszakże pyrrusowe zwycięstwo, co chyba każdy z was przyzna. Nie ma żołnierza, który by nie stracił w tym konflikcie przodka. Niemniej za cenę przelanej wtedy krwi zapewniliśmy naszej cywilizacji rozwój na cały wiek z okładem. Jeszcze nigdy w dziejach ludzkości pokój nie był tak trwały. Człowiek sięgnął gwiazd przed zaledwie trzema stuleciami. Ujarzmił znaną przestrzeń w niespełna piętnaście pokoleń. Skolonizował tysiąc czternaście planet w ośmiuset siedemdziesięciu dwóch układach. Zbadał następne osiemnaście tysięcy systemów gwiazdnych. To wiele, naprawdę wiele jak na trzy wieki ekspansji, a gdyby nie czas wojny domowej, moglibyśmy do tej listy dopisać setki następnych światów. Lecz nawet dziesięć razy więcej zasiedlonych planet to tylko kropla w oceanie Galaktyki. Setki milionów gwiazd czeka na eksplorację. Ile wokół nich krąży planet, nie mamy pojęcia. Ile tam może istnieć cywilizacji równych nam albo potężniejszych, też nie wiemy. To, że nigdy nie odkryliśmy zaawansowanych form życia w zbadanym sektorze Drogi Mlecznej, że nie trafiliśmy na żaden sygnał czy artefakt pozostawiony przez Obcych, nie oznacza wcale, że oni nie istnieją gdzieś tam – skinieniem wskazał na gródź – tuż za granicą poznania. Że nie obserwują nas od dawna. Że nie zagrażą nam w przyszłości. Wszechświat jest przeogromny, ba, ponoć nieskończony. Nie będziemy mieli gwarancji bezpieczeństwa, póki choć jeden system w najodleglejszym zakątku Galaktyki pozostanie niezbadany. A zakończenie eksploracji będzie możliwe dopiero za tysiące, jeśli nie dziesiątki tysięcy lat... – Znowu przerwał i przesunął ręką po gołej skórze nad lewym uchem, jakby chciał przygłodzić nieistniejące włosy. Jego palce dotknęły długiej krwawej pręgi, która ciągnąc się aż po nasadę nosa, czyniła z jego twarzy przestrożę, co każdego

z nich może spotkać w przestrzeni, kiedy nadejdzie czas próby. – Od stu osiemnastu lat jesteśmy całkowicie zjednoczeni. Po raz pierwszy w historii ludzkości nie ma państw i narodów, znaczenie straciły pojęcia rasy i granic. Nasi pradziadowie złożyli daninę życia, by zjednoczyć ludzkość pod wspólnym sztandarem. Ale Federacja będzie potrzebowała jeszcze co najmniej stu lat, by odrobić straty poniesione w tamtej wojnie. Wiele planet czeka na ponowne zasiedlenie, wiele już nigdy nie będzie domem człowieka... – Umilkł. Tym razem nie patrzył na kadetów. Wrócił wspomnieniami do czasów, gdy spoglądał na ginące kolonie jako zwykły żołnierz, potem oficer, wreszcie dowódca floty. Dziesiątki planet zamienionych w wieczne cmentarze, setki światów wciąż leczących rany. Taka była cena ostatecznego zjednoczenia. Wszyscy adepci akademii znali tę minę admirała, wiedzieli też, że w jego wypadku zaduma nad przeszłością nigdy nie trwa długo. – Dzisiaj kończycie naukę w naszej uczelni – podjął Dredd. – Już jutro rozpoczniecie służbę w jednostkach liniowych. Rozproszycie się po całym sektorze, w dziesiątkach systemów. Niektórzy z was dostąpią szczytu służby tutaj, na Ziemi. Tak... mam siedem takich nominacji. – Pomachał wyjętymi z kieszeni kartami i wreszcie, mimo przysięgi, w stojących przed nim szeregach rozległy się ciche pomruki, które skwitował krzywym uśmiechem; nikt nie spodziewał się, że będzie tak dużo złotych kart. – Aż tylu wychowanków akademii trafi tym razem na służbę w dowództwie floty na Ziemi. Siedem nominacji dla siedmiu prymusów. Dla najlepszych z najlepszych. Zanim jednak je wręcę, chciałbym przekazać inną, nieco mniej radosną informację. – Natychmiast zapadła grobowa cisza. Wszyscy wiedzieli, co rektor zaraz powie, aczkolwiek nikt nie chciał tego usłyszeć. – Otrzymałem z dowództwa sektora oficjalne zapotrzebowanie na... – zrobił pauzę dla podkreślenia wagi słów – ...na trzydziestu trzech kadetów, którzy jeszcze dzisiaj trafią do zaszczytnej i odpowiedzialnej służby w jednostkach Korpusu Utylizacyjnego. – Głuchy jęk przetoczył się przez hangar. Dredd spoglądał tryumfująco na kwaśne miny stojących w ostatnich rzędach młodych ludzi. To właśnie oni mieli największe szanse na „zaszczytną” służbę w jednostkach,

w których śmierć nadal zbierała obfite żniwo. – Czeka was wielka przygoda, panowie. Nie mieliście serca do nauki o wojnie, poznacie zatem naocznie jej skutki. Oto wasze zaproszenia na pola dawno zapomnianych bitew – powiedział nie bez satysfakcji Damian Andreas Dreade-Ravenore, pokazując plik czarnych kart. – Ale zanim je otrzymacie, pozwólcie, że rozpocznę właściwe przemówienie...

* * *

Nike obracał w palcach mały plastikowy prostokąt, na którym zapisano jego przyszłość. A właściwie jej brak. Po trzygodzinnym przemówieniu Dredda nastąpiło uroczyste wręczenie nominacji i kolejny rok akademicki oficjalnie się zakończył. W hangarze pozostało niewiele osób. Paru wykładowców żegnających swoich ulubionych podopiecznych i kilkunastu kadetów czekających wciąż na spóźnionych oficerów łącznikowych z podrzędnych jednostek, do których zostali przydzieleni. W zasadzie należało powiedzieć: kilkunastu skazańców... Służba na pokładach ciężkich transportowców Korpusu Utylizacyjnego nie należała do bezpiecznych. Trzydzieści trzy tegoroczne etaty oznaczały, że co najmniej tylu członków ich załóg przeniosło się od ostatniego apelu w zaświaty. I to tylko w dywizjonach sto czternastego sektora. A czymże on jest wobec ogromu wszechświata?

– Stachursky?

Nike wyrwał się z zamyślenia na dźwięk własnego nazwiska. Spojrzał w kierunku wychowawców w samą porę, by zobaczyć, że Dredd, rozmawiający z niskim, otyłym mężczyzną w brudnym kombinezonie mechanika, wskazuje na niego palcem. Podniósł worek z rzeczami i zarzucił go na ramię.

– Ty jesteś Stachursky? – Rudawy oficer o nalanej twarzy zbliżył się, wyciągając cuchnącą chemikaliami dłoń po kartę przydziałową.

Nike przewyższał go o głowę. Dopiero z bliska zauważył na znoszonym kombinezonie naszywki z rangą kapitana floty i nazwiskiem Morrisey umieszczone tuż pod złotym niegdyś napisem „FSS *Nomada*”.

– Tak jest!

Karta od razu wylądowała w czytniku, ale kapitan, zamiast odwrócić się na pięcie, gwizdnął cicho, a potem – zadarłszy głowę – zerknął na kadeta. Nike tego nie zauważył. Z przerażeniem wpatrywał się w metalowe palce protezy ściskające obudowę niewielkiego urządzenia.

– Jaja sobie ze mnie robicie? – zapytał zdziwiony dowódca *Nomady*, nie podnosząc wzroku. – Z danych wynika, że jesteś tegorocznym prymusem. Czwarły wynik na roku. Tacy do nas nie trafiają.

Nike strzelił przepisowo obcasami, zanim odpowiedział.

– Melduję posłusznie, że to nie pomyłka.

– Naprawdę? Jak zatem, chłopczyku, wytłumaczysz mi to? – Morrisey pokazał czytnik, na którym obok hologramu twarzy i danych osobowych widoczne były wyniki egzaminów oraz zbliżona do ideału ocena końcowa.

– Powiedzmy, że zagłębił się nie w to zagadnienie, co powinien. – Dredd podszedł do nich i wyręczył zdeprymowanego kadeta.

– Słucham? – Kapitan Morrisey wyglądał na zdziwionego.

– Melduję posłusznie, sir, że rznąłem najmłodszą córkę pana admirała! – wyjaśnił Nike nowemu przełożonemu nieco głośniejszym, niż wymagała tego sytuacja.

Śmiechy stojących opodal wykładowców ucichły jak nożem ucięte.

DWA

– Naprawdę tak powiedział? – Heraklesteban Iarrey, chudy i wysoki jak tyka blondyn, pierwszy oficer *Nomady*, otarł jednorazowym ręcznikiem pot z karku, po czym cisnął mokry papier na podłogę.

Wchłaniacze rozpoczęły utylizację cienkiej warstewki papieru, ledwie dotknęła metalowej kratownicy. Ktoś postanowił, że temperatura na mostku kolapsarowca będzie symulować tropiki. Najprawdopodobniej kapitan, bo nikt z regularnej załogi nie protestował.

– Naprawdę. – Morrisey siedział, trzymając nogi na blacie stołu, i wciąż przeglądał akta pięciu kadetów, którzy karnie stali w szeregu pod ścianą obok dystrybutora posiłków.

Wszyscy byli mniej więcej tego samego wzrostu i podobnej budowy, jakby te właśnie kryteria sprawiły, że trafili na pokład *Nomady*.

– I Dredd go nie zabił? – zdziwił się Iarrey, sięgając po następny ręcznik.

– Chciał, Bóg mi świadkiem, że bardzo tego chciał. Sęk w tym, że chłopak trafił już pod moją jurysdykcję. – Morrisey pomachał od niechcienia kartą przydziałową Nike'a.

– No to miałeś, synku, farta... – Czarnowłosa, dobrze wyposażona, choć szczupła podporucznik-pilot Annataly Davidoff-Rozerer, główny nawigator *Nomady* i jedyna kobieta na pokładzie, przyglądała się nowym nabytkom, jakby byli towarem na sprzedaż. – Gdyby nasz szef nie był takim służbistą...

– Za drobną opłatą obiecałem staremu, że szczeniak nie przeżyje pierwszej roboty – rzucił od niechcienia Morrisey.

Głośny śmiech wypełnił mesę. Rechotał nawet ojciec Pedroberto, kapelan pokładowy. Tylko kadeci przepisowo milczeli.

– No dobrze, czas na małe powitanie. – Czytnik powędrował wreszcie do kieszeni, a nogi dowódcy zetknęły się z podłogą. – Nazywam się, jak już pewnie wiecie, Henrichard Morrisey i mam wam do zakomunikowania kilka łatwych do zapamiętania rzeczy. Po pierwsze, na pokładzie tego statku jestem ważniejszy od Boga. Po drugie, jeśli uważaliście, że admirał Dreade-Ravenore to najgorszy skurwysyn w znanym wszechświecie, już wkrótce się przekonacie, że nie mieliście bladego pojęcia, czym jest prawdziwe skurwysyństwo. Po trzecie, nasza robota nie należy do łatwych i bezpiecznych. To, że wysłałem w tym roku zapotrzebowanie aż na pięciu kadetów, powinno wam wiele powiedzieć o charakterze zadań, które nas, a właściwie was, czekają. Naczelne dowództwo przekazało dywizjonowi, w którego skład wchodzi nasza wspaniała jednostka, rozkaz oczyszczenia słynnego Sektora Victor. Do tej pory udało się go wykonać mniej więcej w połowie. Właśnie dotarliśmy do Systemu Victor 3a13, jeśli ta nazwa coś wam mówi. Mówi? – Spojrzał na kiwających głowami kadetów. – Zatem proszę o króciutkie streszczenie historii walki o ten systemu – wskazał palcem na pierwszego z brzegu.

– Daliśmy im w dupę, sir! – Peterasmus De’Vere miał szóstą od końca ocenę na roku, czemu trudno było się dziwić, zważywszy na to, iż sam jego wygląd sugerował poziom intelektualny troglodyty.

– W dupę, powiadasz? To ciekawe stwierdzenie, choć jeśli się nad nim zastanowić, z gruntu nieprawdziwe.

– Oni dali nam w dupę, sir! – Przepytywany kadet wyszczerzył zęby w tryumfalnym uśmiechu.

Morrisey pokręcił z niedowierzaniem głową. De’Vere zdębiał.

– Remis był? – zapytał zdumiony.

– Remis, posrana karykatura kadeta, to na meczu ligi przestrzennej można odgwizdać. Może pan nam opowie, jak było? – Palec kapitana minął Nike’a i wycelował w pierś Christopherasmusa Carre-Foura. Głupkowaty

uśmiech spełził z wąskich ust arystokratycznej szczupłej twarzy, gdy tylko nieszczęśnik zrozumiał, że poprzedzający go Nike nie musi odpowiadać.

– Nie sądzę, żebym mógł dokładniej... – wymamrotał czwarty klon arystokraty z podrzędnej planety.

– Całkiem słusznie nie sądzisz, skurwykloni pomioście! – przerwał mu bezceremonialnie Morrisey i nie zważając na purpurę, jaka pojawiła się na policzkach łajanego kadeta, ryknął: – A co wy, obszcymury, macie do powiedzenia?!

Ani Josephilip Kolczuk, pryszczaty i małomówny kurdupel, który ponoć był nieślubnym synem jakiejś szychy z Ziemi, ani jego całkowite przeciwieństwo, Yukitaro Domita, czternaste dziecko pańszczyźnianego chłopca z planety o tak skomplikowanej nazwie, że nikt nie umiał jej wymówić, nie mieli nic do powiedzenia. Co zresztą nie było niczym zaskakującym – podobnie jak poprzednicy, zaliczali się do najniższej warstwy intelektualnej akademii i nigdy nie ukończyli studiów, gdyby nie parytety i naciski rządów pomniejszych sektorów. Admiralicja przepuszczała ich przez sita egzaminacyjne tylko dlatego, że ktoś musiał zasilać załogi jednostek Korpusu Utylizacyjnego.

Zrezygnowany Morrisey wskazał w końcu na Nike'a.

– System V3a13 składa się z ośmiu planet – wyrecytował wyprężony jak struna prymus najlepszej akademii floty. – Znany również pod nazwą New Rouen, był jednym z najważniejszych punktów transferowych Sektora Victor. Federacja zamierzała przejąć nad nim kontrolę już na początku wojny, aby odciąć część wysuniętych układów planetarnych przeciwnika od łatwego zaopatrzenia nadprzestrzennego. W tym celu wysłano dwa zespoły uderzeniowe, które miały równocześnie zaatakować Deltę, jedyną zamieszkaną planetę układu, oraz orbitalną stację tranzytową. Niestety wróg, po raz pierwszy w historii tej wojny, zaminował domniemane punkty wyjścia wokół wrót transferowych, łamiąc tym samym wszelkie konwencje. Ponadto, czego dowództwo Federacji nie wiedziało na etapie planowania operacji, rebelianci zgromadzili tam pokaźne siły chroniące instalowany na Delcie sztab obrony

całego podsektora. Admirał Tahomey wyprowadził pierwszy zespół uderzeniowy prosto na jedno z pól minowych, tracąc już podczas wyjścia z nadprzestrzeni niemal połowę jednostek liniowych. Drugie zgrupowanie miało więcej szczęścia, ale jak się wkrótce okazało, cztery eskadry chroniące sztab i stację tranzytową stanowiły twardy orzech do zgryzienia nawet dla najnowocześniejszych pancerników Federacji. Można powiedzieć, że bitwa nie została rozstrzygnięta. Zdołano zniszczyć większość instalacji obronnych systemu, ale kontroli nad nim nie uzyskano. Obie floty wykrwawiły się w niemal trzynastogodzinnej walce, a...

– Wystarczy! – Morrisey przerwał kadetowi i znów położył nogi na blacie. – Kadet Stachursky odrobił zadanie domowe, czego o reszcie powiedzieć nie można. Dlatego z przykrością muszę stwierdzić, że od tej chwili pozostali panowie kadeci noszą numery zamiast nazwisk. Ty – wskazał na De'Ve're'a – masz jedynekę, ty – wymierzył palcem w Carre-Foura – dwójkę, albo nie, natura już cię obdarzyła numerkiem, skurwykloni pomioście, więc zostaniesz, jak Bóg i tatuś, wybacz... dawca... chcieli, czwórka. Kolczuk to trójka, a pan, tfu, Sodomita przejmie w takim razie numer drugi. Kadet Stachursky pozostaje kadetem Stachurskim, dopóki nie przyjdzie mi ochota tego zmienić, i będzie łącznikiem między załogą stałą i numerowaną. A to oznacza, że żaden z was, skurwyklony, nigdy, ale to nigdy nie zwróci się bezpośrednio do nikogo z pełnoprawnych członków załogi, chyba że otrzyma pozwolenie za pośrednictwem kadeta Stachursky'ego. Żaden z numerów, jeśli nie zostanie wezwany, nie ma też wstępu na górny pokład. Zrozumiano?

– Tak jest! – odpowiedzieli unisono.

Co jak co, ale dyscyplinę akademia wpoila wszystkim adeptom.

– A gdyby kogoś interesowało, co znaczą te numery, od razu wyjaśnię – kontynuował kapitan. – To taki stary obyczaj przeniesiony do korpusu z jednostek frontowych. Kiedy wydam rozkaz, na przykład wyjścia w przestrzeń, nie będę musiał wskazywać paluchem ani wywoływać nikogo po nazwisku. Numer jeden idzie pierwszy, a jak coś spierdoli, czytaj wykituje, jego

miejsce zajmuje numer dwa, potem trzy i tak dalej, aż do skutku. Zrozumiano?

Tym razem odpowiedź nie była już tak jednogłówna.

– Odmaszerować! – warknął Morrisey. – A kadet Stachursky jeszcze na moment z nami zostanie.

* * *

– Wiesz, synku, dlaczego kazałem ci zostać? – zapytał kapitan, gdy pozostali kadeci zabrali swoje rzeczy i opuścili mesę.

– Nie wiem, sir! – odparł zgodnie z prawdą Stachursky.

– Na pewno?

– Na pewno, sir! – Nike starał się wymyślić coś na poczekaniu, ale naprawdę nie miał pojęcia, do czego zmierza dowódca.

Morrisey przerwał jego męki.

– Czytałem twoje akta, więc wiem, że należysz do asów pieprzonej Orbitalnej Akademii Floty. Pech chciał, że wybrałeś nie ten otwór co trzeba i przepieprzyłeś sobie, cha, cha – śmiech kapitana okazał się zaraźliwy – dosłownie przepieprzyłeś sobie życie. Ale głupi nie jesteś, wręcz przeciwnie, i dlatego szybko się połapiesz, że nie wszystko, co mówią o tej służbie, jest prawdą. A skoro i tak do tego dojdzie, wolę od razu zaproponować ci układ.

Iarrey, nawigatorka, kapelan oraz milczący do tej pory porucznik odpowiedzialny za systemy uzbrojenia, który chyba nazywał się Bourne – przynajmniej tyle można było odczytać z jego brudnej naszywki – otoczyli zdeorientowanego kadeta.

– Jaki układ, sir? – zdziwił się Nike.

– Wiesz, dlaczego wszystkie bitwy Wojny Zjednoczeniowej, i w ogóle wszystkie potyczki w przestrzeni, odbywały się w pobliżu punktów Lagrange’a? – zapytał pozornie bez związku kapitan.

– Teoretycznie... – zaczął Nike asekuracyjnie.

– Słucham.

– Na wykładach mówiono nam, że to kwestia strategii, ale prawda jest chyba taka, że nikomu nie uśmiecha się powolna i do tego anonimowa śmierć w pustce kosmicznej. Dlatego wszystkie pola bitew umiejscawiano w punktach zwanych dołkami Lagrange’a na cześć...

– Streszczaj się, synku – ponaglił go kapitan.

– W przypominających nieco pasy Saturna strefach grawitacyjnych, w których uszkodzone i zniszczone jednostki, pozostając długo na miejscu, tworzą coś w rodzaju pola asteroid, dzięki czemu można przeprowadzić ewentualne akcje poszukiwawcze i ratunkowe. Dlatego też od początków podboju kosmosu wszelkie strategie admiralicji zakładały walkę statyczną. Okręty przystępowały do akcji na minimalnych prędkościach, żeby po ewentualnym zniszczeniu ich wraki pozostały w punktach Lagrange’a.

– Co to oznacza w praktyce?

– W praktyce oznacza to, że w dołkach nadal powinny krążyć niemal wszystkie jednostki zniszczone w bitwach, o ile na skutek nieprzewidzianych okoliczności nie wyrwały się z pułapki grawitacyjnej i nie spadły na powierzchnię pobliskich planet. – Nike pomyślał o Dreddzie i jego osiemdziesięcioletniej odysei w kapsule ratunkowej. Gdyby nie ta taktyka, stary admirał byłby teraz kawałkiem dobrze zmrożonego mięsa wędrującego przez nieskończoną pustkę albo ślicznym meteorem tnącym malownicze niebo odległej planety.

– Doskonale. – Morrisey roześmiał się na cały głos. – Bardzo celny wniosek, kadecie Stachursky. A co z tego wynika dla nas?

– Mamy ułatwioną robotę.

– To też, ale...

– Ale taki inteligentny i śliczny chłopczyk jak ty powinien już wiedzieć, że można się przy tym nieźle obłowić.

Nike zrozumiał, dlaczego Bourne milczał aż do tej pory. Głos porucznika odpowiedzialnego za systemy uzbrojenia mówił wszystko o jego preferencjach seksualnych.

– Proponujemy ci drobny udział w zyskach w zamian za pełne posłuszeństwo i kontrolę tamtych śmieci. – Kapitan wskazał ruchem głowy drzwi, za którymi zniknęli pozostali kadeci.

– Udział w zyskach, sir? – Nike spojrział przytomniej na rozbawionych załogantów.

– Naprawdę nie rozumiesz? – Na ustach Morriseya pojawił się pierwszy szczerzy uśmiech. – Jeśli grasz według zasad admiralicji, masz święty spokój, jeśli według naszych, ta robota może być kurewsko niebezpieczna – podniósł rękę, prezentując elektroniczną protezę – ale za to opłacalna. Odbędiesz swoje latka na pokładzie *Nomady* i masz zagwarantowany śliczny dodatek do emeryturki.

– A większość czarnej roboty i tak odwalają za nas numery – dodał Iarrey.

– Mamy wprowadzić wyspecjalizowane roboty – wyjaśnił kapitan – ale to cholernie drogi sprzęt. Zniszczenie takiej maszyny oznacza dziesiątki szczegółowych raportów, które często wychodzą poza admiralicję. Śmierć kadeta najniższej rangi to tylko list do rodziny, medal i znacznie rzadziej drobna rekompensata finansowa...

– Zresztą im większe straty w akcji, tym lepiej – szepnęła niemal zmysłowo Annataly, pochylając się do ucha Nike'a.

– Im więcej zabitych, tym mniej sensownych ludzi garnie się do roboty w Korpusie Utylizacyjnym – podjął wątek Morrisey. – A po poległych i tak nikt nie płacze, zwłaszcza dowództwo, które ma z naszego procederu słuszny dodatek do pensji. Przy okazji oszczędzamy admiralicji mnóstwo kłopotu z... nazwijmy to po imieniu... odpadami akademickimi.

– Czyli rozumiem, że – powiedział kandydat na udziałowca firmy *Nomada* – najpierw zgłębiamy, a dopiero potem niszczymy?

– Zgłębiamy? Wiesz, Nike, podoba mi się twój sposób myślenia... – Kapitan uśmiechnął się do własnych myśli. – Archeologia przestrzenna to wspaniała dziedzina nauki, szczególnie jeśli ma się wsparcie w postaci ściśle tajnych map i dostępu do wszystkich archiwów floty. – Urwał nagle i zapytał: – Zatem

wchodzisz w to czy nie?

– Co będzie, jeśli odmówię? – zapytał ostrożnie Nike.

– Obiecałem coś admirałowi, a jestem naprawdę słownym facetem... –
Odpowiedź Morriseya, choć wypowiedziana wesołym tonem, niosła wyraźną
groźbę. – Łamię dane słowo tylko wtedy, gdy widzę w tym swój interes.

– Rozumiem. – Nike spojrzał dowódcy w oczy. Chwilę później skinął głową.
– Wchodzę. Pozostaje tylko kwestia...

– Dwie kwestie – przerwał mu bezceremonialnie kapitan.

– Dwie? – zdziwił się Nike.

– Tak. Po pierwsze, strona finansowa. Żeby nie było nieporozumień. Jak to
mówią: kochajmy się jak bracia, liczymy się jak klony. Masz dziesięć procent
zysku ze wspólnych akcji i pięćdziesiąt z tego, co sam nadasz.

– Zgoda. – Propozycja wyglądała na uczciwą, zresztą w zaistniałej sytuacji
Nike przystałby na każdą, nawet o wiele mniej korzystną.

Morrisey nagle spowaźniał.

– I po drugie, chłopcze... – To „chłopcze” zabrzmiało bardzo złowroźnie. –
Pani porucznik Davidoff-Rozerer jest jedyną kobietą na pokładzie i jak się
zapewne domyślasz, należy do mnie i tylko do mnie. Ja nie jestem wujcio Dredd
i nie będę się zastanawiał pół semestru, jak wyrefinowanie skroić ci dupę. Jeśli
wykryję choć jeden, nieważne jak mikry ślad twojej bytności w damie mojego
serca, to... – zrobił protezę nieokreślony gest mogący oznaczać wszystko. –
Rozumiemy się, panie córeczkojebco?

Nike zerknął na kombinezon lotniczy nawigatorki, a raczej na nęcące kształty,
jakie okrywał ten obcisły kawałek lśniącego materiału. Potem popatrzył wprost
w roześmiane oczy Bourne'a. Nie odpowiedział mu uśmiechem.

– Rozumiemy – przytaknął i sięgnął po worek. – Kadet Stachursky
odmeldowuje się!

– Moment... – Kapitan nie spuszczał z niego badawczego wzroku.

– Tak, sir?

– To twoje imię. Nike... Dlaczego nie nosisz standardowego dwumianu, jak

każdy przyzwoity człowiek? – zapytał dowódca.

– Noszę, sir – odparł Nike.

– To dlaczego go nie używasz? – zapytała zaskoczona Annataly.

– Używam. Składowe to Nik i Ike.

– Ha, jednego Ikennetha to nawet znałem, ale Nick na pewno pisze się inaczej – wtrącił Iarrey.

– Rodzina mojego ojca pochodzi ze Strefy Rosyjskojęzycznej, stąd odmienna pisownia pierwszego członu – wyjaśnił Nike. – Na cześć jakiegoś słynnego, cholera wie ile razy „pra” pradziada. Podobno był wziętym pisarzem na Ziemi pod koniec Starej Ery.

TRZY

System New Rouen, Sektor Victor,

27.06.2354

Wyszli z nadprzestrzeni w dużej odległości od gwiazdy oznaczonej na mapach Federacji symbolem V3a13, kilkanaście stopni poza płaszczyznę ekliptyki tutejszego układu planetarnego, na skraju wyliczonego pola bezpieczeństwa. *Nomada*, wciąż zwalniając, leciał ku Delcie – czwartej planecie systemu – z dala od ewentualnych wrakowisk. Współczesne systemy koordynacji danych pozwalały na obliczanie skoków z dokładnością do miliarda mil na rok świetlny, mogli się więc zbliżyć do każdego systemu bez potrzeby korzystania ze stałych punktów tranzytowych i związanego z tym ryzyka natrafienia na pozostałości dawnych bitew albo wciąż aktywne pułapki zastawiane przez obrońców.

Trzeciego dnia po przybyciu na miejsce *Morrisey* pojawił się na górnym pokładzie i zasiadł w sfatygowanym fotelu dowódcy. *Annataly* i *Iarrey* wciąż zbierali i segregowali dane z sond dalekiego zwiadu, które wystrzelono dwie doby wcześniej w kierunku wszystkich dołków *Lagrange'a* w systemie. *Bourne* i *Nike* czekali na rozwój wydarzeń przy zapasowych konsolach, sprawdzając od czasu do czasu wybrane odczyty. *Kapelana* i pozostałych kadetów na razie nie wybudzono. Systemy *Nomady* wykorzystały czas potrzebny na wyhamowanie po wyjściu z nadprzestrzeni, aby starannie przebadać docelowy system. Teraz należało jedynie zinterpretować dane i przystąpić do działania.

– Kiedy będziemy mieli pełen obraz sytuacji? – zapytał *Morrisey*, ledwie zapiął pasy.

– Za plus minus pięć minut standardowych – odparł Iarrey.

Kapitan pokiwał głową i włożył do ust oliwkową bryłkę czegoś, co najwyraźniej służyło do żucia.

– Czekam, panie pierwszy – powiedział, splunąwszy soczyście na kratownicę pod głównym ekranem.

– Przecież nie minęła nawet minuta – zachnął się Iarrey.

– Zależy, jak na to patrzeć – stwierdził enigmatycznie kapitan, aktywując panoramicon.

Obłe ściany mostka zmieniły zabarwienie i w kilka sekund stały się przezroczyste. W czasie lotu nad planetą wrażenie dezorientacji występuje u paru procent doświadczonych astronautów, w pustce nie ma takiego problemu. Tutaj nic nie zakłóca błędniaka, zwłaszcza gdy widok sprzętów w sterowni pozwala ustalić hipotetyczny pion.

Centrum układu planetarnego z pojedynczą gwiazdą klasy G2V znajdowało się przed dziobem okrętu. Komputer wyświetlił na ekranach opalizujące zielenią orbity wszystkich planet i ich satelitów, zaznaczył też na czerwono trasy większości ciał niebieskich przemierzających tę część układu w odwiecznej podróży przez wszechświat. Trochę tego śmiecia było, ale nie aż tyle, żeby musieli się przejmować.

– Skupisko właściwe znajduje się na orbicie czwartej planety – zameldował chwilę później Iarrey. – Większość wrakowiska, jakieś dziewięćdziesiąt siedem procent przewidywanej masy, pozostaje w strefie równowagi. Mam jednak trochę odczytów na zewnątrz dołka. Złom z pogranicza zaczyna się już wydostawać z pułapki grawitacyjnej. Jeszcze parę lat i...

– Nie filozofuj, Iarrey – przerwał mu dowódca. – Co z polami minowymi?

– Sondy poszły czterdzieści siedem godzin temu, zlokalizowaliśmy szesnaście z dwudziestu zapór, o jakich mówiły przejęte raporty kolonistów. Pozostałe cztery mogą już nie istnieć...

– Jeszcze się nie zdarzyło, żeby całe pole minowe zniknęło albo zostało zdetonowane – mruknął Morrisey, zaciskając metalowe palce protezy. – Nie

ruszę dupy z fotela, dopóki nie będę znał położenia wszystkich przeszkód.

Iarrey zbył tę uwagę wzruszeniem ramion i jakby nigdy nic nadal sprawdzał napływające dane.

– Co robimy z namierzonymi polami? – zapytał po chwili.

– A co możemy z nimi zrobić? – mruknął poirytowany Morrissey. – Pozbądź się tego gówna.

W próżni dźwięk się nie rozchodzi, za to widoki są piękne – tak jeden z wykładowców akademii zachwalał uroki nawigacji systemowej. Teraz jego słowa nabrały dodatkowej głębi. Miriady towarzyszących sandom nanoszeraczy wbiły się w pola min nuklearnych, które sto trzydzieści lat wcześniej miały bronić dostępu do punktu tranzytowego na domniemanych wektorach podejścia. Atramentowa czerń pustki kosmicznej rozbłysła nagle milionem barw. Nie przypominało to ogni sztucznych, ale było na swój sposób urzekające. Dziesiątki zlewających się eksplozji, gasnąca powoli plazma, halo o barwach znacznie żywszych niż kolory tęczy. Gdyby wtedy, przed ponad wiekiem, istniała dzisiejsza technologia, zespół uderzeniowy numer jeden przeszedłby przez pola minowe jak promień lasera przez papier. Admirał Tahomey mógł jednak liczyć wyłącznie na szczęście i dlatego teraz aż sto osiemdziesiąt najrozmaitszej wielkości wraków krążyło po orbicie planety, której prawdziwej nazwy nikt już nie pamiętał.

– Mamy namiary na resztki czterech pól, w które wszedł zespół uderzeniowy numer jeden – zameldowała Annataly, która również zajmowała się obróbką danych. – W zasadzie nie istnieją. Szczątki zniszczonych okrętów aktywowały większość min pozostałych po przejściu zespołu, a te, które nie zostały zdetonowane wtedy, pewnie i tak już nie wybuchną.

– Nigdy nie ma takiej pewności, skarbie – mruknął Morrissey. – Co z odczytami mówiącymi o aktywnych minach wewnątrz wrakowiska?

– Jest ich nie więcej niż dziesięć – odparła Annataly.

– Daj podgląd!

– Tak jest. – Na panoramiconie pojawiły się kolejne obrazy ilustrujące

położenie hipotetycznych niewypałów.

– Panie Bourne?...

To wystarczyło, by porucznik uraczył wszystkich krótkim wykładem o sposobach neutralizacji min. Roilo się w tej gadce od terminów technicznych i wzorów matematycznych, ale sens był prosty i można go było zawrzeć w kilku słowach: nie da się użyć kolapsarów do zdalnego ściągnięcia całego śmiecia bez ryzyka przypadkowej eksplozji i rozrzucenia szczątków poza strefę.

– Kiedy będziemy mieli na miejscu holosondy? – zapytał Morrissey.

– Pierwsza fala jest już na orbicie i właśnie dociera do dołka Lagrange’a – odpowiedział jak zwykle spokojnie Jarrey.

Mikrosondy sieci holowizualnej pozwalały na sporządzenie trójwymiarowej mapy badanego sektora i niezwykle dokładną ocenę sytuacji.

– Rzućmy okiem... – Kapitan przełączył panoramicon na widok transmitowany przez zsynchronizowane kamery sond.

W mgnieniu oka znaleźli się w samym środku wrakowiska. Zniszczone okręty dryfowały na przestrzeni setek tysięcy mil sześciennych wokół punktu Lagrange’a, tworząc niesamowity, ale niezwykle stabilny wir metalowych konstrukcji. Z większości jednostek, zwłaszcza tych mniejszych, zostały tylko strzępy – procesy destrukcji zainicjowane przez laserowe salwy wroga dokończyła sama natura. Niekończące się kolizje z innymi wrakami zamieniły dumne niegdyś okręty w kupę poskręcanych szczątków. W milczeniu oglądali kolejne, niewiele różniące się od siebie ujęcia; czasem dało się uchwycić rozprute i wybebeszone kadłuby korwet i niszczycieli, ale wszystkie były zbyt zniszczone, by warto było do nich zaglądać.

– Witam w piekle pana Lagrange’a – rzucił z sarkazmem rozparty wygodnie Morrissey. – Tu, gdzie skarby przeszłości czekają na odkrywców, a śmierć na frajerów.

Rejestratory sond przekazywały do sterowni dalsze, niemal identyczne ujęcia pola bitwy, która zakończyła się sto trzydzieści lat wcześniej. Jarrey lokalizował miny i przygotowywał się do zdalnego zdetonowania tych, w których pobliżu

nie było nic godnego zainteresowania.

Przeglądali wrakowisko systematycznie, lecz dopiero po kwadransie zobaczyli coś wartego uwagi. Pękaty kadłub antycznego pancernika wynurzył się majestatycznie ze stożka cienia planety. Morrisey, który właśnie podawał kody aktywacyjne dla szperaczy mających zneutralizować namierzone w tym sektorze miny, natychmiast kazał przenieść to ujęcie na panoramicon i usunąć okna mniej istotnych przekazów. Najbliższe sondy znajdowały się zaledwie kilkanaście mil od dobrze zachowanego dziobu pancernika, dlatego Nike nie miał problemu ze zidentyfikowaniem wciąż czytelnego numeru. Dostrzegł nawet część nazwy, która dla wielu ludzi wciąż jeszcze była symbolem zwycięskiej walki o zjednoczenie. Olbrzymi okręt wydawał się nietknięty. Tak potężnego pancerza nie mogły pokonać nawet uderzenia kilkutonowych fragmentów innych wraków, a większych odłamków w tej części dołka Lagrange'a – prócz admirałskiego okrętu flagowego – na razie nie widzieli. Obracający się wolno wzdłuż własnej osi pancernik wypełnił wkrótce cały ekran. Zdawało się, że płynie tuż nad sterownią *Nomady*, choć w rzeczywistości oba statki dzieliło więcej niż miliard mil.

Rozparty w fotelu Morrisey uśmiechnął się władczo.

– Panie Stachursky, co my tu mamy? – zapytał.

– FSS *Odyn*, numer burtowy FSBS 061, flagowy okręt admirała Tahomeya – wyrecytował z pamięci Nike. – Milion sto sześćdziesiąt tysięcy ton masy, długość kadłuba właściwego osiemset dziesięć metrów, średnica w najgrubszym miejscu siedemdziesiąt dwa metry, uzbrojenie...

– Wystarczy – przerwał mu nadal uśmiechnięty Morrisey. – Oto nasze Eldorado! Pokąsany, ale nie schrupany do kości... – Sztuczna ręka kapitana wskazała na lewą dolną część ekranu.

Spojrzeli tam i zobaczyli pociemniałe, poszarpane krawędzie pierwszej z ogromnych dziur w poszyciu, która ciągnęła się od śródkręcia aż po przewężenie sekcji maszynowej.

CZTERY

Niespełna sto godzin później, dryfując na skraju punktu Lagrange'a z włączonymi na pełną moc deflektorami, oglądali z bliska stopione płyty poszycia wokół mrocznego otworu prowadzącego w głąb wraku. Warstwa zastygłego helonu zewnętrznego pancerza tworzyła niewiarygodnie piękne kształty. Topiony promieniami laserów, rozgrzany do białości metal tężał w ułamkach sekund po zetknięciu z absolutnym zimnem pustki kosmicznej. Wiele tych kruchych rzeźb zostało zniszczonych w trwającej ponad sto lat podróży, ale kilka zachowało się nadzwyczaj dobrze. Jedną z nich mogli właśnie podziwiać na pełnym zbliżeniu. Gejzer stopionego metalu wytrysnął z wraku i zastygł w odwiecznym mrozie, tworząc kształt, w którym nawet przy braku wyobraźni można było rozpoznać ludzką sylwetkę wyciągającą rękę w kierunku bezdennej pustki kosmosu. Była wprawdzie zniekształcona, lecz nie bardziej niż awangardowe rzeźby zdobiące uznane galerie sztuki współczesnej na planetach Federacji.

– Piękne, nieprawdaż? – Morrisey wskazał na krystalicznie biały stopiony helon. – Jakby matka natura chciała nas przed czymś...

Przenikliwe zawodzenie syren alarmowych przerwało kapitanowi. Iarrey skoczył ku centralnej konsoli i jednym uderzeniem otwartej dłoni przywrócił w sterowni ciszę, którą natychmiast wypełniły głosy przekrzykujących się załogantów.

– Zamknąć pyski, skurwyklony! – Głos Henricharda Morriseya był równie skuteczny jak dłoń Iarreya. – Meldunek, panie pierwszy!

– Uaktywniona mina na kursie zbliżeniowym... – wyszeptał Iarrey, ale i tak wszyscy go usłyszeli.

– Mina? I co z tego? – prychnął kapitan. – Nie pierwsza i nie ostatnia... Co to za złom?

– M7... – Pierwszy oficer nadal nie podnosił głosu.

Morrisey wyraźnie zbladł. Nike wymamrotał:

– Cierpliwa Śmierć...

Tak mówiono na ten rodzaj min nuklearnych przed laty i tak nazywano je teraz. Wypuszczane w pobliżu węzłów komunikacyjnych wroga podczas ostatniej wojny, zdolne przecześć w doskonałym kamuflażu całe dziesięciolecia, zbierały krwawe żniwo na gwiazdnych szlakach jeszcze długo po kapitulacji Kolonii Zewnętrznych. Trwały w ukryciu na wyznaczonych pozycjach, czekając na ten jeden, jedyny cel, mimo że wojna dawno już się skończyła. Pozostawione sobie, zapomniane, lecz całkowicie samowystarczalne, samonaprowadzające i niemal niezniszczalne gigatonowe inteligentne ładunki, przed którymi nie było ucieczki.

– Jakie odczyty? – zapytał już znacznie mniej pewnym głosem Morrisey.

– Namierzyła nas osiemnaście sekund temu – odparł Iarrey. – Klasyczna rebeliancka zbliżeniówka.

– Dystans?

– Siedemset pięćdziesiąt mil do strefy odpalenia i wciąż maleje.

– Annataly!

– Zrozumiałam. Mam wszystkie koordynaty. Zwalniam podejście.

– Ile czasu nam zostało? – zapytał kapitan.

– Maksymalnie siedem minut, jeśli Annataly wie, co robi... – odparł pierwszy oficer.

– Martw się o siebie. – Porucznik Davidoff-Rozerer wydeła pogardliwie wargi.

Morrisey spojrział na kadeta.

– Jakież sugestie?

– Najlepszą taktyką w takiej sytuacji jest maksymalne zmniejszenie prędkości zbliżeniowej, nadanie sygnału SOS i opuszczenie okrętu w rufowych kapsułach ratunkowych, zanim jednostka wejdzie w pole rażenia, sir! – wyrecytował posłusznie Nike.

– Proszę, proszę... – na twarzy kapitana pojawił się grymas przypominający uśmiech. – Tak mówią podręczniki, ale my kochamy ten okręt jak własny dom i raczej zginiemy, niż pozwolimy go zniszczyć, prawda? – Reszta załogi przytaknęła, acz bez wielkiej pewności siebie. – Zatem co prawdziwe wojsko robi w przypadku namierzenia przez M7?

Nike milczał. Kapitan splunął na kratownicę, aktywując po raz kolejny wchłaniacze.

– Wojsko działa – wyjaśnił po chwili kłopotliwego milczenia. – Numer jeden wkłada skafander próżniowy i melduje się w służbie dziobowej. Numery dwa i trzy czekają w pełnym oporządzeniu w służbie na bakburcie. Numer cztery melduje się w ładowni przy szperaczu. Będziemy rozbrajać minę podczas podejścia. Minuta na wykonanie rozkazu.

Morrisey wstał z fotela, zanim skończył mówić. Nike nawet nie drgnął, gdy dowódca *Nomady* zniknął za jego plecami. Nieznośny zapach smaru zmieszany z korzennym zapachem substancji, którą kapitan nieustannie żuł, świadczył o tym, że nowy przełożony zatrzymał się tuż za nim.

– Ale wybudzenie... – Nike poczuł ciarki na plecach.

– Racja, kadecie. Problem w tym, że numery nadal śpią smacznie, a jedyny członek załogi, którego możemy chwilowo poświęcić, to... ty. – Głos dowódcy rozbrzmiał tuż za jego prawym uchem.

– Melduję, że wykorzystanie niedoświadczonych kadetów do rozbrojenia inteligentnej miny tej klasy to pewna śmierć – odparł Nike, siłąc się na spokój.

Znał swoje możliwości i parametry miny, która stanęła im na drodze. Zestawienie tych danych nie pozostawiało cienia wątpliwości.

– Racja... – Tym razem głos Morriseya dobiegł zza lewego ucha. – Czy nie wspominałem, że jestem naprawdę wielkim skurwysynem? – zapytał kapitan

i nagle parsknął śmiechem.

Zdziwiony jego reakcją Nike drgnął, czując, jak drobinki śliny spryskują mu ucho i tył wygolonej regulaminowo głowy. Obrzucił nerwowym spojrzeniem pozostałych członków załogi. Nie wyglądali już na tak przejętych jak przed chwilą.

– Cierpliwa Śmierć, uzbrojona i niebezpieczna – kontynuował tymczasem rozbawiony kapitan, pojawiając się znów w zasięgu wzroku. – Wiesz, co to naprawdę oznacza?

Nike pokręcił głową.

– To absolutna gwarancja, że żaden amator nie grzebał w trzewiach naszego giganta. – Morrisey uśmiechnął się znacząco. – M7 to doskonała broń, która siała strach w sercach naszych przeciwników. Bezlitosny zabójca, przed którym nie ma ucieczki. Chyba że dysponujesz... – Odwrócił się i pytająco uniósł brew.

– Kodami dezaktywacyjnymi? – zapytał nieśmiało Nike.

– Brawo, młody przyjacielu! – Kapitan klepnął go w ramię i roześmiał się głośno. – Admiralicja była uprzejma wyposażyć nas w dostępny komplet tabel kodowych, zarówno naszych, jak i wroga. Wystarczy rozszyfrować kod wysyłany z sygnałem namierzania, podać odpowiednią sekwencję i nasza M7 stanie się zwykłą kupą złomu, a numerowani przyjaciele nie obudzą się, póki nie wrócimy z przeszukiwania naszego dziewiczego skarbcza. Mam nadzieję, że nie musisz zmieniać gaci.

– Potraktuj ten żart jako chrzest bojowy – doradziła Annataly. – Zazwyczaj robimy go numerom, ale z braku laku...

Nike uśmiechnął się pod nosem, widząc rozbawione miny oficerów, jednakże zaraz spowaźniał. Chcieli zabawy, to ją dostaną.

– Powiedział pan, sir, „dostępny komplet tabel”. Czy to znaczy, że nie mamy wszystkich kodów?

Z niekłamaną przyjemnością obserwował, jak pot rosi czoło ślicznej nawigatorki, jak Iarrey rzuca się do konsoli, a Morrisey ponownie blednie. Tym razem kapitan nie udawał.

PIĘĆ

Weszli do wraku najszerszą z wyrw. Dwa zespoły po dwie osoby plus roboty transportowe. Bourne poszedł z Iarreyem. Do ich zadań należało zbadanie dolnych pokładów, a właściwie jedynej w tej części wraku sekcji, która nie została doszczętnie zniszczona. Zespół drugi, czyli Morrisey i Nike, miał sprawdzić górne pokłady części dziobowej pancernika. Annataly czuwała nad całością operacji z mostka *Nomady*.

Przeszukiwali kolejne kabiny, korytarze i ładownie, pakując na drony transportowe każdą rzecz, która nie została wyssana w przestrzeń po rozpruciu kadłuba. Morrisey najwyraźniej nie przykładał zbyt wielkiej wagi do przeszukiwania i otwierania poszczególnych kabin. Wciąż tylko sprawdzał odczyty na holopadzie i zanim Nike kończył załadunek wskazanych przedmiotów, zniknął w kolejnym przejściu.

W dwie godziny standardowe dotarli szybami wind do głównego korytarza łączącego mostek z podpokładami mieszkalnymi dla oficerów. Łukowate ściany ciągnęły się na przestrzeni pięćdziesięciu metrów, dalej korytarz zamykała masywna gródź.

– Bingo – mruknął Morrisey, szybując w głąb korytarza i sekcja po sekcji oświetlając sufit. – Mostek wygląda na nietknięty. Ściągnij mi tu kodera i przenośny reaktor, ale migiem. – Zapatrzony w ścianę z litego helonu kapitan nie zwrócił uwagi na milczenie kadeta. W końcu jednak dotarło do niego, że Nike nie usłyszał rozkazu. – Co jest, do... – Odwracając się, zauważył, na czym spoczęły snopy światła reflektorów umieszczonych na skafandrze jego partnera.

Drzwi jednej z wind były niedomknięte. W szczelinie tkwił but próżniowego skafandra, wyraźnie widzieli podkowy elektromagnesów. – Nike? Słyszysz mnie, chłopcze?

Nadal nie było odpowiedzi. Kadet nawet się nie poruszył.

– Nike, klonia twoja mać! – ryknął dowódca i to poskutkowało.

– Tak, sir?

– Na co się tak gapisz? Trupa nie widziałeś?

– Nie, sir, nie widziałem...

– W takim razie inicjację masz już za sobą. – Morrisey podleciał pod drzwi, wsunął rękawicę w szczelinę i spróbował je otworzyć. Ani drgnęły. – Annataly, słyszysz mnie? – przeszedł na częstotliwość mostka. – Potrzebuję jeszcze drony remontowej.

Przez parę sekund nie było odzewu, lecz zanim kapitan zdążył się zniecierpliwic, nawigatorka odpowiedziała.

– Iarrey przebija się do jakichś pomieszczeń, skończy za pięć minut.

– Pięć minut, kurwirtual. – Kapitan nerwowo okręcił się i spojrzał na gródź. – Dobra, dawaj mi tu migiem kodera i reaktor. Mam też drzwiczki do otwarcia.

– Się robi. – Tym razem odpowiedź była błyskawiczna i krótka.

– A ty nie marnuj czasu i rusz dupsko. – Morrisey klepnął kadeta w ramię. – Sprawdź wzornikiem, czy nie ma ich tam więcej.

Nike niechętnie wykonał polecenie. Podleciał ostrożnie do szpary, by wsunąć teleskopową kamerę do walcowatej kabiny. Po chwili miał obraz. Człowiek, którego but widzieli, był w środku sam. Jego skafander wyglądał na nienaruszony, przynajmniej z wierzchu. Nike przekazał te informacje dowódcy. Zgodnie z oczekiwaniami został zignorowany. Pogwizdujący wesoło Morrisey rozkręcał właśnie obudowę panelu skanera przy zamku. Nike wrócił do obserwacji wnętrza windy. Mimo iż szkolono go do walki, obecność zwłok dosłownie na wyciągnięcie ręki sprawiła, że poczuł zimny dreszcz na plecach. W tej bitwie zginęło wielu ludzi, jednych wyssało z rozhermetyzowanych kadłubów, drudzy spłonęli żywcem albo wyparowali w eksplozjach reaktorów,

ale ten człowiek musiał umierać długo. Uwięziony we wraku żył, dopóki nie skończyło się powietrze w zbiornikach. Sześć, może nawet dziesięć godzin...

– I jak tam? – Głos Morriseya znów wystraszył zamyślonego Nike'a. – Pokaż no, co my tu mamy...

Kapitan przez chwilę sterował kamerą i nagle gwizdnął. Spojrzał w głąb korytarza, gdzie robot kodujący wpinał się do panelu grodzi. Masywny sześcian przenośnego reaktora plazmowego został już podłączony do gniazd zasilania. Wszystkie panele oświetleniowe w tej sekcji kadłuba rozjarzyły się przyjemnym blaskiem. Morrisey walnął ręką w przycisk przywołania windy, ale ta pozostała martwa. Mechanizm, który zamarł przed ponad stu laty, nie miał prawa zadziałać.

– Ann!... – Kapitan ryknął, jakby go coś ugryzło w tyłek. – Dawaj mi tu tę dronę!

– Ale Iarrey jeszcze...

– No i nie skończy. Niech sobie wytnie przejście pilniczkiem do paznokci Bourne'a. Mam tu coś bombowego i potrzebuję tej drony natychmiast!

– Się robi.

Nike patrzył zdziwiony na podenerwowanego dowódcę.

– Co pan tam zobaczył, sir? – zapytał w końcu.

– To jeden z oficerów sztabowych Tahomeya – odparł Morrisey i zaraz dodał:
– Gdybyś się uważniej przyjrzał, zobaczyłbyś, że spod ciała wystaje obudowa czegoś, co może być ostatnim holologiem *Odyna*. A to, mój drogi, rzecz warta na Ziemi niewyobrażalny majątek. I to ja ją wypatrzyłem, żeby nie było nieporozumień. – Dźgnął kadeta metalowym palcem w klatkę piersiową.

– Tak jest, sir!

Szyb windy, którym dotarli do tego korytarza, rozjaśnił się jasnosedynowym blaskiem. Masywna drona remontowa wyłoniła się z wnętrza i zamarła pół metra od nich. Morrisey wsunął do czytnika końcówkę programatora i wielki robot poruszył się znowu. Masywne szczypce zagłębiły się w szparę. Przez moment nic się nie działo, przynajmniej z pozoru. W próżni nie słychać dźwięków,

jednakże odpryski farby z owalnych drzwi uświadomiły obu mężczyznom, jak wielkie siły działają na metalową powierzchnię. Morrisey odciągnął kadeta w głąb korytarza, mimo że nadal nic się nie działo. Mechanizm albo zamarzał na sopol, albo coś jeszcze blokowało drzwi.

– Tniemy – zawyrokował kapitan i maszyna posłusznie wysunęła palnik.

Dwadzieścia sekund później niemal połowa metalowej płyty zamykającej dostęp do windy wisiała pod ścianą korytarza, a Morrisey przez wycięty otwór wyciągał zwłoki. Tryumfalny wyraz zniknął z jego twarzy, gdy zobaczył, co trzyma zabity.

– Szlag by go... – mruknął kapitan, rzucając prymitywnym elektronicznym notesem w stronę otwartej kabiny. – Pamiętniczek pana – spojrzał na plakietkę oficera – majora Visolaja, w dupę szarpanego niemoty, co do windy wsiąść nie umie. Co to za nazwisko w ogóle?

– Może jest coś wart. – Nike chwycił szybujący notes i podłączył go do swojego zasilacza, ale ekran pozostał martwy. – Dam radę odtworzyć zawartość na *Nomadzie*.

– A kogo obchodzi, co ten pajac sobie zapisywał? – prychnął zirytowany Morrisey.

– Może znajdę coś ciekawego...

– Rozbierz go – zakomenderował nagle kapitan.

– Słucham?

– Powiedziałem, żebyś rozebrał trupa. Zdejmij z niego skafander.

– Ale...

– Nie ma żadnego ale. Czas to pieniądz. Zabytkowy, nieuszkodzony skafander pójdzie na Ziemi za dobrą cenę.

– Nie mogę... – Nike poczuł przerażenie na myśl, że będzie musiał dotykać martwego człowieka. – Nie możemy go tak...

– Możemy – przerwał mu Morrisey. – Rusz się, bo jeszcze mamy mostek do sprawdzenia.

– Nie... Nie zrobię tego, sir!

– Zaczynasz mnie wkurwiać, kadecie. A kto mnie wkurwia, ten marnie kończy.

– Ja... ja po prostu nie mogę.

Zdawało się, że kapitan zaraz wybuchnie, ale zamiast tego podłączył się do drony, a gdy ta ruszyła z rozgrzewającymi się palnikami w kierunku grodzi, chwycił ciało za rękę i zaczął majstrować przy zamku hełmu.

– Powinniśmy mu urządzać pogrzeb według... – zaczął Nike.

– Nie ucz ojca dzieci robić – zgasił go kapitan. – Wyprawimy mu pogrzeb jak trzeba, ale najpierw za niego zapłaci.

W upiornym blasku fontann błyskawicznie stygnących iskier, które tryskały z rozpruwanej grodzi, dowódca sprawnie wyciągnął zasuszone zwłoki ze skafandra. Nike odwrócił wzrok, by nie patrzeć na twarz nieboszczyka, ale i tak kątem oka widział, co robi Morrisey. Kapitan rzucił kombinezon do kontenera drony transportowej i raz jeszcze pochylił się nad zabitym. Nie sięgnął jednak do szyi po nieśmiertelniki, tylko zaczął się mocować z ręką nieboszczyka. Ściągał mu pierścień akademicki.

– Nic nie mów! – warknął, spostrzegłszy wyraz twarzy kadeta. – Teraz jesteśmy z panem Visolajem kwita... – Wstał jakby nigdy nic, odrzucił kawałek odłamanego palca i obejrzał pierścień, przysuwając go do wizjera hełmu. – Prymusik, taki jak ty...

Nike nic nie powiedział. Nadal czuł pogardę dla przełożonego, lecz postanowił nie zaogniać sytuacji. Akademia uczyła też posłuszeństwa.

– O tak – mruknął kapitan, przyglądając się znów planom statku na holopadzie. – Jeśli to trafienie – wskazał na oznaczony czerwonym kolorem nieregularny wyłom przecinający pod ostrym kątem kadłub – nie rozhermetyzowało wszystkich pomieszczeń podpokładu dowodzenia, czeka na nas naprawdę wielka rzecz. Mostek, kabina Tahomeya... Wiesz, ile będzie warte jego prywatne archiwum?

Nike pokręcił głową wewnątrz obszernego hełmu, chociaż wątpił, czy rozmarzony Morrisey to zauważy.

- Chłopcze, mamy szansę na zdobycie fortuny, o jakiej nikomu się nie śniło.
- Czyli? – zapytał Nike raczej dla podtrzymania rozmowy niż z chęci poznania szczegółów. Bezczyenne stanie w rozświetlanym snopami iskier korytarzu martwego okrętu przyprawiało go o dreszcze. Zwłaszcza w towarzystwie zwłok majora Visolaja.
- Na Ziemi za dzienniki admirała zapłacą nie mniej niż...
- Tyle zdążył powiedzieć Morrisey, nim zagłuszył go głos Annataly.
- Kapitanie, mamy problem – powiedziała bezbarwnym jak zwykle tonem.
- Wyrażaj się precyzyjniej, Ann – warknął rozdrażniony dowódca.
- Mam na kursie kolizyjnym wrak rebelianckiej korwety.
- To zejdz jej z drogi albo potrenuj strzelanie do celu i nie zawracaj mi dupy takimi pierdołami! – rozłościł się Morrisey, nadal obserwując postępy prac przy cięciu grodzi.
- Sir... to kurs kolizyjny z wrakiem *Odyna*.
- Co?! – wrzasnął kapitan. Nawet przez zaparowany krystalit widać było, jak lśnią mu oczy. – Za pięć, sześć minut wejdziemy na mostek. Nie możesz rozwalić tego złomu? Zepchnij go chociaż z kursu o parę stopni...
- Obliczałam to już trzy razy. Nie ma szans – powiedziała nawigatorka. – To wybebeszona, ale prawie kompletna korweta klasy *Samuraj*. Dwieście pięćdziesiąt tysięcy ton pieprzonego helonowego złomu, i to całkiem solidnie rozpędzone...
- Zrób coś! – ryknął Morrisey. – Dam ci dodatkowe trzy... nie, czekaj, pięć procent!
- Macie osiem minut na wycofanie się w przestrzeń. – Głos Annataly był wciąż bezbarwny, jakby odpowiadała maszyna, a nie żywa istota.
- Rozkazuję ci... – zaczął kapitan.
- Siedem minut pięćdziesiąt pięć sekund.
- Do kurwirtualnej nędzy! Jesteśmy tak blisko celu!
- Siedem minut pięćdziesiąt sekund do zderzenia.
- Dlaczego, dziwko, wcześniej o tym nie poinformowałaś?! – ryknął

Morrisey.

– Dlatego, że obiekt wszedł na kurs kolizyjny dosłownie dwie minuty temu, po zderzeniu z jakąś w dupę rżniętą asteroidą, która na moich oczach zmieniła się w obłok pyłu, ty dumny fiucie! – Ta odpowiedź z *Nomady* była znacznie bardziej emocjonalna. – Drugi zespół już się wycofuje, sir.

– Daj mi pięć pieprzonych minut, tylko pięć minut i będziemy na mostku!

– W trzy minuty nie zdążysz go przeszukać, a potem i tak będzie za późno, żebyś mógł na starość skonsumować to, co uzbierałeś na koncie. Tym razem nie skończy się na jednej ręce...

Zaniepokojony Nike podszedł do dowódcy i położył mu dłoń na opancerzonym barku.

– Wrócimy tu po zderzeniu – powiedział. – Może da się...

– Gówna prawda! – warknął Morrisey. – Wiesz, co uderzenie ćwierć miliona ton zrobi z tym wrakiem?

– Może niewiele – odparł spokojnie Nike. – Zależy, jak szybko leci i pod jakim kątem.

– Jak znam Ann, ta cholerna korweta leci kurewsko szybko – wymamrotał kapitan, spoglądając na rękawicę, która kryła jego protezę. – Inaczej nie robiłaby takiego rabanu.

– Zajebicie kurewsko szybko, a nawet szybciej – weszła mu w słowo podporucznik. – Zderzenie najprawdopodobniej zniszczy oba wraki. W najlepszym razie resztki zostaną wypchnięte poza strefę, ale i tak niemal natychmiast dostaną się w atmosferę Deltę. Zabierajcie stamtąd dupy, póki jest szansa na przeżycie. Sześć minut dwadzieścia sekund.

Morrisey splunął – najzwyczajniej w świecie splunął – na wewnętrzną powierzchnię kryształowego hełmu, po czym wprowadził sekwencję przerywającą pracę robota. A potem... kopnął z całej siły zamrożone ciało majora.

– To przez ciebie, skurwikloni zewłoku. Przez ciebie...

Nike nie wiedział przez moment, co robić – polecieć za szybującym w głąb

korytarza martwym żołnierzem czy pomagać w rozłączaniu robotów. Morrisey rozwiązał ten dylemat, wciągając go na dronę remontową, która już ruszała w kierunku windy. Uchwycili się jej ramion i po chwili mknęli łukowato sklepieniami korytarzami w kierunku najbliższej wyrwy. Kadet ściszył komunikator, by nie słyszeć wielopiętrowych przekleństw dowódcy opisujących spisek martwego majora, niezdarnej załogi i wszystkich bogów, jakich znał świat.

Wyszli w przestrzeń na półtorej minuty przed zderzeniem obu kolosów. Morrisey, klnąc nadal przez zaciśnięte szczęki, nie odwrócił się nawet, by popatrzeć na to niewiarygodne zjawisko. Nike wręcz przeciwnie, nie mógł oderwać od niego oczu.

SZEŚĆ

– Dlaczego systemy nie przewidziały wcześniej możliwości tej kolizji?! – Od katastrofy upłynęła prawie godzina, ale kapitan nadal nie mógł się uspokoić.

– A jak można obliczyć z dużym wyprzedzeniem wypadkową wzajemnych oddziaływań miliona elementów? – powtórzył chyba pięćdziesiąty raz Iarrey. – Analizowałem dane z ostatnich minut wiele razy. Nie mogliśmy tego przewidzieć w żaden sposób. To był ciąg kolizji zapoczątkowany, uśmiejecie się, wejściem *Nomady* na skraj wrakowiska. Szczątki odepchnięte przez pola deflektorów zainicjowały proces, który skończył się tym... – wskazał na nędzne resztki dwóch dumnych niegdyś przestrzennych okrętów.

Morrisey spojrzał na niego z wyrzutem. Nic nie powiedział, ale sam wzrok wystarczył, żeby Iarrey zamilkł. Na ekranie wciąż widzieli wirujący obłok pyłu, w którym zniknęły pozostałości obu wraków, a wraz z nimi nadzieje na odnalezienie najcenniejszych ruchomości admirala Tahomeya. Przedmiotów, które każdemu z członków załogi zapewniłyby dostatnie życie przez wiele lat...

– I tak mamy sporo łupów w ładowni – mruknął Bourne.

– Raczej kupę gówna!

– Kupę wartego majątek antycznego gówna – poprawiła dowódcę Annataly. – Jeszcze nigdy się tak nie obłowiliśmy. Sam tak powiedziałeś przed zderzeniem.

Kapitan spojrzał na nią ze złością.

– Wiesz, co mogliśmy znaleźć w kajucie Tahomeya?

Pokręciła głową.

– Za jego dziennik pewni ludzie zapłaciliby równowartość tego statku... albo i więcej.

– Trzeba było zacząć szaber od mostka – przygadała mu nawigatorka.

– Nie wkurwiał mnie, Annatally! – ryknął kapitan, opadając na fotel. – Rozpoczęcie od mostka to jak... jak zaczynanie obiadu od deseru.

Nike uśmiechnął się pod nosem. Annatally miała rację: stary sam był sobie winien. Gdyby z taką pasją nie okradał zabitych...

– Pech, zwykły pech – rzekł pojednawczo Iarrey, na wszelki wypadek przechodząc za najbliższą konsolę. – Nie mogliśmy nic na to poradzić, sir. Siła wyższa.

– Jaka tam siła wyższa... – Kapitan pokręcił głową i nagle roześmiał się nerwowo. – Nie wiecie, kto tu, kurwirtual, jest Bogiem?

– Pan, sir – mruknęła Davidoff-Rozerer.

– Zgadza się – potwierdził Iarrey.

– Nie bluźnij, Henrichard – obruszył się milczący do tej pory ojciec Pedroberto, którego Bourne obudził już po zderzeniu. – Róbnmy, co do nas należy, i cieszymy się tym, co mamy. Co się stało, to się nie odstanie, jak mówi Pismo, a okazji do zarobku będzie jeszcze wiele. Ważne, że wszyscy są cali i zdrowi.

Morrisey odwrócił się od ekranu, na którym kolejne szczątki pancernika i korwety zaczynały płonąć w górnych warstwach atmosfery czwartej planety Systemu V3a13. Wyglądał jak dziecko, któremu ktoś właśnie powiedział, że nie dostanie zabawki wypatrzonej w ofercie holonetu.

– Amen – mruknął, zaciskając kurczowo zarówno zdrową rękę, jak i protezę.

Nike przyglądał mu się z odrazą, ale i z ciekawością. Ten człowiek stanowił dla niego zagadkę. Teraz także – w ciągu zaledwie kilku sekund – zmienił się na jego oczach ze zrozpaczonego starego człowieka w pełnego wigoru oficera.

– Zabierajcie się do roboty! – ryknął, puszczając poręcz. Ta po prawej była wyraźnie odkształcona; chyba nie po raz pierwszy miała styczność z metalowymi palcami Morriseya. – Posprzątać mi ten bajzel, zanim do reszty

się rozlezie.

– Kolapsary ustawione i gotowe do odpalenia – zameldował uśmiechnięty Iarrey, puszczając oko do Annatally. – Według moich obliczeń dwa średniej mocy powinny wystarczyć do skupienia całego śmiecia z dołka. Wprowadziłem już koordynaty.

Morrisey wyprostował się w fotelu i szybko przejrzał dane przepływające przez ekrany wirtualnych monitorów.

– Wykonać! – rzucił zwięzły rozkaz i zebrani w sterowni wiedzieli już, że mają przed sobą dawnego dowódcę. Chimerycznego, ale twardo stąpającego po ziemi. Nawet Nike musiał przyznać, że facet ma charyzmę, choć skurwysyństwa, czy raczej skurwykłoństwa, też mu nie brakowało.

Odcumowaniu kolapsarów towarzyszyły wyczuwalne wstrząsy. *Nomada* miała ich na stanie osiem. Dwa małe, cztery średnie i dwa o największej mocy. Nike niewiele wiedział o tych niezwykle wydajnych, a zarazem prostych urządzeniach, które poza Korpusem Utylizacyjnym nie znajdowały szerszego zastosowania. Pierwotnie element obrony orbitalnej, służyły obecnie tylko do jednego: umieszczone w pobliżu kosmicznych śmietnisk przyciągały każdą drobinę materii jak magnes, czy też czarna dziura – bo kolapsar to raczej pułapka grawitacyjna niż magnetyczna. Chwytały wszystko, od kosmicznego pyłu po najpotężniejsze asteroidy i wraki antycznych pancerników. A gdy czujniki kolapsara zarejestrowały zatrzymanie przyrostu masy, w ciągu milionowej części sekundy urządzenie zamieniało otaczające je kosmiczne śmieci w nieszkodliwy obłok radioaktywnego gazu bądź – jeśli eksplozja mogła zagrozić życiu na pobliskiej planecie – wyruszało z nimi w drogę ku najbliższej gwiazdzie. Średni kolapsar mógł utrzymać w swoim polu grawitacyjnym masę stu gigaton. Duży przyciągał kilka teraton, tyle że dużych nie używano w pobliżu nadających się do zamieszkania planet. Służyły do likwidowania ze sporym wyprzedzeniem większych rojów asteroid zbliżających się do zaludnionych systemów. Właśnie w tej chwili dwa „średniaki” pojawiły się na ekranach *Nomady*. Jeszcze kilkanaście minut i wokół nich zaczną się tworzyć

miniaturowe modele spiralnych galaktyk, w których miejsce pojedynczych gwiazd zajmą drobiny kosmicznego pyłu, a mgławicami staną się fragmenty wraków.

Zafascynowany tym widokiem Nike skupił całą uwagę na jednej ze złotych piramid, wokół której już zaczynały się gromadzić mniejsze odłamki. Nie trwało to wszakże długo. Obraz nagle zamigotał i tam, gdzie przed chwilą był wirujący obłok szczątków, pokazała się czysta przestrzeń i wisząca w sporym oddaleniu martwa planeta.

– ...to, kurwirtual, ma być? – Wracając między żywych, usłyszał końcówkę zdania wysyczanego przez Morriseya.

– Dokonałem rutynowego sprawdzenia danych z pozostałych dołków w tym systemie – wytłumaczył spokojnie Iarrey. – Nad Thetą sondy wykryły drugie skupisko wraków.

– Jakich znowu wraków? – pieklił się kapitan. – Ten fraktalem pierdolony kawał zamrożonej skały jest miliardy kilometrów od centralnej gwiazdy systemu. O Thetę nikt nie walczył, bo i po co. Tu się bili, o jedyny pieprzony punkt tranzytowy w sektorze. Ani w naszych archiwach, ani w archiwach Kolonii Zewnętrznych nie ma żadnych zapisów na temat aktywności bojowej w tamtym rejonie.

– Wiem, sir, sam przygotowywałem dla pana raporty, ale te odczyty nie kłamią. – Pierwszy najwyraźniej wcale się nie przejął wybuchem kapitana ani jego wzmianką o archiwach admiralicji. – Sondy zlokalizowały w dołku ósmej planety ponad siedemnaście milionów ton śmiecia.

– Pewnie jakieś zasrane pole asteroid... – Morrisey pogardliwie wyduł wargi.

– Dopiero zbieram odczyty, ale wstępne dane świadczą o bardzo dużej zawartości metali – nie dawał za wygraną Iarrey.

– A słyszałeś kiedyś, ćwoku, o rudach kopalnych? – Dowódca oklapł w fotelu i splunął na podłogę. – Może to jakiś rozpiardolony przez asteroidę żelazny księżyc Thety.

– Sprawdziłam, sir – wtrąciła się Annataly. – Schemat układu planetarnego

pasuje w stu procentach do danych z okresu jego zarejestrowania.

– Kochanie, może nie zarejestrowałaś tego swoim ptasim mózdzkiem, ale ten rżnięty w dupę Big Bangiem wszechświat jest pierdyliard razy starszy niż nasze atlasy – jęknął Morrisey. – Bitwa, w której obie strony straciłyby taki tonaż, musiałaby się odbić szerokim echem w całej znanej przestrzeni kosmicznej. Na mój gust to zwykłe ferrytowe asteroidy krążące po orbicie jakiegoś niewydarzonego skurwykłoństwa, które udaje planetę...

Liczba przekleństw w jednym zdaniu wskazywała na rosnącą irytację Morriseya. Chociaż więc wreszcie przerwał, nikt nie chciał podjąć tematu... przynajmniej przez parę minut.

– Ma pan rację, sir – odezwała się w końcu rozpalona do białości nawigatorka. – Ale i tak musimy tu tkwić, dopóki oba kolapsary nie odwalą roboty.

– A to zajmie – Jarrey dokonał obliczeń – dwieście siedemdziesiąt dwie godziny standardowe, jeśli za moment zakończenia operacji uznamy wprowadzenie zebranej masy na kurs terminalny, lub dwieście trzydzieści sześć godzin, jeśli zdecydujemy się na dezintegrację.

– Możemy zostawić numery albo kilka sond wizyjnych do nadzorowania procesu – poparła go podporucznik. – Zdążymy dolecieć na orbitę Thety, zanim nastąpi aktywacja ładunków.

– Nie możemy rozpieprzyć tego gówna nad Deltą – wtrącił Nike. – Zgodnie z wytycznymi sztabu ta planeta jest przewidziana do ponownego zasiedlenia.

– Cóż, wygląda na to, że mamy dwanaście dni standardowych na leniuchowanie – wtrąciła Annataly. – Dwanaście dni nudy, hibernacji albo sprawdzania tamtego dołka.

Morrisey prychnął.

– Nie będziemy uganiać się po całym systemie za jakimiś mrzonkami.

– A jeśli znajdziemy tam coś wartościowego? – zapytała z przymilnym uśmiechem. – Coś, co zrekompensuje nam porażkę z *Odyna*?

Kapitan wbił wzrok w centralny ekran, jakby z tak dużej odległości mógł

cokolwiek wypatrzeć.

– Nie ma takiej rzeczy, która zrekompensuje mi utratę szansy na znalezienie dziennika Tahomeya – powiedział po chwili. – Możesz mi, dzióbku, wierzyć, że w tej części znanego kosmosu nigdy nie było niczego cenniejszego, przynajmniej z naszego punktu widzenia. Ale zgoda, skoro poprawi wam to humor, polecimy na Thetę. Stachursky, siądziesz do archiwum i sprawdzisz raz jeszcze wszystkie, ale to wszystkie zapiski na temat historii tego systemu. Zwłaszcza zachowane rejestry astrofizyczne. Nie pominiesz też prywatnych listów służących tu przed wojną ludzi. Bourne, ty zajmiesz się opracowaniem danych dołka Thety. Zanim dolecimy na jej orbitę, chcę mieć kompletne raporty na terminalu... – Urwał i zmierzył wszystkich ponurym wzrokiem. – Wiem, że tylko marnujemy czas, dlatego ustalmy jeszcze jedno: jeśli nie znajdziemy tam nic ciekawego, wszyscy macie z głowy po trzy procent udziałów z tej wyprawy.

– A jeśli znajdziemy? – zapytał niespodziewanie dla wszystkich Nike.

SIEDEM

Dotarcie na peryferie systemu trwało nieco dłużej, niż zakładała Annataly. Po dwustu godzinach standardowych minęli dopiero orbitę Dzety. Kapitan Morrisey coraz rzadziej odwiedzał sterownię. Zajął się tym, co lubił najbardziej. Wraz z Iarreyem i kapelanem rozpoczął katalogowanie zdobyczy. Dwa dni później pierwszy oficer potwierdził – co prawda tylko nieoficjalnie – że już wstępne oszacowanie wartości znalezionych we wraku przedmiotów pozwala sądzić, iż zdobyli na pokładzie *Odyna* ogromną fortunę. Suma, którą wymienił półgłosem w mesie, oszołomiła Nike’a. Gdy konfidencjonalny szept dotarł do jego uszu, omal nie zadławił się papką mięsna. Na reszcie nie zrobiło to aż tak wielkiego wrażenia. Zostawił ich więc w świetnych humorach i ruszył do swojej kabiny z kolejną porcją danych do analizy i zapakowaną próżniowo kolacją. Mieszkał na dolnym pokładzie, tam gdzie pozostali kadeci, z tym że przydzielono mu kajutę w centralnym sektorze, z dala od wciąż uśpionych numerów, jak sam zaczął określać niedawnych towarzyszy niedoli.

Na pokładzie *Nomady* wszystko kręciło się wokół pieniędzy i antyków. Nike nigdy wcześniej nie interesował się starociami. W jego domu nie było niczego, co wiązałoby się z odległą przeszłością, żadnych portretów przodków, pamiątek sprzed wojny. Jak większość obecnych mieszkańców planety matki, przodkowie Nike’a pochodzili z odległych sektorów i w uznaniu zasług zostali przeniesieni tuż po wojnie do wyludnionego serca cywilizacji. On sam jednak spędził wczesną młodość z dala od Ziemi, na planetoidach, gdzie jego ojciec pracował w zarządzie kompanii wydobywczej. Tam żyło się terazniejszością. Górnicy,

pochoǳący przeważnie z najbiedniejszych sektorów, w których nikt nie kultywował tradycji, rzadko znali opowieści o wydarzeniach poprzedzających ich narodzenie. Wiele czasu spędził między ludźmi twardymi jak skały, które kruszyli. Wiele razy przeglądał zawartość kontenerów osobistych, zanim trafiły one do spalarki tuż za zwłokami ich właścicieli. Prócz kilku starych hologramów, w większości nieruchomych hologramów przedstawiających bliskich albo rodzinne strony, nie znalazł nigdy niczego wartościowego. Zastanawiał się więc często, dlaczego ci ludzie nie zostawiają po sobie cennych rzeczy. Przecież nie zarabiali najgorzej... Nie wierzył, że – jak mówiono – górnicy dzielą się dobytkiem zabitego bądź zmarłego kolegi, a do kontenera trafiają tylko bezużyteczne rupiecie. Teraz jednak takie rozwiązanie wydało mu się bardziej niż prawdopodobne. I może nawet na swój sposób słuszne, chociaż nadal nie akceptował takiego postępowania.

Po otrzymaniu rozkazu Nike zagłębił się w archiwa i nie pokazywał we wspólnej części okrętu poza porami posiłków i rzadkimi odprawami. Wybrał zacisze swojej kabiny, gdzie mógł spokojnie wertować kolejne wirtualne tomy akt. Była to wszakże bezowocna praca. Deltę zasiedlono pięć lat przed wybuchem wojny, i to tylko ze względu na idealną lokalizację stacji tranzytowej, której budowa stała się koniecznością po rozpoczęciu kolonizacji nowego sektora Galaktyki. Systemu V3a13 nie przebadano dokładnie, jeśli nie liczyć wąskiego pasa ekosfery obejmującej zaledwie dwie planety kategorii szóstej. Nie nadano im nawet zwyczajowych nazw, pozostając przy numerach katalogowych z atlasu astrofizycznego. Na peryferie i do pasa wewnętrznego wysłano wprawdzie kilka sond, ale przed wybuchem wojny nie zdążyły one przekazać wielu danych. Archiwa admiralicji zawierały informacje potwierdzające istnienie Thety, najdalszej planety systemu, lecz praktycznie biorąc, Nike nie znalazł wśród nich niczego poza wyliczoną orbitą i szacunkową masą. Żadnych raportów szczegółowych, żadnych uwag. Parę miesięcy po wpisaniu tej planety, czy może raczej planetoidy, do rejestru centralnego dalsza penetracja Systemu V3a13 przestała mieć znaczenie dla obu stron konfliktu.

Przekopywanie się przez terabajty prywatnej korespondencji załogi stacji tranzytowej, nawet za pośrednictwem najdoskonalszych wyszukiwarek, również nie przyniosło rezultatów. Zatrudnieni na niej ludzie bardziej interesowali się losami odległych światów, z których pochodzili, niż najbliższym otoczeniem. Rzadko wspominali o niezbyt gościnnej Delcie, a co dopiero o najodleglejszych zakątkach systemu.

Gdy Nike spojrzął na zegar, było już dobrze po północy czasu pokładowego. Zasiedział się nad dokumentami. Oczy go piekły, powieki same mu się zamykały. Nie potrafił się skupić na treści kolejnych wyławianych przez system listów, notatek, raportów... Odłożył więc czytnik na stos innych urządzeń, zgasił światło i wyciągnął się wygodnie na koi. Zanim zasnął, ujrzał znów kamienną ścianę i wąski wykusz, a za nim niebo i smoki baraszkujące wśród chmur...

– Posuń się...

Nie zareagował. Nigdy nie reagował na pierwsze prowokacje Monicatherine.

– No, posuńże się...

Tym razem słowom towarzyszyło lekkie szturchnięcie. Posłusznie odwrócił się na bok. Usłyszał szmer pościeli, a po chwili poczuł delikatny dotyk jej palców, które przesuwają się po udzie, drażniąc każdy włos. Znajome ciepło rozlało się po nogach i plecach, tam gdzie ich ciała przylegały najściślej. Znajome ciepło, za którym tak tęsknił, i ten niepowtarzalny zapach rozgrzanej skóry...

Zerwał się, sięgając do kontaktu. Zaskoczona jego gwałtowną reakcją Annatały spadła z wąskiej koi mimo okalającej poręczy i wylądowała na podłodze. Nike usłyszał jej zduszony jęk.

– Co robisz, idioto?! – syknęła chwilę później, starając się równocześnie rozetrzeć stłuczony łokieć i zasłonić oczy przed ustawionym na maksimum oświetleniem kabiny. – Zgaś to cholerne światło!

Nie zareagował. Patrzył na nią z szeroko otwartymi ustami. Siedziała na środku podłogi całkiem naga, teraz dla odmiany ssąc skaleczony palec. W ostrym świetle subksenonowym widział ją wyraźnie. Mimo sześćdziesięciu

paru lat standardowych udało jej się zachować dziewczęcą sylwetkę. Mocne wcięcie w pasie, szczupłe długie nogi, płaski brzuch i całkiem spory, ale wciąż jędrny biust. Wszystko, co atrakcyjnej kobiecie jest potrzebne, by przyciągnąć uwagę mężczyzny. Może tylko była nieco zbyt umięśniona – pod skórą nie miała tej warstewki tłuszczu, która sprawiała, że ciało Moni wydawało się takie...

– Napatrzyłeś się już, wierzgający Romeo? – zapytała szeptem, przestając na moment ssać stłuczony palec wskazujący.

– Co ty tu robisz? – odpowiedział pytaniem na pytanie.

– A jak sądzisz? – Roześmiała się najciszej, jak potrafiła. – Sprawdzam, czy nie warto zboczyć nieco z kursu...

– Nie ma szans. – Nike usiadł w kącie koi i podciągnął nogi. – Lepiej się ubieraj i znikaj, zanim stary zacznie cię szukać.

Nawigatorka wstała, ale nie sięgnęła po luźną koszulę, która jak zauważył Nike, leżała przy drzwiach.

– Nie masz ochoty dowiedzieć się, dlaczego Morriseyowi tak bardzo na mnie zależy? – zapytała i przeciągnęła się zmysłowo.

Za zmysłowo...

Z trudem oderwał od niej wzrok... zwłaszcza że w prześwicie między górną koją a poręczą widział teraz tylko tę część jej ciała, która najbardziej pobudza wyobraźnię mężczyzn.

– To, na co mam ochotę, niespecjalnie się liczy... – powiedział ostrożnie i oblizał wargi, czego na szczęście nie mogła zobaczyć.

– Nie przestraszyłeś się chyba Henricharda? – zapytała, pochylając się tak, by widzieć jego twarz.

On z kolei spoglądał na jej piersi kołyszące się teraz na wyciągnięcie ręki.

– Skądże znowu. To przecież dobrotliwy staruszek, co on może mi zrobić... – Nike zachichotał. – Dlaczego w takim razie sama szepczesz?

Wyraz rozbawienia zniknął z jej twarzy. Gdyby spojrzenie mogło zabijać...

– Drugiej szansy nie będziesz miał – syknęła, lecz nie ruszyła się nawet o milimetr.

Mógłby przysiąc, że jej równo przystrzyżone włosy łonowe są równie czarne jak te na głowie. Je także miał na wyciągnięcie ręki...

– Może to i lepiej... – powiedział. – Przyzwyczailem się do tego popieprzonego świata i nie zamierzam się z nim żegnać, zwłaszcza że od niedawna jestem całkiem bogaty.

Teraz zareagowała właściwie. Schyliła się po koszulę, włożyła ją, a potem sięgnęła po leżące obok koi majtki. Nike z rozbawieniem zauważył, że nie jest to regulaminowa bielizna floty.

– Nie rozumiem cię – powiedziała, zapinając dwa górne guziki koszuli. – Wolisz tę maszynkę? – Wskazała ruchem głowy kabinowy fantomator.

– Nie, prawdę mówiąc, wolę kobiety z krwi i kości – odparł z zagadkowym uśmiechem. Pewnie by się zdziwiła, gdyby wiedziała, jak wygląda fantom najczęściej implantowany do tego urządzenia. – W innych okolicznościach, w innym czasie, to pewnie ja byłbym twoim gościem...

– W innych okolicznościach? Liczysz na to, że twoja gołąbeczka na ciebie zaczeka? – Jak każda kobieta uderzała tak, żeby zabołało. Nie trafiła jednak. Totalne pudło.

– Nie, na to akurat nie liczę – odpowiedział ze wzruszeniem ramion. – Na pewno już nie budzi się sama. Kto by czekał na... śmieciarza.

– Dlaczego więc nie skorzystasz z szansy na prawdziwą przygodę? – Zabrzmiało to szczerze. Bo sutki mimo wszystko mogły jej stwardnieć od chłodu panującego w kabinie.

– Dlatego, że to bilet w jedną stronę – rzucił z rezygnacją. – Raz już sięgnąłem po owoc zakazany...

– I to cię czegoś nauczyło? – W tym pytaniu więcej było sarkazmu niż ciekawości.

– Owszem – odparł, pokazując jej głową wyjście.

Nie patrzył za nią, gdy wychodziła. Dopiero syk zasuwanych drzwi powiedział mu, że został sam. Siedział jeszcze przez moment w pozycji, w której dla lepszego efektu zastygł, po czym zdecydowanym ruchem zeskoczył

na podłogę. Podeszedł do drzwi i z wahaniem położył dłoń na panelu zamka.

Na korytarzu było znacznie jaśniej, musiał zmrużyć oczy. Ale i tak niemal od razu ją zobaczył. Stała podparta pod boki i uśmiechała się tryumfująco.

– Nasz pan i władca topi teraz swoje żale po utraconych skarbach w takich ilościach bimbrow, że strach zapalić przy nim zapalkę... – szepnęła, podnosząc prawą dłoń tak, by widział koronkowe majtki, którymi obracała na palcu wskazującym.

– Annata... – zaczął.

– Mów mi Smiley.

Nie odpowiedział. Po prostu wciągnął ją bezceremonialnie do kabiny, zamykając usta pocałunkiem.

* * *

Nike otworzył oczy i przesunął ręką po odkrytym prześcieradle. Jego palce napotkały pustkę. Nie było żadnego wgniecenia na poduszce, żadnego ciepła bijącego od materiału. Wciągnął nosem powietrze, ale nie wyczuł najmniejszego śladu obcego zapachu. Kabina była sterylna, jak co dzień.

– Hmm... – mruknął, przerzucając nogi przez krawędź koi.

Pobieżna lustracja skromnego wnętrza także nie wskazywała na niedawną obecność Annataly.

Zeskoczył na podłogę i przeciągnął się. Szlag by to! Gdyby każdej nocy miał takie piękne sny... Ruszył w stronę części sanitarnej, przecierając zaspane oczy. Czas wracać do rzeczywistości. Do przeglądania kolejnych listów i raportów, terabajtów tekstów o niczym. Puścił wodę i przemył twarz, a następnie podniósł spojrzenie na lustro, by raz jeszcze zobaczyć szary pysk faceta, który dosłownie przepieprzył sobie... Uśmiechnął się nieoczekiwanie. Karminowy odcisk pełnych warg na samym środku wypolerowanej tafli kryształu nie pozostawiał wątpliwości co do wydarzeń ostatniej nocy.

– A niech cię... – Roztarł odbicie ust Annataly mokrą ręką, a potem dla

pewności poprawił kawałkiem papieru.

Lepiej, żeby nie pozostał tu po niej żaden ślad. Wprawdzie dotąd się nie zdarzyło, by Morrisey zahaczył o jego kabinę, ale strzyżonego Bozia strzyże, jak mawiał w akademii Carre-Four, kretyn pełną gębą, choć czasem i jemu zdarzało się powiedzieć coś mądrego.

* * *

Nike wrócił do kabiny po szybkim wypadzie na śniadanie. Rzucił się na koję, sięgnął na ślepo po naczolnik i wsunął do komory odczytu kolejny kryształ wyjęty z przenośnych rejestratorów. Nic ciekawego. Chwycił inne urządzenie leżące na stosie. Zdziwił się, nie wyczuwszy charakterystycznego wgłębienia w jego dolnej części. Moment później zrozumiał, że trzyma wysłużony notatnik majora Visolaja. Zdjął naczolnik, obrócił zabytkowe urządzenie w palcach, jakby się wahał, a potem zdecydowanym ruchem podłączył je do służbowego czytnika. Przez chwilę nic się nie działo. Notatnik, pozbawiony przez ponad sto lat zasilania, był martwy. Nike nie zdziwił się specjalnie – zapisy na kryształach powinny przetrwać, ale elektronika miała prawo sfiksować po tak długim czasie, mimo że był to standardowy sprzęt wojskowy, podobno niezniszczalny...

Nagle rozległo się ciche brzęczenie i trójwymiarowy wyświetlacz rozjarzył się na ułamek sekundy. Nie pojawił się na nim jednak żaden obraz. To był tylko błysk, po którym urządzenie ponownie zmatowiało na parę długich chwil. Nike przyglądał się z rosnącą fascynacją, jak kolejne diody na obudowie ożywają. Pół minuty później miał już przed sobą śnieżący lekko widok wirtualnej klawiatury i drgające nieustannie okienko do wpisania hasła. Zabezpieczenia były proste. Przed stoma laty takie kody wydawały się nie do złamania, dzisiaj pierwszy lepszy komputer radził sobie z nimi w kwadrans. A *Nomady* nie wyposażono w pierwszy lepszy sprzęt, tylko w najbardziej wydajne kwantowe potwory. Rdzeń pomocniczy, z którego korzystał Nike, złamał zabezpieczenie starego notatnika w niespełna pół minuty.

Na kryształach urządzenia znajdowało się ponad trzydzieści terabajtów danych. Większość stanowiły kopie wiadomości wysyłanych przez majora do rodziny i odpowiedzi na nie. Tę część plików Nike pominął, podobnie jak masę prywatnych zdjęć, i od razu przeszedł do sektora pamięci, w którym Visolaj gromadził pliki tekstowe. Tych także było sporo, ale tylko jeden wzbudził większe zainteresowanie kadeta. Głównie za sprawą szyfru użytego do jego ochrony. Kolejne dwanaście sekund trwało zdjęcie dawnych zabezpieczeń. Potem na holograficznym wyświetlaczu urządzenia pojawił się folder oznaczony długim ciągiem cyfr. W jego wnętrzu Nike znalazł dwa pliki. Jeden bardzo lekki, drugi kilkadziesiąt razy cięższy.

Otworzył najpierw ten pierwszy i aż zagwizdał pod nosem, gdy przebiegł wzrokiem kilka linijek tekstu. Wszystko wskazywało na to, że Morrisey mylił się, i to bardzo.

Nike zamknął notkę majora i zamarł z palcem nad drugą ikonką. Nie wahał się jednak długo.

– Pieprzyć Thetę – mruknął, przeciągając na pole wyświetlacza plik zatytułowany *Kuźnia*.

* * *

Kilka godzin później Nike w milczeniu wpatrywał się w ostatnie zdanie relacji majora. Wszystkiego mógł się spodziewać po dawno zmarłym oficerze, ale na pewno nie tego, że wybawi go on od Dredda.

OSIEM

Theta okazała się nieregularną bryłą martwej skały o masie dwudziestokrotnie mniejszej od Ziemi. Okrążała macierzystą gwiazdę w takiej odległości, że z trudem można ją było odróżnić od konstelacji widocznych w tym sektorze przestrzeni.

Morrissey słuchał kolejnych raportów, spoglądając przekrwionymi oczami na planetę i swoim zwyczajem nieustannie żując. Sondy poszły godzinę wcześniej i za moment mieli otrzymać bezpośredni przekaz z dołka. Nike pierwszy złożył meldunek. W ciągu kilku dni pracy odkrył tylko tyle, że skupisko istniało już w chwili zasiedlania systemu. Analiza danych z jedynej sondy, jaka dotarła na orbitę Thety przed zniszczeniem stacji tranzytowej, wskazywała na istnienie w dołku śmietnika o masie podobnej do wrakowiska na Delcie. Przed stuleciem nikt nie zajął się analizą tych danych, potem utonęły one w terabajtach innych informacji i najzwyczajniej w świecie zapomniano o nich.

– Mówiłem, że to strata czasu – burknął kapitan, ledwie pierwszy oficer rozpoczął prezentację dostępnych danych. – Za kilka minut zobaczycie na własne oczy, że to pozostałości jakiegoś pieprzonego kawałka skały napakowanej rudą żelaza.

– Nie wydaje mi się – powiedział jak zwykle spokojny Iarrey.

– Doprawdy? – Rozbawienie przemknęło przez twarz Morriseya.

– Porównywałem dane z analogicznymi kilkuset rojów asteroid, w tym najbardziej wydajnych złóż kopalnych, jakie znamy...

– I cóż takiego pan odkrył, panie pierwszy? – zainteresował się dowódca.

– Zawartość pierwiastków rzadkich i ciężkich w tym miejscu jest co najmniej dziesięciokrotnie wyższa niż w wypadku najbardziej nasyconych złóż, sir.

Morrisey odwrócił się. Z jego miny można było wywnioskować, że nawet stukrotne przebicie nie miałyoby dla niego znaczenia.

– Z całym szacunkiem, panie Iarrey, ale jeśli nawet mamy do czynienia z asteroidami złożonymi z rud metali w najczystszej formie, to i tak jest tego tysiąc razy za mało. Jaka kompania zbuduje tutaj całą infrastrukturę wydobywczą dla znikomej ilości surowców?

– Ja nie mówiłem, że to...

– Mam obraz – przerwała im Annataly i sterownia natychmiast pogrążyła się w ciemności.

Najpierw dostali panoramę całego dołka. Plastikzne odzwierciedlenie otaczającej ich przestrzeni wypełniały miliony niewielkich, trudnych do zidentyfikowania odłamków krążących wokół ogromnej nieregularnej bryły, która bardziej przypominała pokryty liszajami porostów kamień niż asteroidę.

– Mówiłem, że to pozostałości po jakimś zderzeniu – mruknął Morrisey. – Daj zbliżenie na skraj, Ann. Wybierz jeden kamyk i powiększ go na maksa.

– Się robi.

Sekundę później kamery kilku sond zogniskowały obiektywy na wybranym celu.

– W dupę klona... – Chyba wszyscy powiedzieli to jednocześnie.

Na ekranie wirował fragment jakiejś konstrukcji. Co do tego nie było dwóch zdań. Mimo potwornych zniekształceń nadal dało się rozróżnić kilka charakterystycznych elementów. Natura nie wytwarza wewnątrz kamieni wsporników, przewodów i rur...

– Weź zamiar na coś innego – poprosił po chwili kapitan.

Obejrzeni jeszcze z dziesięć obrazów – tylko jeden przedstawiał najzwyklejszy kawał skały. Pozostałe w mniejszym bądź większym stopniu zdradzały sztuczne pochodzenie oglądanych elementów.

– Czas na tatusia! – powiedział nagle ożywiony Morrisey. – Sprawdźmy, kto

siedzi w samym środku tej pajęczynki.

Kamery przełączyły się natychmiast na następny cel. Ogromna nieregularna bryła wypełniła czołowy ekran. Obracała się powoli wzdłuż pionowej osi zgodnie z kierunkiem ruchu wszystkich drobin, które ją otaczały. Po widoku ogólnym przeszli do zbliżeń konkretnych fragmentów, ale tu czekało ich rozczarowanie. Powierzchnia obiektu była wszędzie taka sama. Przypominała skórę prehistorycznego gada. Morze niekończących się pęcherzyków pokrywało każdą krzywiznę z wyjątkiem sześciu wypukłych kręgów rozmieszczonych równomiernie na całej powierzchni.

– Nieco dziwny, ale chyba całkiem martwy kamień – zawyrokował Morrisey po kilku kolejnych ujęciach.

– Nie wydaje mi się... – odezwał się Nike, obserwując uważnie regularne bąble pokrywające fragment obiektu.

– Precyzyjniej proszę, panie Stachursky! – Kapitan zaszczyił Nike’a jednym ze swoich typowych spojrzeń.

– Widzieliście na powierzchni tego czegoś choć jeden krater uderzeniowy?

– Młody ma rację... – Iarrey dopadł konsoli i zaczął coś szybko pisać.

– Co znaczy: ma rację? – Zdezorientowany kapitan zerknął na ekran, sprawdzając, co oblicza Heraklesteban.

– To znaczy, że w otwartej przestrzeni jest tylko jeden rodzaj obiektów, które nie mają śladów po kolizjach... i są to statki chronione polem siłowym.

– Mylisz się, Iarrey – powiedział chłodno Morrisey.

– Nie myślę się, sir – zaprotestował oficer.

– Kraterów nie mają też gwiazdy...

Pierwsza nie wytrzymała Annataly. Roześmiała się na cały głos, a Bourne zawtórował jej piskliwie. Chwilę później w ich ślady poszli wszyscy pozostali, nie wyłączając zaskoczonego Iarreya.

– Przepraszam, sir, ma pan absolutną rację... Są dwa rodzaje takich obiektów – przyznał po chwili.

– Trzy – sprecyzował Nike, nie przestając się śmiać.

– Słucham?

– Na gazowych gigantach też nie widać efektów uderzeń... po pewnym czasie rzecz jasna.

– Dość tych przekomarzań! – Morrisey wskazał widoczny na ekranie obiekt. – Chcę mieć pełną analizę tego gówna, i to już! Jeśli te rebelianckie śmieci potrafiły zrobić coś takiego, to nie...

– To nie może być dzieło separatystów – wpadła mu w słowo Annataly.

– A czyje?

– Nike znalazł dane mówiące, że już w okresie kolonizacji systemu sondy zarejestrowały to skupisko w pobliżu Thety, prawda?

– Kto zatem skonstruował coś takiego? – Morrisey zaśmiał się oblesnie. – Przecież nie Obcy.

– A niby dlaczego nie? – zapytał Nike.

Nie znalazł się nikt, kto by mu potrafił sensownie odpowiedzieć. Nikt też nie zaprotestował – ojciec Pedroberto spał już smacznie w swojej kabynie kriogenicznej, śniąc zapewne o zdobytym bogactwie. Kapelan trafiał do zamrażarki natychmiast po zakończeniu modlitwy za tych, co odeszli, i obliczeniu wartości łupów. Wyjątek stanowiły te momenty, gdy działo się coś naprawdę ciekawego. Wyprawa na orbitę Thety nie była dla niego niczym szczególnym, co dał wszystkim poznać, dzieląc zdanie kapitana. Zresztą gdyby cokolwiek się wydarzyło, Morrisey i tak miał obowiązek go obudzić. Niemniej dowódca najwyraźniej nie zamierzał tego na razie robić... Czego jak czego, ale religijnego bełkotu potrzebowali teraz najmniej.

– Spójrzcie na to! – Iarrey wskazał nagle na ekran.

Zbliżenie przedstawiało jedną z kopułowatych narośli, jakie zdobiły całą powierzchnię bryły. W jej kierunku powoli dryfował mały fragment skały czy może raczej zniszczonej konstrukcji. Z tej odległości trudno było to ocenić. Odłamek zbliżał się bardzo wolno do widocznej w oddali ściany. Dzieliło go od niej jeszcze około pięćdziesięciu metrów, gdy nagle kopuła pojaśniała minimalnie i obiekt statecznie hamując, zatrzymał się przed nią na chwilę,

a potem ruszył w kierunku pasa podobnych mu odłamków, jakby został odepchnięty magnesem.

DZIEWIĘĆ

– To z pewnością nie jest dzieło ludzkich rąk – upierał się Iarrey, gdy sześć godzin później zebrali się wokół holograficznego modelu obcego artefaktu. – Technologia, której użyto do wytworzenia tego czegoś...

– Nazwijmy to stacją – zaproponował Bourne.

– Nie sądzę, żeby to była stacja – obruszył się pierwszy oficer. – Moim zdaniem to klasyczny statek nadprzestrzenny.

– Skąd ta pewność? – zapytał Morrisey.

– Nie pewność, lecz przypuszczenie oparte na analizach porównawczych. Sądzę, że mamy przed sobą człon większej jednostki. Tylko on ocalał z katastrofy, która wydarzyła się tu około pięćdziesięciu tysięcy lat standardowych temu.

Kapitan gwizdnął i opadł na fotel.

– Pięćdziesiąt tysięcy lat? Nie myli się pan, panie pierwszy?

– Sprawdzaliśmy to z Annatally trzykrotnie na każdej pobranej próbce. Za każdym razem system podawał zbliżone rezultaty. Od czterdziestu tysięcy dziewięciuset do pięćdziesięciu tysięcy pięćdziesięciu lat. To dopuszczalny margines błędu pomiaru.

– Jak rozumiem, dotyczy to całego tego śmiecia. – Kapitan machnął ręką, wsuwając dłoń w holograficzny obraz dysku otaczającego artefakt.

– Według naszych ustaleń duża część tych szczątków należała do interesującej nas jednostki. Znaleźliśmy wśród nich fragmenty, których wygląd sugeruje, że pochodzą z takiego samego pancerza jak ten tutaj – wskazał na centralną bryłę. –

Najprawdopodobniej był to zewnętrzny moduł napędowy. W dolnej części obiektu, jeżeli za poziom przyjmiemy płaszczyznę, po której poruszają się wokół niego szczątki, znaleźliśmy jedyne wklęsłe miejsce i szereg wystających, jakby stopionych elementów. Podobne technologie stosowano w pionierskich czasach podboju kosmosu, jeszcze przed wynalezieniem napędu tachionowego.

Iarrey włączył następną holoprojekcję. Tym razem gruszkowaty artefakt widoczny był w poziomie, a z jego węższego końca wystawała długa kratownica, na której znajdowała się czasza ogromnego silnika.

– Nie twierdę, że tak to musiało wyglądać – zastrzegł się pierwszy oficer. – W symulacji zastosowałem rozwiązania podobne do znanych z naszej historii, ale sądzę, że o coś takiego mogło chodzić. Silniki główne, reaktory i zbiorniki paliwa na pewno zostały oddzielone od głównego kadłuba. Mamy w tym skupisku zbyt duże promieniowanie, żeby to był przypadek.

– A czym jest to wgłębienie? – zapytał Morrissey, wskazując miejsce, w którym rzekome dźwigi wychodziły z kadłuba.

– Pojęcia nie mam.

Zapadła cisza. Wszyscy spoglądali na obracający się powoli hologram.

– Wchodzimy sami czy zgłaszamy admiralicji? – zapytał nieśmiało Bourne.

– Jak to: wchodzimy? – zdziwił się Iarrey.

– Normalnie, jak do każdego wraku – odparł kapitan.

– To pierwszy ślad obcej cywilizacji, na jaki trafiliśmy w przestrzeni, a wy chcecie go po prostu splądrować? – nie poddawał się pierwszy oficer.

– Zaraz tam splądrować – obruszył się Morrissey. – Chcemy go tylko dokładnie obejrzeć.

– Akurat!

– Dobrze wiesz, Iarrey – rzekł kapitan – że jeśli przekażemy go władzom, nigdy nie będziesz miał okazji dowiedzieć się, co było w środku. Informacja o odnalezieniu tego statku będzie przez najbliższe sto pięćdziesiąt lat tajniejsza niż skład kolegium połączonych sztabów. Nasz artefakt po prostu zniknie, rozplynie się w przestrzeni. A ty otrzymasz rozkaz, by do końca życia trzymać

gębę na kłódkę, jeśli zaś piśniesz choć słówko... – Znaczący gest nie pozostawiał wątpliwości, że admiralicja umie dbać o własne sekrety. – Jeśli przez resztę życia mam mieć kaganiec na pysku, to chcę wiedzieć dlaczego. Poza tym przydałaby mi się jakaś pamiątka, dowód na to, że to my pierwsi natrafiliśmy na ślad obcej cywilizacji.

– Głosujemy? – Annataly postanowiła zakończyć tę wymianę zdań.

– Jestem za – powiedział Bourne.

– Za wejściem czy za zgłoszeniem? – zapytał Morrisey. – Mógłbyś choć raz wyrazić się jaśniej.

– Jestem za wejściem – poprawił się porucznik.

– Ja też. – Nawigatorka przyłączyła się do niego bez wahania.

– Panie Iarrey? – Morrisey patrzył wyczekująco.

– Nie sędzę, żeby to był dobry pomysł... – zaczął Heraklesteban.

– Nie pytam o jakość pomysłu – przerwał mu kapitan – tylko o to, czy idziesz.

– Jestem przeciw wchodzeniu. Cholera wie, co...

Morrisey znowu mu przerwał.

– Nike?

– Ja... – zająknął się kadet, mając nadal w pamięci sceny z pancernika. – Ja popieram pierwszego. To nie nasza bajka. Lepiej postępujemy według regulaminu.

– Zatem dwa do dwóch. – Morrisey wstał. – Jako dowódca mam decydujący głos. I mówię wam, że cokolwiek by się działo, wejdziemy do tego czegoś.

– Ciekawe któredy. – Pierwszy wskazał na holograficzny obraz obcego statku.

– Zauważyliście gdzieś jakieś włazy? A co zrobimy z polem siłowym?

„My”. Nike uśmiechnął się do siebie. Iarrey przegrał w głosowaniu i natychmiast stał się posłusznym trybem w maszynie Morriseya.

– Pole to pestka – powiedziała Annataly. – Cokolwiek je zasila, jest już na wyczerpaniu. Przywalimy w ten kaczan kilkoma salwami szerokopasmowymi, to powinno je ostatecznie rozproszyć.

– A jeśli to pole absorpcyjne? – zapytał Nike.

– Absorpcyjne, powiadasz... – Podporucznik zamyśliła się. – Cholera wie, może i Obcy znają pola absorpcyjne, skoro po tylu tysiącach lat ten statek nadal ma czynne bariery energetyczne. Jeśli to faktycznie pole absorpcyjne, strzelanie nie ma sensu. Tylko byśmy je wzmocnili. To ogromna jednostka, kilkakrotnie większa od naszych największych pancerników. Musielibyśmy napieprzać w nią cały tydzień, żeby przeciążyć deflektory. – Zauważyła, że pozostali spoglądają na nią z zaciekawieniem. – Potraktujcie moją wypowiedź czysto hipotetycznie, bo nie mam pojęcia, jak mocna jest ta osłona i jak działa...

– Najbezpieczniej będzie użyć śmiecia, które krąży wokół – wtrącił Iarrey, gdy przerwała, by zaczerpnąć tchu. – Ustawiczne bombardowanie odłamkami powinno dość szybko wyczerpać zasoby energii deflektorów bez względu na ich rodzaj. Według moich obliczeń obecnie dochodzi do około stu kolizji z polem na godzinę standardową. Jeśli wejdziemy w sam środek pasa na pełnych deflektorach, możemy sprawić, że wartość ta wzrośnie nawet stukrotnie...

– A przy okazji rozpętamy prawdziwe piekło. – Morrisey uparł się chyba, że nie pozwoli pierwszemu oficerowi dokończyć jakiegokolwiek wypowiedzi. – Pas utraci stabilność...

– ...co przestanie być problemem, jeśli na skraju strefy zamontujemy najmniejszy z kolapsarów. Mogę nim sterować ręcznie, zmniejszając lub zwiększając siłę grawitronu zależnie od potrzeb i rozwoju sytuacji. – Iarrey nie pozostał mu dłużny. – Mogę też zaprogramować przechwytywanie obiektów wychodzących ze strefy. W niecałe sześć godzin pozbędziemy się większości odłamków otaczających artefakt. Zdecydowanej większości. Resztę spokojnie załatwią nasze lasery.

– A co z wejściem do środka? – zapytał Nike.

– Poszukamy – uspokoił go Bourne – a jeśli nie znajdziemy, to powinniśmy wiedzieć, że robot klasy C4 w pół godziny radzi sobie z pancernym reaktywnym nowoczesnego pancernika.

Morrisey rozparł się w fotelu, założył ręce za głowę i przymknął oczy.

– Wątpię, żeby to coś było bardziej odporne. A jeśli nawet, to czasu mamy

akurat w bród.

– Tyle że zostaną ślady... – powiedział Heraklesteban.

– Wierzę w pana, panie pierwszy. Na pewno coś pan wymyśli.

– Na speców z admiralicji i fakt, że to pierwszy kontakt z Obcymi, mogą być za cienki.

– No tak, to rzeczywiście może być problem – zasepił się kapitan. – Nie pomyśleliśmy, co na to powie góra.

– Jeśli się zorientują, że badaliśmy taki obiekt, trafimy na kwarantannę – mruknął Bourne. – I to tę wieczną... Musimy działać naprawdę ostrożnie.

Morrisey wyraźnie zmarkotniał.

– Jeśli nie znajdziemy sposobu na bezinwazyjne wejście, odpuszczamy sobie.

– Pozostaje jeszcze kwestia tych, co na dole – wtrącił Bourne. – Co z nimi?

– Mówisz o numerach? – Dowódca prychnął pogardliwie. – Zostawmy ich w trumienkach. Nie potrzebujemy świadków. Księżulo też sobie jeszcze chwilę pochrapie. Chyba że chcesz urządzić Obcym chrzest.

* * *

Z bliska statek Obcych był naprawdę przytłaczający. Gruszkowaty, pokryty naroślami kształt miał w najszerszym miejscu ponad trzy tysiące pięćset metrów obwodu. *Nomada*, wiszący w odległości pozwalającej na rozpięcie korytarza linowego, wyglądał przy nim jak giez, który zamierza usiąść na zadzie krowy, jak to barwnie opisał Morrisey.

Plan Iarreja okazał się doskonały. W niespełna sześć godzin udało się zneutralizować pole siłowe broniące dostępu do kadłuba, drugie tyle zabrało oczyszczenie okolicy z odłamków. O szesnastej czasu pokładowego zostali sam na sam z największą tajemnicą swojego życia.

Pamiętając o przestroгах pierwszego oficera, Morrisey nie nakazał natychmiastowej penetracji pancerza, lecz rozesłał wszystkie dostępne roboty, by dokładnie sprawdziły powierzchnię wraku w poszukiwaniu ukrytego włazu

czy jakiegokolwiek innej drogi do środka. Jak dotąd operacja ta nie przyniosła żadnych efektów: kadłub statku wydawał się istnym monolitem.

Godzina za godziną wszyscy członkowie załogi ślęczeli przed konsolami, analizując dane przesyłane przez roboty. Wreszcie, gdy stracili już nadzieję, a Morrisey zaczął układać raport dla admiralicji, stało się coś dziwnego. Jedna z symetrycznie rozmieszczonych kopuł w górnej części kadłuba zrobiła się przezroczysta. Jej chropowata powierzchnia najpierw zmętniała, a potem dosłownie w kilka sekund stała się przejrzysta niczym najczystszy kryształ. Widzieli ten proces z bliska dzięki rejestratorom sond.

Odczekali ponad kwadrans, obserwując pozostałe części statku, lecz nic podobnego nigdzie więcej się nie wydarzyło. Roboty w dalszym ciągu żmudnie przeszukiwały poszycie obcej jednostki, jednakże zebrani w sterowni *Nomady* ludzie chwilowo stracili zainteresowanie ich postępami.

Przezroczysta kopuła nie odsłoniła niczego szczególnego – pod nią znajdowała się tylko wolna przestrzeń i równa jak stół błyszcząca płaszczyzna. Ściana albo podłoga, zależy jak na to patrzeć. Nie było na niej żadnych znaków, zupełnie nic prócz jednolitej, wręcz nużącej szarości.

– Ciekawe – mruknął Iarrey, wklepując kolejne komendy do systemu. – Nasz obcy stateczek chyba coś kombinuje. Gdyby mnie ktoś pytał, ta lśniąca powierzchnia jest czymś w rodzaju kolektorów słonecznych. Wyczerpaliśmy zapasy energii tego obiektu i ktoś... albo coś... chce je teraz uzupełnić.

– Nie bądź śmieszny! – Bourne machnął lekceważąco ręką. – Statek kosmiczny czerpiący energię poprzez panele baterii słonecznych? Nie ta wydajność.

– Tak? – obruszył się Heraklesteban. – Pan Bourne, znany specjalista od technologii Obcych, jak zwykle wie lepiej. Ich wydajność może być setki razy większa od systemów, które my znamy.

– Akurat...

– Czytałeś instrukcję obsługi tych kolektorów, że jesteś taki pewny? – odgryzł się Iarrey. – Oni latali w kosmos, gdy na Ziemi człowiek uczył się dopiero

krzesać ogień. Tak się składa, że ta kopuła jest skierowana na najjaśniejszy punkt otaczającej statek przestrzeni. Prosto na tutejszą gwiazdkę.

Bourne wzruszył tylko ramionami i wrócił do swoich zajęć.

– To by wyjaśniało, w jaki sposób pole ochronne wytrzymało tak długo – powiedziała Annataly.

– Bynajmniej – zaprzeczył natychmiast Heraklesteban. – Znajdujemy się zbyt daleko od gwiazdy, aby takie ładowanie przyniosło jakiegokolwiek efekty, nawet jeśli wydajność ich kolektorów jest rzeczywiście tysiąckrotnie większa niż naszych. Zdaje mi się, że poważnie nadwerżyliśmy zasoby energetyczne, których z niewiadomych nam względów to coś bardzo potrzebowało. Stąd tak dramatyczna i nieefektywna próba...

– Wszystko piękne, panie pierwszy – powiedział Morrisey, obracając się w fotelu. – Ale co to, u licha, znaczy?

– Moim zdaniem jednostka centralna tego statku, czy co oni tam mają w jej miejsce, nadal jest aktywna. Przynajmniej częściowo. Na pewno nie kieruje tym procesem istota żywa, bo ta wiedziałaby, że w ten sposób nie osiągnie żadnych rezultatów. Maszyna nie myśli, po prostu uruchamia kolejne najefektywniejsze procedury, by wykonać powierzone jej zadanie. Nie uda się jedno, zrobi coś innego, zgodnie z priorytetami i instrukcjami...

– Czyli co? – zapytał kapitan.

– Obcy jestem czy co? – Iarrey się roześmiał. – Nie mam pojęcia, ale jeśli poczekamy odpowiednio długo, na pewno coś się wydarzy.

DZIESIĘĆ

Iarrey miał rację. Po trzech godzinach beczynności zauważyli, że jedna z kopuł w szczytowej części kadłuba pęcznieje. Jak pęcherz na powierzchni gotującej się wody albo bańka mydlana. Pancierz nie zmienił barwy jak poprzednio, po prostu kopuła rosła wzwyż, choć jej obwód nie powiększył się nawet o milimetr. Proces ten trwał ponad minutę, a potem nagle w szczytowej części wypukłości pojawił się kilkunastometrowy kolisty otwór.

– Wyślijcie kamery do wnętrza! – zakomenderował podekscytowany Morrisey.

Najbliższe roboty ruszyły w kierunku otworu. Wkrótce trzy z nich zniknęły za obłą krawędzią.

– Wizja! – ryknął kapitan.

– Brak odczytów – zameldowała Annataly. – Pancierz obiektu całkowicie ekranuje nasze częstotliwości.

– Ustaw jednego robota ponad tym otworem, zrobimy z niego przekaźnik – poradził Iarrey. – W razie czego możemy zrobić cały łańcuch przekaźników, wykorzystując kolejne roboty. Mamy ich jeszcze kilkaset.

– Dobra myśl, panie pierwszy! – Mechaniczna dłoń kapitana uniosła się nad podłokietnik fotela w charakterystycznym geście zwycięstwa.

Dziesięć sekund później zobaczyli na głównym ekranie wnętrze ogromnej kopuły. Kuliste pomieszczenie tonęło w mroku rozświetlanym jedynie gdzieś tam nikłym fluorescencyjnym blaskiem, który dobywał się z grzybopodobnych narośli rozsianych w równych odstępach na zakrzywionej

ścianie. Blask ten pozwalał umiejscowić świecące „grzybki”, ale nie rozpraszał ciemności nawet w ich najbliższym otoczeniu. Dla nowoczesnych systemów noktowizyjnych, jakimi dysponowały roboty zwiadowcze *Nomady*, nie była to jednak wielka przeszkoda. Maszyny zmieniały sygnały radarowe i podczerwień na zwykły obraz, tworząc przy okazji trójwymiarowy model holograficzny badanego obiektu, który załoga mogła podziwiać nad głównym holoprojektorem sterowni.

Wnętrze kopuły miało obecnie kształt lekko spłaszczonej kuli. W dolnej jej części widać było wiele dziwnych konstrukcji pokrywających zaobloną ścianę i rozmieszczone wokół nich skupiska fosforyzujących „grzybów”. Czujniki robotów wykryły też ponad tuzin różnej wielkości otworów. Morrisey kazał wysłać do każdego z nich najmniejsze sondy wizyjne, ale szybko okazało się, że korytarze są zbyt wąskie albo zbyt kręte, przez co bezpośredni kontakt z maszynami nie był możliwy. Pierwszy oficer zaproponował, by badać je kolejno, korzystając z łańcucha przekaźników. Odłożono to jednak na później, ponieważ w tej chwili członkowie załogi *Nomady* ujrzeli coś znacznie ciekawszego.

Z najniżej położonego punktu kulistej hali wyrastała walcowata konstrukcja, która służyła zapewne jako rewolwerowa wieża cumownicza. Całość podzielono na pięć mniej więcej tej samej długości segmentów. Każdy z nich miał sześć rurkowatych wypustek z umieszczonym na końcu zgrubieniem pełniącym rolę klasycznej śluzy. Im niższy segment, tym dłuższe były ramiona wysięgników, do których cumowano, jeśli tak można powiedzieć, niewielkie pojazdy. Ich przeznaczenia oglądający mogli się wyłącznie domyślać.

– I co wy na to? – zapytał Morrisey, gdy już się napatrzyli.

– Moim skromnym zdaniem trafiliśmy do ich garażu – powiedziała Annataly.

– Też tak uważam – poparł ją Iarrey. – Wydaje mi się, że główny komputer Obcych zastosował procedury alarmowe. Utrata energii potrzebnej do zasilania systemów podtrzymywania życia powinna zapoczątkować ewakuację załogi w kapsułach ratunkowych. Sądzę, że te kuliste wypustki na szczycie wieży

cumowniczej to właśnie takie kapsuły.

– Problem w tym – wpadła mu w słowo nawigatorka – że na pokładzie nie ma już nikogo, kto mógłby z nich skorzystać...

– Miejmy nadzieję, że tak jest...

– Nadzieja jest matką głupich, panie Bourne. – Morrisey zerwał się dziarsko z fotela. – Bierzmy się do roboty. Iarrey, sprawdź wszystkie wolne śluzy. Chcę wiedzieć, jakie mają systemy mechanicznych zabezpieczeń, zamków, itepe, itede. Może da się którąś otworzyć, to powinna być najłatwiejsza droga do wnętrza statku. Masz pozwolenie na każdą akcję, bylebyś nie zostawił śladów włamu. Nike i Bourne będą ci pomagać. Następną naradę za trzy godziny i lepiej, żebyście mieli wtedy dla mnie jakieś konkrety. A ty, kochanie, pozwól ze mną, musimy porozmawiać...

Davidoff-Rozerer skinęła głową i bez słowa ruszyła w kierunku drzwi. Morrisey przepuścił ją szarmancko, ale tylko po to, żeby zaraz położyć łapy na jej krągłych pośladkach. Cichy syk uszczelniających się drzwi przerwał w połowie perlisty chichot kobiety. W sterowni zapanowała idealna cisza przerywana co jakiś czas popiskiwaniem urządzeń pokładowych.

– Tak... – mruknął chwilę później Iarrey, patrząc na wykrzywioną w dziwnym grymasie twarz Bourne'a. – Stary porozmawia sobie dogłębnie z Annatally, a my otworzymy mu w tym czasie sezam.

– Trzy godziny to niewiele jak na skalę problemu – powiedział Bourne.

– A co o tym wszystkim sądzi nasz młody geniusz? – Uśmiech pierwszego oficera był jak najbardziej szczerzy. W jego głosie także nie dało się wyczuć sarkazmu.

– Nie wydaje się panu dziwne, że komputer obcego statku rozpoczął procedurę ewakuacyjną, chociaż na pokładzie nie ma żywego ducha? – zapytał kadet.

Iarrey zasepił się. Zmarszczył czoło, a potem zaczął nerwowo skubać włoski na niegolonej od ponad doby brodzie. Nike zauważył, że przygryza też dolną wargę.

– Wiesz, chłopcze, masz cholerną rację... Próbowałem sobie przypomnieć, jakie procedury obowiązują we flocie w takich przypadkach. Komputer centralny musi nadzorować całość procesów, w tym systemy podtrzymywania życia. Jeśli nie ma kontaktu z żywym członkiem załogi, nie powinien uruchamiać procedur ewakuacyjnych. To działanie wbrew logice...

– Mnie też wydało się to mocno podejrzane – wtrącił Bourne, robiąc zatroskaną minę.

– Z drugiej strony – ciągnął Heraklesteban – tak naprawdę nie wiemy, co sprawiło, że statek otworzył jeden z włazów. Może wcale nie chodzi o ewakuację? Po tak długim czasie każdy komputer mógłby sfiksować. Zresztą Obcy wcale nie muszą stosować takich samych procedur jak my. No ale nad tym będziemy się zastanawiać, jak już wejdziemy do środka i zbadamy to pieprzone ustrojstwo.

Najpierw sprawdzili wolne śluzy w górnym sektorze wieży. Wyglądało na to, że są zbudowane podobnie do tych funkcjonujących na każdym ziemskim okręcie przestrzennym. Niestety wszystkie były zamknięte, a na litej powierzchni metalu nie zauważyli żadnego panelu, przycisku ani uchwyty. Niczego, co pozwalałoby na otwarcie zewnętrznych włazów śluzy. Sprawdzali więc kolejne sektory, w których uprzednio dostrzegli puste miejsca na dokowisku.

Podczas gdy Bourne i Iarrey analizowali budowę śluz, Nike nadzorował pracę sześciu szperaczy i sporządzał szczegółowy trójwymiarowy plan pomieszczenia. Między innymi mapował odkrywane korytarze, ale już po sprawdzeniu trzech zyskał pewność, że nie tędy droga. Wszystkie były zamknięte na głucho, czemu się specjalnie nie dziwił. Pod kopułą nie było powietrza, więc żaden z tych otworów nie mógł prowadzić do wnętrza dziwnego statku. Pustka wysłałaby każdy atom gazu, gdyby choć jeden korytarz był nieszczelny. Nike zostawił więc sobie żmudne sprawdzanie tuneli na koniec i zabrał się do skanowania najniższej części niecki. Tu czekała na niego niespodzianka.

– Panowie – przywołał obu oficerów.

Iarrey nie zareagował, za to Bourne od razu podszedł do stołu.

– Mam nadzieję, że to coś ciekawego – mruknął, ocierając pot z czoła.

Nie zmniejszyli temperatury w sterowni, mimo że Morrisey opuścił mostek.

– Chyba znalazłem rozwiązanie naszego problemu. – Nike przełączył wizję z kamer pierwszego robota na ekran główny. – Proszę...

Porucznik spojrzał najpierw na podstawę wieży tonącą w płataninie rur i dziwacznych konstrukcji niewiadomego pochodzenia, potem zaś na uśmiechniętego od ucha do ucha chłopaka.

– Doprawdy? – zapytał ostrożnie.

– Nie widzi pan nic szczególnego? – zdziwił się Nike.

– Prawdę mówiąc, nie widzę tu nic prócz masy śmiecia.

Uśmiech ponownie zagościł na twarzy kadeta.

– Czy to – wskazał palcem na jeden z leżących na dnie elementów – nie wygląda znajomo?

Bourne zmrużył oczy, a następnie przysunął do siebie klawiaturę wirtualnej konsoli hologramatora. Wykonał tę samą serię analiz porównawczych, którą przed chwilą zakończył Nike. Z takim samym rezultatem.

– Mógłbyś tu pozwolić, Iarrey? – spytał, gdy ostatnia para obrazów zlała się w jedno.

Tym razem pierwszy oficer oderwał się od swojego zajęcia. Podszedł do nich i zapoznał się z efektem pracy Bourne'a. Szybko przebiegł wzrokiem ostatnie obliczenia i uśmiechnął się szeroko.

– Moje gratulacje, synu – powiedział, klepiąc kadeta po ramieniu.

* * *

– Jak pan widzi, sir, możemy wejść do statku, nie zostawiając żadnych śladów – stwierdził Iarrey.

Zdumiony Morrisey obserwował robota przez jedno z okien w pałuku prowadzącym do węzła cumowniczego.

– Jak wyście go tam wprowadzili? – zapytał szczerze zdziwiony.

– To zasługa naszego młodego przyjaciela, sir. – Iarrey wskazał na Nike'a. – Niech sam powie.

– No, synu, słucham...

Fotel zrobił pół obrotu i wyprężony jak struna kadet znalazł się w polu widzenia dowódcy.

– Podczas kompletowania skanów do hologramu znalazłem u podstawy wieży cumowniczej uszkodzoną kapsułę ratunkową z otwartym włazem. Musiała odpaść od stanowiska cumowniczego podczas katastrofy statku. Porucznik Iarrey zbadał dokładnie mechanizmy dokujące i okazało się, że są to czysto mechaniczne zabezpieczenia. Użyliśmy kilku małych autograwów i podnieśliśmy kapsułę do jedyne wolnego stanowiska w szczytowym segmencie. Po wpasowaniu pierścienia dokującego w kołnierz węzła śluza otworzyła się automatycznie. Robot umieszczony uprzednio w kapsule dostał się do wnętrza, a my odciągnęliśmy ją po chwili, symulując odpalenie. Śluza zewnętrzna automatycznie się zamknęła, za to drugie drzwi stanęły przed nami otworem.

– Oto analiza składu atmosfery wewnątrz statku. – Iarrey podał kapitanowi czytnik.

– Na moje oko niewiele różni się od ziemskiej – powiedział Morrisey po chwili. – Analiza flory bakteryjnej?

– Niczego nie znaleźliśmy. – Tym razem sprawę zreferował Bourne. – Atmosfera jest sterylna jak wnętrze flaszki po bimbry, ale mimo podobieństw w składzie chemicznym nie polecałbym rozszczelniania skafandrów nawet w krytycznej sytuacji.

– A kto tu mówi... – Morrisey przerwał i zamyślił się głęboko. – Dane, które zebraliście, wskazują jednoznacznie na to, że Obcy podobnie jak my oddychają tlenem. Możemy zatem założyć, iż mamy do czynienia z białkową formą życia.

– To wysoce prawdopodobne – przyznał Iarrey. – Sądząc po wielkości włazów, przycisków, uchwytów czy fotela w kapsule, byli wyżsi od nas

i masywniej zbudowani. Mogli mieć nawet około trzech metrów wzrostu. Kształt siedziska, skoro już o tym mowa, też jest ciekawy...

Na ekranie pojawił się widok wnętrza kabiny. Fotel był bardzo długi, obły, wręcz opływowy, z dwoma podłużnymi zagłębieniami w górnej części oparcia.

– Jakież sugestie?

– Niestety, nic konkretnego – odparł pierwszy oficer. – Za mało danych, żebym mógł powiedzieć coś ponad to, co już pan usłyszał, sir. Do tej pory nie ruszaliśmy się poza pałak. Robot dotarł wprawdzie do śluzy prowadzącej do pnia wieży i otworzył przejście, by pobrać próbki powietrza, ale wycofałem go natychmiast. Z podjęciem dalszych działań czekaliśmy na pana, sir.

– Doskonale. – Morrisey wstał. – Panowie, myślę, że nadszedł czas na mały krok człowieka i wielki skok ludzkości. Annataly, ty zostaniesz tutaj. – Uciszył gestem rodzący się na jej ustach sprzeciw. – Ktoś rozsądny musi kontrolować sytuację na wypadek nieszczęścia.

– Nie znam się na tym tak dobrze jak Bourne – zaprotestowała, wskazując na aparaturę.

– Skarbie – rzekł kapitan, podchodząc do niej – to ty jesteś pilotem i to ty najlepiej z nas wszystkich potrafisz operować drążkiem... – Przerwał, usłyszawszy parsknięcie Iarreya, lecz nie odwrócił się w jego stronę. – Nie wciskaj mi kitu. Będiesz miała swoją szansę na zwiedzanie, jak tylko zabezpieczymy teren. Obiecuję.

JEDENAŚCIE

Weszli we czwórkę: Morrisey, Iarrey, Bourne i Nike. Otoczeni hordą robotów i sond poruszali się na pasach grawitacyjnych w głąb pałaka. Plan był prosty – mieli badać statek pomieszczenie po pomieszczeniu, ustawiając kolejne roboty w miejscach przedłużających zasięg komunikacji i blokując wszystkie drzwi w pozycji otwartej. Annataly, która pozostała na mostku *Nomady*, zajęła się koordynacją pracy sond i dostarczaniem wszelkich potrzebnych informacji.

Dzięki robotom dysponowali dokładną wirtualną mapą trzech kolejnych pomieszczeń przed sobą. To dawało wystarczający margines bezpieczeństwa. Morrisey był może napaleńcem, ale miał też świra na punkcie ostrożności. Wypadek, w którym stracił rękę, oduczyl go szarżowania na ślepo.

Zeszli do dolnej części wieży, kontrolując wybiórczo po jednym statku na poziom. Nie znaleźli niczego, co pomogłoby im zrozumieć, jak wyglądały istoty, które zbudowały ten statek. Upewnili się tylko, że wszystkie fotele mają taką samą wielkość i kształt, zatem Obcy, jakkolwiek wyglądali, należeli do jednego gatunku.

– Skurwyklony – mruknął Morrisey, gdy wyszli z ostatniej kabiny. – Bezduszne skurwyklony.

Wnętrza pojazdów były sterylne puste. W maszynach prowadzonych przez ludzi zawsze wałało się mnóstwo przedmiotów przypominających im o rodzinach, o domu. Tutaj nie znaleźli niczego takiego. Jakby mieli przed sobą sprzęt, który dopiero co zszedł z linii produkcyjnej.

– Może Obcy nie czują potrzeby dekorowania wnętrza – powiedział Iarrey. –

A może zabrali wszystko ze sobą, gdy opuszczali okręt...

– I tak ich pieprzę – rzucił kapitan, lecąc za robotami w kierunku ostatniej śluzy.

Za nią znajdowało się właściwe wnętrze statku.

Nike wyświetlił hologram następnego pomieszczenia. Było niezbyt duże, a wychodziły z niego dwa identyczne korytarze o elipsoidalnym przekroju. Ten po lewej kończył się kilkadziesiąt metrów dalej pancerną grodzią, ten po prawej zaś prowadził do czegoś, co można by od biedy uznać za pokład. Wszędzie na ścianach widać było fosforyzujące „grzyby”. Dzięki nim nie musieli zapalać reflektorów i oszczędzali energię skafandrów. Morrisey zastanawiał się dłuższą chwilę, po czym wskazał na prawy korytarz. Zgodnie z tym, co mówiła Annataly, zawsze szedł na łatwiznę. Pozostałym było to na rękę – im mniej ryzyka, tym większe szanse na spokojną emeryturę.

Minęli rozgałęzienie, ale kapitan zatrzymał się przed kolejnymi drzwiami.

– Annataly!

– Tak, szefie? – zapytała zdziwiona nagłym wezwaniem.

– Oddeleguj – szybko przeliczył towarzyszące im maszyny – pięć robotów i dwadzieścia sond do zbadania drugiego odgałęzienia. I melduj mi o wynikach na bieżąco.

– Zrozumiałam – potwierdziła nawigatorka i część maszyn jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki ruszyła w kierunku korytarza znajdującego się teraz za ich plecami.

Kapitan kazał otworzyć przejście, dopiero gdy ostatnia z oddelegowanych maszyn zniknęła im z oczu. Membranowe drzwi zwinęły się chwilę po tym, jak wysięgnik robota dotknął ich powierzchni. Gdy zamknęły się za ostatnim członkiem załogi, Iarrey przejechał rękawicą po chropowatej powierzchni. Potem uderzył w nią dość mocno, ale usłyszeli tylko głuchy odgłos – jakby ktoś stukał metalem o kamień – po czym po sekundzie rozwarły się znów, jak gdyby były niematerialne.

– Niesamowite – mruknął Heraklesteban, ustawiając robota w takim miejscu,

by membrana nie mogła się zamknąć.

– Obce – skwitował Morrisey, na którym takie cuda nie robiły większego wrażenia. Spoglądał w głąb skrecającego ostro korytarza. Kamery sond już dawno zeskanowały każdy jego zakątek. Nike ustawił mapnik z planem korytarza tak, by kapitan mógł przyjrzeć się opalizującym w półmroku kształtom. Z dotychczas zrobionych pomiarów wynikało, że biegnie on wokół kadłuba i w tej sekcji ma tylko jedne boczne drzwi: te, przez które weszli.

– Prawo, lewo? – zapytał Bourne.

Obie strony wyglądały tak samo.

– Prawo – odparł kapitan.

Poszli tam, gdzie im kazał. Pokonali jeszcze cztery sekcje, z których mogli się dostać do kolejnych doków. Na razie rejestrowali tylko ich obecność, zakładając, że wszystkie są identyczne, co potwierdziło się, gdy więcej sond wróciło ze zwiadu.

W piątej sekcji trafili wreszcie na boczną membranę, która ich zdaniem mogła prowadzić do centralnej części statku. Przeszkoda nie ustąpiła jednak, mimo że wysięgniki sondy dotykały jej wielokrotnie. Nie chcąc marnować czasu, Morrisey wysłał sondy mapujące do kolejnych sekcji kolistego korytarza, by sprawdzić, czy gdzieś dalej nie ma podobnych przejść. Mógł to zrobić, ponieważ Annataly podesłała mu pozostałe roboty – te, które dotąd bezskutecznie próbowały sforsować gródź znajdującą się na pierwszym rozwidleniu za hangarem.

Nie mając nic lepszego do roboty, usiedli pod pochyłą ścianą, by obserwować mapnik Nike'a i pojawiające się na hologramie kolejne elementy trójwymiarowej układanki. Sondy w niespełna kwadrans sprawdziły resztę kolistego korytarza zamkniętego na przeciwległym końcu grodzia, która wyglądała identycznie jak ta na rozwidleniu przy hangarze. Stało się więc jasne, że do wnętrza statku Obcych prowadzi tylko jedno wejście – to, pod którym beczynn timer czekali.

– Dupa – mruknął Iarrey, gdy hologram korytarza zamknął się na jego oczach.

– Dupa – potwierdził Bourne. – Na tym kończy się nasza przygoda na statku Obcych.

Nike wyciągnął rękę, żeby wyłączyć urządzenie, ale Morrisey chwycił go za nadgarstek.

– Panowie, naprawdę chcecie odpuścić w takiej chwili? – zapytał. – Siedzimy na korytarzu pierwszego statku Obcych, na jaki trafiła ludzkość, i za fiuta pana nie dowiemy się, co jest za tymi drzwiami?

– Pierwszego, o jakim wiemy – przerwał mu Iarrey – a to duża różnica.

– O czym ty mówisz? – zdziwił się kapitan.

– O tym, że nie mam pewności, czy to faktycznie pierwszy statek Obcych, na jaki trafiła ludzkość – odparł Iarrey.

– Nie bardzo rozumiem – obruszył się dowódca.

Bourne i Stachursky także wyglądali na zdezorientowanych.

– To, że my nic nie wiemy o odnalezieniu obcych jednostek, nie znaczy wcale, że nie doszło do kontaktów z innymi rasami. Kto z was zaręczy, że admiralicja nie ukrywa takich odkryć?

– Co ty pie... – zaczął Bourne, ale kapitan uciszył go gestem.

– Ma pan dowody, panie pierwszy? – zapytał.

– Pamiętacie, co się stało z *Wagabundą*? – odpowiedział pytaniem Iarrey.

Zamilkli. Nike patrzył na nich, nic nie rozumiejąc.

– Ja nie pamiętam – mruknął.

Morrisey przyłożył palec rękawicy do wizjera hełmu, jakby chciał nakazać kadetowi milczenie.

– *Wagabunda* – wyjaśnił Heraklesteban – był bliźniaczą jednostką *Nomady*. Lata temu badaliśmy Sektor Oscar. Oni sprząтали śmieci w Systemie O4a7, my w O4a6. Potem mieliśmy zająć się wspólnie O4a8. Linden, dowódca *Wagabundy*, skończył robotę szybciej. Zameldował, że leci przygotować grunt, a potem dostaliśmy meldunek, że ma dwa wyraźne odczyty i czeka na nas. Został nam do skolapsowania jeszcze jeden dołek. Tam naprawdę było gorąco w czasie wojny. Skończyliśmy czyszczenie dołek później i zaczęliśmy właśnie

przygotowania do skoku, gdy nadszedł rozkaz z admiralicji nakazujący natychmiastowy powrót do bazy. Na miejscu powiedziano nam, że *Wagabunda* wszedł na nieoznaczone pole minowe. Oczywiście O4a8 został zablokowany do czasu zbadania sytuacji. Dwa tygodnie później otrzymaliśmy nowe mapy i jak zawsze posprzątaaliśmy bałagan. Ale mieliśmy już tylko jeden odczyt.

Morrissey pokiwał głową, Iarrey zacisnął dłonie w pięści.

– Jeden pieprzony odczyt, rozumiesz? – powtórzył Bourne. – Linden meldował o dwóch, a jeśli chodzi o takie sprawy, ten facet był dokładniejszy od mikrometru. Latałem z nim trzy sezony, więc wiem, co mówię.

– Może flota załatwiła drugi dołek we własnym zakresie – zasugerował Nike – przy okazji likwidowania pól minowych...

– Synku – Iarrey przyciągnął go tak, że niemal zetknęli się wizjerami hełmów – to nas wysyłają do takiej roboty, a zapewniam cię, że nikt z korpusu nie czyścił tamtego systemu. Znam każdego zawszonego szypra i każdy złom, który lata w służbie Federacji. Poza tym Linden nie wszedł na żadne pole minowe. Kontaktował się z nami już po zrobieniu namiarów, a wpaść na minę bez szansy na reakcję, owszem, można, ale tylko wychodząc z nadprzestrzeni. Tadam twierdził, że muszą zrobić dodatkowe pomiary, bo coś im nie pasuje. Do tej pory myślałem, że ten drugi dołek to była jakaś zmyłka, a *Wagabunda* trafił na swoją Cierpliwą Śmierć przy jakimś wraku.

– Skurwyklonia mać! – zaklął Morrissey. – Albo ponosi nas fantazja, albo rzeczywiście admiralicja stara się ukryć wszelkie kontakty z Obcymi. A to znaczy, że jeśli zameldujemy...

– Bzzzt i do piachu – powiedział Bourne, strzelając z palca.

– W próżni nie ma piachu... – mruknął Heraklesteban.

– I co z tego – odburknął porucznik. – Z dodatkową dziurą między oczami będzie mi wszystko jedno, piach czy pustka.

– To co robimy? – zapytał Nike.

– Jak to co? – obruszył się Morrissey. – Prujemy ten sejf. – Włączył komunikator. – Annataly, poślij do tej grodzi po lewej jednego rozpruwacza.

Spróbuj się przebić.

– A co z...

– Wiesz, dzióbku – wpadł jej w słowo – tym razem chyba nie zostaniemy bohaterami Federacji...

DWANAŚCIE

Rozpruwacz wyglądał jak wielki pająk. Kulisty odwłok i dziewięć odnóży: cztery kroczo-kotwiczące i pięć narzędziowych. To wystarczało do pokonania każdej przeszkody.

– Co robimy? – zapytał Bourne, trzymając palce nad klawiaturą. – Kasujemy całe wejście czy tniemy punktowo i sprawdzamy, co jest po drugiej stronie?

– Przewierć to cholerstwo, tak będzie bezpieczniej – rzucił Iarrey.

– Otóż to... – Morrisey położył się pod ścianą parę metrów dalej i zajął przeglądaniem danych z sond badających tunele w doku.

Rozpruwacz rozłożył szerzej odnóża krocze. Na tak twardej powierzchni nie mógł się zakotwiczyć, a elektromagnesy też nie działały na tworzywie, z którego zbudowano statek Obcych, musiał zatem użyć zwykłych przyssawek. Plazmowa wiertarka zbliżyła się do kręgu drzwi, a gdy jej koniec rozjarzył się i blask stał się zbyt jasny nawet dla osłon hełmów, ramię wysunęło się w kierunku blokującej przejście membrany. Ta zwinęła się, nim plazma dotarła do twardego tworzywa, odsłaniając węższy, żebrowany korytarz.

– O w mordę – jęknął Bourne, zaglądając w mroczny otwór.

– Ale jaja! – Morrisey zdążył już wstać i podlecieć do robota. – Światła, podgląd!

Małe roboty przeleciały między patykowatymi odnóżami i po chwili obserwowali prościutki tunel zakończony identyczną membraną jak ta, która właśnie się otworzyła. W bocznych ścianach zauważyli kilka takich samych, choć nieco mniejszych przejść. Iarrey skierował ku jednemu z nich kamerę.

Robot podleciał i membrana ustąpiła. Tak samo było ze wszystkimi pozostałymi, nawet z tą na końcu korytarza. W milczeniu wpatrywali się w rosnący na hologramie obraz.

Po obu stronach przejścia łączącego oba pierścienie korytarzy – zewnętrzny i wewnętrzny – znajdowało się kilka małych pomieszczeń pełnych sprzętów podobnych do tych, których używali na co dzień ludzie, ale były tam też absolutnie obce konstrukcje. Nigdzie jednak nie natrafili na najmniejszy nawet ślad istot, które zbudowały ten statek. Żadnych wizerunków, drobiazgów – wszystko było lśniące i sterylne, jakby nikt nigdy nie korzystał z kajut. Nawet z tych, które sklasyfikowali jako mieszkalne.

– Chore to wszystko – mruknął Bourne, wskakując na wielki fotel i przyglądając się pokrytej dziwnymi guzami opływowej powierzchni stołu. – Wszystko zintegrowane, bezosobowe. Jakby zostało zaprojektowane przez maszyny dla maszyn.

– Może to jest jakaś bezzałogowa... – zaczął Larrey, ale nie dokończył.

Ciche, lecz bardzo charakterystyczne piknięcia dobiegające z mapnika Nike'a uciszyły wszystkich. Zebrali się wokół kadeta, patrząc na czerwony punkt pulsujący w jednym z dwóch dostępnych pomieszczeń po drugiej stronie wewnętrznej pętli korytarza. Sonden wykryły ślady życia.

– Wizja! – ryknął Morrisey.

– Brak – zameldował Nike. – Mamy tam tylko drony skanujące mapnika. Wizyjne skierowaliśmy do przeszukiwania szybów w hangarze.

– Zawróćcie ten szmelc! – rozkazał kapitan.

– Tak jest! – Kadet szybko wprowadził odpowiednie komendy.

Minęła minuta, potem druga, ale nikt nie ruszył się nawet z miejsca. Nikt też nic nie mówił. Wszyscy wpatrywali się jak zahipnotyzowani w pulsujący czerwienią punkt. Podniesiony głos Annatały zabrzmiał w tej ciszy jak wystrzał. Nawet Morrisey podskoczył jak oparzony.

– Mam tu mały problem – powiedziała.

– O co chodzi?

– Wysłałam do was drony wizyjne, ale...

– No, wykrztuś to wreszcie – zniecierpliwiał się kapitan.

– Holoplan się nie zgadza – dokończyła nieco ciszej nawigatorka.

– Co znaczy, że holoplan się nie zgadza? – zdziwił się Jarrey.

– Sam zobacz. – Na opalizujące zielono zarysy pomieszczeń statku nałożona została siatka rejestrowana przez nadlatujące drony. Jedna z sekcji zewnętrznego korytarza była według nich węższa, niż wskazywały pierwsze pomiary.

– Może to problem z kalibracją czujników – rzucił Bourne po przyjrzeniu się różnicom. – Większość tych robotów to zabytkowy szmelc.

– A jak wytłumaczysz to? – Drony dotarły właśnie do łącznika między korytarzami. – Na planie sporządzonym w czasie pierwszego odczytu był prosty, a teraz...

Morrisey pokręcił głową i ruszył w stronę membrany zamykającej kajutę, w której czekali na sprzęt. Ta rozsunęła się bezszelestnie.

– Skurwyklonia mać...

Korytarz skręcał nieznacznie, ale wystarczająco, by dało się to zauważyć gołym okiem.

– Przesunięcie wynosi jakieś pół metra w środkowej sekcji. Niemożliwe, żeby pomiary były aż tak niedokładne. – Bourne pokręcił głową z niedowierzaniem.

– A jednak...

– Mamy wizję – przerwał im Nike.

Skupili się wokół kadeta i wyświetlacza podłączonego do jego mapnika. Wewnętrzny korytarz nie wykazywał żadnych różnic, tutaj siatki w obu kolorach pokrywały się idealnie. Na wirtualnym ekranie powyżej mapy zobaczyli wnętrze innego, większego i niemal całkiem pustego pomieszczenia. Tylko pod ścianami stały lekko przechylone cylindry. Było ich dwanaście, wszystkie sięgały do sufitu i miały ponad metr średnicy. Na środku pomieszczenia wisiał, a raczej unosił się nad podłogą trzynasty walec. To przed nim zatrzymała się drona z czujnikami.

– Czas przywitać się z gospodarzami! – ryknął Morrisey i nie czekając na

pozostałych, poszybował w kierunku membrany. Ruszyli za nim, odbezpieczając w locie broń.

Wewnętrzna pętla, choć nieco mniejsza od pierwszej, zdawała się ciągnąć w nieskończoność. Identyczne sekcje przedzielone membranami, świecące narośle, żadnych znaków szczególnych. Jedynym dowodem na to, że zbliżają się do celu, był migający coraz bliżej punkt na hologramie. W końcu dotarli do miejsca, w którym według odczytów miało się znajdować coś żywego.

Weszli ostrożnie, mierząc z fazerów do wszystkiego w zasięgu wzroku, ale kabina wydawała się równie pusta jak pozostałe. Nike przyjrzał się powiększonemu obrazowi na hologramie – punkt migał wewnątrz wiszącego w powietrzu walca. Widząc pytające spojrzenie kapitana, wskazał to miejsce ruchem głowy.

Morrisey podszedł ostrożnie do cylindra i zastukał w niego lufą fazera. Kiedy nic się nie stało, zbliżył się jeszcze bardziej i odłożywszy broń, chwycił obiema rękami błyszczącą powierzchnię, po czym napał na nią z całej siły. Walec obniżył się nieco, lecz zaraz płynnie wrócił na poprzednią wysokość.

– Antygraw, niech skonam... – Kapitan przyklęknął, by spojrzeć na spodnią część walca.

W tym czasie Bourne obszedł z czujnikami wiszący przed nimi przedmiot.

– Wydaje się idealnie gładki – powiedział. – Żadnych rys, szczelin, różnic temperatury.

– Trudno. Będziem pruć – mruknął Morrisey.

Iarrey chciał zaprotestować, ale w słowo weszła mu Annataly.

– Za parę sekund zakończymy przepalanie grodzi – poinformowała. – Już. Dam wam podgląd na...

Nagle jej głos utonął w trzaskach. Fosforyzujące narośle w pomieszczeniu zamigotały, a ich światło stało się intensywniejsze. Morrisey odskoczył od walca, Bourne i Iarrey unieśli broń, a Nike odsunął się pod ścianę.

Wiszący przed nimi cylinder zmieniał barwę – górna część ciemniała w szybkim tempie, a jej powierzchnia przestawała być gładka. Przebiegały po

niej fale, jakby walec ulegał wielkim naprężeniom.

– ...am dzieje, do cho... – zniekształcony głos nawigatorki przebił się na moment przez trzaski. – ...sisz to kur... czyć...

Chyba nikt nie zwrócił uwagi ani na strzępki słów, ani na wyraźne zdenerwowanie Annataly. Nagle powierzchnia walca została wypchnięta, jakby coś usiłowało się z niego wydostać. I tak było. Niedawno jeszcze twarda jak helon pokrywa pękła pod naporem niemalże ludzkich, choć sześciopalczastych dłoni.

Ktoś strzelił. Nike nie widział kto, w każdym razie nie był to stojący przed nim Morrisey. Struga energii przesunęła się po dolnej części walca, osmalając ją na całej szerokości, i wypaliła dziurę w jednym ze stojących pod ścianami cylindrów.

– Pojebało was czy co? – ryknął kapitan.

Tymczasem w rozdarciu pojawiły się ręce. Przerażliwie chude ręce, zważywszy na ich długość. Szara skóra, wyraźne węzły pracujących pod nią mięśni, coś w rodzaju łokci. Istota uchwyciła krawędzie otworu tam, gdzie cylinder nadal był twardy, rozerwała do reszty pociemniałe osłony i zaczęła się podnosić.

Najpierw zobaczyli głowę Obcego. Długie, miękkie, grube jak ludzkie palce wypustki barwy złota pokrywające jej czubek spływały na chude ramiona niczym włosy. Twarz istoty na pierwszy rzut oka przypominała ludzką. Oczy, nos i usta były tam gdzie trzeba, ale wszystko wyglądało zupełnie inaczej... *obco.*

Czarne jak mrok kosmosu, pozbawione białek i tęczówek oczy, nos niemal niewykształcony i bez otworów, usta tak szerokie, że ich kąciki niknęły pod włosopodobnymi wypustkami. Ale największe wrażenie robił niewielki twór pośrodku czoła przywodzący na myśl zaciśnięte mocno powieki albo wargi. Coś jak drugie usta albo trzecie, tyle że zamknięte, oko.

Istota rozejrzała się po pomieszczeniu. Nie wydawała się zaskoczona obecnością karłowatych postaci. Poruszyła ustami, może nawet coś powiedziała,

ale poprzez krystalit i tak niczego nie mogli usłyszeć. Potem machnęła ręką, jakby chciała odgonić intruzów. Nie zareagowali, stali jak zahipnotyzowani, wpatrując się w Obcego, gdy ten wstawał. Naprawdę miał ponad trzy metry wzrostu, a stojąc w wiszącym walcu, zyskiwał jeszcze metr. Głową sięgał gładkiego sufitu. Jego szare ciało okrywała bardzo luźna, pozbawiona jakichkolwiek zdobień tunika. Spływała po powierzchni walca, dlatego nie widzieli nóg. Jedyne, co dawało się zauważyć, to spore wybrzuszenie na plecach.

Nike nie miał pojęcia, ile to wszystko trwało. Obcy przypatrywał im się z góry, a oni – zadzierając głowy – patrzyli na niego. Wreszcie Bourne zrobił krok do przodu i podniósł rękę w klasycznym geście pozdrowienia. Istota obróciła powoli głowę w jego kierunku i przekrzywiła ją jak ptak obserwujący otoczenie.

Tak, właśnie tak..., pomyślał Nike i w tej samej chwili zza pleców Obcego wyłoniły się dwa obłe kształty.

Zwinięte skrzydła.

Istota rozprostowała je powoli na całą szerokość, ukazując skomplikowane wzory wijące się na puszystym śnieżnobiałym tle.

– Anioł... – szepnął Iarrey i przyklęknął, żegnając się odruchowo.

Na twarzy istoty pojawiło się coś, co wyglądało jak uśmiech. Rozłożyła ręce i nagle... To stało się zbyt szybko, żeby można dokładnie opisać kolejność zdarzeń. Morrisey i Bourne chwilę wcześniej opuścili broń, dlatego nie zdążyli zareagować. Obcy zadrzał. Skrzydła wystrzeliły w górę, a uśmiechnięte dotąd usta otworzyły się jak do krzyku. Nike zobaczył zęby, szeregi równych stożkowatych kłów. Setki kłów... I to było ostatnie, co jego wzrok zarejestrował, zanim krystalitowy wizjer hełmu pokrył się gęstą pajęczyną pęknięć. Wtedy, na ułamek sekundy przed tym, jak osłona rozsypała się w drobny mak, usłyszał głos Obcego. Nieludzkie, modulowane wycie. Stał najdalej, więc nie stracił przytomności od razu, choć nie był już pewien, czy widzi realne obrazy, czy też ma przywidzenia. Dopiero po chwili uzmysłowił sobie, że wciąga do płuc

powietrze obcego statku. Instynktownie wstrzymał oddech, ale zaraz uświadomił sobie bezsens takiego działania, i znowu zaczerpnął tchu.

Obcy zeskoczył na podłogę i podniósł jedną ręką nieprzytomnego Bourne'a. Drugą usunął resztki krystalitowej osłony hełmu, po czym zbliżył człowieka do swej twarzy. Nike już widział oczami wyobraźni, jak setki spiczastych kłów zaciskają się na szyi porucznika, ale nic takiego się nie stało. Obcy i człowiek zetknęli się czołami i tak pozostali, nieruchomi, przez kilka sekund. Potem Bourne wylądował na posadzce, a istota ruszyła do wyjścia, idąc wprost na Nike'a. Twór na jej czole, nie tak dawno przypominający zaciśnięte wargi, teraz był otwarty, lecz Nike nie zobaczył, co się w nim kryje. Odepchnięty przez Obcego przeleciał kilka metrów w głąb korytarza.

TRZYNAŚCIE

– Annataly! Odezwij się, do cholery!

Gdy Nike wrócił do pomieszczenia, kapitan już doszedł do siebie. Jedną ręką przytrzymał słuchawkę komunikatora z rozbitego hełmu, drugą usiłował docucić porucznika. Chwiejący się na nogach Iarrey stał pod ścianą i wymiotował.

– Widziałeś, dokąd poszedł? – Morrisey odwrócił się do kadeta, odsłaniając nieprzytomnego Bourne'a. Na czole porucznika widać było wielki, ciemniejący krwiak.

Nike bez słowa wskazał lewą odnogę korytarza.

– Twój komunikator działa?

– Nie wiem... zaraz sprawdzę. – Sięgnął do panelu na rękawie. Większość diod paliła się na czerwono. Wcisnął klawisz resetujący. Szanse na to, że autonaprawa zadziała, były niewielkie, ale co mu szkodziło spróbować.

– Iarrey, łap się za fazer, idziesz przodem! – zakomenderował tymczasem Morrisey, nie czekając na efekty. – Ja wezmę Bourne'a, a młody będzie ubezpieczał tyły. Spieprzamy na *Nomadę*, potem opalimy temu skrzydlatemu krzykaczowi piórka o najbliższą gwiazdę.

Nie dyskutowali. Nike szedł tyłem, cały czas wpatrując się w półmrok skrywający najodleglejszy sektor korytarza, nie zauważył więc, że Iarrey i kapitan stanęli raptownie.

– Co jest? – zapytał przestraszony, gdy wpadł na nich. Chwilę później sam zobaczył, co ich zatrzymało.

W miejscu, gdzie przedtem znajdowała się membrana prowadząca do łącznika z zewnętrznym kręgiem, nie było teraz nic. Gładka ściana nie różniła się niczym od reszty korytarza.

– Może to nie ta sekcja.

– Minęliśmy cztery membrany – powiedział Iarrey. – To było tutaj. Dokładnie tutaj.

– Jesteś pewien? – zapytał Morrisey.

– Stuprocentowo.

Kapitan położył bezwładnego Bourne'a na podłodze i podszedł do ściany. Przyjrzał się jej z bliska, po czym cofnął się o dwa kroki, ustawił fazer na maksymalną moc i wypuścił strugę plazmy prosto przed siebie. Nie trwało to dłużej niż sekundę. Duży fragment obłej ściany wyparował, ale gdy kłęby gryzącego dymu rozpełzły się, nie zobaczyli łącznika, który jeszcze niedawno tu był. Owalny otwór miał głębokość niemal dwóch metrów i wszystko wskazywało na to, że został wydrążony w litej materii.

– Kapitanie! – Nike spojrzął na wyświetlacze systemu łączności. Tym razem sporo diod świeciło się na zielono.

– Co znowu?

– Melduję, że mój system łączności działa.

– Świetnie, tyle że ze mną możesz pogadać bez pomocy systemu, a z *Nomadą* bez otwartych przejść się nie połączysz.

Morrisey odwrócił się, zaklął i nacisnął spust raz jeszcze. Znów spowił ich gryzący dym. W pewnym momencie Nike poczuł, że podłoga korytarza zdrząła. Jakby statek poczuł ból, jakby przeszył go jakiś skurcz. Kadet ledwie utrzymał się na nogach. Kapitan też się zachwiał, a końcówka strumienia plazmy, nim zniknęła, zrobiła spory wyłom w suficie.

Tym razem, ledwie dym się rozwiął, zobaczyli znajomy widok. To było wnętrze jednego z bocznych pomieszczeń, które oglądali po wejściu do łącznika. Morrisey uśmiechnął się krzywo.

– No to już wiemy, dlaczego nie zgadzały nam się pomiary.

– Zadziwiająco – powiedział Iarrey, wciskając się do otworu. – Ten statek nie ma stałej struktury. Tworzy przejścia tam, gdzie są aktualnie potrzebne. – Rozejrzał się po pomieszczeniu i wskazał ścianę, w której przedtem była membrana wejściowa. Teraz widział tam taką samą gładką powierzchnię jak wszędzie. – Coś mi się zdaje, że zaprowadził nas prosto do miejsca, do którego mieliśmy dotrzeć. – Zawrócił i przyjrzał się krawędziom wypalonego otworu. – Spójrzcie na to, materia zaczyna się replikować...

Faktycznie, na wypalonym strumieniem plazmy gładkiej powierzchni zaczęły się pojawiać bąble, narośle – jakkolwiek to nazwać. Statek Obcych odbudowywał naruszoną strukturę.

Morrisey popchnął Nike'a w kierunku otworu, a potem pochylił się, by podnieść wciąż nieprzytomnego Bourne'a.

– Miejmy nadzieję, że główne korytarze nie zasklepiają się tak jak łączniki. Nike, masz dostęp do holoplanu tej części statku?

– Zgubiłem mapnik.

– To niedobrze. A pamiętasz rozkład tych pomieszczeń?

– Mniej więcej. Jesteśmy po prawej, tu były cztery pokoiki, takich na oko rozmiarów.

– Cztery, powiadasz... – Morrisey milczał przez chwilę, jakby coś obliczał. – Łącznik miał najwyżej piętnaście metrów długości. Te pomieszczenia mają po trzy metry szerokości. Musimy zatem przepalić około trzech metrów ścian, żeby dostać się do głównego korytarza. Mój fazyer jest już prawie pusty, ale mamy dwa pełne. Powinno się udać.

– Nie możemy wypstrykać się z całej plazmy – zaproponował Iarrey. – Jest jeszcze ten... anioł.

– Będziemy się nim przejmować, jak go spotkamy – uciął dyskusję Morrisey. – Odsuńcie się.

– Nie – powiedział cicho, lecz zdecydowanie Nike.

– Co znaczy: nie? – Kapitan zatrzymał się i spojrzał na niego wrogo.

– Powinien pan to przemyśleć, sir... – Nike przełknął głośno ślinę. – Ta

materia pali się, wydzielając sporo dymu. Jeśli wejdziemy tam wszyscy, podusimy się. Lepiej zostańmy tutaj i stąd...

– Młody ma rację. – Iarrey, przyglądając się krawędziom otworu, nieoczekiwanie poparł kadeta. – Ta dziura zasklepi się za jakieś sześć, siedem minut. Napieprzaj, Henrichard, ale my z Bourne'em poczekamy tutaj. Nie będziemy ci zabierać tlenu. – Podał Morriseyowi swój fazer.

* * *

Kapitan zużył całą plazmę z fazera porucznika, zanim zdołał się przebić do czwartego z pomieszczeń. Według obliczeń od głównego korytarza dzielił ich jeszcze tylko metr ściany. Niestety pierwszy otwór zmniejszył się już na tyle, że istniała obawa, iż nie zmieszczą się do niego. W tej sytuacji Morrisey postanowił wyczerpać resztkę plazmy ze swojego fazera, mimo że stanowił on jedyną obronę trójki czekających w wewnętrznym korytarzu astronautów.

Iarrey zdołał poszerzyć otwór o kilkadziesiąt centymetrów, zanim cichy syk oznajmił, że plazma się skończyła. To dawało im kilka dodatkowych minut. Dowódca *Nomady* nie próżnował w tym czasie. Krztusząc się od gryzącego czarnego dymu, przepalał kolejną ścianę. Nike i Iarrey spoglądali lękliwie na niknący w mroku korytarz. Gdyby Obcy zdecydował się w tej chwili pojawić, nie mieliby najmniejszych szans. Woleli nie myśleć, co będzie, jeśli Morrisey się pomylił i zewnętrzny krąg już nie istnieje.

– Teraz albo nigdy! – Pierwszy oficer chwycił Nike'a za ramię i wskazał coraz szybciej zmniejszający się otwór w ścianie. – Wchodzimy.

Podnieśli wciąż nieprzytomnego porucznika i przetaszczyli go do pierwszej kabiny. Mimo braku ciężenia nie była to łatwa operacja. Kłęby łzawiącego, drażniącego płuca dymu nie pozwalały otworzyć oczu i zaczerpnąć głębiej powietrza. Byli już w otworze między trzecim a czwartym pomieszczeniem, kiedy w słuchawce Nike'a coś zaszumiało i nagle usłyszał mocno zniekształcone słowa. Morrisey przebił się do miejsca, w którym łańcuch dron nadal miał

łączność z *Nomadą*.

Krztusząc się, wypadli na korytarz.

– ...ie jesteście, odbiór! – Zachrypnięty od krzyku głos nawigatorki brzmiał w uszach Nike’a jak najcudowniejsza muzyka.

– Smiley, żyjemy! – ryknął w przerwie między spazmami kaszlu. – Skurwyklonia mać, żyjemy! Jesteśmy w głównym korytarzu!

Morrisey, leżący dwa metry od niego z oczami czerwonymi jak wampir, nagle zeszywniał.

– Coś ty powiedział? – zapytał ledwie zrozumiale.

– Zameldowałem, że... – Z trudem łapiąc oddech, Nike uśmiechnął się do niego, ale natychmiast spoważniał.

Twarz kapitana nabiegła krwią.

– Coś ty powiedział, skurwykloni pomioście? – powtórzył Morrisey i znów się rozkaszłał.

– Nie rozumiem...

– Nie rozumiesz? – Morrisey podniósł fazer, którego lufa wciąż się żarzyła. – Jak nazwałeś Annataly?

Nike pobladł. „Smiley”... Tak Annataly pozwalała na siebie mówić tylko wtedy, gdy... Na statku pilnował się, ale tutaj, ze szczęścia...

– To nie tak...

– Nie tak? – Morrisey ledwie mówił, ale jego oczy wyrażały bezgraniczną nienawiść. – Ostrzegałem cię, śmieciu. Najmniejszy ślad i...

Nike zamknął oczy, gdy kapitan naciskał spust. Nie poczuł nic, za to usłyszał przeraźliwy wrzask.

– Henrichard!

Zdumiony spojrział w głąb korytarza. Stała w nim postać w pełnym skafandrze próżniowym. Bez wątpienia Annataly.

– A ty, sklonowana szmato, co tu robisz? – Nie mniej zaskoczony Morrisey popatrzył na przybyłą, po czym ze złością odrzucił bezużyteczny rozładowany fazer. – Kto, do cholery, pilnuje statku?

– Szmato? Sklonowana? – Głos Annataly zabrzmiał w słuchawkach jak syk żmii. – Może gdybyś bardziej interesował się mną niż butelką, nie miałbyś takich problemów ze wzwo...

– Zamknij się, dziwko! – ryknął kapitan, siniejąc na twarzy. – Zabiję cię razem z tym... tym...

– To ty się zamknij, Henrichard! – Te słowa nie padły z ust Annataly ani Nike'a. – Gównu mnie obchodzi twoja potencja! – mówił podniesionym głosem Iarrey. – Mamy tu teraz większy problem. I nie zamierzam zginąć tylko dlatego, że tobie, stary pijaku, już nie staje, zrozumiano?!

Morrissey spurpurowiał. Otwierał właśnie usta, żeby posłać do diabła pierwszego i całą resztę, lecz Annataly go ubiegła.

– Nie wiem, na co wy trafiliście, ale powinniście zobaczyć, co znalazłam za tymi grodziami. – Rzuciła w ich stronę holopad.

– Załóż się, że nas nie przebijesz. – Morrissey chwycił urządzenie w locie. Włączył odtwarzanie, choć widać było, że bardziej interesuje go w tym momencie przegryzanie gardeł, zarówno nawigatorki, jak i kadeta.

Ładownie statku wydawały się ogromne. Trudno było ocenić, jak wielkie. Równie trudno było zliczyć, ile ciał – chociaż słowo „ciała” chyba nie bardzo pasowało do sytuacji – się w nich znajdowało. Widzieli tysiące, dziesiątki tysięcy wypatroszonych i zamrożonych humanoidalnych istot wiszących w równych szeregach. Kobiet, mężczyzn, nawet dzieci...

– Co to, do skur... – wyszeptał Morrissey po chwili ciszy.

– Nie wiem jak wam, ale mnie się to teraz składa w logiczną całość – powiedział Iarrey. – Gość ze skrzydłami, te ciała, pojazdy w doku...

– Co ty pieprzysz, Heraklesteban? – zdziwił się Morrissey. – Jakie znowu pojazdy?

– Zajmowałem się analizą tych stateczków przytwierdzonych do wieży w doku – przypomniał mu Iarrey. – Katalogowałem wszystko i... spokoju mi to nie dawało. Odniosłem wrażenie, że jeden skądś znam. A w każdym razie...

– Streszczaj się – zganiał go Morrissey.

- Biblia. Księga Ezechiela – powiedział krótko Iarrey. – Koło w kole.
- Prosiłem grzecznie...
- Opis aniołów zabierających proroka Ezechiela do nieba. – Nike pierwszy załapał. – Tam jest opisany pojazd, którym go wieźli. I koło w kole.
- Takie samo rozwiązanie techniczne zauważyłem w pojazdach, które znaleźliśmy w doku tego statku – dokończył Iarrey.
- Chcesz mi powiedzieć, że ten skrzydlaty skurwyklon z ryjem jak syrena alarmowa to protoplasta anioła? – zapytał Morrisey.
- Jaki skrzydlaty skurwyklon? – dołączyła do niego równie zdziwiona Annataly.
- Tak – Iarrey nie zwrócił uwagi na jej pytanie – to właśnie chcę powiedzieć. Od tysięcy lat ludzie mówią o spotkaniach z aniołami, wysłańcami Boga. A tu mamy statek, na którym jest skrzydlata istota wyglądająca jak zdjęta z fresku starożytnej świątyni, i do tego całą ładownię wypatroszonych humanoidów. Idę o zakład, że to ludzie.
- Czyli...
- ...my naprawdę jesteśmy pokarmem bogów – zakończył za dowódcę Iarrey.
- No dobrze. – Morrisey wyłączył holopad. – Czy teraz mogę się już dowiedzieć, kto czuwa na *Nomadzie*?
- Kiedy straciliśmy kontakt, obudziłam ojca Pedroberto – odpowiedziała spokojnie Annataly.
- No to módlmy się, żeby nasz skrzydlaty przyjaciel nie zechciał go odwiedzić przed nami – z westchnieniem podsumował sytuację Morrisey.

CZTERNAŚCIE

Szli w kierunku hangaru, wciąż wywołując *Nomadę*. Bezskutecznie. Nie uzyskali połączenia na żadnej z częstotliwości alarmowych. Nike na wszelki wypadek trzymał się z dala od kapitana.

- Zabiję go, po prostu zaduszę własnymi rękami – gorączkował się Morrisey.
- Gdzie ten katabas polazł?
- Jak go znam, obzera się teraz w mesie – wtrącił Iarrey.
- Tam też są głośniki – zgasił go kapitan.
- Nie sądzicie chyba – powiedziała Annataly – że ten... ee... Obcy jakoś dostał się na nasz statek?
- A niby jak? – prychnął Morrisey.
- Anioł stojący przed księdzem...
- Jak miał przed nim stanąć?! – wrzasnął zirytowany Morrisey. – Goły w otwartej przestrzeni? Jakby był taki mocny, toby nie utrzymywał atmosfery na własnym statku.
- Tylko *zastanawiałem się* na głos – zachnął się pierwszy oficer.
- Siejesz defetyzm i tyle. Bez kodów dostępu nie otworzyłby śluz, a Pedroberto niespecjalnie ma go jak zauważyć.
- A nie pomyślałeś, skąd Bourne ma takiego krwiaka na czole? – zapytał Iarrey.
- Bo oberwał centralnie? – odparł Morrisey.
- Czym oberwał? – skontrował natychmiast Heraklesteban. – Nike mówi, że

widział, jak anioł przystawiał mu do twarzy tę dziwną narośl.

– I co z tego? – zniecierpliwiał się kapitan, po raz kolejny wywołując *Nomadę*.

– A jeśli w ten sposób wysondował jego myśli? Zebrał wszystkie potrzebne mu informacje? W tym kody dostępu do służby?

– Fantazjujesz.

– Być może. – Iarrey uśmiechnął się złośliwie. – Jeszcze parę godzin temu nie wierzyliśmy w istnienie Obcych. Teraz mamy ładownie pełne wypatroszonych ludzi, kołosa wyglądającego jak anioł i pojazdy z Biblii... Jak dla mnie, zrobiło się na tyle fantastycznie, że wszystko jest prawdopodobne. Nawet to, co wydaje się totalnie niedorzeczne.

Kapitan nie odpowiedział. Ze zdwojoną energią zaczął wywoływać *Nomadę*. Nike, pomimo strachu i odrazy, w głębi serca podziwiał jego upór. Nie wierzył, by te próby przyniosły jakikolwiek efekt, ale gdy po setnym wezwaniu pośród trzasków rozległ się niewyraźny głos, niemal krzyknął z zachwytem.

– Ojcie, to ja! – ryknął Morrisey. – Słyszysz mnie ojciec?

– ...ak, słyszę cię, synu.

Głos był zniekształcony, ale zrozumieli. Wszyscy odetchnęli z ulgą.

– Sytuacja alarmowa – podjął kapitan. – Musi ojciec obudzić kadetów i przysłać ich w pełnym rynsztunku bojowym z zapasowymi hełmami na ten wrak. Natychmiast.

– Obawiam się, że to niemożliwe – odpowiedź była tyleż krótka, co konkretna.

– Słucham? – Morriseya zatkało.

Przez chwilę panowała cisza.

– Nie odzywałem się do was – powiedział w końcu ojciec Pedroberto – bo musiałem sobie przemyśleć tę sprawę.

– O czym ojciec, do skur... – zirytował się kapitan.

– Zamilcz, Henrichard! – uciszył go kapłan. – Tolerowałem twoje grzeszne uczynki, bo nie miałem wyjścia. Ale teraz już mam.

– Obserwowałeś nas? – zdziwił się Iarrey. – Jeśli tak, to widziałeś, co

zarejestrowały kamery w ładowniach tego statku. Słyszałeś, co mówiłem...

– Owszem – potwierdził ojciec Pedroberto. – Jeśli wam się wydawało, że nie mam powołania, to głębokoście się mylili. Ja naprawdę wierzyłem w słowo Boże. W to, co zapisano w Piśmie. A że czasem postępowałem inaczej...

– Ale jakie to ma teraz znaczenie? – zapytała łamiącym się głosem Annataly.
– Co to ma wspólnego z wysłaniem po nas promu?

– Nie domyślasz się? – spytał kapłan.

– Nie.

– To, co dzisiaj zobaczyłem i usłyszałem, zaprzecza podstawom mojej wiary. Wiary, którą wyznają dziesiątki miliardów ludzi w setkach skolonizowanych systemów. Wiary, która od tysiącleci kształtuje naszą cywilizację. Znaleźliście dziś dowody na to, że czciliśmy istoty, które traktowały nas tak, jak my traktujemy... bydlę rzeźne. Jak sądzicie, czym skończyłoby się wyjawienie tej prawdy? – Zapadła cisza, nawet Morrisey nie odpowiedział. – Mogłoby to zachwiać podstawami cywilizacji. Może nawet doprowadzić do kolejnej wojny...

– Przestań pieprzyć, wredna świni! – Kapitan w końcu nie wytrzymał. – Dla kasy byłeś w stanie przymykać oko na rzeź niewiniątek, a teraz zgrywasz świętego...

– Byłem grzesznikiem, to prawda – przyznał ojciec Pedroberto – ale znalazłem sposób na odkupienie swoich win w obliczu Boga.

– Jakiego znowu Boga? – zachnął się Iarrey. – Widziałeś przecież, czym są te istoty. Teraz już wiesz, że twoja wiara nie ma sensu...

– Ja to wiem – powiedział spokojnie kapłan – wy to wiecie, ale reszta ludzkości nie ma o tym pojęcia i nigdy się nie dowie.

– Nikomu nie powiemy, masz nasze słowo – obiecał gorliwie przerażony nie na żarty Morrisey, powoli zdając sobie sprawę, do czego zmierza ojciec Pedroberto. Nike, Annataly i Iarrey skwapliwie mu przytaknęli.

– Mylisz się, synu – stwierdził ksiądz. – Znam wasze ułomności. Jesteście zbyt zepsuci, żeby zatrzymać tę tajemnicę dla siebie.

– I kto to mówi? – prychnęła Annataly.

– Co ojciec zamierza? – zapytał z przekąsem Nike. – Chce nas ojciec zabić z zimną krwią? Czy to nie będzie wbrew siódmemu przykazaniu?

– Przykazania?! – zaśmiał się Pedroberto.

– Ty wcale nie chcesz za nic odpokutować! – wybuchnął Morrisey. – Boisz się, że wylecisz na zbity pysk razem z resztą waszej zakłamej mafii...

Mina kapłana wskazywała jednoznacznie, że diagnoza kapitana jest trafna.

– Zamierzasz nas tutaj zostawić na pastwę losu? – zapytał Iarrey. – Z tym potworem na karku?

– Aż taki szalony nie jestem – odparł kapłan. – Moglibyście coś jeszcze wymyślić... Dlatego zadbałem, żeby ten statek został wymazany z historii świata. A jeśli jeszcze nie wiesz, o czym mówię, mój synu, słowo klucz brzmi: kolapsar. Z Bożą pomocą uaktywniłem właśnie jedno z tych waszych piekielnych urządzeń. Za kilka godzin we wszechświecie nie pozostanie żaden ślad waszego odkrycia. Z Bogiem, moje dzieci.

– Będziesz się smażył w piekle, klecho! – wrzasnął Morrisey.

Pedroberto spojrział na niego jak na niesfornego łobuziaka, po czym zniknął z ekranu.

– W świetle ostatnich wydarzeń nie sądzę, żeby piekło było dla niego straszakiem – mruknął załamany Nike.

– Ano właśnie... – Uśmiech kapitana Morriseya nie zwiastował niczego dobrego. – Skoro ten temat mamy już zamknięty i skoro mam dzisiaj umrzeć, a piekła nie ma, pora dotrzymać słowa danego Damiandreasowi, panie córeczkojebco...

Część druga

KOLONIA

PROLOG

System Xan 4, Sektor X-ray,

17.08.2354

Karan Degard przesłonił oczy grubszymi powiekami. Czekał na znajomy stukot arada, ale od strony namiotu nie dobiegał najlżejszy nawet szmer. Cisza trwała stanowczo zbyt długo. Mijały kolejne spęcznienia błony, lecz nic nie zapowiadało zmiany. Garstnik tkwił więc w bezruchu, choć obrzeże kołpaka wpijało mu się boleśnie w miękisz. Tahary, wyczuwszy rosnące napięcie swojego żywiciela, poruszały się nerwowo w porowatości – zarówno te żerujące tuż pod powierzchnią, jak i mniejsze, ukryte przy chrząstce, która oddzielała tę część ciała młodego wojownika od najważniejszych narządów wewnętrznych.

Głuchy stukot świętej kości przywrócił mu spokój. Karan Degard otworzył oczy. Wyprostował się powoli, zaciskając szpony na pokrytych misternym wzorem uchwytach miażdżerów. Zasłony dzielące go od wodza klanu wciąż były opuszczone, jednakże dzięki blaskowi silniejszego słońca, które wstawało właśnie za zdobycznym namiotem, widział sylwetki poruszające się między płachtami falującymi na leniwym wietrze. Najwyższy Suhur przykucał właśnie na podwyższeniu.

– Duchy Gór znów przemówiły. Spełniły daną nam obietnicę – wycharczał z szacunkiem Karan Degard, przywołując ręką tragarzy.

Stojący najbliżej niego mennici rozsunęli się, przepuszczając dwóch ubłoconych, niemal nagich młodzików niosących wygięty mocno konar

sągrowca, do którego przytroczono rzemieniami podłużny przedmiot. Nie dało się określić dokładnych kształtów daru, gdyż został szczelnie przykryty. Jedno było pewne: długością niewiele ustępował najokazalszej suhurskiej włóczni. Musiał też być bardzo ciężki, skoro gruba gałąź aż tak się wygięła. Przerzucona przez nią skóra tiszki szorowała przy każdym kroku po wydeptanej ziemi.

Na dany przez garstnika znak z szeregu wojowników wychynęli kolejni młodzicy. Z bojaźliwym szacunkiem ominęli tragarzy, aby rozstawić przed namiotem niskie trójnogi. Przygarbiony densha rozłożył pod nimi ozdobioną symbolami klanu skórę hrylla, a potem skropił ją posoką świeżo zabitego Gurda. Błękitne krople szybko wsiąkały, dołączając do setek wcześniejszych, tworzących poczerńiałe plamy. Gdy potępiony przez bogów obracał się, by wrócić za namiot, wojownicy mogli zobaczyć na jego plecach spore wyrzuszenie. Misterna plecionka z wysuszonych ścięgien i drobnych kości wydymała się w miejscu, gdzie tkwiła wciąż zaschnięta pełchawka.

Gdy konar zawisł wreszcie na przygotowanym rusztowaniu, a tragarze wrócili do szeregu, Karan Degard zacisnął po raz kolejny grubsze powieki. Nie otwierając ich, sięgnął po skórę i zdecydowanym ruchem odkrył dar. Nie musiał patrzeć na zgromadzonych wokół mennitów i tłoczących się za nimi członków klanu, by wiedzieć, jakie zrobił na nich wrażenie. Szmerzy umilkły jak zacinakiem uciął. Zaległa cisza przerywana jedynie gulgotem piskląt siedzących w pobliskim kojcu. Na grubych rzemieniach wisiał dziwny, długi na cztery ostrza dźgaka srebrzysty przedmiot.

Chwilę później densha podciągnął przednią zasłonę namiotu. Tore Numa-Reh, sto pierwszy wódz klanu Trzykrotnie Przebitej Tarczy, wstał wolno, prostując kolejne stawy nóg. Kiedy szczytem płaskiego hełmu sięgnął sklepienia, zstąpił z podestu, wciąż spoglądając z góry na otaczających go o wiele niższych wojowników. Przesłonił cieńszą powieką główne oko dopiero wtedy, gdy opuścił cień. Karan Degard nie wiedział, czy to słońce poraziło Najwyższego czy może boski blask bijący od złożonego mu daru.

Tore Numa-Reh kroczył dumnie wąskim szpalerem najroślejszych mennitów,

których i tak przewyższał o kilka grotów. Jego szara, pokryta gęstą siecią piroglifów i blizn skóra lśniła jak natłuszczona. Boczne oczy miał ufnie przysłonięte, lecz jego membrany tchawiczne sterczały spod obramowania kościanego hełmu. Karan Degard poczuł ciepły dreszcz przenikający go aż do głębi. Najwyższy Suhur klanu wydawał się nie tylko zaskoczony, ale i zadowolony.

Na rozkaz wodza przecięto rzemienie podtrzymujące dar Duchów Gór, a potem złożono go ostrożnie na okrytej skórą ziemi. Tore Numa-Reh kucnął przy błyszczącym obłym przedmiocie, aby przyjrzeć się licznym detalom. Patrzył długo i badawczo, czego jednak Karan Degard nie miał mu za złe. Sam spędził przed jaskiniami Bor Omot wiele spęcznień błony, rozkoszując zmysły widokiem Siewcy Gromów.

– Duchy Gór przemawiają do ciebie – zahurgotał w końcu Tore Numa-Reh, nie odrywając wzroku od daru. – To musi być dzieło bogów. Żaden Gurd nie stworzyłby czegoś tak wspaniałego. – Wyprostował wolno nogi. – Wiesz, jak posługiwać się tą bronią?

– Tak – odparł zgodnie z prawdą Karan Degard.

– Uracz zatem nasze oczy mocą Bogów! – rozkazał mu Tore Numa-Reh.

Garstnik skulił się niespokojnie, a jego tahary znów zaczęły się wiercić.

– O przerastający najroślejszych Wojowników Kości – zaczął ostrożnie. – Duchy Gór przestrzegły mnie, abym nie korzystał przedwcześnie z ich daru...

Wódz klanu przymknął grubsze powieki na bocznych oczach, skupiając na nim wzrok.

– Nie możesz czy nie potrafisz zaprezentować mocy tej broni? – zapytał.

– Mogę i potrafię – zapewnił go natychmiast garstnik, zwalczając po raz kolejny pokusę odchylenia kołpaka. – Zanim to jednak uczynię, chciałbym, abyś posłuchał ostrzeżenia przekazanego mi przez Duchy Gór.

– Otwórz zatem swoje membrany! – zahurgotał Tore Numa-Reh, wracając do cienia namiotu.

– Ta broń została wykradziona bogom Słońc i Gwiazd, którzy zazdrośnie

strzegą swoich tajemnic, i dlatego może być użyta tylko jeden jedyny raz! – Karan Degard rozpoczął przemowę, której nauczył się na pamięć podczas długiego powrotu z gór. – Gdy z niej skorzystamy, bogowie dowiedzą się, że ją posiadliśmy, i ukarzą straszliwie tych, którzy dopuścili się świętokradztwa. Dlatego kazano mi zapamiętać, że powinniśmy trzymać ten dar w ukryciu aż do dnia ostatecznej bitwy. Duchy Gór zwa tę broń Siewcą Gromów. Tutaj – wskazał masywną kolbę – kryje się jej niewyobrażalna moc. Tak wielka, że najpotężniejsze pociski miotane przez Gurdów wydadzą się przy niej równie niegroźne jak wyschnięte nasiona sagrowca. – Przez szeregi wojowników przetoczyła się fala cichych szmerów, jako że broń błękitnokrwistych znana była ze swej niszczycielskiej siły. – Dzięki niej w jedno spęcznienie błony możemy odmienić losy nadchodzącej wojny. Ta broń zdoła dosięgnąć wroga odległego o dwadzieścia, a nawet trzydzieści strzałów z łuku. – Rozległ się kolejny szmer podziwu, jeszcze głośniejszy. Żaden Suhur nie sięgał wzrokiem na taką odległość. – Dobrze wymierzona, a do tego służy ta jej część – Karan Degard włożył szybko rękawice, aby nie zbrukać daru brudnymi szponami, po czym dotknął nabożnie wybrzuszenia u szczytu Siewcy Gromów – zamieni w krwawą miazgę nie tylko wodza Gurdów, ale też wszystkich towarzyszących mu czworonogich, i to w promieniu kilkunastu włóczni. – Nacisnął czerwoną plamkę ozdobioną magicznymi znakami i nagle ponad płaskim zakończeniem wypustki pojawił się widmowy obraz.

Zaintrygowany Tore Numa-Reh znowu opuścił cień, tym razem pośpieszniej, nie dbając o pozory. Karan Degard przesunął maleńką dźwigienkę, a gdy ze spodniej części broni wysunęły się dwie smukłe podpory, podniósł Siewcę Gromów z ziemi. Przyklękawszy obok, zwrócił cieńszy koniec broni w stronę strzegących brodu wież położonych w odległości piętnastu strzałów z łuku. Wszyscy widzieli na horyzoncie zarysy wysokich pni, na których umieszczono kościane strażnice, jednakże najlepszy nawet obserwator nie był w stanie powiedzieć, czy są obsadzone czy puste.

Garstnik przymknął boczne oczy, skupiając wzrok na przestrzeni przed sobą.

Po chwili odsunął się na bok.

– Na śmierć moich taharów! – Tore Numa-Reh uniósł ręce.

Mennici poruszyli się niespokojnie. Tajemniczy widmowy obraz ukazywał szczyt wieży strażniczej i stojącego na niej wspartego na włóczy stary wojownika. Karan Degard pokręcił niewielką gałką i na przecięciu dwu przerywanych linii pojawiła się sylwetka znanego wszystkim łowcy honbutów. Mimo swojego wieku Kon Hon-Tamin wciąż pozostawał czujny. Czerwony punkcik spoczął nad jednym z jego oczu, nieco powyżej krawędzi płaskiego hełmu.

– O najwyższy z najwyższych, sam widzisz, jak cudowna jest ta broń – kontynuował garstnik zadowolony z wrażenia, jakie zrobił pokaz. – Dlatego proszę cię raz jeszcze, abyś przyjął przestrożę Duchów Gór i zachował istnienie Siewcy Gromów w tajemnicy aż do ostatecznego starcia, przed którego nadejściem ostrzegają nas opiekuńcze duchy.

Tore Numa-Reh opuścił ręce. Jego wypustka wiła się miarowo wokół obramowania kołpaka.

– Dlaczego nie możemy wypróbować broni już teraz? – Ten hurgot dobiegł od strony zacienionego namiotu.

W chrapliwym głosie najstarszego kapłana pobrzmiwało niedowierzenie i jeszcze coś, czego Karan Degard nie umiał zidentyfikować. Tikren Da-Deradha nie przerwał mu aż do tej pory, choć nieraz miał na to ochotę.

– Na tego, kto użyje Siewcy Gromów, spadnie wielki gniew bogów Słońc i Gwiazd – przypomniał pośpiesznie garstnik, cofając się o krok od daru. – Musimy zachować tę broń w ścisłej tajemnicy. To słowa Duchów Gór.

– Niekoniecznie! – Kapłan wyszedł z pogrążonego w przyjemnym półmroku wnętrza namiotu. Stukając miarowo aradem, ruszył w stronę wodza klanu i leżącego przed nim daru. – Bogowie dali mi znak dziś, po wschodzie pierwszego słońca. Złożyłem im w ofierze sześciu dorodnych Gurdów. Posoka każdego z nich płynęła po żłobieniach ołtarza równo, nie pieniąc się ani razu. Trzewia żadnego nie splątały się przy patroszeniu, mimo że wybrałem

najdorodniejszych czworonogich, jakich schwytaliśmy ostatnio na równinach.

Karan Degard czekał pokornie, aż kapłan zamilknie.

– Powtarzam tylko to, co usłyszałem od Duchów Gór – zahurgotał.

Tikren Da-Deradha przesunął pomalowanymi na niebiesko szponami po chłodnym lśniącym korpusie Siewcy Gromów. Widać było, że i na nim niezwykła broń z zaświatów wywarła silne wrażenie.

– Zwiadowcy klanów pogranicza mówią, że Gurdowie budują nowe olbrzymie kręgi, tam – wskazał aradem na bród – na ziemiach, które utraciliśmy wiele starć słońc temu. Między nimi stawiają też szałas z kamienia, a w nich tworzą cuda z drewna i żelaza. Posiedli też ponoć zdolność unoszenia się w przestworzach. Szybują po niebie szybciej niż kumaksy. – Tore Numa-Reh wydał membrany, jakby zamierzał mu przerwać, ale kapłan uciszył wodza jednym lekkim stuknięciem arada w spękaną ziemię. – Nie wierzyłem w te opowieści, podobnie jak większość z was, ale dzisiaj sam już nie wiem, czy słusznie. Wróg zrobił się podstępny. Przez setki starć słońc odbierał klanom ziemię. Tylko za mojego życia utraciliśmy pełne zwierza równiny za Valt Aram. Wyszedłem z kojca tam – wskazał ręką widoczne na horyzoncie góry – w siole u podnóża Stromeego Osypiska, tego samego, na którym od niepamiętnych czasów składaliśmy ofiary. Wiele, wiele setek strzałów z łuku od naszych dzisiejszych granic. – Przesunął szpon na północ. – Nie mamy już dokąd się cofać. Za sadybami ostatnich klanów jest tylko ta kamienista wyżyna i klify opadające prosto do spienionego morza. Kiedyś było nas więcej, niż ziaren łuszczyku pomieści się na tarczy, dzisiaj nie zapełnilibyśmy nimi hełmu ani nawet kołpaka.

– Do czego zmierzasz? – zapytał Tore Numa-Reh, wykorzystując chwilę zadumy kapłana.

– Naoglądałem się w życiu podstępów wroga... – odparł Tikren Da-Deradha i znów zamilkł. – Nie dziwi cię, że Duchy Gór przemawiają przez prostego garstnika, pomijając nas, kapłanów?

Szmary przybrały na sile. Nawet mennici zaczęli hurgotać do siebie

i rozglądać się, jakby szukali odpowiedzi na to pytanie w oczach towarzyszy broni. W końcu ich uwaga, jak przedtem, skupiła się na Karanie Degardzie.

– O czcigodny, nawet mnie wydało się to dziwne – wyświstał garstnik. – Nigdy nie prosiłem o podobne wyróżnienie.

– I tego nie rozumiem. My błagamy o nie każdego dnia, a tymczasem Duchy Gór przemówiły do ciebie...

– Byty opiekuńcze same decydują, do kogo się odezwą. – Wódz klanu stanął po stronie garstnika.

– Doprawdy? – Tikren Da-Deradha nie zamierzał dać za wygraną. – Znasz inny przypadek takiej łaski?

Tore Numa-Reh milczał przez dłuższą chwilę, a potem zaprzeczył, zwijając pokornie wypustkę. Za jego życia i pamięci nie zdarzyło się jeszcze, by ktoś prócz kapłanów usłyszał choć jeden gwizd bytów opiekuńczych. Kontakt z nimi wymagał przecież skomplikowanych rytuałów i wielu ofiar.

– Klnę się na moje miażdżery... – zaczął Karan Degard, lecz zaraz umilkł skarcony przez obu dostojników.

– Zwiń membrany! – rozkazał Tikren Da-Deradha.

– Nie waż się skrzeknąć, póki ci nie pozwolimy – dorzucił wódz, po czym zwrócił się do kapłana. – Karan Degard służy mi wiernie od sześciu starć słońc, znam go, odkąd opuścił kojec.

– Tak, wiem – zbył go Tikren Da-Deradha. – Kosztowałeś jego taharów, a on twoich. To jednak nie oznacza, że mówi prawdę.

Ostatnie słowa kapłana wzbudziły zdumienie. Nie tylko wodza, ale i wojowników. Kłamstwo i podstęp były klanom obce, dopóki na Suhurcie nie pojawili się Gurdowie. Przesada czy niedomówienie mogły się zdarzyć każdemu, nigdy jednak nie przyłapano Wojownika Kości na celowym kłamstwie.

– Co masz na myśli? – zapytał poruszony Tore Numa-Reh.

– To może być kolejny wybieg wroga.

Wódz klanu i garstnik zwinęli wypustki jak jeden mąż.

– Spaliłem mrowie gurdyjskich kręgów, wyprawilem się z garstniami klanu aż na pogórze, ale nigdzie i nigdy nie widziałem czegoś podobnego! – Najwyższy Suhur wskazał szponem Siewcę Gromów. – Nasi wrogowie nie mogli stworzyć czegoś tak doskonałego.

– Niewiele jeszcze widziałeś, o najwyższy – stwierdził Tikren Da-Deradha.

– Naprawdę uważasz, że to pułapka Gurdów?

Kapłan nie odpowiedział od razu. Sięgnął wypustką pod kościaną szatę, pogmerał trochę w okolicach kołpaka i wyciągnął tłustego, wijącego się tahara. Wsunął go zaraz grubszym końcem do ssawki.

– Uważam, że bogowie, którzy stworzyli oba słońca i wszystkie gwiazdy, nie zniżyliby się do tego, by przemawiać do uszu prostego garstnika – zahurgotał, miażdżąc przy tym zrogowaciałą wargą ogon pasożyta, aby wessać jego wnętrzności do pęcherza trawiennego. – Uważam też, że Duchy Gór, które wiernie im służą, nie ofiarowałyby nam niczego wbrew woli swoich panów. Tak uważam – zakończył wypowiedź zgodnie z obyczajem. Pochłonawszy życiodajny miąższ symbionta, cisnął pustą powłokę na ziemię.

Densha natychmiast podniósł wijące się jeszcze resztki i skrył je w sakwie. To, czego nie mógł spożyć stary kapłan, jeszcze przed zmierzchem trafi do kojca.

Karan Degard nie mógł odmówić mu racji. Ale słyszał też szmer gwizdu Duchów Gór. Słyszał go wyraźnie, jakby byty opiekuńcze wisiały tuż nad jego hełmem. I zgodnie z wcześniejszą obietnicą otrzymał dar z zaświatów. Pełen nadziei przyniósł go prosto do sadyby klanu i złożył u stóp tego, któremu podlegały wszystkie garstnie. Wierzył, że Siewca Gromów to cud, którego Suhurowie wyczekiwali od pokoleń – broń, która odmieni losy odwiecznej i co gorsza, skazanej na przegraną wojny.

Gurdowie napierali na Wojowników Kości od ponad tysiąca starć słońc. Odkąd ich wielkie pękate okręty przybiły do brzegów Suhurty hen za horyzontem, w miejscu oddalonym o setki setek strzałów z łuku od sadyby, do której trafił Siewca Gromów. Klany stawiały zacięty opór. Zdarzyło się nawet,

że zepchnęły wroga do morza i zmusiły do opuszczenia zajętych wcześniej ziem. Nieprzebrane ryty opiewały heroizm najmężniejszych Wojowników Kości i wielkie zwycięstwa tamtej wojny. To jednak była już tylko historia. Kilka pokoleń po owym zwycięstwie przybyła nowa flota czworonogich Gurdów, potężniejsza, składająca się z jeszcze większych okrętów. Nadeszły nowe zastępy błękitnokrwistych, którzy okazali się znacznie sprytniejsi, liczniejsi i lepiej uzbrojeni od swoich przodków. Losy wojny zostały przesądzone. Wiele starć słońc później Gurdowie przypuścili ostateczny atak na Suhurte i od tej pory nieprzerwanie parli przed siebie. Najpierw poszli prosto na wschód, aby klinem swoich armii rozdzielić walczące klany, a potem, gdy im się to udało, zatknęli węzły nad urwiskami po przeciwnej stronie kontynentu, zbudowali tam pierwszy krąg i wyruszyli na południe, zostawiając północne, dzikie ziemie we względnym spokoju. Ale tylko do czasu.

Setki starć słońc później na płaskowyżu za Siedmioma Wierchami stanęły naprzeciw siebie wielkie armie. Zwarte szeregi zjednoczonych klanów były szerokie na pięć strzałów z łuku i na dwa głębokie. Naprzeciw Gurdów stanęło co najmniej osiem tarcz najmężniejszych wojowników tego świata. Wróg został pokonany, choć był wielokrotnie liczniejszy i miał grzmiące kije. Opromienione blaskiem zachodzących słońc równiny lśniły błękitem. Jednakże cena tego zwycięstwa była wysoka. Zbyt wysoka. Dymy stosów, na których żegnano poległych i dobitych, zasnuły cały płaskowyż i pobliskie góry.

Po tej bitwie zdziesiątkowane klany musiały się cofać przed kolejnymi falami najeźdźców, uchodząc między szczyty ostatnich gór dzielących je od północnych wyżyn. Walki trwały długo, lecz koniec końców Wojownicy Kości zostali wyparci nawet z tych niegościnnych grani. Wróg nie walczył honorowo – ilekroć nie potrafił zwyciężyć w otwartym boju, morzył obrońców głodem albo zabijał podstępem. Ostatni Suhurowie opuścili sadyby za rzeką i pradawne ołtarze już za życia obecnego najstarszego kapłana. Od urwistych klifów północy i wód oceanu dzieliło ich teraz niespełna siedem setek strzałów z łuku.

Tikren Da-Deradha w jednym tylko nie miał racji: wojowników zostało nie

więcej niż ziaren sągrowca mieszczących się w szponach, a nie na dnie hełmu czy we wgłębieniu kołpaka.

Garstnik spojrział na lśniący srebrzysty dar Duchów Gór, na jego obłe kształty i niesamowitą obcą ornamentykę. Trudno było uwierzyć, że Gurdowie zdołali wyprodukować coś tak pięknego i skomplikowanego. Chociaż...

– Słuchajcie mnie wszyscy! – Tikren Da-Deradha wstał, unosząc arad wysoko ponad głowę. – Jest tylko jeden sposób, by sprawdzić, czy ta broń została nam naprawdę darowana przez Duchy Gór. – Zamilkł na chwilę, jakby się zastanawiał, czy powinien to powiedzieć. – Musimy ją wypróbować! Tu i teraz!

– Ale... – Karan raz jeszcze otworzył membrany, lecz natychmiast umilkł, zanim wódz czy kapłan zdążyli zareagować.

Tikren Da-Deradha zwinął wypustkę w wymownym geście.

– Nie wierzę, że Duchy Gór odważyły się wykraść bogom Słońce i Gwiazd ich własność.

– Ja też w to wątpię – przyznał Najwyższy Suhur – ale zmieniłem zdanie, kiedy Karan Degard przyniósł Siewcę Gromów.

– Mam uwierzyć w to, że skrzydlaty faworyt naszych bogów, nieznany dotąd z żadnych rytów – przez moment szukał w pamięci jego miana – Lut Se-Ifer sprzeciwił się woli tych, którzy stworzyli słońca, a potem jedno z nich rozbili na maleńkie gwiazdy? Że zbuntował się, gdy oświadczone mu, iż niezadowoleni z Suhurów bogowie skazują ich na zagładę? Że został za karę wygnany i uwięziony pod górami? Że on i jego poplecznicy mimo szykan zamierzają o nas walczyć? Nie tylko z Gurdami, ale i ze wszechmogącymi Koredem, Yabą i Thubem?

Tore Numa-Reh odczekał, aż starzec się wyskrzeczy, i dopiero wtedy odpowiedział:

– Jeśli to podstęp naszych wrogów, dlaczego nie wybrali kogoś ze świątyni?

– Nas trudniej omamić niż zwykłego garstnika.

– Uległbyś, gdyby Duchy Gór zaszemrały w twojej głowie – upierał się Tore Numa-Reh.

Choć z jego logiką rzadko można było dyskutować, tym razem kapłan spróbował.

– Zauważyłbym różnicę. Setki razy rozmawiałem z zaświatami.

– Proponujesz zatem, abyśmy zlekceważyli ostrzeżenia Duchów Gór, twoim zdaniem pochodzące od wroga, i wypróbowali świętą broń tu i teraz?

– Tak! – Z oczu kapłana zniknęły wszystkie błony.

– A jeśli prawdą jest, że Kored, Yabha i Thub opuścili nas w potrzebie? Jeśli zmarnujemy ostatnią szansę na ratunek?

– Każ użyć Siewcy Gromów. Sam się przekonasz.

Tore Numa-Reh skinął na Karana Degarda. Garstnik posłusznie sięgnął po broń.

– Jeśli to podstęp, powinienem oddalić się od was na wiele włóczni – wycharczał.

– Mądra myśl – pochwalił wojownika Tikren Da-Deradha. – Stań pod tamtym parchanem i wymierz w którąś z wież strażniczych.

– Ale...

– Znajdź taką, na której nikogo nie ma.

Zrezygowany Karan Degard wycofał się bez jednego gwizdu i ruszył w kierunku wskazanej rośliny, uginając się pod ciężarem Siewcy Gromów. Zgodnie z instrukcjami Duchów Gór oparł masywny metalowy korpus o poskręcane konary, aby móc spokojnie wycelować. Gdy na przecięciu linii pojawiła się pusta klatka strażnicy, pociągnął końcem szpona za „spust”, jak Lut Se-Ifer nazywał niewielki osłonięty jęczyzek. Zmówił przy tym krótką niemą modlitwę, której także nauczył się od Duchów Gór.

Nie usłyszał huku typowego dla grzmiących kijów i pni, którymi Gurdowie bronili swoich kręgów. Srebrzysta broń lekko szarpnęła się w jego szponach. Widoczne na widmowym obrazie czerwone linie wciąż przecinały się na środku spiczastej konstrukcji z kości. Karan Degard czuł, że błona pęcznieje mu w przyspieszonym tempie. Jednak okazał się głupcem, został oszukany. Broń nie działała, wieża wciąż była ca...

Widmowy obraz nad korpusem Siewcy Gromów zniknął nagle, a zastąpiła go kłująca w oczy biel. Gdzieś z tyłu dobiegł głośny hurgot. Garstnik odłożył broń i przeniósł wzrok na horyzont, na którym w bezchmurne niebo wzbijała się właśnie wielka kula ognia i dymu.

– Na śmierć wszystkich taharów – wycharczał i odruchowo przeżegnał się gestem, którego nauczyły go Duchy Gór. Za trzech bogów i ich strąconego w czeluść sługę.

Ujął ciepły wciąż korpus broni, podrzucił ją na ramię, jak zwykli czynić Gurdowie ze swoimi grzmiącymi kijami, i ruszył ku sadybie. Nie uszedł nawet trzech kroków, gdy przypomniał sobie o ostrzeżeniu: gniew bogów miał nadejść chwilę po użyciu Siewcy Gromów. Uradowany sukcesem zapomniał o klątwie! Wydostał się już spod poskręcanych gałęzi parchanu, mógł zatem spojrzeć w górę, prosto w bezchmurne niebo.

Błyskawica, która w niego trafiła, wyglądała przedziwnie. Nie miała wielu odnóg, nie wiała się i nie drgała. Kolumna oślepiającego światła uderzyła z bezchmurnego nieba prosto w miejsce, gdzie stał młody garstnik. Wypaliła w ziemi krąg o średnicy trzech włóczni i postawiła w ogniu koronę świętego parchanu. Podmuch eksplozji, która wyryła w ziemi głęboki krater, rozrzucił dumnych Wojowników Kości jak wichura ziarna.

Karan Degard wyparował; nie pozostała po nim nawet jedna kostka. Razem z nim zniknął Siewca Gromów.

JEDEN

System Demeter, Sektor Omega,

14.07.2351

– Ile czasu jeszcze potrzebujecie?

Kapitan Henryan Świącki nie odpowiedział na to pytanie. Stał nadal przy centralnej części grodzi, nie spuszczać wzroku z rozgrzanego do białości otworu i snopów iskier towarzyszących pracy potężnej laserowej wiertarki. Gruby jak palec promień zgasł nagle, na mgnienie oka pograżając służę w kompletnych ciemnościach. Osłona hełmu potrzebowała dwu dziesiątych sekundy, by przystosować się do normalnych warunków. Krystalit jaśniał szybko, a wraz z nim otoczenie.

– Dawać retraktor! – wrzasnął Świącki, machając ręką w kierunku ratowników czekających pod przeciwległą ścianą.

Podbiegli natychmiast, niosąc przed sobą grube szczęki urządzenia. Dopasowali je pośpiesznie do otworów, nie zwracając uwagi na to, że plastał wciąż jest rozgrzana do czerwoności. Dla ludzi po drugiej stronie grodzi liczyła się każda sekunda. Ratownicy wiedzieli o tym, nic więc dziwnego, że zżerały ich nerwy. Ciężki retraktor wyslizgnął im się z rąk i dopiero za drugim podejściem zdołali wsunąć wszystkie cztery zaczepy w jarzące się krwiście otwory.

Henryan dobił dla pewności każdą końcówkę młotem, a potem uniósł dłoń, dając znak operatorowi, że może włączyć pompy.

– Jak długo to jeszcze potrwa? – Głośniki komunikatora ożyły ponownie. Tym razem pytanie zostało zadane znacznie natarczywszym tonem.

– Dwie minuty, majorze – rzucił Henryan, nie odrywając wzroku od grodzi. – Tylko dwie minuty.

– Nie mamy tyle czasu. – W głosie przełożonego słychać było irytację.

– Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, ewakuację rozpoczniemy już za... siedemdziesiąt cztery sekundy.

Święcki zamilkł. Pośrodku grodzi pojawiła się szczelina. Szczęki retraktora zaczęły rozwierać masywną przegrodę, walcząc z potężnymi tłokami zamka, który przyciskał do siebie cztery grube płyty plastali, odcinając ludziom dostęp do następnej sekcji kadłuba.

– To działa! – wrzasnął, zapominając o otwartym kanale łączności. – To działa!

Obsługujący pompy technik uśmiechnął się, unosząc kciuk. Po drugiej stronie czekało na ratunek czterdziestu dwóch marynarzy i oficerów. Czterdziestu dwóch przyjaciół i towarzyszy broni.

– Kapitanie, za minutę będziecie musieli przerwać akcję – w komunikatorze odezwał się dowódca okrętu, komandor Benford. – Odczyty nie kłamią. Jeśli nie zdławimy w tym czasie pożaru, dojdzie do eksplozji zbiorników tlenu i niekontrolowanego rozszczelnienia kadłuba, a to oznacza...

– Sir – przerwał mu Henryan, wiedząc, że komandor tego nie znosi – zdążymy ich wyciągnąć.

– Wątpię, kapitanie.

– Proszę trzymać Renauda z dala od sterowników śluz, a gwarantuję... – Święcki zamilkł w pół słowa. Retraktor rozwarł płyty grodzi na tyle, że między szczękami pojawił się niewielki otwór. – Mamy kontakt wizualny, sir! – zameldował podekscytowanym tonem.

– Nie ma się czym podniecać – burknął przysłuchujący się tej rozmowie major, choć meldunek skierowany był do dowódcy niszczyciela. – Zanim na dobre otworzycie to przejście, w powietrze wyleci pół okrętu.

– Nie zamierzamy niczego otwierać. Uchylimy gródź na tyle, żeby w prześwicie zmieścił się człowiek.

– To niedorzeczne... – zaczął Renaud, ale tym razem Święcki nie dał mu dokończyć.

– Jeszcze minuta, sir. Tylko minuta! – rzucił do mikrofonu, znów zwracając się do komandora.

Przywarł do grodzi, przełączył komunikator na mikrofony zewnętrzne i natychmiast tego pożałował. Za metalową przeszkodą kłębił się tłum przerażonych ludzi. Wrzeszczących, płaczących i przeklinających ludzi. Jeśli chciał ich uratować, musiał złapać kontakt z kimś, kto zrobi po tamtej stronie porządek. Kimś, kto nie spanikował. Przeszedł na kanał Wydziału Bezpieczeństwa.

– Liambrose?! – zawołał. – Jesteś tam?

Cisza. Kompletna cisza. Odpowiedź nadeszła dopiero po kilku ciągnących się w nieskończoność sekundach.

– Jestem, braciszku.

Henryan odetchnął z ulgą.

– Zaraz podam wam linę. Ustaw ludzi w kolejce, z przodu mają być najniżsi i najszczuplejsi. Niech przypną się porządnie co dwa metry. Będziemy ich przeciągać do śluzy, to przyspieszy ewakuację.

– Rozumiem.

– I uspokój ich, bo liczy się każda sekunda.

– Jasne.

Henryan otworzył równoległe kanał ogólny i niemal natychmiast usłyszał dolatujące zza grodzi echo wystrzału, a potem kolejnego. To poskutkowało. W korytarzu sąsiedniej sekcji zrobiło się cicho jak makiem zasiał. Liambrose wydał serię szybkich rozkazów, a chwilę później w otworze pojawiła się czyjaś żyłasta dłoń. Henryan spojrział na nią nieco zdziwiony, ale charakterystyczny ruch palców uzmysłowił mu natychmiast, o co chodzi.

– Dawać linę! – wrzasnął przez ramię.

Uwięziony cofnął rękę, gdy tylko poczuł dotyk szorstkiego tworzywa. Lina zniknęła szybko w otworze, rozwijając się pętlą za pętlą jak żyłka wędkę, na którą złapano wyjątkowo dużą rybę. Henryan zerknął na wyświetlacz hełmu. Od zakończenia rozmowy z komandorem minęły pięćdziesiąt cztery sekundy. Otwór w grodzi miał już dwadzieścia centymetrów średnicy, widać w nim było przerażoną twarz i pobielające dłonie pierwszego z czekających na ewakuację. Dziesięć, piętnaście sekund i ten człowiek znajdzie się w śluzie, a za nim następni. To musi się udać.

– Renaud jest w sterowni?

Pytanie zadane nagle przez brata zaskoczyło Henryana.

– Tak.

– Szlag. Musisz go powstrzymać...

Sygnał alarmowy zagłuszył dalsze słowa Liambrose'a. Utonęły w nim też przekleństwa mata obsługującego pompy.

– Co się dzieje? – Świątki odskoczył od grodzi, widząc w migającym czerwonym świetle, że grube szczęki retraktora zaczynają się wyginać.

– Straciliśmy zasilanie – zameldował tyleż przerażony, co rozwścieczony operator.

– Dlaczego? – Henryan znał odpowiedź, zanim zadał pytanie.

Gródź za jego plecami zatrzasnęła się z głośnym hukiem, odcinając rękę nieszczęśnika, który tak bardzo pragnął przeżyć, że wsunął ją do otworu, choć nie mógł zmieścić w nim reszty ciała.

– Renaud, ty skurwyklonie! Nie możesz... – wysyczał Henryan, przełączając się na kanał dowodzenia.

Jego odbiornik przeszedł już jednak na tryb awaryjny i transmitował wyłącznie komunikaty systemu.

– ...ompresja sekcji szóstej za pięć, cztery, trzy, dwie, jedną sekundę. Wszystkie śluzy otwarte. Ciśnienie...

Świątki wyłączył system. Opadł ciężko na pokład tuż obok odciętej w połowie przedramienia ręki, przyciskając dłonie do wizjera hełmu.

Tak niewiele brakowało.

DWA

Wallacedric Benford spoglądał na niego z miną tak beznamiętną, jakby patrzył w próżnię. Komandor nie imponował wzrostem, lecz szerokich barków zazdrościł mu każdy kadet. Był też kompletnie łyсы, co w jego wieku mogło, ale nie musiało dziwić – zwłaszcza w wypadku człowieka z Pasa Zewnętrznego, gdzie idee transhumanizmu nie cieszyły się zbyt wielką popularnością. Jego owalna twarz, z której trudno było (jeśli sobie tego nie życzył) cokolwiek wyczytać, miała bardzo regularne rysy, a głęboko osadzone błękitne oczy nadawały jej pozory delikatności, czego nie psuł nawet wydatny nos.

– ...a osłony termiczne zbiorników tlenu znajdujących się najbliżej ogniska pożaru zostały rozgrzane do trzystu dwudziestu stopni – referował tymczasem oficer dyżurny, nie odrywając wzroku od wyświetlacza. – Dalsze odkładanie decyzji o dekompresji mogło doprowadzić do eksplozji.

– Słyszałeś, Święcki? – zapytał Renaud.

– Temperatura krytyczna tych osłon wynosi trzysta pięćdziesiąt stopni – skontrolował Henryan, z trudem zachowując spokój.

– Wy tłumacz mu to, Tadam, zanim szlag mnie trafi – przesadnie uprzejmym tonem poprosił major. On z kolei był bardzo wysoki i potwornie szczupły. W kręgu osób mu nieprzychylnych – czyli większości załogi *Dragona* – nazywano go Szkieletem. W odróżnieniu od komandora miał niezwykle plastyczne oblicze, z tym że nie korzystał w pełni z możliwości, jakie mu to dawało. Na jego twarzy rzadko gościł uśmiech, częściej jeden z odrażających grymasów aż za dobrze znanych marynarzom. Teraz znów się pienił. Nawet jego

szeroko rozstawione piwne oczy zdawały się płonąć żywym ogniem, podobnie jak skóra na policzkach.

– Cytuje pan normy dla fabrycznie nowych zbiorników, kapitanie – wyjaśnił spokojnie oficer dyżurny. – Nasze mają już ponad dziesięć lat. Ich odporność może być zatem niższa od zakładanej o...

– Może, ale nie musi – zbył go Święcki, krzywiąc się pogardliwie. – Ja także odrobiłem zadanie domowe. W ciągu ostatnich siedmiu lat mieliśmy we flocie trzy podobne przypadki. W dwóch z nich zbiorniki wytrzymały maksymalną dopuszczalną temperaturę i nie eksplodowały, mimo że w trakcie pożaru doszło do niewielkiego jej przekroczenia. Jeden miał siedem lat, drugi dziewięć.

– Ale trzeci... – zaczął oficer dyżurny.

– Tadam, proszę cię. Gdybyś dokładnie sprawdził zapisy dziennika pokładowego *Ozyrysa*, wiedziałbyś, że zbiornik, o którym mówimy, szwankował już na rok przed wybuchem.

Dyżurny skrzywił się. Nie lubił, gdy wytykano mu nieścisłość – szczególnie w obecności przełożonych. Widząc pytające spojrzenie komandora, niechętnie przytaknął.

– To niczego nie dowodzi – prychnął Renaud. – Regulamin...

– Tam było czterdziestu dwóch członków załogi – przerwał mu bezceremonialnie Święcki.

– Regulamin...

– Ludzi pozbawionych kombinezonów ochronnych i dostępu do strefy bezpieczeństwa.

– Regulamin... – powtórzył znacznie ostrzejszym tonem major.

– ...to tylko zbiór bezdusznych przepisów – dokończył za niego Henryan.

Renaud nie dał się zbić z tropu.

– Regulamin mówi wyraźnie, że w takich sytuacjach bezpieczeństwo okrętu jest ważniejsze od życia poszczególnych członków załogi.

– Regulamin mówi też wyraźnie, jak należy postąpić z oficerem, który go złamał – wypalił Henryan. Sprawiał wrażenie człowieka łączącego w sobie

najlepsze cechy obu przełożonych. Był wysoki, ale nie tyczkowaty jak Renaud, miał atletyczną budowę ciała, któremu jednak daleko było do masy komandora. Jego pociągła twarz o regularnych rysach i idealnym profilu mogła się podobać kobietom, a w dużych zielonych oczach utonęła niejedna pracownica pionu administracyjnego, zanim wyruszył za bratem w przestrzeń kosmiczną. Krótko przystrzyżone jasne włosy zdobiące okolice skroni dopełniały wizerunku amanta.

– Słucham? – Komandor uprzedził otwierającego usta majora.

– Mam podstawy podejrzewać, że major Renaud celowo uniemożliwił ewakuację tych ludzi.

– Co ty pieprzysz, gnoju?! – Oskarżony oficer zerwał się z fotela.

– W sekcji szóstej – wyjaśnił ze spokojem Świącki – przebywał zespół dochodzeniowy prowadzący sprawę śmierci chorążego Mastersa...

– Tego, który niedawno przedawkował? – zapytał Benford.

– Tak, sir. Mój brat dotarł do poszlak wskazujących, że w sprawę handlu zakazanymi substancjami odurzającymi zamieszany jest ktoś z kadry oficerskiej.

– Na te słowa Renaud spurpurowiał. – Dziwnym trafem pożar wybuchł dokładnie wtedy, gdy oficerowie Wydziału Bezpieczeństwa otwierali skrytkę, w której znajdowały się, przepraszam, mogły się znajdować dowody. Mój brat... to znaczy kapitan Liambrose Świącki tuż przed rozpoczęciem procedury dekompresji zdążył zapytać, czy podejrzewany przez niego człowiek znajduje się w sterowni, a gdy odparłem, że tak, poprosił...

Znaczące spojrzenie rzucone w kierunku majora przelało czarę goryczy. Renaud eksplodował.

– Kłamstwo! Kłamstwo! Działiałem zgodnie z regulaminem! Złamałem nawet przepisy, dając wam dodatkową minutę! – Odwrócił się do Tadama, a ten gorliwie przytaknął.

Regulamin nakazywał dekompresję zagrożonej części okrętu przy dziewięćdziesięcioprocentowym ryzyku eksplozji zbiorników tlenu. Biurokraci nie wpadli jednak na to, że pożar może odciąć członków załogi od specjalnych

komór, w których powinni przeczekać najgorsze. Henryan nie omieszkał wspomnieć o jeszcze jednym – ogień pojawił się nie tylko wtedy, kiedy powinien, ale i tam, gdzie powinien, aby ludzie obecni w sekcji szóstej nie mogli przeżyć. Zupełnie jakby ktoś się zabezpieczył na ewentualność otwarcia skrytki.

Benford okazał w końcu emocje. Gdy wodził wzrokiem po twarzach oficerów, także tych, którzy nie zabierali głosu, na jego twarzy pojawił się cień smutku. Przełożeni z pewnością dobiorą mu się do tyłka, kiedy raport o śmierci co siódmego członka załogi dotrze do admiralicji. To może oznaczać koniec jego kariery... albo awans i medal. Wszystko zależało od interpretacji faktów przez prokuratorów badających tę katastrofę.

– Nie mogliśmy ryzykować utraty okrętu – powiedział dowódca po chwili nietypowego dla niego wahania. – Gdyby doszło do niekontrolowanej eksplozji, straty byłyby o wiele wyższe, a szkody większe. Przypadek *Ozyrysa* dowodzi, że moglibyśmy zginąć wszyscy.

W tym momencie Henryan zrozumiał, że stoi na przegranej pozycji. Komandor poprze wersję Renauda, bo tylko ona gwarantuje mu przetrwanie na stanowisku dowódcy okrętu. Na kilka lat przed zasłużoną emeryturą było to warte przymknięcia oka na niewygodne fakty, nawet gdy zginęło tylu dobrych ludzi.

– Sir, jestem pewien, że wstrzymanie się z decyzją na kolejne dwadzieścia sekund nie stanowiłoby zagrożenia – spróbował raz jeszcze, choć zdawał sobie sprawę, że decyzja już zapadła.

– Dałem wam dodatkową minutę! – warknął major, nabrawszy pewności siebie.

– I to był twój największy błąd – wypalił zdesperowany Henryan.

– Słucham?

– Gdybyś nie zwlekał, brat nie zdążyłby mnie poprosić, żeby cię powstrzymać.

– Te słowa niczego nie dowodzą – rzucił major lekceważącym tonem. – Na jego miejscu też bym prosił, żebyś powstrzymał każdego, kto zamierza

rozpocząć dekompresję sekcji, w której jestem uwięziony. Dodajmy: zgodnie z regulaminem. To chyba oczywiste.

– Może nie o to mu chodziło...

Renaud zrobił wielkie oczy.

– A o co?

Nie zastanawiając się wiele, Henryan sięgnął do kabury, którą zdążył odpiąć, gdy wszyscy spoglądali w kierunku dowódcy, i wyszarpnąwszy z niej pistolet, wypalił dwukrotnie. Z tej odległości nie mógł chybić. Ładunki wysokoenergetyczne rozorały pierś i rozwaliły głowę zaskoczonego majora, zabijając go na miejscu.

TRZY

Pas Sturgeona, Sektor Zulu,

30.08.2351

Henryan budził się powoli, z oporami, jakby kriogeniczny sen nie zamierzał wypuścić go ze swoich objęć. Czuł przy tym dziwny chemiczny odór i niesamowite ciepło. Po czole spływały mu kropelki potu, ale gdy spróbował ruszyć dłonią, by je zetrzeć, napotkał opór. Ręka nawet nie drgnęła, mimo że napinał wszystkie mięśnie. W tym momencie powinien dopaść go strach. W głowie miał jednak pustkę. Oszołomienie uniemożliwiało mu ogarnięcie tego, co się z nim dzieje. Nie mógł poruszyć ręką, więc po prostu zrezygnował. Nie udało mu się także oblizać spierzchniętych warg. Na zębach wyczuł coś grubego, elastycznego, jakby włożono mu do ust ochraniacz stosowany w sportach walki. Gdy otworzył w końcu oczy i spojrzał przed siebie – to znaczy w górę, ponieważ leżał na czymś, co sunęło pogrążonym w półmroku korytarzem – zobaczył obłe, czarne, lśniące sklepienie. Skała nad nim była tak gładka, jakby ją coś wypolerowało albo stopiło. Widział tylko ją i mijane w jednostajnym rytmie światła.

Lekkie szarpnięcie uświadomiło mu, że nastąpił postój. Kątem oka dostrzegł zakutych w lśniące pancerze strażników, którzy mu towarzyszyli. Otrzeźwiał już na tyle, że zaczynał myśleć. Przypominający archaiczne roboty żołnierze musieli nieźle hałasować, mając na sobie tyle żelastwa, a mimo to do jego uszu nie docierał najłżejszy nawet szmer. Pustka, pomyślał. W tym korytarzu nie ma

atmosfery. Jak w takim razie?... Przerazenie ustąpiło równie szybko, jak się pojawiło. Gdy wsuwano go do lepiej oświetlonej kabiny windy, zauważył na skraju pola widzenia charakterystyczne refleksy. Miał na głowie hełm z bardzo szerokim krystalitowym wizjerem.

Jazda w górę albo w dół – w szybach grawitacyjnych naprawdę trudno to wyczuć – nie trwała długo. Henryan trafił do kolejnego ciemnego korytarza, choć nie tak długiego jak ten, którym wieziono go do windy. Tu było nieco inaczej. Platforma minęła cały szereg drzwi osadzonych w surowym poreksowym murze.

Cele. To muszą być cele, uznał.

Były ich dziesiątki. W końcu strażnicy zatrzymali się ponownie, przepuszczając platformę, a ta, skręciwszy płynnie, wsunęła się do niewielkiej niszy za rozsuniętymi drzwiami i od razu ustawiła pionowo. Klaustrofobicznie ciasne pomieszczenie miało nie więcej niż cztery metry kwadratowe. Nie było w nim nic, żadnych mebli ani okna. Henryan zachwiał się lekko, gdy magnetyczne uchwyty puściły. Byłby upadł, gdyby nie żyroskopy pancerza. Zanim odzyskał równowagę, wyświetlacz na jego hełmie ożył feerią świateł i symboli, a drzwi celi zatrzasnęły się z hukiem. Tak, fonię też mu włączono.

– Numer siedem dwa jeden – rzucił kpiącym tonem mężczyzna w lśniącej zbroi pułkownika stojący za przezroczystą teraz taflą plastali.

– Nazywam się... – zaczął Świącki, zdziwiony, że mimo nakładki na zębach jego słowa brzmią wyraźnie.

Lekki ucisk w okolicach jabłka Adama uzmysłowił mu natychmiast, że prócz knebla wyposażono go także w prosty syntezytor mowy.

– Nazywałeś się, zanim trafiłeś w nasze skromne progi – przerwał mu bezceremonialnie pułkownik. – Teraz jesteś numerem siedem dwa jeden i nie odzywasz się, dopóki ci nie pozwolę. Zrozumiano?

Jeden ruch palca i ciało więźnia – rażone starannie odmierzoną ładunkiem elektrycznym – wyprężyło się jak struna. To miało zabość i zabolęło. Jak cholera, a nawet bardziej. Henryan, zaskoczony nieoczekiwanym atakiem, nie

zdołał powstrzymać krzyku. Zaskowyczał jak raniony drapieżnik. Mężczyzna za drzwiami odczekał dłuższą chwilę, nie odrywając wzroku od wyświetlacza czytelnika, a gdy Świącki doszedł do siebie, powiedział:

– Jestem pułkownik Marconrad Draccos. Zarządzam tą kolonią karną. Jakieś pytania? – Przerwał, jakby oczekiwał reakcji więźnia, ale ten nie dał się podpuścić. – Świetnie, siedem dwa jeden. Niektórzy nasi pensjonariusze potrzebowali trzech, a nawet więcej lekcji, by pojąć Pierwszą Zasadę. Tak, pierwszą, bo to nie jedyna reguła, której będziesz musiał tutaj przestrzegać. Wiesz, siedem dwa jeden, czym różni się ta placówka od innych? – Komendant zawiesił znacząco głos.

Henryan milczał. Czując wciąż mrowienie po niedawnym porażeniu, wołał nie prowokować tego człowieka.

– Nieładnie, siedem dwa jeden. Masz odpowiadać na pytania komendanta – wtrącił stojący za pułkownikiem strażnik, fundując więźniowi kolejny wstrząs.

Ten trwał dłużej, był modulowany i boleśniejszy.

Świącki znów dał się zaskoczyć i znów nie zdołał zapanować nad reakcją. Zawył, jakby obdzierano go ze skóry, gdyż tak właśnie się poczuł. To, że powinien był się spodziewać tortury, niczego nie zmieniało.

Tym razem przerwa w rozmowie trwała znacznie dłużej. Pancierz musiał mieć wbudowany moduł medyczny, który monitorował ważniejsze funkcje organizmu, ponieważ komendant odezwał się dopiero wtedy, gdy Henryan zaczął dochodzić do siebie.

– Zrozumiano? – zapytał, uśmiechając się uprzejmie.

– Myślałem... – wycharczał Świącki, czując, że zeszywniały język wypełnia mu całe usta. Gdyby nie syntezyzator, pewnie nikt by go nie zrozumiał.

Draccos pokręcił głową.

– Dam ci dobrą radę, siedem dwa jeden. Nie myśl, tutaj to bardzo bolesny proces.

Więzień, choć zrozumiał, co go czeka, niewiele mógł zrobić, aby się przygotować na kolejną dawkę niewysłowionego bólu. Na szczęście trzecia kara

trwała mgnienie oka. Może pułkownik nie chciał, żeby nowy pensjonariusz trafił prosto do urny. A może pancierz miał wbudowane ograniczniki niepozwalające na zabicie osoby, którą chronił.

– Koniec żartów – rzucił szczerze rozbawiony Draccos. – Wiem, że się pogubiłeś, siedem dwa jeden, ale uwierz mi, o to nam właśnie chodziło. To jedna z najcięższych kolonii karnych, a ty jesteś mordercą, człowiekiem, który z zimną krwią zastrzelił przełożonego, i to na oczach wielu oficerów. Powiedzmy więc jasno: nie masz co liczyć na wyrozumiałość. Nikt ci jej tu nie okaże, ani ja, ani tym bardziej moi ludzie. Trafiłeś do tego zacisznego pensjonatu na... – sprawdził dokumenty, jakby nie czytał ich wcześniej albo nie przykładał do tej lektury większej wagi, co także było częścią procesu gnojenia nowego więźnia – dwadzieścia pięć lat. Ciekawe. Niezbyt wysoki wyrok za tak odrażający czyn. Dlaczego sąd obszedł się z tobą łagodnie? – Wyszczrzył zęby na widok rozszerzonych oczu Henryana. – Udzielam osadzonemu zezwolenia na zabranie głosu.

– Uznano, że działałem w afekcie – odparł zgodnie z prawdą Święcki.

– Afekt... – zamyślił się pułkownik. – W afekcie to żonę możesz zastrzelić, kiedy odkryjesz, że dziecko biegające po twoim domu jest synem pułku.

Henryan nic nie odpowiedział, dopóki komendant nie skinął głową.

– Udzieliłem ci pozwolenia, siedem dwa jeden. Możesz mówić śmiało, dopóki nie odbiorę ci głosu.

– Major Renaud, próbując zatuszować swój udział w handlu narkotykami, doprowadził do śmierci czterdziestu dwóch członków załogi, w tym mojego brata, oficera pionu kryminalnego Wydziału Bezpieczeństwa, który prowadził dochodzenie w jego sprawie.

Draccos oderwał wzrok od wyświetlacza. Złożył dłonie, podpierając brodę na dwóch palcach, jakby się nad czymś zastanawiał.

– Znaleziono dowody jego winy?

– Mielibyśmy je, gdyby nie...

– Zatem nie dysponowaliście żadnymi dowodami.

Chcąc nie chcąc, Henryan skinął głową. Dowody przypadły ze wszystkim, co zostało wyssane w pustkę po otwarciu śluz przeciwpożarowych. Nikt ich nie szukał po fakcie. Skupiono się na odzyskaniu ciał ofiar, ale nawet po tygodniu intensywnego przeczesywania przestrzeni kosmicznej znaleziono ledwie połowę zabitych. Liambrose także nie doczekał się prawdziwego pogrzebu. Na cmentarzu floty w wijącą się kilometrami ścianę poległych wtopiono tabliczkę z jego nazwiskiem i diamentem, tyle że kamień ten nie został skryształizowany z prochów ofiary, jak nakazuje tradycja.

– Istniały bardzo wyraźne poszlaki... – zaczął Święcki, lecz komendant zmusił go do zamknięcia uniesieniem dłoni.

– Trzymajmy się faktów. Zastrzeleńś oficera, przełożonego, ponieważ obawiałeś się, że przy braku dowodów żaden sąd nie uzna go za winnego. Za to zostałeś skazany na dwadzieścia pięć lat kolonii karnej. Z jednej strony niewiele, zważywszy choćby na fakt, że gdzieś tam są dzieci, które już nigdy nie zobaczą ojca, z drugiej natomiast wystarczająco dużo, byś zrozumiał, że zbrodnia nie popłaca. Pas Sturgeona to wyjątkowe miejsce. – Zatoczył wolną ręką szeroki łuk. – Tutejsze kopalnie należą do najbardziej rentownych przedsięwzięć admiralicji. Ale to nie wszystko. Zdradzę ci jeszcze jeden sekret, jaki kryją otaczające nas skały. Stąd nie ma ucieczki. Nawet w śmierć. Mamy niemal stuprocentową przeżywalność. Wybacz, nieprecyzyjnie się wyraziłem. Pozwól zatem, że wyjaśnię: przeciętny pensjonariusz tego wesołego przybytku nie opuszcza nas, dopóki na to nie zezwolę. Jak sam się wkrótce przekonasz, życie tutaj to nie bajka. Przysłano cię, abyś odpokutował straszne winy, zrobimy więc wszystko, by sprawiedliwości stało się zadość. – Zawiesił palec wskazujący nad tą częścią wyświetlacza, na której znajdował się aktywator elektrod. Wyszczrzył zęby na widok przerażenia w oczach więźnia. – Widzisz? Jesteś tutaj tylko parę minut, a już wiesz, że z nami nie ma żartów. Mógłbym cię zakatować tu i teraz, fundując kilka godzin tak potwornych męczarni, że sam błagałbyś, aby cię dobić... Nie, wróć, nie znam człowieka, który po takich torturach pozostałby świadomy. – Potarł kciukiem opuszkę palca wskazującego.

– Wiesz, dlaczego tego nie zrobię?

Henryan pokręcił wolno głową. Ten człowiek był sadystą, dał mu też wyraźnie do zrozumienia, że nie musi grać według ustalonych przez siebie zasad. A ból to ból – bohatera można zgrywać, dopóki nie poczuje się cierpienia. Życie to nie bajka, jak słusznie zauważył Draccos. Najbardziej nawet odporni mają granice wytrzymałości, a te wcale nie tak trudno przekroczyć.

– Dobra odpowiedź – stwierdził komendant. – Naprawdę. Jesteś inteligentnym człowiekiem, więc na pewno się dogadamy. Nie zabiję cię, ponieważ chcę widzieć, jak cierpisz dzień po dniu, miesiąc po miesiącu, staczając się powoli na samo dno, a kiedyś, za jakieś dwadzieścia lat, jeśli będę miał taki kaprys, dam ci szansę. Domyśl się na co, ale od razu zaznaczam, że nie mówię o wcześniejszym wyjściu na wolność. Sąd był dla ciebie bardzo wyrozumiały, ale tutaj to ja jestem bogiem. I to ja zdecyduję, wybaczą, zdecydowałem o twoim losie. – Po tych słowach odwrócił się, jakby zamierzał odejść, lecz nie zrobił nawet kroku. Obróciwszy lekko głowę, by Henryan widział jego profil, dodał: – Zauważam wszakże mały problem. W naszej małej, choć niezbyt pobożnej społeczności zabójca oficera mógłby być traktowany z szacunkiem, jak prawdziwy bohater. – Przytaknął swoim słowom. – Myślę jednak, że znam świetne rozwiązanie. Zostaniesz aniołem stróżem moich gagatków. Jeśli któryś nie wytrzyma napięcia i zechce zrobić sobie coś złego, co, uwierz mi, jest niemal niemożliwe, ty go powstrzymasz. Za wszelką cenę, dodajmy. Niepowodzenie, siedem dwa jeden, nie wchodzi w rachubę. Jeśli zawiedziesz pokładane w tobie zaufanie, kara będzie straszliwa. Nasze dzisiejsze igraszki to przy niej... igraszki właśnie. – Zaśmiał się złośliwie, po czym zniknął z pola widzenia więźnia.

Moment później drzwi zmatowiały, pozostawiając Henryana w mroku celi sam na sam z niewesołymi myślami.

CZTERY

Draccos nie kłamał. Życie w tej kolonii nie było bajką. Nad wejściem do tunelu, którym więźniowie udawali się codziennie do pracy, ktoś dowcipny zawiesił tablicę z napisem: PORZUĆCIE WSZELKĄ NADZIEJĘ, WY, KTÓRZY TU SIEDZICIE. Ta sparafrazowana sentencja najlepiej podsumowywała nastroje skazanych. A na Pas Sturgeona trafiali najgorsi z najgorszych. I zostawali tu długo. Henryan należał do wąskiej grupy skazańców „terminalnych”, jak przewrotnie nazywano tych, którzy mieli sprecyzowany czas odsiadki. Dziewięciu na dziesięciu pensjonariuszy przybytku Draccosa odsiadywało bowiem bezwzględne dożywocia. I wszyscy oni marzyli o wyrwaniu się z tego piekła, choćby w zaświaty.

Problem w tym, że ucieczka z Pasa Sturgeona była niemożliwa. Więźniowie tkwili przez niemal całą dobę w Zintegrowanych Systemach Ochrony Osadzonego, jak nazywano masywne pancerze, które wykluczały wyrządzenie sobie krzywdy. Nigdy też, nawet na moment, nie pozostawiano ich bez nadzoru.

Dzień w kolonii wyglądał zawsze tak samo. Niedziele nie różniły się niczym od dnia powszedniego – z wyjątkiem jednego niewielkiego odstępstwa. Nie obchodzono też żadnych świąt, nawet tych najważniejszych, federacyjnych. Pobudkę grano o szóstej trzydzieści czasu standardowego – kopalnie znajdowały się na pozasystemowym polu asteroid, zatem komendantura nie musiała stosować skomplikowanych przeliczników czasowych koniecznych na większości zasiedlanych planet.

Po capstrzyku osadzeni udawali się do łaźni, gdzie opuszczali na chwilę

pancerze, aby wziąć krótki prysznic. Sześć dni w tygodniu mieli prawo do trzyminutowej suchej kąpieli, siódmego pozwalano im korzystać przez trzydzieści sekund z prawdziwej wody – to było owo jedyne odstępstwo od codziennej rutyny. Myliłby się jednak ten, kto by uznał, że kąpiel to doskonała okazja do odebrania sobie życia. W momencie rozszczelnienia zbroi osadzonych pętano magnetycznymi więzami, a każdy niedozwolony ruch karany był natychmiast, i to w najboleśniej sposób. Od tej zasady nie było wyjątków.

Po ablucji więźniowie trafiali do magazynu, gdzie roboty pokrywały ich ciała natryskową jednorazową bielizną, a potem przechodzili do mesy na szybkie śniadanie. Na ten moment wszyscy czekali. Tylko tam i tylko przez pięć minut mieli bezpośredni kontakt z innymi ludźmi.

Wysysali koktajle przy masowych dyspenserach, które zwano „konfesjonalami”, gdyż jedzący musieli zajmować miejsca na specjalnych klęcznikach, by sięgnąć do rurek z pokarmem. Następnie przechodzili do szatni, gdzie znów wkładali pancerze, tym razem robocze, i po pobraniu narzędzi udawali się na dwunastogodzinną harówkę. Również o siódmej wszystkie wahadłowce odcumowywały od doków kopuły kolonii karnej.

Po dotarciu na wyznaczone asteroidy więźniowie otrzymywali przydziały i kierowali się wydrążonymi chodnikami na wyznaczone stanowiska. Choć każda brygada składała się z ośmiu osób – tyle było stanowisk roboczych na każdej linii wydobywczej – osadzeni zawsze pracowali samotnie. Nadajniki ich komunikatorów włączano tylko w sytuacji alarmowej, a każde nieuzasadnione użycie tego sprzętu było karane. Bezwzględnie i brutalnie, jak zawsze.

W czasie pracy osadzeni jedli jeszcze dwukrotnie, pobierając posiłki z zasobników zamaskowanych w korpusie pancerza roboczego. Kwestię potrzeb fizjologicznych rozwiązano, wykorzystując sposób znany już u zarania lotów kosmicznych, co dla więźniów było kolejną torturą. Bohaterowie przestrzeni nie musieli spędzić większej części dorosłego życia, parując dzień w dzień z plastikową rurą w odbycie.

Z kopalni wychodzili o dziewiętnastej. Po powrocie do bloku więziennego

zdawali narzędzia, pochłaniali kolację w mesie, pozbywali się w łaźni zużytej bielizny i po prysznicu wracali do standardowych pancerzy, a następnie do celi. Pół godziny później zarządzano ciszę nocną.

Henryan szybko przestał się dziwić, że niemal każdy więzień marzy o wyrwaniu się z piekła monotonii, czego można było dokonać tylko w jeden sposób: odbierając sobie życie. Lecz jak się na nie targnąć, skoro oprawcy – nikt nie nazywał ich tutaj inaczej – nie pozostawili niczego przypadkowi? Zdecydowana większość tych, którzy ginęli (w ciągu trzech lat, które spędził w kolonii, Święcki doliczył się dwudziestu siedmiu zgonów), miała przyzwolenie Draccosa. Szczęśliwcy dostawali szansę. Jedną minutę. Magnetyczne pęta traciły moc na tak krótko, ale nawet to wystarczało, by wyrwać z ust ochraniacz i odgryźć sobie język albo zrobić coś równie odrażającego i skończyć z sobą. Jeśli wybraniec pułkownika nie zdążył lub nie umiał skorzystać z tego swoistego aktu łaski, nie mógł liczyć na powtórkę. Życie to nie bajka...

Na samym początku odsiadki Święcki często zachodził w głowę, dlaczego skazańcy pragną popełnić samobójstwo. W wypadku ludzi skazanych na dożywocie i nie mających żadnej nadziei na opuszczenie kolonii taka reakcja była zrozumiała, jednakże część samobójstw, o których wiedział, dotyczyła więźniów „terminalnych”. Jaki sens miało odbieranie sobie życia kilka lat przed zwolnieniem?

Prawdę poznał jakiś czas później, gdy młyny kolonialnej rutyny zmeły w pył jego ducha i wolę. Już po dwóch latach odosobnienia zyskał pewność, że gdyby pozwolono mu umrzeć, nawet w najbardziej okrutny i bolesny sposób, nie wahałby się ani chwili. Szczególnie że Draccos nie mylił się także w drugiej kwestii. Rola, którą przyszło mu pełnić w kolonii, sprawiła, że szacunek osadzonych szybko wyparował. Każda uniemożliwiona próba samobójcza – choć z założenia i tak nie miała prawa się udać – zwiększała niechęć do człowieka, który pomógł jej zapobiec.

W połowie trzeciego roku odsiadki doszło nawet do tego, że nikt nie chciał

z nim rozmawiać. Podczas tych krótkich chwil, gdy spętani magnetycznymi kajdanami więźniowie oczekiwali w mesie na wspólne posiłki, nikt do niego nie podchodził ani nie zagadywał. Wytrzymał tydzień, pograżając się w coraz większej apatii, a potem pękł. Najzwyczajniej w świecie pękł. Nie mógł pozwolić, by odebrano mu ten ostatni ułamek normalności, te kilka chwil radosnego chaosu w uporządkowanym do bólu harmonogramie piekła, które było i jeszcze długo miało pozostać jego domem.

Do prób samobójczych dochodziło średnio co tydzień, natomiast w brygadzie Święckiego zdarzały się one najwyżej raz w miesiącu. Mimo to nie musiał długo czekać na nadarzącą się okazję. Trzy dni po podjęciu decyzji awaria systemu chłodzenia w kombajnie doprowadziła do przegrzania jednej z głowic. Automatyczne zabezpieczenia zareagowały natychmiast, odsuwając rozgrzanego do białości giganta od drążonej ściany. Obsługujący to stanowisko więzień dostrzegł szansę i skorzystał z niej bez namysłu. Stał o krok od szczeliny i zanim ktokolwiek zdołał zareagować, wskoczył do powstałego otworu. Panczerze miały wiele zabezpieczeń, w tym pole ochronne, lecz nawet ono nie mogło wytrzymać dłuższego kontaktu z rozgrzanym do kilku tysięcy stopni helonem. A podstawowa funkcja, pozbawiająca samobójcę przytomności, nie na wiele się w tym przypadku zdała.

Licznik na wyświetlaczu Henryana wskazywał, że do wyczerpania ogniów podtrzymujących pole została niespełna minuta. Gdy bariera siłowa zniknie, człowiek w pancerzu zostanie żywcem ugotowany. I to w kilka, najwyżej kilkanaście sekund. Gdyby Święcki ruszył od razu, jak nakazywały procedury, dotarłby na miejsce wypadku w czterdzieści osiem sekund, co pozwoliłoby mu podpiąć samobójcę do zewnętrznego źródła zasilania i podtrzymać pole siłowe, dzięki czemu strażnicy zyskaliby czas na przesunięcie wielotonowego kombajnu i oderwanie desperata od rozgrzanej do białości głowicy. Święcki jednak nawet nie drgnął. Po pięciu sekundach jego komunikator ożył. Nadzorca zapytał, dlaczego siedem dwa jeden nie reaguje na sygnał alarmowy. Brak odpowiedzi został odczytany bezbłędnie. Henryan przygotował się na niewyobrażalny ból,

co jak zwykle, w ogóle mu nie pomogło. Otrzymał taką dawkę wstrząsów, że stracił przytomność, a gdy doszedł do siebie, otaczały go nieprzeniknione ciemności. Mięśnie nadal miał odrętwiałe, każdy nerw wydawał się usmażony, a w dodatku nie mógł ruszyć nawet palcem. Chwilę później zrozumiał dlaczego.

Został surowo ukarany za bunt. Trafił do karceru.

* * *

Spędził w tej ciemnicy tydzień. Gdy wyszedł, był wrakiem człowieka, ale już pierwsza wizyta w mesie uświadomiła mu, że przestano go traktować jak pariasa. Nikt nie odwracał się na jego widok, nikt nie spluwał mu pod nogi. Tym, którzy pytali, odpowiadał szczerze, że na następny brak reakcji nie mogą prędko liczyć. Nie mieli mu tego za złe.

Choć doszedł do siebie po kilkunastu dniach, potrzebował aż trzech miesięcy, by po raz kolejny okazać nieposłuszeństwo. To była dwudziesta pierwsza próba samobójcza w jego brygadzie, licząc od ostatniej udanej „ucieczki”. Sukces cztery dwa siedem zachęcił wielu. W pierwszych tygodniach po jego wyczynie nie było dnia, by zastępujący Henryana ratownicy – reszta osadzonych pełniła tę funkcję rotacyjnie – nie musieli interweniować. Z czasem jednak sytuacja wróciła do normy. Kilku najświeższych desperatów nie miało za dużo oleju w głowie, działania Świąckiego ograniczały się więc do przypilnowania oszołomionych niedoszłych samobójców i przekazania ich w ręce nadzorców.

Ostatni delikwent miał więcej szczęścia – spowodował zwarcie w napędzie pasa transmisyjnego dostarczającego urobek do rozdrabniarki i kazano mu przeprowadzić diagnostykę urządzenia. Gdy wszedł na podajnik, ten jak za dotknięciem magicznej różdżki ruszył, zrzucając klęczącego na nim człowieka prosto na wirujące wały kruszące rudę. Świącki nacisnął klawisz blokady dopiero wtedy, gdy pancerz cztery sześć osiem zmienił się w obryzgany krwawą miazgą złom.

Tłumaczył się potem całkowitym zaskoczeniem, chociaż niebyła to prawda.

Dobrze wiedział, co się szykuje, gdyż po pierwszym sygnale o awarii sprawdził, co mogło być powodem zwarcia. Zrozumiał błyskawicznie, na czym polega plan samobójcy, i ocenił, że ma on wielkie szanse powodzenia. Pragnąc przyczynić się do jego sukcesu, poprosił o możliwość rozmowy z nadzorem, a gdy uzyskał połączenie, zapytał strażnika, czy jako dyżurny ratownik nie powinien asystować przy naprawie. Przełączając komunikator na centralę, nie tylko stracił samobójcę z pola widzenia, ale też zaabsorbował uwagę osoby odpowiedzialnej za pilnowanie tego odcinka. Wystarczyło kilka sekund zamieszania, by cztery sześć osiem zginął, a on zyskał sensowne alibi.

Upiekło mu się, o ile można tak powiedzieć. Nie razono go prądem na miejscu, co było podstawowym środkiem dyscyplinującym przy każdym naruszeniu regulaminu. Nie trafił też po raz drugi do ciemnicy. Został natomiast wezwany na dywanik. Draccos, nie kryjąc irytacji, zapowiedział mu, że trzecia udana próba samobójcza na jego zmianie bez względu na okoliczności zostanie „nagrodzona” czymś wyjątkowym nawet jak na tę kolonię karną.

Wystraszony Henryan nie odważył się na najmniejsze odstępstwo od zasad przez kolejne pół roku. W tym czasie zginął tylko jeden osadzony, na szczęście na zupełnie innej asteroidzie. W jego brygadzie ludzie nadal próbowali odbierać sobie życie, lecz czynili to wystarczająco nieudolnie, by nie narobić mu większych problemów.

Tak było do tygodnia poprzedzającego trzecią rocznicę jego odsiadki. W niedzielę wieczorem przy sąsiednim konfesjonale uklęknął zwalisty łysol o świńskich oczkach i poznaczonej bliznami twarzy.

– Nie znasz mnie, ratowniku – powiedział, zanim pociągnął długi łyk koktajlu.

Henryan spojrzał na niego.

– Czego chcesz? – zapytał krótko.

– Przecież wiesz – odparł łysol, nie spoglądając nawet w jego kierunku.

Święcki pojął, że z nich dwóch tamten bardziej pragnie śmierci.

– Drak ostrzegł mnie po ostatnim razie... – zaczął niepewnie.

Nie wahałby się nawet chwili, gdyby miał pewność, że po kolejnej niesubordynacji Draccos każe go zabić. Komendant wiedział jednak doskonale, o czym marzą jego podopieczni, i nie zamierzał dawać im takiej satysfakcji. Obietnica „nagrody” dotyczyła z pewnością wymyślnych, długich i bolesnych tortur.

– Jest na to sposób – burknął tamten.

– Akurat.

– Sam zobaczysz. Nie bierz jutro zestawu narzędzi numer sześć.

Łysol dopił resztki koktajlu z dyspensera, wstał i odszedł, nie oglądając się ani razu.

PIĘĆ

Pas Sturgeona, Sektor Zulu,

26.08.2354

Zadanie nie było trudne – wystarczyło zająć w porannej kolejce jakiekolwiek miejsce oprócz szóstego i czekać, aż zautomatyzowany magazynier wykona resztę roboty.

Henryan zjawił się w dokach wcześniej. Obserwował, jak pięciu ludzi z jego brygady odbiera sprzęt, po czym podszedł do podajnika, jakby nigdy nic wziął kolejny zestaw narzędzi i rozmieścił je we właściwych wgłębieniach pancerza. Stanął w służbie doku, zanim upłynęła minuta, którą system dawał na przygotowania każdemu więźniowi udającemu się do kopalni. Teraz musiał już tylko czekać na przybycie ostatniej dwójki skazanych i otwarcie przedziału transportowego wahadłowca.

Święcki pracował jak pozostali osadzeni. Jedyne różnica polegała na tym, że na każde wezwanie nadzorca musiał rzucać narzędzia i robić wszystko, aby powstrzymać kolejnego samobójcę. Systemy ochronne kombinezonu, mimo niezwykłego zaawansowania technologicznego i samodoskonającego się modułu sztucznej inteligencji, nie radziły sobie w sytuacjach krytycznych, zwłaszcza że pomysłowość osadzonych nie miała granic, a podstawowa metoda automatycznej prewencji, sprowadzająca się do chemicznego ogłuszenia, stanowiła ogromne zagrożenie dla więźnia.

Nie mając w chwili wezwania pojęcia, jak poważna jest sytuacja, Święcki

musiał bezzwłocznie opuścić przydzielone mu stanowisko i udać się na miejsce wypadku. Stopień zagrożenia oceniał po drodze, analizując dane napływające do modułu ratowniczego. W biegu podejmował też pierwsze decyzje. W ciągu trzech lat odsiadki wziął udział w blisko czterdziestu takich akcjach. Zawiódł tylko w dwóch.

Stojąc teraz w służbie, zastanawiał się, jaki los by go spotkał, gdyby posłuchał łąsola. Draccos obiecał mu coś wyjątkowego. Z opowieści więźniów wiedział, że wachlarz tortur stosowanych w kolonii nie jest zbyt szeroki. Komendant realizował swoją wizję penitencji z zimną krwią. Ból traktował jako półśrodek, prawdziwym narzędziem terroru był według niego strach. Paralizujący, wysysający duszę i rozum lęk. Tydzień spędzony w karczerze uświadomił Henryanowi, że mając wybór, zdecydowałby się raczej na ból – niechby zadawany codziennie, nawet przewlekły i silniejszy od tego, który cierpiał do tej pory – niż na kolejne tygodniowe zamknięcie w szczelnym pancerzu unieruchomionym dodatkowo polem siłowym grawitacyjnej platformy transportowej. Karczer był, przynajmniej jego zdaniem, najgorszą możliwą torturą. Skazaniec musiał stać całe dnie, gapiąc się w idealną czerń celi. Nie mógł w tym czasie poruszyć ręką ani nogą. Izolacja miała być całkowita, więc posiłki podawano automatycznie, wprost z zasobników w korpusie pancerza. Po capstrzyku platforma opadała jednostajnym ruchem do poziomu, by wrócić do pionu przy pobudce. Człowiek miał wrażenie kompletnego zatracenia. Kilka godzin takiej tortury można znieść bez trudu, jednakże po paru dniach pełnej izolacji nawet najtwardszy facet zaczyna odchodzić od zmysłów. Jest gotów powiedzieć i zrobić wszystko, byle wyrwać się z mrocznej otchłani.

Henryan znał siebie na tyle, by wiedzieć, że nie wytrzymałby dłuższego odosobnienia. Gdyby miał wyznaczyć granicę, za którą czeka nieodwracalne szaleństwo, byłoby to w najlepszym razie dziewięć, dziesięć dni. Do tej pory pamiętał atak paniki, gdy ósmego ranka usłyszał sygnał pobudki. Był bliski zawału albo wylewu i życie zawdzięczał wyłącznie modułowi medycznemu pancerza.

Im dłużej stał w służbie, tym bardziej był przekonany, że dobrze postąpił, nie zastosowawszy się do wskazówek łysola. Ta próba, podobnie jak zdecydowana większość innych, i tak zakończyłaby się porażką. A on nie był jeszcze gotów na obiecaną karę.

Chwilę po nim w służbie pojawili się dwaj ostatni członkowie brygady. Ku zaskoczeniu Święckiego nie było wśród nich łysola. Najpierw wydało mu się to dziwne, ale zaraz uznał, że ich wieczorna rozmowa musiała zwrócić uwagę kogoś z nadzoru.

Czyżby łysol zamiast do sztolni trafił na przesłuchanie albo co bardziej prawdopodobne, znalazł się sam na sam z mrokiem?

* * *

Cztery godziny pracy minęły spokojnie. Lewitując przed wyświetlaczem tablicy rozdzielczej kombajnu górniczego, Henryan kontrolował co jakiś czas wskaźniki temperatury głowic, aby nie doszło do ich przegrzania. Kabel, którym był podłączony do sterownika maszyny, utrzymywał go w jednej pozycji około metra nad podłogą kabiny. Święcki nie włączał magnetycznych butów, wolał unosić się swobodnie. Dzięki temu nie odczuwał wibracji powodowanych przez obracające się szybko głowice i potężne rozdrabniarki zmieniające urobek w żwir, a potem proszek. Dniówka takiej trzęsionki potrafiła dać człowiekowi w kość, i to dosłownie. Między innymi dlatego pracowali przy kombajnie na zmianę. W osiem dni zaliczali kolejno wszystkie stanowiska robocze na patroszonym helonowymi głowicami kawałku przedwiecznej skały. A gdy wydrą z niej ostatni gram rudy, przeniosą się na kolejną asteroidę. Na Pasię Sturgeona były ich miliony, nikt więc nie żywił obaw, że dla następnych pokoleń skazańców zabraknie pracy.

– Siedem dwa jeden, alarm w korytarzu trzecim.

Henryan zareagował błyskawicznie. Przesunął dłońmi po widmowych kontrolkach wyświetlacza. Spowolnił obroty głowic, cofnął je synchronicznie od

czoła wyrobiska, a potem sięgnął wyuczonym płynnym ruchem do wtyczki kabla łączącego jego pancerz ze sterownikiem kombajnu. Nacisnął jednocześnie oba klawisze mocujące, ale nie na wiele się to zdało. Spróbował jeszcze raz, mocniej, następnie zaś chwycił drugi koniec kabla. Skutek był taki sam, czyli żaden. Gniazdo w obudowie maszyny też zostało zablokowane. To nie miało prawa się zdarzyć!

Słyszając nadawane monotonnym tonem wezwania, podciągnął się do wyświetlacza, by włączyć komunikator.

– Nadzór, mam problem – zameldował łamiącym się głosem. – Kabel łączący zaklinował się w gniazdach.

– Wypnij go z drugiej strony, durniu! – wrzasnął poirytowany strażnik.

– Próbowałem. Nawet nie drgnie.

W tle usłyszał przeraźliwy skowyt, tupot magnetycznych butów i wydawane w pośpiechu rozkazy.

– Tnij – poradził mu nadzorca.

– Tak jest! – odparł Świącki, sięgając do wgłębienia na oślonie prawego uda, gdzie spoczywał nóż laserowy.

Dziesiątki więźniów trafiły do karceru, spróbodawszy użyć tego krótkiego ostrza do uszkodzenia pancerza. Henryan wiedział, że to bezcelowe działanie. Zogniskowany promień gasł natychmiast, gdy stykał się z polem siłowym chroniącym złom, w który wciskano ich każdego ranka. Jednakże kable to co innego: lśniące błękitem ostrze przejdzie przez nie jak przez masło. Świącki włożył wtyczkę do gniazdka przy pasie, nacisnął klawisz aktywacji i... zaklął. Nóż nie zadziałał. Jego końcówka pozostała czarna jak wnętrze celi, które zobaczy już wkrótce, jeśli nie zrobi czegoś, co pozwoli mu wyjść z kabiny kombajnu.

– Nóż jest zimny – rzucił do komunikatora.

– Kpisz, siedem dwa jeden?

– Nie, sir. Mam zepsute narzędzia. Naprawdę. – Pokazał do kamery nóż i kabel wpięty poprawnie w gniazdo, po czym nacisnął kilkakrotnie klawisz

aktywacji.

– Doigrałeś się, gnoju – wysyczał nadzorca pośród dźwięczącej ciszy.

Wycie umilkło jak nożem uciął. Henryan słyszał tylko głośnie dyszenie człowieka, z którym rozmawiał.

– Nie rozumiem. Przecież... – zaczął mamrotać.

Naraz wszystko stało się jasne. Łysol podpuścił go, wiedząc, że chcący uniknąć kary ratownik sięgnie po zestaw, którego nie powinien brać; narzędzia zostały uszkodzone przez kogoś z poprzedniej zmiany celowo, aby unieruchomić jedyną osobę mogącą zapobiec tragedii. Ten skowyt, to wycie, które tak raptownie ścichło. Ktoś wyrwał się spod władzy Draccosa. Henryan usiłował sobie przypomnieć, kto pracował tego dnia w trzecim korytarzu. To musiał być jeden z nowych.

– Mam przesrane... – mruknął załamany.

SZEŚĆ

Gabinet komendanta mieścił się na końcu wytopionego w czarnej skale krętego korytarza. Klimatyzacja była tutaj jeszcze mniej wydolna niż na bloku więziennym zajmującym najwyższe poziomy, tuż pod zewnętrzną kopułą pancierza. Wystarczyło, że człowiek postał pod drzwiami kilka minut – co było nieodłączną częścią rytuału audiencyjnego – a pot lał mu się strumieniami po czole i plecach. Draccos lubił upokarzać swoje ofiary przy każdej okazji. Święcki zrozumiał to już wtedy, gdy wezwano go na dywanik po ostatniej udanej próbie samobójczej.

Tym razem oszczędzono mu wstępnych katuszy. Komendant przyjął go bez ceremonialnej zwłoki. Uzbrojony strażnik odsłonił drzwi gabinetu na widok zbliżającego się więźnia, a ten z ulgą, nie zwalniając nawet kroku, przekroczył próg klimatyzowanego wnętrza. Draccos siedział za biurkiem z kamienną twarzą. Dowódcą jednostki karnej nie mógł być człowiek o wrażliwej duszy, na tym stanowisku liczyły się zupełnie inne przymioty oraz dodatkowa multilicencja kapłana.

– Numer siedem dwa jeden melduje się na... – zaczął wylęknięty Henryan.

– Zamknij się, Święcki, i siadaj! – Komendant zachował kamienną twarz, ale fakt, że zwrócił się do skazanego po nazwisku, nie po numerze, był więcej niż zastanawiający.

Henryan wykonał polecenie, przycupnąwszy ostrożnie na chybotliwym krześle. Ciężko było utrzymać na nim wymagany bezruch, gdyż dwie przeciwstawne nogi skrócono o centymetr. Tymczasem każde zachwianie mogło

być pretekstem do wymierzenia więźniowi dodatkowej kary.

Draccos odchylił się w fotelu, mierząc czekającego na wyrok skazańca ostrym spojrzeniem, jakby próbował przeniknąć do jego umysłu.

– Pamiętasz, co ci obiecałem? – odezwał się obojętnym tonem.

Święcki skinął głową. Wolał nie otwierać ust, zwłaszcza że komendant zachowywał się dziwnie, co mogło oznaczać tylko kłopoty.

– Co masz na swoje usprawiedliwienie? – Tym słowom towarzyszył przyzwalający gest.

– Nie mogłem nic zrobić, sir. Narzędzia, które pobrałem rano, zostały celowo uszkodzone. Strażnicy mogą potwierdzić moje słowa. Ktoś umieścił w obu wtyczkach korektora mikrokapsułki z klejem i wyjął bezpieczniki z noża.

– Ty mogłeś to zrobić – stwierdził Draccos, prostując się w fotelu.

– Od chwili pobrania sprzętu byłem pod nieustannym nadzorem. Poza tym nie miałem dostępu do... – zaczął się tłumaczyć Henryan.

Odkąd uwolniono go z kabiny kombajnu, układał w myślach spójną wersję, starając się znaleźć wytłumaczenie każdego szczegółu. Godzina wystarczyła, by znalazł satysfakcjonującą w swoim mniemaniu liczbę argumentów przemawiających na jego korzyść.

Jednakże komendant nie pozwolił mu ich przytoczyć. Uciszył go, unosząc dłonie.

– Dość – powiedział. – Tak naprawdę nie obchodzi mnie, czy miałeś dostęp do kleju, czy na nagraniach widać, jak wyciągasz bezpieczniki z noża, czy też sabotażu dopuścił się ktoś inny. Po czyjej stronie leży wina, jest teraz najmniej ważne. Na twojej zmianie zginął osadzony. Trzeci z kolei. Ktoś musi za to zapłacić.

Henryan podniósł rękę jak uczeń zgłaszający się do odpowiedzi. Nie chciał przerywać komendantowi, ale nie mógł też pozwolić, by ten nakręcił się jeszcze bardziej. Miał plan, jak do tego nie dopuścić.

Draccos spojrział na niego gniewnie. Po chwili z wyraźną niechęcią udzielił mu głosu.

– Może powinniśmy się skupić na dopadnięciu tego, kto to wszystko ustawił?
– wymamrotał Świącki. – Karząc mnie, wyładuje pan złość, ale...

– Chcesz mi pomóc w znalezieniu winnych? – zapytał pułkownik ze szczerym zdziwieniem.

– Zostałem wrobiony – przypomniał mu Henryan.

Draccos pokręcił głową, wolno, złowieszczo.

– Nie, przyjacielu. Dojdę prawdy bez twojej pomocy. Ani słowa więcej! – podniósł głos, gdy Świącki podrywał głowę, by zaprotestować. – Ty milczysz, ja mówię. Wczoraj otrzymałem dokumenty z admiralicji. Pewnie mi nie uwierzysz, ale pytano w nich o ciebie. – Uśmiechnął się pod nosem, jakby sam nadal nie mógł w to uwierzyć. – W gruncie rzeczy nie pytano, tylko zażądano wydania cię w trybie natychmiastowym.

Henryan poczuł nagły przypływ radości, lecz zaraz zdał sobie sprawę, że komendant może blefować. Udawanie było jedną z jego kurewskich gier: dać więźniowi nadzieję, a gdy ten się w nią wpije, wyrwać mu ją razem z zębami i pazurami, po czym rozdeptać na jego oczach. Świącki nie miał pleców w admiralicji, zresztą nikt z dowództwa by się za nim nie ujął, nawet gdyby w końcu znaleziono dowody winy Renauda. To, czy major handlował narkotykami, było teraz równie nieistotne jak współudział Henryana w ostatnim samobójstwie. Gdy to zrozumiał, uśmiechnął się pod nosem, co nie uszło uwagi Draccosa.

– Nie wierzysz? – zapytał komendant jadowitym tonem. – Uważasz, że cię urabiam, aby kolejna kara była boleśnieszka? – Pochylił się nad biurkiem i aktywował wyświetlacz zajmujący niemal cały blat. Ustawił wirtualny ekran w pionie, aby obaj dobrze go widzieli, a następnie otworzył jeden z folderów i powiększył znajdujący się w nim dokument. – No to patrz.

Nawet z tej odległości dokument wyglądał na prawdziwy, chociaż w dobie holo wszystko można było sfalszować. Wszystko prócz jednego...

Henryan podniósł ostrożnie rękę, a kiedy znów otrzymał prawo głosu, zapytał:

– Czy mogę?

Draccos zawahał się, widząc, że skazaniec wskazuje wyświetlacz, zaraz jednak na jego usta wpełzł złośliwy uśmiech. Domyślił się, o co chodzi. Świadom, że odmowa byłaby potwierdzeniem oszustwa, szybkim ruchem przesunął wirtualną płaszczyznę w stronę Święckiego, który w kilka sekund dotarł do źródła pliku.

– Myślałeś, że blefowałem – zakpił komendant, rozsiadając się wygodniej. – Nie, mój drogi. Tym razem nie musiałem. A wiesz, co jest w tej sprawie najlepsze? – Henryan pokręcił głową. – Nie wysłałem jeszcze odpowiedzi. Mam na to pełną dobę.

Święcki poczuł, jak w górę kręgosłupa pełzną mu wolno lodowate macki strachu.

– Tak czy inaczej, jutro będę wolny – oświadczył. Sam był zdziwiony, że głos mu się nie załamał.

Draccos uniósł pytająco brwi. Wyglądał na rozbawionego.

– Tak sądzisz?

Święcki skinął głową, raz, leciutko. Fala strachu opadła. Wiedział, że istnieją tylko dwa wyjścia z tej sytuacji: albo komendant każe go zabić, albo podpisze zwolnienie. Nie mógł okaleczyć więźnia i wydać go w takim stanie. Wbrew temu, co uparcie twierdził, nie był bogiem. A admiraliczka nie znosiła, gdy ktoś się jej sprzeciwiał. Taka szuja jak Draccos nie zaryzykuje kariery, żeby utracić nic nieznaczącego pionka.

– Tak sądzę – odparł.

– Nic o mnie nie wiesz, śmieciu! – prychnął komendant, zrywając się zza biurka. – Ja nie odpuszczam. Nigdy.

– Nie jestem wart tego, co panu zrobią, jeśli odkryją prawdę.

– Nie jesteś – przyznał Draccos, spoglądając na więźnia z niekłamaną odrazą.
– Ale ja nie łamię danego słowa, nawet jeśli ma mnie to wiele kosztować.

Henryan przypomniał sobie ich pierwszą rozmowę.

– W takim razie daj mi szansę, o której mówiłeś. – Przeszedł na ty, ponieważ nie miał nic do stracenia, a nie zamierzał dłużej płaszczyć się przed tym

skurwyklonem.

– Z przyjemnością. – Draccos usiadł na powrót za biurkiem, przełączył wyświetlacz na tryb prywatny, przesunął parę razy ręką, a na koniec wezwał ochronę. – Zdychaj w bólach, Święcki.

– Lepsze to niż dalsze patrzenie na twój szcurzy pysk – wypalił Henryan, przechylając się na krześle.

Było mu już wszystko jedno.

– To się dopiero okaże... – Draccos o dziwo nie stracił opanowania. To także mógł być zły omen. Gdy w drzwiach gabinetu stanęli strażnicy, dodał: – Zanim się pożegnamy, chciałbym, żebyś spojrział na jeszcze jeden dokument. – Z radosnym uśmiechem otworzył inny folder.

Święcki miał przed sobą raport dotyczący śledztwa przeprowadzonego przez admiralicję na jego dawnym okręcie. Przebiegał wzrokiem kolejne linijki, czując, że wraca dawna niepewność. Gdy skończył czytać, przeniósł wzrok na rozradowanego komendanta.

– I co ty na to, morderco? – Zapytany przełknął ślinę, aż mu podskoczyło jabłko Adama. – Jak się czujesz, wiedząc, że zabiłeś niewinnego człowieka?

Henryan spuścił wzrok. Ta gnida wygrała na całej linii. Za to, co zrobił, zasłużył na śmierć, nie na dwadzieścia pięć lat choćby najcięższej kolonii karnej.

– Wyprowadzić osadzonego! – warknął Draccos, wciąż szczerząc zęby. – Wiecie, co z nim zrobić.

Strażnicy podnieśli Święckiego i bez słowa pchnęli go w kierunku drzwi.

* * *

Na czas wizyty wyjęto go z pancerza, strażnicy mogli go zatem razić ręcznym paralizatorem. Pierwszy raz zrobili to tuż za drzwiami gabinetu Draccosa; drugi, gdy dotarł na drżących wciąż nogach do rozwidlenia korytarza. Tam jeden z nich kopniakiem skierował więźnia w odnogę prowadzącą do części technicznej bloku administracji. Chwilę później minęli posterunek przy wejściu do doków.

O tej porze pracowały w nich tylko roboty rozładowujące kontenery ze sprzętem i zaopatrzeniem. Henryan szedł chwiejnym krokiem, niewiele widząc przez załzawione oczy. Język wciąż stał mu kołkiem w ustach, a ślina ciekła spomiędzy pozbawionych czucia warg po brodzie i kapała na przepocony kombinezon.

Strażnicy zaprowadzili go pod ścianę wielkiej hali. Tam jeden z nich otworzył wewnętrzną gródź śluzy przeładunkowej, a drugi wepchnął Świąckiego do środka.

– Stań na drugiej linii – rozkazał mechanicznym głosem.

Henryan doczłapał posłusznie do wskazanego znaku, po czym odwrócił się niezdarnie i spróbował uśmiechnąć kpiąco. Chyba zrozumieli, co oznacza ten grymas, a może nie spodobał się im wyraz jego oczu, w każdym razie porazili go obaj, niemal równocześnie. Świącki ucieszył się, widząc, jak kierują w jego stronę paralizatory. Prowokował ich celowo. Skoro kazano im wymęczyć go przed egzekucją, na zimno mogli bawić się całą zmianą, a może nawet dłużej. Gdyby jednak udało się ich wkurzyć... Liczył na to, że któryś zapomni się, widząc, iż skatowana ofiara wciąż z niego drwi.

Świącki zwijał się na zimnej kratownicy przez kwadrans, choć w jego odczuciu minęła cała wieczność. Oni tymczasem stali jakby nigdy nic, rozmawiając na zamkniętym kanale i czekając, aż dojdzie do siebie. Chip wszczepiony za prawym uchem każdego więźnia monitorował najważniejsze funkcje życiowe, on też poinformował oprawców, że tętno ofiary wraca do normy, mięśnie zaś w końcu wiotczeją. Oczekali jeszcze chwilę, jakby liczyli, że sam wstanie, ale on nie zamierzał ułatwiać im zadania. Im ciężiej będą mieli, tym szybciej któryś przesadzi. Tego chciał się trzymać, lecz oprawcy przejrzeni jego podstęp. Zamiast ukarać go po raz czwarty, jeden ze strażników – nie patrząc nawet w stronę śluzy – rzucił:

– Wstawaj, siedem dwa jeden.

Henryan spróbował się podnieść, ale wciąż był zbyt słaby. Ręce tak mu się trzęsły, że nie zdołał podźwignąć ciała.

– Potrzebujesz dodatkowej zachęty, śmieciu? – zakpił drugi strażnik.

– Twoja żona jakoś na mnie nie narzeka – odparł, a raczej wybełkotał Świącki, licząc, że ta zniewaga przeważy w końcu szalę.

Chyba go nie zrozumieli. Syntezator mowy musiał się usmażyć.

Chwilę później jeden z nich podszedł i bezceremonialnie postawił go na nogi. Wyglądało na to, że zaczynają się nudzić. Jeśli zaaplikują mu teraz kolejną dawkę wstrząsów, minie sporo czasu, zanim oprzytomnieje. On o tym wiedział i oni też. Dlatego tak bardzo zależało mu na rozłószczeniu drani. Oddałby wszystko, byle skończyli z nim tu i teraz, zamiast zaczynać zabawę od początku, co znając ich sadystyczne upodobania, było całkiem możliwe.

– Stój tam i ani drgnij! – krzyknął strażnik tkwiący wciąż poza służą, przywołując gestem kompana. Gdy obaj znaleźli się w doku, gródź została zamknięta.

Świącki odetchnął z ulgą. Zatem to koniec. Jeszcze kilka chwil i dołączy do brata – co do tego nie miał już żadnych wątpliwości. Za moment rozlegnie się sygnał alarmowy, rozbłyszną żółte, potem czerwone światła, a na koniec zaczną pracować pompy. To, czy w momencie otwarcia zewnętrznej grodzi będzie jeszcze żył, czy skona wcześniej, po krótkiej walce o każdy atom tlenu, zależało wyłącznie od tempa, w jakim powietrze zostanie usunięte ze służy. Jedno było pewne: żywy bądź martwy zostanie wyssany w próżnię, by zamarznąć w okamgnieniu i kiedyś, za minutę albo miliard lat, roztrzaskać się o którąś z krążących w kosmosie przedwiecznych skał. Właściwie było mu wszystko jedno. Zdążył pogodzić się z myślą o śmierci, która – po tym, czego się dowiedział – była mu miłsza niż kiedykolwiek w ciągu minionych trzech lat.

Czas mijał, a on stał zgarbiony, wciąż drżąc na całym ciele. Pierwszy kwadrans minął, zanim Henryan się spostrzegł. Wciąż był zbyt oszołomiony, aby myśleć o czymkolwiek innym niż dręczący go ból. Po kolejnych piętnastu minutach, gdy w końcu zdołał się wyprostować, zaczął mieć wątpliwości. A jeśli to nie koniec, jeśli to tylko krótka przerwa w czekającej go męce? Zamknęli go tutaj, by wracał do sił, ponieważ nie chciało im się sterczeć i czekać. Poszli do

kantyny, by coś przekąsić, albo po nowe instrukcje, ale lada moment wróca, by znów się nad nim pastwić.

Pieprzyć to, pomyślał. Minuty, godziny, jakie to ma znaczenie. I tak im się wymknę. Dzisiaj, najpóźniej jutro. Dłużej nie mogą mnie tu trzymać.

Pokrzepiony tą myślą spędził w służbie następne trzy godziny. Stał nieruchomo na drugiej linii z wyzywającym uśmiechem, na wypadek gdyby go jednak obserwowali, co powinni robić, jeśli chcieli mieć pewność, że nie spróbuje im uciec przed czasem. W rzeczywistości jednak niewiele mógł zrobić – magnetyczne więzy krępowały go do tego stopnia, że nie zdołałby sięgnąć dłońmi do twarzy ani zrobić dwóch kroków. Pozostawało mu tylko czekać i bić się z własnymi myślami.

Wzdrygnął się, usłyszawszy wycie syren. Służbę zalało rytmicznie migające żółte światło. Najpierw się wystraszył, że to już koniec, ale niemal natychmiast dotarło do niego, że śmierć oznacza wygraną. Gdy po trzydziestu sekundach zapłonęły czerwone lampy, zrozumiał, że coś jest nie tak. W tym samym momencie powinny ruszyć pompy. On jednak nie słyszał charakterystycznego świstu powietrza wciąganego przez liczne kratownice. I wciąż mógł oddychać. Zerknął na wyświetlacz na ścianie służby. Piętnaście sekund do otwarcia zewnętrznej grodzi, ciśnienie w normie. Odwrócił się chwiejnie, stając twarzą do tafli plastali, za którą rozpościerała się bezbrzeżna przestrzeń.

Wystrzelał mnie w próżnię jak pocisk, pomyślał.

Pociechą dla niego mogło być to, że tym razem nie zdąży poczuć bólu.

Spojrzał przez ramię na wyświetlacz. Pięć sekund, cztery, trzy.

Ciekawe, czy zdąży zobaczyć gwiazdy, zanim...

Część trzecia

STACJA

JEDEN

System Xan 4, Sektor X-ray,

02.09.2354

Wahadłowiec przycumował płynnie do centralnego rękawa sekcji tranzytowej. Siedzący w ostatnim rzędzie sierżant odpiął pasy, gdy tylko włączono sztuczną grawitację. Był wysoki i bardzo szczupły, choć szeroki w ramionach, miał niebieskie oczy, pociągłą, mocno opaloną twarz i pasmo czarnych włosów okalających na wysokości uszu wysoko sklepioną czaszkę. Mundur podoficera korpusu łączności zwisał luźno z jego kościstych barków. Kiedy podniósł ręce, by wyjąć ze schowka bagaż podręczny, dało się zauważyć żylaste, dobrze umięśnione przedramiona. Na pierwszy rzut oka sprawiał wrażenie człowieka, który przywykł do noszenia bojowej zbroi albo spędził wiele czasu na jednej z planet o podwyższonej grawitacji.

Razem z nim na Xana 4 przyleciały jeszcze trzy osoby: wciśnięta w obcisły kombinezon służb medycznych czarna jak smoła, szerokopienna pani kapitan, rodowita Rosjanka, na co wskazywały wygląd i trudne do wymówienia nazwisko zdobiące naszywkę, oraz dwaj młodzi szeregowcy, dla których – sądząc po reakcjach – podróż ta musiała być pierwszym zetknięciem z głębokim kosmosem. Chwilę po przycumowaniu stewardzi zmienili strukturę plastalowego poszycia, aby pasażerowie mogli się przyjrzeć miejscu, do którego ich dostarczono. Medyczka i sierżant nie zwrócili na to najmniejszej uwagi,

ruszając niemal natychmiast w kierunku śluzy wyjściowej, jednakże szeregowcy pozostali w fotelach i z niepewnymi minami chłonęli niesamowity widok.

Sierżant pochylił się nad chłopakiem, który siedział przy przejściu po przeciwnej stronie.

– Macie przydział na Xana 4, szeregowy... Gosse? – zapytał, odczytując nazwisko młodego żołnierza z naszywki.

Pucołowaty blondyn najpierw zogniskował wzrok na jego twarzy, po czym skinął niepewnie głową.

– W takim razie to wasz przystanek. – Sierżant poklepał go przyjaźnie po ramieniu.

Zdażył się już przyzwyczać do takich widoków. To był jego szósty przydział od rozpoczęcia służby. W ciągu dziesięciu lat stacjonowania w przestrzeni trafił na cztery stacje orbitalne, odwiedził też kilkadziesiąt odległych systemów gwiazdnych. Wciąż jednak pamiętał oszołomienie, które towarzyszyło jego pierwszej wyprawie w kosmos, gdy zaraz po akademii udawał się do jednostki. W przestrzeni pojęcia takie jak pion czy poziom są względne. Błądźnik szaleje, ilekroć człowiek staje w śluzie wahadłowca przed rękawem łącznika, mając wrażenie, że każą mu się wspinać po niemal pionowej ścianie. Dezorientację pogłębia fakt, że nad głową widzi ogromną wirującą szybko konstrukcję stacji orbitalnej lub owal pobliskiej planety. Tym razem było podobnie. Długi tunel łączący śluzę z terminalem podpięto pod kątem niemal siedemdziesięciu stopni.

Przy włączaniu sierżant spojrzał na żegnającego go uśmiechem stewarda.

– Lepiej wyłącz tryb transparentny – poradził, ściskając dłoń członka załogi, i zaraz wskazał kciukiem obu poborowych, którzy wciąż siedząc w fotelach, gapili się na wiszącą nad ich głowami konstrukcję, widoczną za nią seledynowo-złotą kulę planety oraz lśniące w oddali gwiazdy tego systemu.

– Rozumiem – powiedział steward, otwierając panel obok wjazdu.

Sierżant minął linię kadłuba, zanim ten powtórnie przybrał siwą barwę. Przeszedł przez komorę stabilizacyjną i nawet się nie zatrzymując, przeskoczył sprawnie na ruchomy chodnik. To był najlepszy sposób na wyrwanie się ze

strefy oddziaływania pola grawitacyjnego maszyny. Szeregowi z pewnością nie znali tej sztuczki, nie żałował jednak, że nie zobaczy ewolucji, jakie za chwilę obaj wykonają.

Rękaw okazał się cholernie długi. Dzięki przezroczystym ścianom sierżant miał doskonały widok na ogromną konstrukcję, ku której zmierzał.

Stacja przypominała monstrualne koło. Takie klasyczne, z piastą, szprychami i obręczą. Kadłub centralnej części tego molocha musiał mieć kilkaset metrów średnicy i składał się z trzech połączonych ze sobą kulistych sekcji. W najodleglejszej mieściły się reaktory. Środkowa była hubem łączącym osiem smukłych ramion biegnących ku odległej o niemal dwa kilometry obręczy, w której znajdowały się pomieszczenia mieszkalne i robocze. Trzecia, najbliższa, pełniła funkcję kosmoportu. Z jej obłej powierzchni sterczały pęki rękawów. We wszystkich widział przesuwające się wolno sylwetki ludzi albo zarysy przewożonych kontenerów.

Jednakże to nie kształt stacji zadziwił przybysza, tylko jej rozmiary. Podczas swych licznych podróży sierżant widział parę kompleksów bojowych w zewnętrznych sektorach ramienia, lecz nawet one wydawały się karłowate przy gigancie, ku któremu właśnie zmierzał. Konstrukcja wisząca wysoko nad planetą przywodziła na myśl jedno z dawnych miast orbitalnych, które w pierwszym okresie kolonizacji umieszczano nad wymagającymi terraformowania globami, aby pionierzy mieli gdzie mieszkać, dopóki nie zakończy się budowa stacji naziemnych. Sądząc po rozmiarach obręczy, mogło w niej bytować kilka, a może nawet kilkanaście tysięcy ludzi. Wzmożony ruch wokół innych rękawów sekcji tranzytowej zdawał się potwierdzać przypuszczenia sierżanta. To miejsce tętniło życiem. Dziesiątki wahadłowców krążyły między pobliskim kotwicowiskiem okrętów floty, stacją i widoczną za jej korpusem planetą.

Po trzech minutach takich rozmyślań sierżant dotarł do końca rękawa. Za automatyczną bramką odpraw czekał na niego skromny komitet powitalny. Tuż za przepierzeniem stanowiska kontroli stał tyczkowaty skośnooki oficer

w nieskazitelnie szarym mundurze z dystynkcjami porucznika na kołnierzu, nieco dalej zaś, w głębi służby, oddział żandarmów w pełnym rynsztunku pilnujący trójki więźniów.

Sierżant wzdrygnął się mimowolnie na widok pomarańczowych kombinezonów. To miejsce nie wyglądało przecież jak standardowa kolonia karna...

Ścisnął niesiony czytnik z dokumentami transferowymi, jakby chciał się upewnić, że to nie sen. Ziarno niepewności wciąż w nim tkwiło. Cały czas miał wrażenie, że obietnica, którą złożono mu w dowództwie sektora, nie jest tak szczodra, jak mogłoby się wydawać...

* * *

– Sierżant Pry... dein... wraig? – sylabizował skośnooki porucznik, próbując odgadnąć, jak też powinien wymówić egzotyczne nazwisko.

– Mniej więcej, sir – odparł wyczytany, salutując przepisowo. – Teddie Prydeinwraig. To walijskie nazwisko. W akademii miałem sporo problemów z jego powodu, dlatego niektórzy wykładowcy mówili do mnie po prostu Pry. Może to ułatwi panu sprawę, sir.

– Świetnie, Pry. Wiem, jak trudne bywają nazwiska etniczne, choć sam akurat nie mam z tym problemu. Nazywam się Ngomobutu Mugabe. Pełnię funkcję zastępcy dowódcy pionu kadrowego tej stacji. Witam na Xanie 4. – Porucznik spojrzał raz jeszcze na czytnik. – A gdzie szeregowi Gosse i Adauer?

– Z tego, co zauważyłem, mają kłopoty z aklimatyzacją – zameldował sierżant, po czym dodał konfidencyjnym tonem: – To koty.

– Aha. – Mugabe skrzywił się, sięgając po komunikator.

– To chyba nie będzie konieczne, sir. – Prydeinwraig powstrzymał go, wskazując kciukiem na przeciwległy koniec rękawa.

Obaj szeregowcy jechali już ruchomym chodnikiem. Na szeroko rozstawionych nogach, wspierając się wzajemnie, ale z wciąż zadartymi

głowami.

– Świetnie – ucieszył się porucznik.

Chwilę później szeregowcy spróbowali pokonać wąską bramkę stanowiska kontroli. Rzecz jasna, jednocześnie.

Gdy wszyscy pasażerowie przeszli już odprawę, porucznik Mugabe dał znak żandarmom. Podkute stałą buty zadudniły o kratownice pokładu. Opancerzeni żołnierze ruszyli w stronę rękawa, prowadząc między sobą więźniów. Ubrani w pomarańczowe kombinezony skazańcy, skuci w kostkach magnetycznymi kajdanami, starali się za nimi nadążyć.

– Co przeszkrobali? – zapytał sierżant, gdy złowieszczy orszak zniknął w głębi rękawa.

– Wkrótce się dowiecie, sierżancie – odparł enigmatycznie oficer. – Przylecieliście tutaj, żeby zastąpić jednego z nich.

* * *

Sala odpraw była mała, niska i klaustrofobicznie ciasna. Znajdowała się w centralnej sekcji piasty, dlatego nie miała okien, a prowadził do niej tylko jeden wąski właz. Dla sierżanta nie był to problem – przywykł do znacznie ciaśniejszych i duszniejszych pomieszczeń – ale obaj szeregowcy czuli się bardzo nieswojo. Wbici w fotele pocili się jak myszy mimo całkiem wydajnej klimatyzacji. Gdy Teddie zerkał w ich kierunku, uśmiechali się do niego głupekowato, nieudolnie maskując niepokój.

– Bacność! – Gwardzista stojący przy włazie podał komendę i sam trzasnął obcasami.

Prydeinwraig poderwał się i wyprężył przepisowo, Adauer i Gosse też wstali, ale wolniej i bardziej niezdarnie. Chociaż od opuszczenia wahadłowca minęło już niemal pół godziny, wciąż cierpieli na zaburzenia błędnika.

– Spocznij! – Pułkownik, który wypowiedział te słowa, wyglądał na weterana. Ostrzyżony za uszami na jeża, z płaską pozbawioną wyrazu twarzą i małymi

głęboko osadzonymi oczami był klasycznym wyobrażeniem koszmaru każdego kadeta. Nienagannie skrojony mundur, udatnie kryjący lekką nadwagę, podkreślał jego drapieżność. Teddie rzucił okiem na szeregowców. Chłopcy z poboru nadal się uśmiechali; biedni frajerzy, nie wiedzieli jeszcze, z kim mają do czynienia. – Nazywam się Franciscollin Rutta – rzucił zwięźle przybyły, stając za wąskim pulpitem mównicy. – Jestem dowódcą tej stacji. Stawiając na niej stopę, przeszliście pod moje rozkazy. Jakies pytania?

– Nie, sir! – wrzasnął przepisowo sierżant.

– Świetnie – burknął pułkownik. – Siadać!

– W zasadzie... – z tyłu dobiegł bełkotliwy głos.

– Słusznie, szeregowy! Lepiej siedzieć w zasadzie niż w kwasie. – Pułkownik przerwał Adauerowi w pół zdania. – Siadać, powiedziałem!

Poborowi wykonali rozkaz mniej więcej w tym samym czasie. Dobrze, że nie próbowali zająć tego samego fotela.

– Poruczniku. – Rutta machnął ręką w stronę wjazdu. Do sali wszedł kolejny oficer. Szczupły, wysoki, blady, o kruczoczarnych, przyszczyżonych na trzy milimetry włosach, których miał na głowie mniej niż leciwy pułkownik. Sztywny salut wystarczył im za powitanie. – Szef pionu łączności, porucznik Robertobias Valdez, wprowadzi was w obowiązki – oświadczył dowódca stacji, po czym zmierzył przybyłych ostrym spojrzeniem i wymaszerował z sali żegnany ryknięciem gwardzisty.

– Spocznij. – Valdez usiadł za pulpitem tuż obok mównicy i włożył osobisty czytnik do gniazda holoprojektora.

Począł, aż szeregowcy znów zajmą miejsca, a następnie sprawdził krótką listę obecności. Prydeinwraig zameldował się zgodnie z regulaminem. Koty wybełkotały tylko nazwiska i nazwy ojczystych planet.

– Jestem pewien, że nigdy nie słyszeliście o Systemie Xan 4 ani o tej stacji – zagał porucznik, gdy zakończyli prezentację. – Nasz projekt jest tak tajny, że nie wie o nim nikt, kto nie ma z nim bezpośredniej styczności. Wliczając w to znakomitą większość admirałów. Przejdźmy jednak do konkretów. Wasze

przydziały są bezterminowe, wygasną dopiero w momencie, gdy projekt „Dwa słońca” zostanie ukończony, a to może trochę potrwać. Za chwilę otrzymacie do podpisania dokumenty zobowiązujące was do zachowania w ścisłej tajemnicy wszystkiego, co usłyszycie i zobaczycie podczas służby. Dotyczy to także prywatnej korespondencji, która jest w stu procentach kontrolowana przez komórkę kontrwywiadu Wydziału Bezpieczeństwa.

– Ale jazda... – mruknął Gosse. Albo sprawiła to akustyka, albo nie do końca panował nad głosem, gdyż jego słowa usłyszeli wszyscy obecni, Valdeza nie wyłączając.

– Owszem – potwierdził porucznik. – Nawet nie wiecie, jak ostra. A może jednak?

– Czy to jakaś nowa kolonia karna? – zapytał podejrzliwie sierżant, czując lodowaty ucisk na dnie żołądka na wspomnienie trójki więźniów pod eskortą.

Porucznik zaprzeczył ledwie widocznym ruchem głowy, uśmiechając się pod nosem. Nie wyglądał na zaskoczonego, zupełnie jakby się spodziewał tego pytania.

– Testujemy na tej planecie nowe rodzaje broni? – To pytanie zadał jeden z kotów.

– Nie.

Zapadło niezręczne milczenie. Prydeinwraig starał się wymyślić, co jeszcze może robić w obcym systemie kilka tysięcy żołnierzy i cywilów – idąc tutaj, mijali na korytarzach osoby z naszywkami pionu naukowego oraz medycznego – jednakże nic sensownego nie przyszło mu do głowy.

– Kontaktujemy się z Obcymi? – rzucił po chwili Adauer, trącając łokciem Gossego.

Obaj parsknęli stłumionym śmiechem.

– Nie, nie kontaktujemy się z Obcymi. – Porucznik nie podzielał ich wesołości. – My ich tylko obserwujemy.

* * *

Odprawa skończyła się po kilku minutach. Nowi, ku swojemu wielkiemu rozczarowaniu, nie dowiedzieli się niczego więcej. Valdez zebrał jedynie ich oświadczenia dotyczące tajemnicy służbowej, rozdał im harmonogram obowiązkowych szkoleń, a na koniec przekazał – za pokwitowaniem rzecz jasna – karty dostępu do kwater i automatów z żywnością.

– Pan, sierżancie, jeszcze zostanie – rzucił porucznik, gdy Prydeinwraig wyciągnął rękę po dokumenty i klucz.

Gosse i Adauer wyszli na korytarz sprężystym krokiem. Podekscytowani wiadomością o Obcych zapomnieli o ogłupiałym błędniku. Gdy drzwi zamknęły się za nimi i odesłanym gwardzistą, Valdez odłożył czytnik, a potem spoglądając stojącemu przed nim mężczyźnie prosto w oczy, zapytał:

– Skąd to cudaczne nazwisko? Jeśli mnie pamięć nie myli, pochodzi pan z polskiego wektora, panie Święcki. – W jego ustach prawdziwe nazwisko Henryana zabrzmiało dziwnie bełkotliwie.

– To panińskie nazwisko mojej matki, która była dumna ze swoich walijskich korzeni, chociaż... – Sierżant zawiesił głos, niepewien, czy powinien wtajemniczać oficera w rodzinne sprawy.

– Chociaż? – zachęcił go porucznik.

– W jej języku tak mówiono na Anglików.

– Nie rozumiem.

– Nieważne, sir. Jeśli to problem, proszę używać skrótu. Pry wymawia się o wiele łatwiej od obu nazwisk.

– Pry. Tak, oczywiście – zreflektował się Valdez.

Henryan przejął inicjatywę, wykorzystując jego zmieszanie.

– Zapewniano mnie w admiralicji, że... – zaczął.

Porucznik podniósł ręce w uspokajającym geście.

– To nie tak. Jestem prawą ręką pułkownika. O tym, kim pan jest, wiemy tylko on i ja. Dla wszystkich pozostałych żołnierzy i naukowców będzie pan sierżantem Pryde coś tam coś tam...

– Oby – mruknął rozżalony wciąż Henryan, po czym spojrzał badawczo na nowego przełożonego i dodał z niedowierzaniem: – Obcy? Poważnie?

Valdez pokiwał głową.

– Jak najbardziej. Aczkolwiek, bądźmy szczerzy, nie mówimy tu o jakichś wysoko rozwiniętych cywilizacjach. – To akurat było jasne. Święcki wiedział, że taka koncentracja floty na stosunkowo niskiej orbicie nie uszłaby uwagi istot na poziomie dziewiętnasto- czy nawet osiemnastowiecznej ludzkości. – Na kursach wprowadzających dowiedzie się wszystkiego, co trzeba.

– My? – zdziwił się Henryan. – Chce pan powiedzieć, że te dwa gnojki – miał na myśli szeregowców – zostały tu sprowadzone w tym samym celu co ja?

Valdez zaprzeczył ruchem głowy.

– Spokojnie. Mówię o Obcych. W resztę szef wprowadzi pana osobiście, gdy przyjdzie na to pora. Na razie proszę się rozgościć, odbębnić wszystkie szkolenia, a za trzy dni porozmawiamy o pańskim zadaniu.

* * *

Henryan wsiadł do windy jadącej z piasty na obręcz. Według otrzymanej rozpiski miał się udać szybem ramienia H do sektora 8 i bloku D. Pokonanie dwóch kilometrów dzielących przystanki krańcowe zajęło kabinie ponad pięć minut. Jak zawsze ostatnio, gdy zostawał sam, wrócił w myślach do momentu, w którym zginął, aby dostać się w to miejsce...

* * *

Gródź zewnętrzna otwierała się szybko. Szczęk odryglowywanych zamków poprzedzał o mgnienie oka syk pneumatycznych mechanizmów odciągających zachodzące na siebie płyty plastali.

Henryan stał z zamkniętymi oczami, oczekując szarpnięcia. Choć bardzo pragnął raz jeszcze spojrzeć w gwiazdy, w ostatniej chwili wystraszył się śmierci

i instynktownie skulił, zaciskając powieki i usta, jakby to mogło mu w czymś pomóc.

Syk umilkł, a on nadal żył. Nie było żadnego szarpnięcia, jego ciało nie eksplodowało, nie zamieniło się także w bryłę lodu. Zaskoczony otworzył najpierw lewe oko, potem prawe, a gdy poraziła go jasność bijąca zza otwartej grodzi, przesłonił twarz dłonią.

– Henryan Świącki? – Usłyszawszy swoje nazwisko, tradycyjnie już przekrecone, uznał, że to przedśmiertna wizja, jedna z tych, o których tyle się nasłuchał, służąc na kolejnych okrętach.

Skinął głową, nie mogąc wydobyć z siebie słowa. Usłyszał kroki, ktoś podszedł do niego, potem pojawił się też ktoś drugi. Stąpnięcia były ciche, pozbawione charakterystycznego klangu opancerzenia.

– Człowieku, wyglądasz jak kupa gówna – rzucił rozbawionym tonem któryś z przybyłych.

– I tak samo cuchniesz – dodał jego towarzysz.

Świącki poczuł, jak chwytają go pod ramiona i ciągną w stronę światłości. A tak się bałem końca, pomyślał, gdy sadzano go na czymś twardym. Oślepienie powoli mijало, widział już wokół siebie jasne plamy i poruszające się wśród nich rozmazane cienie. Zamknął powieki, by wycisnąć spod nich łzy, a kiedy otworzył znowu oczy, zobaczył nad sobą twarz kobiety. Była zbyt brzydka jak na anioła.

– Jestem komandor Ursulavinia Derrick, witam na pokładzie okrętu kurierskiego admiralicji – powiedziała.

Henryan widział już na tyle dobrze, że dostrzegął zarysy przedmiotów i sylwetki ludzi w charakterystycznych mundurach. Wszyscy przyglądali mu się z mieszaniną zainteresowania i odrazy.

– Admiralicji? – powtórzył bezwiednie ostatnie słowo. – Zostałem zwolniony?

– Na to wygląda – odparła, szczerząc zęby w uśmiechu. – Coś mi mówi, że przybyliśmy w ostatniej chwili.

Znowu poczuł pod pachami czyjeś dłonie. Był już na tyle przytomny, że nie trzeba go było podtrzymywać. Stał o własnych siłach, ale nadal nie potrafił uwierzyć, że Draccos wypuścił go ze swoich szponów. Długa gorąca kąpiel, czysta odzież i miękka koja pozwoliły mu się uspokoić, nie na tyle jednak, by definitywnie pozbył się głęboko zakorzenionego strachu, obawy, że to wszystko jest ustawione, że gdy w końcu okaże radość, nagle opadną zasłony i zostanie brutalnie przywołany do więziennej rzeczywistości. Ilekroć stawał przed drzwiami, miał wrażenie, że po ich otwarciu zobaczy komendanta i jego oprawców, którzy z drwiącymi uśmiezkami zaciągną go z powrotem pod kopułę kolonii karnej i wtrącą na wieczność do karceru.

Tymczasem mijały godziny, a on wciąż tkwił na pokładzie jednostki kurierskiej, otoczony astronautami, którzy pomimo okazywanej rezerwy traktowali go jak człowieka. Zjadł z nimi suty posiłek o wiele smaczniejszy od papki serwowanej mu przez ostatnie trzy lata, potem drugi, tylko nieco skromniejszy. Przespał noc, budząc się wielokrotnie i nasłuchując z głośno bijącym sercem, czy za drzwiami nie rozlegają się znienawidzone metaliczne kroki. Nie odważył się zgasić światła. Obawiał się, że jego serce nie wytrzymałoby ani sekundy kompletnych ciemności.

Admirałowie nie zwierzali się ze swoich planów wysyłanym w przestrzeń kurierom, nie był zatem w stanie wyciągnąć z załogi żadnych szczegółów dotyczących nieoczekiwanego uwolnienia. Ursulavinia dała mu jednak naczelnik z kompletem kryształów, informując, że powinien się zapoznać z najnowszymi wersjami oprogramowania stanowisk komunikacyjnych. To było jedyne polecenie w sprawie Henryana, jakie komandor otrzymała... prócz rozkazu odebrania go z kolonii, rzecz jasna.

Następnego ranka, gdy wrócił po śniadaniu do kajuty, zobaczył na panelu komunikatora migającą czerwoną diodę. Ktoś próbował się z nim skontaktować. Wahał się chwilę, trzymając palec nad wyświetlaczem, lecz w końcu ciekawość zwyciężyła.

Pożałował swojej decyzji, gdy tylko ujrzał holograficzne oblicze Draccosa.

– Nie ciesz się, siedem dwa jeden – wycedził przez zaciśnięte zęby komendant kolonii karnej. – To tylko przerwa w odbywaniu kary. Wrócisz do nas, a wtedy...

Henryan bez słowa wyłączył komunikator.

DWA

System Xan 4, Sektor X-ray,

03–05.09.2354

Szkolenie podstawowe trwało trzy dni. W tym czasie Święcki nie tylko zapoznał się z zakresem obowiązków – do jego zadań miała należeć koordynacja całej łączności wewnątrzsystemowej, głównie z wysuniętymi placówkami badawczymi na powierzchni planety – ale też dowiedział się więcej o Obcych. Pierwszych Obcych, na jakich ludzkość trafiła w zbadanej przez siebie części Galaktyki.

To, co usłyszał od naukowców prowadzących kurs, zaskoczyło go do tego stopnia, że zapomniał na jakiś czas o własnych problemach. Xan 4 był naprawdę niezwykłym systemem. Gwiazda podwójna niańczyła trzy planety okołopodwójne: gazowego olbrzyma oddalonego o dziewięć i pół jednostki astronomicznej, wypalony kamienny glob orbitujący niespełna siedemdziesiąt milionów kilometrów od centrum grawitacyjnego systemu oraz ciało niebieskie zwane Beta, krążące pomiędzy tamtymi na samym skraju ekosfery systemu. Święcki niewiele zrozumiał z naukowego bełkotu wyjaśniającego nietypowość układu planetarnego, w którym się znalazł, ale jeden fakt wrył mu się w pamięć: orbita Bety była bardzo niestabilna, w związku z czym planeta ta, oddalając się od obu gwiazd, co pół miliarda lat opuszczała ekosferę systemu. Działo się to jednak tak wolno, że kompletne zlodowacenie następowało dopiero po dziesiątkach milionów lat stopniowego ochładzania się klimatu. W czasie równie

powolnego powrotu do ekosfery temperatura rosła o dziesiąte części stopnia na tysiącletcie, a te namiastki życia, które zdołały przetrwać glacja, ewoluowały, z czasem podbijając wyłaniające się spod zmarzliny lądy i morza.

Jeśli wierzyć wynikom najnowszych badań, Beta przeszła już siedem takich okresów rozkwitu życia i przygotowywała się właśnie do kolejnego opuszczenia ekosfery. Trzy czy cztery miliony lat, które dzieliły planetę od początku następnego zlodowacenia, były jednak okresem niewyobrażalnie długim, zwłaszcza gdy patrzeć z ludzkiej perspektywy.

Na szczęście dla żyjących na Becie roślin i zwierząt proces zlodowacenia był rozłożony na całe eony. Tutejsza fauna i flora miała czas na adaptację do zmieniających się nieubłagane warunków, dzięki czemu pewnej części gatunków udawało się przetrwać. Nie było oczywiście mowy o zwycięskich zaawansowanych formach życia, niemniej każdy powrót planety w ekosferę systemu wyzwał ukryte głęboko pod lodami przetrwalniki i spory, które zapoczątkowały nowe procesy ewolucyjne.

W ciągu dziesięciu lat czynnej służby Święcki odwiedził ponad dwadzieścia systemów gwiazdnych. Stacjonował w tym czasie na dwudziestu ośmiu planetach i czterech stacjach orbitalnych. Poza tym spędził prawie trzydzieści sześć miesięcy w kopalni helonu w pasie asteroid przemierzających nienazwane rejony pustki międzysystemowej. Na większości odwiedzanych „kamyków”, jak w żargonie pokładowym nazywano planety, trafiał na mniej lub bardziej rozwinięte formy życia. Czasem bardzo odmienne od tych, które można spotkać w miejscach przyjaznych człowiekowi, gdzie niebo jest błękitne, a roślinność zielona. Taki raj Święcki widział tylko raz, w odległym sektorze, gdy jako starszy specjalista w sekcji łączności stacjonował na pancerniku *Lem* i wizytował pod admirałem Dustrem zewnętrzne kolonie należące głównie do wielkich korporacji. Delta Rubiconu była, jak powiadano, niepowtarzalna, ale nawet na niej nie rozwinęły się inteligentne formy życia. Wielu ludzi, widząc tę rajską planetę, myślało tylko o jednym: zrzucić mundur i zaciągnąć się do kopalń tego systemu. Henryan także miał na to ochotę. To były dawne, dobre

czasy. Wtedy jeszcze nie wiedział, czym jest rycie sztolni w pozbawionym ciężenia odłamku skały krążącym w bezbrzeżnej pustce.

Większość służby spędził na rozpalonych do czerwoności albo skutych wiecznymi lodami planetach zaliczanych do piątej i niższych kategorii, gdzie koroną stworzenia były co najwyżej bakterie albo porosty.

Tutaj rzecz przedstawiała się inaczej. Atmosfera Bety, choć toksyczna dla człowieka podobnie jak wody tej planety, pozwoliła na wykształcenie się aż dwu ras rozumnych. Obie pojawiły się w ostatnim interglacjale, ewoluując z pozostałości poprzedniej epoki rozkwitu życia, a raczej dwóch epok. Naukowcy badający historię globu podejrzewali, że błękitnokrwisci Gurdowie są spadkobiercami organizmów o jeden lub nawet dwa cykle starszych od tych, które rozwinęły się w prymitywniejszych Suhurów. Trudno było bowiem znaleźć jakiegokolwiek – choćby genetyczne – podobieństwa między tymi niezwykłymi rasami.

Gurdowie byli istotami o obłym torsie, czarnej grubej skórze, czterech jednakowych chwytnych kończynach i wyrastającej ze szczytu korpusu teleskopowej wypustce, której kuliste zakończenie ziemscy naukowcy nazywali węzłem zmysłowym. Błękitnokrwisci mieszkańcy kontynentu zwanego Gurdu'dihanem nie mieli oczu ani nozdrzy, a bodźce zewnętrzne chłonęli – to słowo było chyba najbliższe prawdy – w tak przedziwny sposób, że trudno go było pojąć ksenobiologom, a co dopiero laikom.

Istoty te porozumiewały się za pomocą fal akustycznych powstających w podskórnym organie w przedniej części tułowia. Gdy prowadzący zajęcia odtworzył przekonwertowane nagranie ich mowy, Henryan skrzywił się, usłyszawszy serię przenikliwych modulowanych pisków.

Gurdowie nie polowali. Jedzenie innych istot było dla nich nie do pomyślenia. Żywili się pędami roślin, które uprawiali na masową skalę, ale ich system trawienny także nie przypominał niczego, co znano na Ziemi.

Gdy Święcki ujrzał po raz pierwszy niezdamnych Gurdów, skojarzyli mu się z mitycznymi centaurami. Nie potrafił powiedzieć dlaczego – ich obłe korpusy

i symetrycznie osadzone chwytne kończyny w niczym nie przypominały krzyżówki człowieka ze szlachetnym wierzchowcem – lecz takie właśnie odniósł wrażenie.

Rasa ta pochodziła z bagnistych równin większego z dwóch kontynentów planety. Błękitnokrwisci zasiedlili go przed dwunastoma tysiącami tutejszych lat, określanych przez nich mianem wylewów – od cyklicznych powodzi występujących po każdej porze chłodnej.

Zwyczaje błękitnokrwistych były równie dziwne jak ich wygląd. Nie znali pojęcia boga, nie mieli także religii ani wiążących się z nią rytuałów. Wydawać się mogło, że nie rozumieją konceptu życia nadprzyrodzonego. Nie zmieniło się to nawet po tym, jak zetknęli się z rozwiniętym systemem wierzeń prymitywniejszych sąsiadów zwanych Suhurami.

Gurdowie żyli stadnie, tworząc zwarte skupiska liczące nawet kilkadziesiąt tysięcy osobników, lecz w odróżnieniu od Suhurów nie dzielili się na narody ani klany. Każdy przybysz, który przyłączał się do jakiejś społeczności albo choćby ją odwiedzał, był traktowany na równi z miejscowymi, mimo że mógł pochodzić z przeciwległego krańca kontynentu większego od obu Ameryk razem wziętych. Podstawową komórką społeczną była u Gurdów rodzina składająca się z trzech osobników dorosłych i wychowywanego przez nich potomstwa. Gurdowie byli bowiem istotami trójpłciowymi. W celu prokreacji składali komórki jajowe i nasienie, ale dawcy gamet, odpowiednik ziemskiego samca (zwany nasiennikiem) i samicy (określanej mianem jajoskładu), musieli w tym celu kopulować – niekoniecznie w tym samym czasie – z trzecim partnerem, czyli płodonosem. To w jego ciele zagnieżdżały się zapłodnione jaja i to on nosił młode przez całe trzynaście standardowych miesięcy ciąży.

Potomstwo bardzo szybko stawało się samowystarczalne, co mogło świadczyć o tym, że w zamierzchłej przeszłości Gurdowie, podobnie jak ziemskie zwierzęta trawożerne, narażeni byli na ataki drapieżników. Co ciekawe, gdy ludzie zaczęli obserwować Betę, na całym Gurdu'dihanie nie znaleziono drapieżcy zdolnego zagrozić tym tylko z pozoru bezbronnym istotom. Dopiero

wykopaliska dostarczyły niezbitych dowodów na to, że jeszcze przed kilkoma stuleciami życie błękitnokrwistych nie przypominało obecnej sielanki. Nie ustalono jedynie, co mogło być przyczyną gwałtownego wyginięcia wielu gatunków drapieżników, zwłaszcza tych, które panowały na większym kontynencie od tysięcy, a w niektórych przypadkach nawet milionów lat. Na tę tajemnicę, zdaniem kilku naukowców, miały rzucić nowe światło badania współczesnych zachowań Gurdów, a zwłaszcza ich relacji z Suhurami.

W każdym razie niemający ostatnimi czasy naturalnych wrogów czworonodzy Gurdowie zaczęli w coraz szybszym tempie budować zręby cywilizacji, a gdy osiągnęli poziom rozwoju średniowiecznego człowieka i w wystarczającym stopniu opanowali żeglowanie po tutejszych niespokojnych wodach, sięgnęli także po drugi, leżący na północnej półkuli kontynent planety. Tak zaczął się podbój domeny prymitywniejszych Suhurów.

Ta wojownicza rasa, w której „żyłach” płynęła gęsta brunatna posoka, utworzyła pierwsze społeczności siedemdziesiąt tysięcy lat wcześniej niż Gurdowie. Jej przedstawiciele zyskali miano Wojowników Kości, ponieważ ze szkieletów upolowanych zwierząt wytwarzali ozdoby, broń, a nawet szalasy, w których zamieszkiwały klany. Sądząc po wykopaliskach, Suhurowie skolonizowali swój kontynent tysiące lat przed tym, zanim na sąsiednim Gurdu’ dihanie zapłonął pierwszy skrzesany ogień. Mimo to ustępowali obecnie swoim błękitnokrwistym sąsiadom, i to pod każdym względem. W ich przypadku ewolucja zatrzymała się wieki temu. Gdyby żyjącego w zamierzchłej przeszłości Suhura przenieść do sadyby współczesnego klanu, poczułby się tam jak u siebie. Mógłby nawet nie zauważyć różnicy.

Rdzenni mieszkańcy Suhurty mimo ogromnego zapóźnienia radzili sobie wyjątkowo dobrze. Żyli w zgodzie z naturą, rozwijając system wierzeń, którego centralnymi postaciami byli trzej bogowie. Kored i Thub reprezentowali oba słońca tego systemu – nieustannie ze sobą walczące, jak kosmogonia Wojowników Kości przedstawiała koniunkcje gwiazd, które łączyły się na niebie w niesamowicie widowiskowy sposób. Historia trzeciego bóstwa, zwanego

Yabha, wyglądała jeszcze ciekawiej. Zdaniem Wojowników Kości było ono ongiś trzecim słońcem, które w zamierzonych czasach zostało pokonane przez walczącą wciąż parę i rozprysnąwszy się na miriady odłamków, zawisło na firmamencie pod postacią zimnych gwiazd. W czasie wykładu dotyczącego wierzeń wytłumaczono Henrynowi także inną ciekawą różnicę pomiędzy obiema cywilizacjami Bety. Chodziło mianowicie o miarę czasu. Błękitnokrwisci mieli kalendarz odmierzający faktyczne lata, czyli pełne obiegi planety wokół słońca, natomiast Suhurowie zliczali koniunkcje, które także były regularne, ale odbywały się czterokrotnie w ciągu każdego trzech lat astronomicznych.

Niemal wszystkie aspekty kultury Suhurów miały związek z walką i zabijaniem. Nawet ich jednostki miar i wag odzwierciedlały niezwykle wojownicze nastawienie do świata. Gdy Suhur chciał opisać przebyty podczas łowów dystans, liczył go w strzałach z łuku albo rzutach włócznią. Gdy klan zbierał ziarna sągrowca, mógł ich mieć tarczę, hełm albo kołpak, czyli element zbroi chroniący tak zwany miękkiś.

Wojownicy Kości – niewiarygodnie silni, wytrzymali i bezwzględni – byli urodzonymi zabójcami. Co więcej, żyli, by ginąć w walce, i temu celowi podporządkowywali swą egzystencję niemal od pisklęcia. I chociaż wydawali się bardziej humanoidalni niż Gurdowie, nie przypominali w niczym ludzi.

Wojownicy Kości nie znali takich pojęć, jak współczucie czy miłość. Nie wiedzieli też, czym jest seks, ponieważ natura nie wyposażyła ich w narządy płciowe. Pomimo kilkuletnich obserwacji i badań nie udało się ustalić czynników sprawiających, że niektóre osobniki tego gatunku stawały się brzemiennie. Po osiągnięciu dojrzałości znikoma część populacji wykształcała rodzaj komór płodowych zwanych pełchawkami. Miały one postać pęcherzy wyrastających w górnej części korpusu, głównie „tylnej”, na styku płyt szkieletu zewnętrznego, choć zdarzały się także przypadki większego ich rozproszenia. W jednym łęgu wykluwało się od czterech do siedmiu piskląt.

Brzemiennie osobniki nazywano w klanach denshami. Każdy densha był

izolowany i zamykany w specjalnym kojcu pośrodku sadyby, gdzie piskłeta pozostawały aż do uzyskania samodzielności. Do porodu, o ile można tak nazwać zakończenie dziwacznej ciąży, dochodziło po niespełna czterech miesiącach. Gdy nabrzmiałe pełchawki zaczynały pękać, wydzielając lepki śluz, kapłani klanu rozcinali je ostrożnie kościanymi ostrzami. Uwolniony od nich osobnik liniał w ciągu kilku dni i na powrót stawał się pełnoprawnym wojownikiem.

Czasami jednak natura płatała figle i zarodki w pojedynczych pełchawkach nie rozwijały się prawidłowo bądź obumierały, a co za tym idzie, nie było czego rozcinać i nic nie spadało. Jeden na dwudziestu Suhurów zostawał denszą, zaschnięta pełchawka natomiast trafiała się raz na kilka tysięcy udanych lęgów. Wojownik Kości, którego spotkało to nieszczęście, stawał się pariasem. Bycie wieczną „samicą” oznaczało utratę prestiżu i dozgonne pełnienie poniżającej – choć bardzo potrzebnej w prymitywnej społeczności – funkcji piastunki piskląt innych wojowników. W każdym siole klanu mógł być tylko jeden densha. Jeśli przypadek sprawił, że pojawił się nowy, starego zabijano – jak nakazywała okrutna tradycja – pętając mu kończyny i pozostawiając go w dole śmierci.

Wojownicy Kości mieli też bardzo ciekawą fizjologię. Oddychali poprzez błony rozmieszczone w górnej części korpusu. Porozumiewali się za pomocą rozsianych po całym korpusie membran mogących – jak stosowane przez ludzi mikrofony – nadać i odebrać niemal każdy dźwięk. Naśladowanie głosów zwierząt przychodziło tym istotom równie łatwo jak prowadzenie rozmowy, dzięki czemu byli niedoścignionymi łowcami. Mając troje oczu rozmieszczonych równomiernie na kopulastym zwieńczeniu korpusu – przez niektórych naukowców zwanym „głową” – Suhurowie widzieli wszystko dookoła. Pojęcia takie jak „przód” czy „tył” nie miały więc dla nich większego znaczenia. Suhur mógł obserwować cały teren wokół siebie, a podkradnięcie się do niego na otwartej przestrzeni zakrawało na cud. Walka z kilkoma przeciwnikami atakującymi z różnych stron nie była dla sprawnego Wojownika Kości wielkim wyzwaniem. Liczne panewkowe stawy pozwalały na znacznie

większą swobodę ruchów niż u ludzi. Kuliste odpowiedniki łokci i kolan, których Suhurowie mieli dwa razy więcej niż człowiek, zginały się równie swobodnie w obie strony. Gdyby znali zapasy, założenie dźwigni nie byłoby wobec nich skuteczną taktyką.

Rozpędzony Suhur zmieniał kierunek bez zawracania. Mógł też trafić z równą precyzją przeciwnika stojącego przed nim, jak i tego, którego miał za „plecami”.

Dwie długie, sięgające poniżej drugiej pary kolan ręce wyposażone były w osiem szponowatych palców, z których jeden pełnił rolę przeciwstawnego kciuka. Trzecia, znacznie krótsza kończyła górna wyrastała z miejsca, w którym człowiek ma mostek, i przypominała raczej mackę niż rękę. Tylko dzięki niej i otworowi prowadzącemu do pęcherza trawiennego (ulożanemu w szczytowej części korpusu, ale nieco poniżej linii oczu) można było określić, gdzie znajduje się „przód” tej istoty.

Służące do oddychania błony znajdowały się między oczami, rozmieszczone – podobnie jak organy wzroku – co sto dwadzieścia stopni, z tym że największa z nich była nad prawym ramieniem, a dwie pozostałe przed i za lewym stawem barkowym. Układ oddechowy Suhurów tak bardzo odbiegał od wszystkiego, co znano na Ziemi, że wykładowcy opisujący Henrynowi środowisko naturalne Bety nie starali się nawet wyjaśniać szczegółów, twierdząc zgodnie, że komuś, kto ma się zajmować zapleczem technicznym projektu „Dwa słońca”, taka wiedza nie będzie do niczego potrzebna. W trakcie szkolenia podano mu tylko ogólne informacje i poradzono, aby w razie przemożnej potrzeby skorzystał z zasobów biblioteki pokładowej.

Zrobił tak, lecz jego przygoda z pogłębianiem wiedzy skończyła się bardzo szybko. Poddał się po zaledwie kilku godzinach monotonnego przeglądania artykułów tak hermetycznych, że nie zrozumiał z nich niemal nic.

Najbardziej niesamowitą cechą Wojowników Kości była symbioza, w jakiej dorośli Suhurowie żyli z glistowatymi taharami. Stworzenia te żerowały na swoich żywicielach, egzystując tylko w dolnej przedniej części ich korpusów. Znajdowała się tam niecka kostna, którą wypełniała niezbyt gęsta i słabo

unerwiona tkanka zwana miękiszem. Skóra Suhurów, niezwykle twarda i trudna do przebicia, a na sporej części tułowia chroniona dodatkowo zewnętrznym szkieletem, w dolnej przedniej części korpusu zmieniała się w krąg delikatnej porowatości. To właśnie tędy podczas ceremonii inicjacyjnej tahary dostawały się do ciał żywicieli. I tędy je opuszczały, gdy nadeszła pora.

Pełna rola tych symbiontów nie była znana. Niemniej naukowcy ustalili ponad wszelką wątpliwość, że wysysając tahary, które wypełzały co jakiś czas z ich trzewi, Suhurowie dostarczali swemu organizmowi najbardziej potrzebnych pierwiastków, natomiast „robaki” rozwijające się w miękkszu, przez który przepływała cała brunatna krew Wojowników Kości, oczyszczały ciało żywiciela z toksyn. Było to swoiste symbiotyczne perpetuum mobile. Dzięki temu mechanizmowi dojrzały Wojownik Kości prawie nie potrzebował innego pożywienia – stąd między innymi brak u tej rasy zainteresowania uprawą roślin czy hodowlą zwierząt – i co równie ważne, nie wydalał produktów przemiany materii. Kilka małych pestek sągrowca w zupełności wystarczało mu do utrzymania się przy życiu przez parę dni, o ile nie musiał w tym czasie polować ani walczyć. Tylko pisklaki były karmione bardziej pożywnymi nasionami łuszczyku.

Drugiego dnia Henryan zapoznał się z historią Bety, a raczej z dziejami cywilizacji powstałych na niej podczas ostatniego cyklu. Pierwsze kontakty obu ras nie zapowiadały wydarzeń, których niemymi świadkami w ciągu ostatniego tysiąclecia były związane ze sobą nierozdzielnie słońca Xana 4. Gurdyjscy podróżnicy, odkąd ich rasa dojrzała do eksploracji planety, wielokrotnie odwiedzali wybrzeża Suhurty, często zapuszczając się w towarzystwie miejscowych przewodników aż do serca mniejszego kontynentu. Przy okazji owych wypraw sporządzili szczegółowe mapy żyznych i nigdy dotąd nieuprawianych ziem.

Cywilizacja Gurdów prześcigała w tym czasie prymitywnych wojowników północy na każdym polu. W Gurdu’dihanie powstawały setki kręgów, jak czworonodzy nazywali swoje niesamowite, przypominające muszle miasta.

Rozkwitały sztuka i rzemiosło. Cały kontynent był jednym wielkim placem budowy. Błękitnokrwisci, pokojowi i słabi z natury, nie znali wojen. W największych nawet skupiskach, liczących dziesiątki tysięcy osobników, nieznanne były pojęcia takie jak przemoc czy kradzież, a przypadki spowodowania śmierci lub obrażeń, zazwyczaj nieumyślne, należały do rzadkości.

Czworonodzy stanowili gigantyczną zwartą społeczność, której członkowie współistnieli pokojowo i rozmnażali się w coraz szybszym tempie, będąc absolutnym przeciwieństwem cywilizacji Suhurów. Tysiąc lat przed odkryciem Bety przez ludzi przewyższyli liczebnie wiecznie ze sobą walczących i podzielonych na klany Wojowników Kości. Obecnie było ich już niemal dwadzieścia razy więcej.

Pierwsza próba kolonizacji Suhurty nastąpiła sto trzydzieści wylewów po odkryciu mniejszego kontynentu. Wielka flota przywiozła z południa tysiące ochotników razem ze zwierzętami hodowanymi i dobytkiem. Gurdyjscy przywódcy dobili wcześniej targu i „odkupili” od lokalnego klanu szeroką nadmorską równinę. Zapłacili stosami pancerzy i broni z nieznanego Suhurom żelaza.

Pokojowa koegzystencja „kleksów” (żeby zrozumieć, dlaczego żołnierze ochrzcili Gurdów tym mianem, wystarczyło zobaczyć zabitego osobnika tego gatunku) i „zwierzaków” (tu skojarzenie było równie proste) nie trwała długo. Zwaśnione klany Suhurów ścierały się nieustannie, zawierając chwilowe sojusze, a gdy jedno z plemion, na którego terenach osiedlili się Gurdowie, w końcu przegrało wojnę, nowi wodzowie zrobili na podbitych terenach porządek, w tym także z przybyszami. Tylko nieliczni czworonodzy osadnicy zdołali ująć z rzezi. Gdy wieści o niej dotarły na Stary Ląd, zaszokowana ogromem zbrodni Rada Najwyższa Gurdu’dihanu zdecydowała, że prymitywne ludy północy muszą ponieść karę za swoje czyny.

Najpierw jednak Gurdowie musieli opanować trudną sztukę wojowania czy też raczej przypomnieć sobie jej zasady, ponieważ to dzięki niej wytrzebili

drapieżniki przed setkami wylewów. Zdaniem Rady Najwyższej nadeszła pora, by odkurzyć stosowane w tamtych czasach metody i wykorzystać je ponownie. Nie było to proste w wypadku istot nie tylko bojących się panicznie bólu i śmierci, lecz także stroniących od przemocy. Przywódcy potrzebowali wielu wylewów, by wychować pokolenie przygotowane do walki i stworzyć podstawy nowej strategii opartej głównie na analizach zachowań dzikich mieszkańców północy, na szczęście ujętych w licznych relacjach pierwszych osadników oraz wcześniejszych eksploratorów. Dopiero potem rozpoczęto szkolenie potężnej armii, którą wyposażono w broń, jakiej jeszcze nie widziano na Suhurcie.

Gdy gurdyjscy przywódcy uznali w końcu, że są gotowi, wyprawili armię za morze. Czterdzieści wylewów po masakrze osadników sześćdziesiąt cztery okręty – była to najszcześniejsza liczba, jaką znała korzystająca z systemu ósemkowego rasa błękitnokrwistych – dobiły do brzegów feralnej równiny i wyspały na piaszczyste plaże niemal czterdzieści jeden tysięcy doskonale wyszkolonych żołnierzy. Tym razem nie było targów. Okoliczne klany Wojowników Kości zostały zmiecione z powierzchni ziemi, zanim mniejsze ze słońc opuściło nieboskłon. Nie brano jeńców, nie oszczędzano nawet piskląt w kojcach. To miał być odwet i zarazem ostateczne rozwiązanie problemu. Ale wróg o tym nie wiedział, ponieważ na równinach nie było już ani jednego Wojownika Kości, który pamiętałby, kim są najeźdźcy i o co im chodzi. Klan odpowiedzialny za masakrę Gurdów został pokonany wiele starć słońc temu. Jakiś czas później zwycięzcy tamtej bitwy podzielili smutny los pokonanego klanu, a ich następców od tamtej pory rozgromiono jeszcze wielokrotnie.

Dowodzący korpusem ekspedycyjnym sithu – odpowiednik ziemskiego generała – Gahra'tib był tak rozochocony pierwszymi zwycięstwami, że zbyt łatwo uwierzył w swoje siły. Łatwość, z jaką opancerzeni żołnierze pokonywali kolejne skupiska rozwścieczonych wojowników, uspiła jego czujność. Nie mając wielkiego doświadczenia polowego, zapragnął szybkiego zwycięstwa i w pogoni za nim wypuścił się za daleko w głąb lądu. Ufał, że doskonała broń sprawdzi się w każdych warunkach, a znakomicie wyszkoleni żołnierze sprostają każdemu

wyzwaniu. Wróg nie stosował przecież żadnej skomplikowanej taktyki – atakował frontalnie, bez namysłu, gdy tylko wyczuwał zagrażające mu niebezpieczeństwo. A najeźdźca nie zamierzał dać Suhurom szansy na naukę na własnych błędach. Ci Wojownicy Kości, którzy przeżyli starcie z armią Gurdów – głównie ranni – byli natychmiast dobijani.

Rada Najwyższa nakazała korpusowi ekspedycyjnemu Gahra'tiba zabezpieczyć przyczółek potrzebny do przyjęcia właściwej armii inwazyjnej. Rozkaz był prosty: sithu miał oczyścić z Wojowników Kości sporą nadmorską równinę w pobliżu ujścia najdłuższej rzeki Suhurty, a następnie wybudować wzdłuż granic zajętych terenów sieć fortów i rozlokowawszy w nich garnizony, czekać na przybycie głównych sił. Gahra'tib wykonał to zadanie na długo przed wyznaczonym terminem, ale łatwość, z jaką pokonywał kolejne klany, rozbudziła w nim nieznane uczucie – ambicję. Skoro Wojownicy Kości przegrywali każde starcie, postanowił rozgromić ich definitywnie i dotrzeć do przeciwległego wybrzeża kontynentu, jak zakładała to druga faza podboju. Strategia Rady Najwyższej przewidywała bowiem eksterminację prymitywnych istot zagrażających osadnikom, aby można było jak najszybciej zniszczyć wytworzoną broń i wrócić do pokojowej egzystencji.

I tak, dzień po dniu, bitwa po bitwie, korpus ekspedycyjny wkraczał coraz głębiej na terytoria klanów. Najeźdźcy znaleźli się w sercu kontynentu, zanim informacja o niesubordynacji dotarła do Gurdu'dihanu. Przewaga, jaką dawały czworonogim dyscyplina, wyszkolenie i nowoczesna broń, uskrzydlała kolejnych oficerów, którzy nie protestowali, gdy sithu przedstawiał im plany dalszych śmiałych działań.

Doskonała taktyka przestała się jednak sprawdzać, gdy korpus ekspedycyjny wdarł się na kilkadziesiąt tysięcy obrotów koła w głąb lądu i utknął w samym środku bezbrzeżnych stepów. Żołnierzom kończyły się zapasy podstawowej broni, która przypominała stare ziemskie piki, zaczęło im też brakować strzał. A z dala od lasów nie było ich czym zastąpić. Straty rosły. W ciągu trzech tygodni poległy ponad cztery tysiące Gurdów, niby niewiele jak na całkowitą

liczebność korpusu ekspedycyjnego, lecz dziesięciokrotnie więcej niż przed wkroczeniem na płaskowyże masywu centralnego.

Duma nie pozwoliła ambitnemu Gahra'tibowi zawrócić, gdy jeszcze miał na to czas, aczkolwiek pewnie nieraz rozmyślał o takim rozwiązaniu w samotni namiotu. Znalazłszy się w sercu kontynentu, uznał, że najrozsądniej będzie się przebić w kierunku zalesionych dolin, znacznie bliższych niż wybrzeże, z którego wyruszył. Tam jego wycieńczeni żołnierze znaleźliby surowiec na piki i strzały. A także więcej żywności, ponieważ i jej zapasy, mimo że obliczone na znacznie dłuższy czas stacjonowania w fortach, zaczynały się powoli wyczerpywać.

Plan, choć rozsądny, nie został zrealizowany. W miejscu oddalonym zaledwie o dwa dni marszu od granicy lasów na drodze korpusu ekspedycyjnego stanęły potężne siły Suhurów. Klany, mając do czynienia z obcym wrogiem, dokonały rzeczy z pozoru niemożliwej: zjednoczyły się na czas jednej bitwy. Nawet bezpieczni mieszkańcy dalekiej północy i równie odległego południa przybyli ze swymi garstniami, aby wesprzeć Wojowników Kości z równin. Niedawni zaciekli wrogowie stanęli ramię w ramię, chcąc odeprzeć najeźdźcę, i niewyobrażalnym kosztem dopilnowali, aby żaden z błękitnokrwistych dziwołągów nie wrócił nad morze.

Członkowie Rady Najwyższej Gurdu'dihanu również pragnęli jak najszybszego zakończenia tej wojny. Upajali się więc wieściami o paśmie błyskotliwych zwycięstw i podbojów. W pewnym momencie meldunki przesyłane za pomocą skrzydlatych kurierów przestały jednak do nich docierać. Szybko domyślili się, co może być powodem milczenia walecznego Gahra'tiba. A gdy załoga jednego z okrętów, cudem ocalała z pogromu, jaki Wojownicy Kości urządzili także na wybrzeżu, przekazała wkrótce informację o klęsce ekspedycji, notable zaczęli zadawać sobie pytanie, co będzie, jeśli watahy żądnych krwi Suhurów, idąc za ciosem, pokonają morze i ruszą na największe kręgi Gurdu'dihanu.

Rzesłano wici na najdalsze krańce kontynentu. Najwybitniejsze umysły

zaczęły pracować nad udoskonaleniem istniejących i wymyśleniem nowych rodzajów broni. Przyspieszono też szkolenie armii inwazyjnej, wcielając do niej kolejne setki tysięcy przeszkolonych na wszelki wypadek młodych Gurdów. Przygotowując się na najgorsze, zaczęto fortyfikować wybrzeża – zwłaszcza wzdłuż cieśnin dzielących oba kontynenty. Wojna, jak te na Ziemi, dała potężny impuls do rozwoju zarówno gurdyjskiej technice, jak i nauce.

W tym samym czasie upojeni sukcesem Suhurowie wrócili do dawnego życia. Żadnemu nie przyszło nawet do głowy, by wyprawić się za morze. Zdobyte na wybrzeżu okręty porąbali na drwa, aby polegli w ostatnich bitwach wojownicy mogli spłonąć na godnych ich czynów stosach. Świat Suhurów został po raz kolejny ocalony. Tym samym sojusz klanów przestał istnieć równie szybko, jak powstał.

Błękitnokrwieści wrócili po kolejnych trzydziestu wylewach, gdy w Suhurcie tliło się już tylko wspomnienie klęski Gahra'tiba. Tym razem czworonogich było znacznie więcej, mieli jeszcze lepszą broń i zupełnie nową taktykę. Ich armia podbijała zmasowanym atakiem terytoria kilku sąsiadujących klanów, po czym kończyła ofensywę. Żołnierze okopywali się na zdobytych ziemiach i bronili ich, dopóki idący za nimi robotnicy nie wzniesli wystarczającej liczby fortów i strażnic. Gdy wojska ruszały na kolejne podboje, zajęte wcześniej i teoretycznie bezpieczne ziemie zagospodarowywano, wznosząc załączki przyszłych kręgów, których Suhurowie nie będą mogli zniszczyć w czasie nagłego podjazdu. Budowle te otaczano często fosami i szerokimi pasami gołej ziemi, aby uniemożliwić wrogowi niespodziewany atak. Uzbrojeni mieszkańcy nie tylko potrafili się bronić do przybycia odsieczy – która nadchodziła zawsze szybko – lecz również sami kontratakowali, nierzadko z bardzo dobrym skutkiem.

Zmyślna broń palna, wtedy jeszcze bardzo niedoskonała, niemniej o całe epoki wyprzedzająca uzbrojenie walczących kościanymi pałkami wrogów, siała śmierć i zniszczenie w szeregach Suhurów, zanim zdołali wejść w bezpośredni kontakt z Gurdami. Respekt budziły zwłaszcza pierwsze działa – zwane przez

rdzennych mieszkańców Suhurty „dymiącymi pniami” – mogące miotać na znaczną odległość pojemniki z nieznanym wcześniej klanom olejem, który po rozlaniu natychmiast zajmował się ogniem.

Pamiętając wciąż o sławionej w pieśniach zwycięskiej bitwie z błękitnokrwistymi, Wojownicy Kości stawiali najeźdźcom zaciekle opór, lecz Gurdowie mieli nad nimi tak ogromną przewagę, że klany musiały się cofać. Kto został na spornej ziemi, ten ginął. Nie pomogły nawet nowe przymierza między ludem gór i wojownikami nizin. Gurdowie, także pamiętający o losie korpusu ekspedycyjnego, nie dawali się sprowokować i wolno, acz systematycznie wydzielali Suhurom należące do nich ziemie, zajmując wzgórze po wzgórzu i dolinę po dolinie.

Czterdzieści wylewów zajęło im dotarcie do miejsca, w którym dumny Gahra'tib znalazł pogromcę... a jemu udało się tam dojść w niespełna jeden tutejszy rok. Po kolejnych dwudziestu latach zdobywcy zatknęli drzewca z węzłami Gurdu'dihanu na plażach i klifach wschodniego wybrzeża, rozdzielając ostatecznie wojowników dalekiej północy i południa. Dzięki niewielkim stratom własnym, napływowi kolejnych żołnierzy i wydajnym uprawom na zdobytej części Suhurty armie Gurdów nie miały problemów z przeprowadzeniem kolejnych etapów ofensywy. Na pierwszy ogień poszło cieplejsze i dostępnejsze południe. Zamieszkujące je klany broniły się zaciekle, lecz wobec masowego użycia broni palnej, nawet tak prymitywnej, nie miały większych szans. Ta ofensywa skończyła się o wiele szybciej niż marsz na wschodnie wybrzeże, jednakże zagospodarowanie rozległych terytoriów zajęło najeźdźcom całe cztery pokolenia.

Decydujący akt tego dramatu rozpoczął się, gdy błękitnokrwieści oczyścili w końcu południe kontynentu z ostatnich Wojowników Kości. Tylko kilka przetrzebionych klanów zdołało ująć w niedostępne górskie rejony północy, gdzie i tak były skazane na nieuchronną zagładę. Gurdowie w ogromnej sile przekroczyli umocnione wcześniej koryto Adal Vin, królowej rzek, która od wielu wylewów stanowiła naturalną granicę między obiema rasami. Atakowali

na trzech frontach, co miało uniemożliwić Suhurom przegrupowanie i wydanie decydującej bitwy, do jakiej doszło podczas pierwszej inwazji. Jednakże ku swojemu ogromnemu zdziwieniu napotykali wyłącznie puste sadyby. Zwiadowcy donosili, że klany uchodzą w stronę gór. Wszystkie, bez wyjątku.

Głównodowodzący armii, sithu Taih'law, zaczął wietrzyć spisek. Waleczni i honorowi wojownicy nigdy jeszcze nie ustąpili pola. Domyślał się, że zamierzają go wciągnąć w pułapkę, jak kiedyś Gahra'tiba, i postanowił, że nowa strategia przeciwnika nie może wpłynąć na plany tej fazy kampanii. Gdy jego oddziały dotarły na wyznaczone pozycje, zabronił ścigania wroga i nakazał budowę kolejnej linii umocnień. To był jedyny etap wojny, podczas którego Gurdowie nie stoczyli ani jednej bitwy i nie stracili ani jednego żołnierza.

Szesnaście wylewów później, gdy wszystkie zdobyte ziemie zostały podzielone i zasiedlone, Taih'law rozpoczął kolejną fazę kampanii. Znowu trzy wielkie armie ruszyły na północ, w kierunku pogórza i masywu Siedmiu Wierchów, które dzieliły najeźdźcę od skalistych nadmorskich wyżyn stanowiących ostatni bastion Suhurów w tej części kontynentu. Celem było zajęcie płaskowyżu Tok Keme – rozległej równiny, za którą zaczynały się porośnięte gęstymi lasami wzgórza i wspomniane góry. Tereny pogórza miały zostać zajęte w następnej fazie kolonizacji.

Stary już podówczas sithu liczył, że klany ponownie ustąpią mu pola i że znowu osiągnie zwycięstwo bez walki i strat. W pierwszym dniu ofensywy Suhurowie umykali jak wcześniej i to uspiło czujność Taih'law. Choć od samego początku zakładał, że nie będzie ryzykował, postanowił pomóc szczęściu i zmusił armię do szybszego marszu, mając nadzieję, że zamierzający zwabić go na pogórze Wojownicy Kości zostaną po raz drugi wykiwani. Dzięki dotychczasowym błyskotliwym sukcesom sędziwy dowódca zdążył zostać faworytem Rady Najwyższej i niewiele nawet brakowało, aby – jako jedyny żołnierz w historii – dostąpił zaszczytu uczestnictwa w jej posiedzeniach. W jego mniemaniu kolejne zwycięstwo zapewniłoby mu ten przywilej.

Przez dwa kolejne dni najeźdźcy nie napotkali najmniejszego oporu, zatem

sithu narzucił podwładnym jeszcze bardziej mordercze tempo. W siedem dni błękitnokrwisci zajęli teren, jaki powinni zdobyć w trzykrotnie dłuższym czasie. Daleko w tyle zostawili jednostki inżynieryjne zajęte budową fortów i umocnień. Wbrew pozorom był to przemyślany ruch. Taih'law chciał dotrzeć w pobliże wyznaczonej przez Radę Najwyższą linii w jak najkrótszym czasie, po czym zamierzał zatrzymać swoje oddziały o dzień marszu od pierwszych wzgórz, gdzie spodziewał się oporu Suhurów. W ciągu wielu wylewów służby na tym kontynencie dobrze poznał obyczaje i tradycje Wojowników Kości, dlatego był pewien, że rozgryzł ich strategię. Ósmego dnia jednak, gdy wszystkie trzy korpusy znalazły się ponownie w niewielkiej odległości od siebie i zaledwie tysiąc obrotów koła od wyznaczonego celu, na ich drodze stanęły nieprzeliczone hordy tubylców.

Na równinie daleko od skraju pogórza zebrały się wszystkie klany północy. Naprzeciw siebie stanęło sto tysięcy Wojowników Kości oraz trzy razy liczniejsza i znacznie lepiej wyposażona armia Taih'law. Wróg był wypoczęty, doskonale znał teren i nie zamierzał zwlekać z przystąpieniem do bitwy.

Mimo to sithu był pewien zwycięstwa – broń palna z naddatkiem kompensowała ewentualne słabości. Niestety, zapomniał o jednym: szybki marsz uniemożliwił mu staranne oczyszczenie zajmowanych ziem. To był jego najpoważniejszy błąd. Klany z podbitych terenów, które w rozproszeniu podążały za pancernymi kolumnami, tuż przed rozpoczęciem decydującej bitwy uderzyły od tyłu na gotujących się do walki Gurdów, siejąc śmierć i zamęt na całym zapleczu armii. Taih'law padł w pierwszych chwilach tego ataku. Razem z nim zginęła większość Gurdów znajdujących się w namiotach sztabowych. Pech chciał, że Wojownicy Kości uderzyli w momencie, gdy sithu zwołał naradę, pragnąc omówić plan bitwy z dowódcami korpusów. Z pogromu nie ocalał ani jeden wyższy oficer. Rychło na zmęczonych, zdezorientowanych i pozbawionych rozkazów żołnierzy runęła horda zaprawionych w bojach tubylców. Rozpoczęła się największa rzeź w historii Bety.

Widząc, że nie mają szans na ucieczkę, Gurdowie postanowili bronić się do

upadłego. Ginęli masowo, ale też zabierali ze sobą całe klany. Kiedy mniejsze słońce zniknęło za szczytami gór, trawiaste równiny pokrywało błękitno-brunatne morze posoki. Tylko kilka setek najeźdźców zdołało zbiec, korzystając z zamieszania. Na wzgórze wróciło po zmierzchu niecałe sześć tysięcy Suhurów. Wygrali, jednakże było to pyrrusowe zwycięstwo, o czym przekonali się podczas kolejnych starć słońc, gdy następcą Taih'ława, sithu Her'hot, przywiódł kolejną, choć znacznie mniej liczną armię.

Ocalali z pogromu żołnierze opowiedzieli wodzowi o przyjętej przez Suhurów taktyce. Było jasne, że przetrzebione klany nie stanowią zagrożenia. Nowy sithu zrozumiał niemal od razu, że ma ogromną szansę na zakończenie tej wojny i ostateczne pokonanie wroga. Zasugerował więc Radzie Najwyższej, by nie szkolić kolejnej armii, co potrwałoby kilka albo kilkanaście wylewów, a zamiast tego zgromadzić na północy wszystkie siły dostępne w Suhurcie, co można było osiągnąć, zmniejszając liczebność garnizonów w innych częściach kontynentu (w owym czasie ataki ze strony niedobitków należały do rzadkości, zwłaszcza na masywie centralnym i na południu, gdzie znalezienie Wojownika Kości graniczyło z cudem). Rada Najwyższa przychyliła się do jego propozycji. Ściągnięto dziesiątki tysięcy żołnierzy, pozostawiając na miejscu jedynie oddziały z dalekiego południa, gdzie ukrywające się w górach klany stanowiły niewielkie zagrożenie dla pomniejszych kręgów. To pozwoliło Her'hotowi oczyścić ziemię, które armia Taih'ława zdobyła w poprzedniej kampanii. Młody, lecz ambitny i mądry sithu zdobył pogórze znacznie szybciej i łatwiej, niż spodziewali się tego jego przełożeni. Gurdu'dihan zyskał nowego bohatera.

Kolejny, przedostatni akt wojny między obiema rasami Bety miał się zakończyć dopiero po wielu latach, gdy z Siedmiu Wierchów wygnano ostatnie broniące się tam klany. W tym czasie wszystkie ziemie na południe od pogórza zostały już rozparcelowane i zasiedlone. Wojowników Kości zepchnięto na najbardziej niegościnnie skrawek kontynentu, gdzie pozostawiono im zbyt mało przestrzeni, by mogli odzyskać dawną świetność.

Zakończenie konfliktu nie miało przypaść Her'hotowi. Wprawdzie nie

przegrał on ani jednej bitwy, lecz został pokonany przez klimat i choroby. Czas spędzony w wysokich górach, obozowanie w zawilgłych grotach, wszystko to odbiło się na jego delikatnym zdrowiu. Sithu dokonał żywota z godnością, przewieziony statkiem powietrznym do stolicy Gurdu'dihanu, gdzie do samego końca otaczano go czcią i szacunkiem godnymi największego bohatera.

Nowy dowódca wojsk Gurdu'dihanu w Suhurcie, sithu Taba'ruk, wszedł kilka wylewów później na ostatnią wyżynę, wiodąc armię składającą się z samych weteranów. On również stosował taktykę spalonej ziemi, jednakże teren był już trudniejszy, a ostatnie klany broniły się zacieklej i mądrzej. Wojownicy Kości nauczyli się wreszcie walczyć podstępem – co, zważywszy na kilkusetletnią historię konfliktu, nie było wielkim osiągnięciem – i kazali błękitnokrwistym płacić wysoką cenę za każdy zdobyty kamień i krzew.

Rada Najwyższa doszła w końcu do wniosku, że dalsze przelewanie krwi nie ma sensu. Im bliżej armia podchodziła do północnych krańców kontynentu, tym zimniej się robiło, a skaliste ziemie za Siedmioma Wierchami były nieurodzajne i zdaniem Gurdów niewarte tak wysokiej ceny. Zaniechano więc dalszych działań, gdy armie Taba'ruka dotarły do Valt Aram, ostatniej większej rzeki kontynentu, i zatrzymały się niecałe dwadzieścia tysięcy obrotów koła od skalistych klifów, na których według starożytnych map kończył się stały ląd. Ufortyfikowano brzeg rzeki, rozkopano brody, rozdzielono zdobyte ziemie między zwalnianych ze służby żołnierzy. Niedobitki Suhurów pozostawiono samym sobie, wiedząc, że nie są już w stanie zagrozić nowemu imperium. Wojownicy Kości zostali wybici niemal do nogi i odcięci od reszty świata granicą biegnącą wzdłuż koryta szerokiej rzeki, która wypływała z niebosiężnych gór wschodu i wpadała do morza daleko na zachodzie. Mimo to wróg nadal sprawiał problemy; choć atakował wyłącznie przygraniczne kręgi, niszcząc plony, wyrzynając osadników i ich zwierzęta, zmuszał Gurdów do utrzymywania w tym regionie wielu garnizonów.

Taki stan rzeczy trwał od niemal trzydziestu wylewów i właśnie miał ulec zmianie. Rada Najwyższa Gurdu'dihanu, pragnąca jak nigdy likwidacji

wszystkiej broni, uznała, że musi załatwić tę sprawę raz na zawsze.

TRZY

*System Xan 4, Sektor X-ray,
06.09.2354*

Czas na rozwiązanie ostatniej zagadki, pomyślał Święcki, wsiadając do wagonika kolejki magnetycznej.

Czwartego dnia, po zdaniu krótkiego egzaminu teoretycznego z wiedzy o Becie i strukturach projektu, wyruszył rankiem na pierwszą wachtę. Centrum dowodzenia, do którego zmierzał, mieściło się w sektorze czwartym, dokładnie po przeciwnej stronie obręczy. Część roboczo-mieszkalna tego giganta składała się z ośmiu czteropoziomowych segmentów o długości niemal dwóch kilometrów każdy. Wszystkie podzielono na pięć mniejszych przedziałów, które można było odłączyć od reszty konstrukcji.

Sektory pierwszy, drugi, siódmy i ósmy przeznaczono na kwatery mieszkalne, w trzecim znajdował się dział naukowy (jego pracowników zakwaterowano w dwójce). Czwarty mieścił kompleks kwatery głównej, w tym centrum dowodzenia będące sercem całej stacji. Piąty sektor był zamknięty – Wydział Bezpieczeństwa ulokował tam areszty, pokoje przesłuchań i tym podobne miejsca, o których większość ludzi wolała nie wiedzieć. Szósty i ostatni – o ile koło może mieć koniec – zajmował pion medyczny, przy czym lekarze mieszkali w siódemce. Ósemkę zarezerwowano dla wojska, a jedynekę dla personelu technicznego.

Henryan rozejrzał się po przestronnej kabinie. Oprócz niego w jasno

oświetlonym walcu znajdowali się lekarze, technicy, naukowcy i kilku żołnierzy z kompanii wartowniczej. Ani jednej znajomej twarzy, pomyślał. W ciągu trzech dni intensywnego szkolenia nie poznał wprawdzie wielu osób, ale mimo wszystko liczył, że spotka po drodze chłopaków, z którymi jadał posiłki w przedziałowej mesie.

Ekspresowa kolejka, najszybsza z trzech linii dostępnych na obręczy, zatrzymywała się co pięć stacji, w centralnych przedziałach segmentów, wypluwając i połykając zastępy ludzi.

Szczęście uśmiechnęło się do Święckiego już na drugiej stacji. W sektorze medycznym do wagonika wsiadł zamyślony Valdez. Pod pachą trzymał całe naręcze czytników.

– Pomogę panu – zaproponował sierżant, podchodząc.

Porucznik spojrzał półprzytomnym wzrokiem, jakby go nie poznawał, ale po sekundzie zamrugnął z błyskiem zrozumienia w oczach.

– A, to wy, Pry – rzucił sztywno, lecz pozwolił Henrynanowi zabrać część dokumentacji. – Wybaczcie, sierżancie, miałem ciężką noc.

– Impreza w klubie oficerskim? – Święcki uśmiechnął się znacząco.

– Akurat – mruknął Valdez, zachowując kamienną twarz. – Robota. Na waszym miejscu nie liczyłbym na wiele wolnego w najbliższym czasie.

– Zamierza pan w takim stanie pełnić służbę?

– Ależ skąd. Zdaję raport staremu i kładę się spać.

Kolejka zatrzymała się na ponadplanowym przystanku, w sektorze zamkniętym. Nikt nie wysiadł, za to do kabiny weszło dwóch wubeków. Gdyby nie spora różnica wzrostu, wyglądaliby jak bliźniacy – łyse pały, czarne mundury, grafitowe naczolniki, ponure miny. Porucznik cofnął się pod ścianę i skinął na Henrynana. Widać lepiej było nie wchodzić im w drogę...

– Za co usunięto tamtych trzech? – zapytał Święcki ściszone głosem.

– Kogo macie na myśli? – bąknął rozkojarzony wciąż oficer.

– Pomarańczowych – sprecyzował sierżant, zauważając, że jeden z agentów strzyże lekko uchem. Wszczepy dawały tym draniom nadludzką czułość słuchu.

– Pomarańczowych? – zdumiał się Valdez.

Chyba rzeczywiście nie doszedł jeszcze do siebie po ciężkiej nocy.

Kolejny ponadplanowy przystanek, nieopisany, zamknięty barierą pola siłowego. Sztywniacy wysiedli, nie odezwały się ani razu.

– Przylot, zastępstwo – Święcki nakierował porucznika.

– Chodzi wam o Seiferta i jego chłopców?

– Tak, jeśli to oni kicali w kierunku wahadłowca, którym przyleciałem – odparł Henryan.

W ciągu tych kilku dni nieraz się zastanawiał, co było powodem aresztowania poprzedniego łącznościowca. Nie dowiedział się tego podczas pierwszej odprawy, a informacja o Obcych była tak szokująca, że wszystkie pozostałe kwestie natychmiast poszły w zapomnienie. Później, w trakcie kursu i na kwaterach, wolał o nic nie pytać.

– Zachciało im się bawić w Pana Boga. – Valdez uśmiechnął się do swoich myśli. – No i zostali strąceni do piekła.

– Słucham? – Henryan zmarszczył brwi.

Jeśli dobrze zrozumiał porucznika, jego poprzednik otrzymał bilet w jedną stronę: wysłano go do legendarnego tajnego więzienia, z którego nikt jeszcze nie wrócił. Chociaż ten wtętu o Bogu... To mogła być tylko przenośnia.

– Wszystkiego się dowiecie. Już wkrótce. – Valdez spojrział na niego dziwnie.

Henryan westchnął. Albo jego nowy przełożony bardzo potrzebował odpoczynku, albo niewiele wiedział.

– Przepraszam, panie poruczniku, ale naprawdę nic z tego nie rozumiem.

– Uwierzcie mi, Pry, tak jest dla was lepiej. Nic nie rozumiecie, nic nie wiecie, nic was nie interesuje. Wykonujecie rozkazy i zapominacie o całej reszcie.

– Całkiem rozsądne podejście – przyznał Święcki.

– Zwłaszcza w waszej sytuacji – stwierdził Valdez. – Jesteście tu nowi, nie macie bladego pojęcia o tym, co się dzieje tam, na dole.

– Trochę wiem o projekcie. Przez trzy dni kazali mi wkuwać faunę i florę Bety. Nie mówiąc już o historii kleksów i zwierzaków.

– Nie chodzi mi o Obcych, tylko o naszych – sprostował Valdez. – O ile naukowcy są karniejsi od robotów, o tyle chłopaki z ochrony nudzą się i bez przerwy wpadają na niewydarzone pomysły. A to podeślą jakiemuś bardowi nanobota, który podszeptnie znajomy refrenik, a to nauczą kleksa, jak pędzić bimber z tutejszego ziarna.

– Dobrze! – Henryan roześmiał się, ale zaraz umilkł zganiony wzrokiem.

– Naprawdę lubicie nosić pomarańczowe wdzianka? – zapytał porucznik, zniżając głos.

– Nie, sir. – Święcki natychmiast spowaźniał.

– To są obce rasy, cywilizacje starsze od naszej, choć prymitywniejsze. Nie mamy prawa ingerować w życie tych istot. To ich świat i ich historia. Zdajecie sobie sprawę, jak cenne mogą być wyniki obserwacji, które prowadzimy tam, na dole?

– Rozumiem wagę badań naukowych, ale myślę, że dożywocie za takie duperele to spora przesada.

– Gdybyście naprawdę myśleli, Pry, nie spędzilibyście trzech lat w kopalniach helonu i nie powiedzielibyście tego, czego przed chwilą nie usłyszałem.

– Tak jest.

Porucznik spojrzał mu prosto w oczy, a potem rozejrzał się czujnie, jakby chciał sprawdzić, czy nikt ich nie podsłucha. Usatysfakcjonowany pochylił się w kierunku Święckiego.

– W tym wypadku nie chodzi o żadne duperele. Dodatkowe wachty, degradacja, miesiąc aresztu... Do tej pory podobne wysoki kończyły się normalnymi karami, ale kilka tygodni temu doszło do niesłychanej eskalacji tego szaleństwa. – Zerknął na wyświetlacz. Od centrum dowodzenia dzieliły ich niespełna trzy minuty jazdy. – Doktor Fukkuya pierwszy zameldował o dziwnych zachowaniach zwierzaków. Zaobserwował, i to na kilku oddalonych od siebie stanowiskach, że wojownicy odprawiają nowe rytuały. Wyobraźcie sobie, że kończyli zwyczajowe modlitwy, zegnając się jak chrześcijanie. To wzbudziło uzasadniony niepokój pionu naukowego. Wzmocniliśmy nasłuch

sektora i już po dwu dobach wiedzieliśmy, że jeden z suhurskich garstników miał widzenie, podczas którego Duchy Gór... to takie ich pomniejsze bóstwa, coś w rodzaju klanowych aniołów stróżów... przekazały mu informację, że bogowie odwrócili się od Suhurów, skazując ich na zagładę. Rzecz jasna, byty opiekuńcze nie chciały się z tym pogodzić.

Święcki pokręcił głową.

– To jakieś brednie...

– Nie do końca – przerwał mu Valdez. – Z nasłuchu na Gurdu'dihanie wiemy, że tamtejsza Rada Najwyższa zaakceptowała niedawno plan ostatniej kampanii. Gurdowie ruszą już wkrótce, rozkazy płyną właśnie przez morze wraz z uzupełnieniami dla armii sampo-sithu. To oznacza rychłą zagładę Suhurów, której my zgodnie z rozkazami będziemy się biernie przyglądać.

– Zatem вина Seiferta polegała na tym, że wysłał im ostrzeżenie?

– Samo ostrzeżenie nie byłoby problemem, zwłaszcza że mamy do czynienia z ostatnimi chwilami tej rasy. Rozumiecie, nie ma mowy o długofalowych skutkach podobnych głupich zabaw. – Porucznik jeszcze bardziej zniżył głos. – Dwa tygodnie temu o czternastej trzynastcie czasu pokładowego satelity odebrały sygnał z powierzchni planety. Na północnym kontynencie ktoś użył broni plazmowej. Wyobrażacie to sobie? Wyobrażacie sobie burdel, który zapanował na stacji, kiedy się okazało, że zwierzaki dostały w swoje lepkie łapska ziemską broń? Stary oszalał. Ta misja ma najwyższy priorytet. Pion naukowy rządu Federacji łoży na nią zawrotne sumy. – Valdez wskazał głową na ścianę wagonika, ale chyba miał na myśli całą stację. – Ilekroć raport o najdrobniejszym incydencie dociera do systemów centralnych, mamy na głowie co najmniej trzech admirałów, a naukowcy się nie opieprzają: jeśli widzą ingerencję, natychmiast ją opisują. To nie jest zabawa, Pry. Mamy być niewidzialni i niesłyszalni. Badamy i obserwujemy. Nigdy nie ingerujemy. Choćby się paliło i waliło. A to... – Przez moment nie potrafił znaleźć odpowiedniego słowa. – To było straszliwe draństwo. Jeden strzał z takiej broni mógł zmienić historię Bety.

– Chyba pan przesadza, poruczniku. Jak jednym...

– Bardzo prosto. – Valdez podniósł wzrok na zdeorientowanego sierżanta. – Kleksy wyruszają na ostatnią krucjatę. Poprowadzi ją sampo-sithu Takeli'toko, ich przywódca militarny i duchowy. Wyobraźcie sobie, co by było, gdyby tuż przed bitwą albo w jej trakcie jego namiot i całe otoczenie wyparowały nagle w ogniu wielkiej eksplozji, jak to zostało przepowiedziane? Tak, przepowiedziane. To kolejna zagrywka naszych żartownisiów. Gurdowie są bardziej zaawansowaną cywilizacją, wkroczyli niedawno w fazę uprzemysłowienia, ale przez wiele tysiącleci... co nawiasem mówiąc, jest dla mnie wielce zastanawiające... nie stworzyli podstaw żadnej religii. A teraz, za sprawą jakiegoś debila, zyskaliby namacalny dowód istnienia siły wyższej. Siły, która w dodatku sprzyja zwierzakom, ich odwiecznym wrogom. To zmieniłoby bieg historii nie jednej, ale dwu cywilizacji! – wysyczał scenicznym szeptem.

– Naród wybrany...

– Brawo. Coś tam jednak kojarzycie.

– Ale...

Dotarli do celu podróży. Drzwi rozsunęły się bezgłośnie, wypuszczając ich na szeroki walcowaty korytarz. Na jego końcu widać było trzy otwarte pancerne grodzie i przejścia między nimi strzeżone migoczącymi barierami pola siłowego. Tak wyglądało główne wejście do centrum dowodzenia.

– Nie ma żadnego ale – rzucił Valdez po opuszczeniu wagonika. – Na szczęście zwierzaki nie potrafiły się powstrzymać i użyły broni wcześniej, choć Seifert wielokrotnie je przed tym przestrzegał. Dzięki ich niesubordynacji zdołaliśmy namierzyć przemyconą broń. Cerber natychmiast zlikwidował zagrożenie. Kilkanaście sekund po strzale pancernownica i strzelec wyparowali, a my zabraliśmy się do szukania skurwyklona, który narobił tego burdelu. No i wysłedziliśmy drania, choć nie było to łatwe, gdyż podprowadzał broń z naszych zbrojowni od dłuższego czasu, ale w częściach. Potem, po nitce do kłębka, doszliśmy do tego, kto dostarczył ją na dół, a na samym końcu wpadł koordynator tych działań. To jego zastępujecie, Pry. Chyba się nieraz

zastanawialiście, dlaczego ktoś dał wam szansę, choć nie powinien? – Henryan przytaknął, ciekaw odpowiedzi. – Stary potrzebował na to stanowisko kogoś, na kim może bezgranicznie polegać. Kogoś, kto nie da się przekabacić tak jak Seifert. Wy, Pry, nie będziecie mu fikać. Poczuliście już na własnej skórze, jak flota karze za niesubordynację. Wasze zwolnienie jest warunkowe, radzę o tym nie zapominać.

– Nie zapomnę, panie poruczniku – zapewnił go szczerze Świącki, gdy minęli stanowisko kontroli przed polem siłowym. – Nie rozumiem jednak, w czym tkwi problem. Przecież zwinęliście winnych i zniszczyliście przemycaną broń.

– Stary wam to wszystko lepiej wytłumaczy. – Valdez wskazał głową na koliste podwyższenie stanowiska dowodzenia, a potem poklepał niesione dokumenty. – Wygląda na to, że sprawa Seiferta była przysłowiowym czubkiem góry lodowej.

* * *

– Będę się streszczał – rzucił pułkownik, gdy Henryan zameldował się u niego chwilę po rozstaniu z Valdezem. – Nie poprosiłem o was dlatego, że macie piąty poziom dostępu. Na stacjonujących w tym systemie okrętach znalazłbym tuzin lepszych magików od was, sierżancie. Potrzebowałem na stanowisku koordynatora łączności kogoś, komu mogę bezgranicznie zaufać. Kogoś takiego jak wy, Świącki, Prydewhite czy jak się tam nazwaliście.

– Prydeinwraig – odpowiedział usłużnie Henryan.

– Nie mogliście wymyślić czegoś prostszego? Albo same świsty, albo niewymawialny bełkot. – Uciszył otwierającego usta sierżanta. – Tak, wiem, jak was nazywali w szkole. Po prostu wkurza mnie... – Zamilkł, przełknął ślinę i zaczął jeszcze raz, już spokojniej. – Chodzi o to, że muszę mieć tutaj człowieka, który będzie mi bezwzględnie posłuszny. Powiedzmy to sobie jasno: dostaliście zwolnienie warunkowe na prośbę admiralicji, ale ja mogę je anulować. Bardzo łatwo, jednym ruchem dłoni. I zrobię to, jeśli będę miał

choć cień podejrzenia, że nie jesteście lojalni.

– Bez obaw, sir. Nie zamierzam tam wracać.

– No ja myślę. – Pułkownik rozluźnił się nieco. – Valdez wprowadził was w temat?

– Bardzo powierzchownie, sir. Powiedział, że pan mi wszystko wyjaśni.

– Asekurant – prychnął z pogardą Rutta. – Sprawa wygląda tak. Mamy na pokładzie całkiem sporo ludzi, głównie żołnierzy, którzy robią wszystko, by sabotować misję pionu naukowego. Ubzdurali sobie, że ocalą Suhurów, nie dopuszczając do ostatniej fazy kampanii Gurdów. – Pokręcił głową z niedowierzaniem. – Wiecie, jak ich nazwali, kiedy się tutaj pojawiliśmy? – Henryan przytaknął. – A teraz udają bogów, by ocalić te prymitywne, okrutne stworzenia.

– Trochę ich rozumiem – rzekł Święcki.

– Trochę ich rozumiecie? – Pułkownik nie krył zdziwienia. – Albo mnie słuch myli, albo poprosiliście właśnie o cofnięcie zwolnienia warunkowego.

– Zapewniam, sir, że nie to miałem na myśli. – Henryan poczuł ciarki przebiegające mu po krzyżu. – Rozumiem, co nimi kieruje, choć nie popieram ich działań.

– Bezgraniczne zaufanie, Pry – przypomniał mu pułkownik. – Jak mogę zaufać komuś, kto wykazuje zrozumienie dla ludzi, których powinien zwalczać?

– Może pan, sir. Nie przerobią mnie, choćby nie wiem jak próbowali. Zdaję sobie sprawę, co mi za to grozi.

– Tam jest tak źle, jak mówią? – Rutta zmienił nagle temat.

– Gorzej, sir.

– W takim razie nie popełnijcie błędu, Pry. Waszym zadaniem będzie blokowanie działań tak zwanych Bogów. Do ostatecznej bitwy może dojść w ciągu najbliższego miesiąca. Do tego czasu macie uszczelnić system tak, by nawet bit nieautoryzowanych danych nie został wysłany bez mojej wiedzy. Powiedzmy to wprost: od tej pory żaden człowiek nie ma prawa zakłócić historii tej planety. Koniec, kropka. Zrozumiano?

– Tak jest. – Henryan wyprężył się na baczność. – A co ze zlokalizowaniem pozostałych... Bogów?

– Wy nic nie rozumiecie, sierżancie – jęknął dowódca stacji. – Czy ja mówię jakimś martwym językiem? – Wystraszony Święcki pokręcił głową. – Nie ma żadnych Bogów. I nigdy nie było. Niepowiązane przypadki ingerencji, o których wspomniał Valdez, to były tylko głupie żarty kilku znudzonych żołnierzy. Tak widzi to admiralicja i ja też. Zrozumiano?

CZTERY

Osiem godzin później Henryan zdał stanowisko zmiennikowi i wrócił do sektora mieszkalnego. Tym razem wybrał kolejkę standardową, najwolniejszą. Przejazd nią kosztował znacznie mniej kredytów niż wagonikiem linii ekspresowej, a Valdez poradził mu, by oszczędzał na takich zbytkach, gdyż przy siedzącym trybie pracy nie dostanie zbyt wielu dodatkowych punktów za wygenerowaną energię, żołąd sierzanta zaś nie należy do najwyższych, zwłaszcza że admiralicja przyznała zwolnionemu warunkowo więźniowi najniższe możliwe zaszeregowanie. Odczekał więc swoje na peronie i wcisnął się dopiero do piątego składu. To była droga przez mękę. Momenty, w których nie czuł naporu i kwaśnego odoru ciał, należały do rzadkości. Niecały kwadrans później przecisnął się do wyjścia, by odetchnąć w końcu rześkim powietrzem centralnego korytarza w swoim sektorze. Po paru krokach przystanął, by zdecydować, co będzie mu bardziej przeszkadzało: oblepiający go brud czy ssanie w żołądku. Prysznic czy mesa... Wybrał to pierwsze.

Do kwatery dotarł po chwili szybkiego marszu. Valdez ułokował go w dobrym miejscu, z którego wszędzie było blisko. Zaczął się rozbierać, zanim przekroczył próg. Baterie kinetyczne wyjęte z gniazd przy pasku trafiły natychmiast do zasilacza; porucznik miał rację – przez całą dniówkę zdołał je naładować zaledwie w trzydziestu procentach! Rozpiął kombinezon, wysunął ramiona z wilgotnych rękawów, zszedł buty, ściągnął grube skarpety i posłał je w kąt. Wkrótce rozkoszował się ciepłą mgiełką wypełniającą ciasny walec kabiny. Dwadzieścia sekund prysznic. Zaszalał – wykorzystał cały dzienny przydział

wody.

Wytarł się szybko, wrzucił ręcznik do odparownika i włożył świeżą zmianę drukowanej bielizny. Stare gacie powędrowały do atomizera. Nie zamierzał oszczędzać punktów energetycznych na bieliźnie. Wystarczy, że będzie musiał kilka dni z rzędu nosić ten sam kombinezon. Wyjął z szafki dres, włożył go, przejrzał się w lusterku i ruszył w stronę drzwi. W połowie drogi zatrzymał się. Karta żywieniowa została w przepoconym kombinezonie zwisającym smętnie z wieszaka na drzwiach kabiny łazienkowej.

Obmacał szybko materiał i mruknął pod nosem ze zdziwienia, gdy w jednej z bocznych kieszeni na nogawce natrafił palcami na twarde przedmiot. Po chwili trzymał mikrokryształ. Czysty, bez żadnych oznaczeń i nadruków. Przyłożył kciuk do spodu szklistej piramidki, jednakże nad jej szczytem nie pojawił się hologram identyfikacyjny.

– Ciekawe... – zważył znalezisko w dłoni.

Ten nośnik danych z pewnością nie należał do niego. Jak więc znalazł się w kombinezonie? Wcześniej na pewno go tam nie było. Obmacał przecież tę kieszeń rano, idąc na śniadanie. Teraz też powinna w niej być tylko karta żywieniowa. Wyjął cienki plastikowy prostokąt. Jak to możliwe, że nie wyczuł wcześniej towarzyszącej jej dwucentymetrowej piramidki?

To mogło znaczyć, że wtedy jeszcze jej tam nie było...

Święcki ujął mikrokryształ w dwa palce i spojrzał na niego pod światło. Ciekawe, powtórzył w myślach. Osobie, która podrzuciła mu ten nośnik danych, najwyraźniej bardzo zależało na zachowaniu anonimowości. Czyżby otrzymał wiadomość od ludzi, o których wspominali Valdez i Rutta?

Rozejrzał się po kwaterze. Mógł odczytać ten zapis na co najmniej trzy sposoby. W kącie stało niewielkie biurko z wbudowanym terminalem centralnego komputera stacji. Te maszynki miały na fabrycznym wyposażeniu multicyfry, ale każdą operację wykonaną za ich pomocą rejestrowano w bankach danych stacji. Mógł też skorzystać z holoprojektora, w którego panelu znajdowała się trzygniazdowa komora przystosowana do odczytu

różnych kryształów. Widział go doskonale z miejsca, w którym stał. Tyle że ten sprzęt również był podłączony do sieci pokładowej. Zachowanie tajemnicy gwarantował wyłącznie odczyt przez prywatny naczelnik.

Henryan zanurzył dłonie w na wpół rozpakowanym worku. Trafił palcami na obły kształt i właśnie zaczynał go wyciągać, gdy głośnie burczenie w brzuchu przypomniało mu, dokąd śpieszył się przed chwilą. Zważył sprzęt w dłoni i wsunął go do kieszeni dresu. Kwadrans zwłoki nie zrobi wielkiej różnicy, uznał, chowając także mikrokryształ. Zjedzenie obiadu nie powinno trwać dłużej.

* * *

W mesie panował ścisk. Spora część żołnierzy mieszkających w tym sektorze skończyła właśnie służbę i wyglądało na to, że zdecydowana większość z nich postanowiła przekąsić coś przed popołudniową drzemką. Świątki uwijał się jak mógł – odpuścił sobie nawet jedno danie, żeby nie stać znowu w długiej kolejce – ale i tak nie zdołał wrócić do kabiny przed upływem kwadransa. Przed panelem skanera stanął po niespełna dziewiętnastu minutach. Przyłożył dłoń do chłodnego suchego tworzywa, a gdy światło w urządzeniu przygasło, podniósł rękę, aby przyczesać skołtunione i znów wilgotne włosy. Miał ją obok nosa tylko przez moment, ale to wystarczyło, by poczuł ostry zapach środka dezynfekującego. Zanim dotarło do niego, że coś jest nie tak, drzwi otworzyły się z cichym szumem i wszedł do pogrążonej w mroku kabiny.

– Światło – rozkazał i natychmiast zbliżył się do ściany.

Wnętrze wypełnił przytłumiony blask. Trzydzieści procent, przypomniał sobie stan baterii. System automatycznie redukował jasność, żeby energii wystarczyło na resztę dnia.

Stanął tuż przy panelu oświetleniowym i przyjrzał się uważnie dłoniom. Obwąchał je. Lewa nie pachniała niczym. Prawa, ledwie wyczuwalnie, aromatyzowanym środkiem chemicznym.

Co to ma znaczyć, u licha? Ktoś wyczyścił skaner? Po jaką cholerę?

Usiadł na koi, nadal spoglądając z niedowierzaniem na własne ręce. Niecałą godzinę temu odcisnął pokrytą potem dłoń na panelu skanera przy drzwiach. Zostawił na nim tłustą plamę. Na pewno ją zostawił. Wciąż pamiętał charakterystyczne cmoknięcie i niemiłe uczucie, które mu towarzyszyło. A teraz tworzywo było suche i czyste. No i pachnące...

Świątki rozejrzał się. Worek stał pod ścianą, tam gdzie go zostawił. Na stoliku obok leżał równy stosik wydrukowanej zaraz po przybyciu bielizny, która czekała na schowanie do wpuszczanych w ściany szuflad. Brudny kombinezon wisiał na drzwiach kabiny łazienkowej. Wszystko było na swoim miejscu.

Przez ten pieprzony mikrokryształ popadam w paranoję, pomyślał, podnosząc się z koi. Wprawdzie nie słyszał nigdy o samoczyszczących się panelach skanera, ale fakt, że płytką była czysta, nie musiał jeszcze oznaczać niczego złego. Może ktoś z pionu technicznego serwisował te urządzenia...

Wyjął z kieszeni przezroczystą piramidkę, podszedł do narożnego biurka i usiadł przy nim. Lewą dłonią aktywował panel dotykowy w blacie i natychmiast go wyłączył. Uniósł ręce do twarzy i ponownie obwąchał opuszki palców. Te, które zetknęły się ze szklistym tworzywem, pachniały tak samo jak jego prawa dłoń. Wstał i pochylił się nad blatem. Chuchnął kilka razy, a potem przykucnął. Oprócz świeżych odcisków na równej szklistej powierzchni nie było widać ani jednego śladu.

Zdębiał. Spędził w tym kącie dobre kilka, jeśli nie kilkanaście godzin, zapoznając się z materiałami szkoleniowymi. I na pewno niczego nie wycierał. Zamierzał sprzątnąć kajutę dopiero pod koniec tygodnia.

Obszedł całe pomieszczenie, obwąchując wszystko, co się dało, lecz tylko przy panelu holoprojektora odniósł wrażenie, że wychwytuje ulotny zapach tych samych chemikaliów. Ale głowy by za to nie dał. Gdy ponownie usiadł przy biurku, nic nie poczuł. Pociągnął kilka razy nosem dla pewności.

Ktoś był w jego kajucie, to nie ulegało wątpliwości. Ktoś, kto nie chciał zostawić po sobie żadnych śladów. Gdyby Henryan nie śpieszył się tak bardzo

z mesy, pewnie niczego by nie zauważył. Pozostawało pytanie, jak intruz dostał się do środka i czego szukał. Świątki podrzucił w dłoni przezroczystą piramidkę. Odpowiedź mogła się kryć w jej wnętrzu.

Sięgnął po darowany mu na jednostce kurierskiej naczelnik i usiadł wygodnie na koi. Bacznie obejrzał sprzęt, jakby się obawiał, że ktoś przy nim majstrował, i dopiero po dłuższej chwili umieścił kryształ w gnieździe, po czym założył opaskę na głowę. Oparł się plecami o ścianę, zanim aktywował przekaz.

Przez chwilę widział tylko ciemność. Pomyślał nawet, że kryształ jest czysty albo uszkodzony, jednakże gdy zaczął podnosić rękę, aby wyjąć go z gniazda, nagle tuż przed oczami zobaczył trójwymiarowy napis. Prosty i niezbyt długi.

WITAMY NA XANIE 4, SIERŻANCIE.

Uśmiechnął się pod nosem. Słuchając o wyczynach Bogów, domyślił się, że ma do czynienia z niezłymi jajcarzami. Teraz otrzymał dowód na to, że się nie mylił.

PIĘĆ

System Xan 4, Sektor X-ray,

07.09.2354

Następnego dnia stawiał się na służbie przed czasem. Wstał wcześniej i odbył długi spacer korytarzami sektora mieszkalnego, aby podładować baterie. Nie miał zamiaru siedzieć w kompletnych ciemnościach jak minionego wieczoru, zwłaszcza że po capstrzyku drzwi kwater blokowano automatycznie, zupełnie jak w więzieniu, a każdy, kto chciał wyjść, musiał się meldować u oficera dyżurnego.

Podpisał odbiór stanowiska, zanim gwizdek dyżurnego oznajmił początek wachty. Dwukrotne sprawdzenie aparatury zajęło mu zaledwie kilka minut. Był gotowy na przyjęcie rozkazów, zanim pułkownik zdążył zasiąść na swoim tronie.

Porucznik Valdez przesłał mu szczegółowy plan zadań na ten dzień. Lista nie była długa – zawierała szesnaście lokacji, z których większość znajdowała się na mniejszym z kontynentów. Tylko jedna miała priorytet czerwony. Święcki zaczął więc od niej. Nakazał odłączenie zasobnika z sondami od najbliższego satelity i sprowadził miniaturowe roboty na koordynaty podane w tabeli. Przetestował dwukrotnie łączność z każdą kamerą, robiąc serię dużych zbliżeń i panoram. Celem była jedna z suhurskich sadyb – typowa kościana wiocha zwierzaków z kilkudziesięcioma szalaszami skupionymi wokół okrągłej zagrody, w której taplały się nieliczne pisklęta.

Odhaczył tę pozycję na liście i przerzucił się na kolejną. Dopiero dziesiąta lokacja zainteresowała go bardziej. Porozmieszczał sondy wizyjne nad wielkim nadbrzeżnym kręgiem. Treb'aldaledo było pierwszą i największą kolonią Gurdów w Suhurcie: według ostatnich szacunków liczyło prawie siedemdziesiąt tysięcy mieszkańców. Gdy nanoboty opadły poniżej linii chmur, Henryan zaniemówił. Nigdy wcześniej nie widział czegoś podobnego. Na nadmorskiej równinie, w pewnym oddaleniu od linii brzegowej, leżały lśniące muszle. Tak przynajmniej wyglądało to z większej odległości. Podczas szkoleń Święcki słyszał o nietypowych budowlach, w których mieszkali błękitnokrwieści, teraz jednak, widząc je po raz pierwszy na własne oczy, oniemiał.

W samym środku każdego kręgu, jak nazywano te konstrukcje, znajdowała się strzelista iglica zrobiona z tej samej lśniącej masy co otaczająca ją obła spirala właściwej budowli. Na końcu ostatniego zwoju budowli dostrzegł kolejną iglicę, o połowę niższą niż wieża stanowiąca punkt centralny „muszli”. Wokół zewnętrznej ściany kręgu ciągnął się pas idealnie płaskiej, oczyszczonej z roślin i kamieni gleby stykający się z granicami następnych „dzielnic”. Henryan naliczył ich ponad pięćdziesiąt, ale na obrzeżach dostrzegł szkielety następnych, które dopiero budowano.

Nie zważając na sygnały alarmowe, opuścił jedną z kamer, by zrobić zbliżenie na wznoszoną muszlę. Wokół szkieletu roilo się od błękitnokrwistych. Pracowali jak mrówki, wspinając się zręcznie nawet na pionowe elementy bądź rozciągając między nimi dziwne, przypominające pajęczyny sieci. Na innym odcinku robotnicy układali wyprofilowane płyty z zastygłej masy, które odlewano w formach nieco dalej, obok wielkich „pieców”, gdzie budulec był uprzednio topiony. Umieszczone obok siebie płyty tworzyły podstawę obłej ściany pierwszego kręgu spirali. Szczeliny między nimi wypełniano tą samą masą, którą wzmacniano filary. Tam gdzie ściana była już gotowa, dziesiątki Gurdów pełzały po obłości, pokrywając całą powierzchnię nieco inną, oleistą substancją, która po wygładzeniu lśniła jak masa perłowa. Mimo ogromnych rozmiarów budowle te nie miały żadnych otworów. Tylko na szczytach obu iglic widać było

koliste wejścia, którymi błękitnokrwieści dostawali się do swoich „mieszkań”. Przyglądając się tym konstrukcjom, Henryan w końcu zrozumiał, dlaczego szturmowanie tych miast sprawia zwierzakom kłopoty. Wejście na pokryte gładką substancją wieże było niemożliwe, chyba że ktoś miałby jaszczurcze łapy. A przebicie się przez twarde ściany tej grubości wymagało narzędzi i czasu, którymi uprawiający wojnę podjazdową Wojownicy Kości akurat nie dysponowali. Marnie to wy...

– Coś nie tak, sierżancie?

Święcki drgnął, gdy usłyszał za uchem głos Valdeza.

Nie odwracając się, odesłał kamerę na wyznaczone stanowisko. Czerwona ikonka na wyświetlaczu jego konsoli przestała migać po kilku sekundach.

– Nie, sir. Melduję, że wszystko jest w jak najlepszym porządku!

– Skoro tak, dlaczego nie potwierdziliście jeszcze pełnej aktywacji podglądu?

– W głosie porucznika pobrzmiwała irytacja.

– Już się robi – rzucił Święcki i natychmiast zabrał się do pracy, porzucając podziwianie widoków.

* * *

Kolejne trzy godziny przebumelował, podglądając od czasu do czasu obrazy z rozmaitych kamer. Tylko dwa razy naukowcy poprosili go o wysłanie sond w rejon pogranicza, chociaż zdaniem Święckiego nie działo się tam nic ciekawego.

Kwadrans przed trzynastą Valdez przekazał na stanowiska łączności polecenie wydane przez pułkownika.

– Pełna transmisja z czternastki! Najwyższy priorytet! Wszyscy wachtowi przełączają się na wskazaną lokację i przechodzą na ręczne sterowanie wybranych kamer. Pion naukowy chce mieć pełen obraz sytuacji!

Wreszcie coś ciekawszego od codziennej rutyny...

Henryan przydzielił kanały ośmiu technikom siedzącym przy konsolach

poniżej jego stanowiska. Sam zajął się ściąganiem dodatkowego zestawu nanokamer z orbity, tak na wszelki wypadek, a gdy zasobniki ze sprzętem znalazły się wysoko nad celem, zaczął przeglądać obrazy transmitowane z powierzchni.

Kamery pokazywały różne ujęcia typowej sadyby zwierzaków. Szalasy opierały się na szkieletach – co było w tym wypadku najwłaściwszym określeniem, jako że budulec stanowiły kości upolowanych zwierząt. Długie, cienkie piszczele stworzeń zwanych tipitami łączono sznurami z wysuszonych ścięgien i wnętrzości, a całość otaczano parawanami z wyprawionych skór. Na sporym placu pośrodku osady, wokół wysokiego na kilka metrów kościanego totemu, ustawiono gęste ogrodzenie z powiązanych powrozami żeber honbutów, za którym pełzało kilkanaście piskląt – idealnych miniaterek dorosłych osobników.

Technicy ignorowali powszednie dla nich widoki, kierując obiektywy na największą z chat. Tę w odróżnieniu od pozostałych otaczał rząd pali, na które nabito czaszki hryllów, najpotężniejszych drapieźników, jakie znał ten glob. Żadna nie miała wszakże szczęk – z nich zwierzaki wyrabiały broń zwaną miazdżerami, czyli skrzyżowanie zakrzywionych lekko mieczy z maczugami. Sześć z ośmiu kamer zapuściło się do tej budowli, a dwie pozostały na zewnątrz. Pierwsza wzniosła się, by objąć polem widzenia cały teren sadyby. Druga wisiała nad totemem klanu, gotowa do nalotu na wskazany obiekt. W pewnym momencie zainteresowanie sterującego nią technika wzbudził idący szybko zwierzak w pełnej kościanej zbroi. W ręku trzymał grubą, wyższą od niego wypolerowaną na połysk kość.

* * *

Najwyższy Suhur przykucnął na podwyższeniu pośrodku kildu, największego z szalasów, w którym spotykali się członkowie zboru będącego czymś w rodzaju rady wojennej. Otaczało go osiemnastu gorimów – najstarszych i najbardziej

doświadczonych wojowników reprezentujących wszystkie sadyby klanu Trzykrotnie Przebitej Tarczy. Każdy z nich, jak nakazywała tradycja, dzierżył arad, kostur z kości hrylla, który dawał Suhurowi prawo do wydawania sądów i uczestniczenia w radzie. Tore Numa-Reh także trzymał symbol władzy zwieńczony dodatkowo zalany żywicą sągrowca kotorem – suhurskim odpowiednikiem serca – swojego poprzednika.

– Wezwałem was, abyście pomogli mi wydać osąd – zacharczał Najwyższy Suhur, gdy tylko mennici zasłonili wejście kildu wyprawioną skórą hrylla i w okrągłym pomieszczeniu zrobiło się ciemniej. – Niespełna trzydzieści wschodów mniejszego słońca temu młody garstnik Karan Degard był świadkiem niezwykłego objawienia. Chociaż nie zaliczał się do stanu kapłańskiego, Duchy Gór przekazały mu, że bogowie Słońc i Gwiazd zamierzają nas porzucić. – Wnętrze wypełniły zduszone charkoty; Wojownicy Kości z najdalszych sadyb słyszeli już pogłoski o tym, lecz aż do tej pory nikt nie potwierdził ich bezpośrednio. Tore Numa-Reh uciszył ich stuknięciem arada. – Wczoraj na wzgórzu Świętego Parchanu garstnik dał nam ostateczny dowód swojej prawdomówności. Broń z zaświatów, którą zbuntowane i odtrącone Duchy Gór wykradły bogom, aby ocalić wydane na pastwę losu klany. Ci z was, którzy byli tam ze mną, widzieli, czego może dokonać Siewca Gromów... – Sam wciąż nie widział dobrze na jedno oko. Choć stał daleko od parchanu, słup oślepiającego światła pozbawił go wzroku na wiele spęcznień błony. Kilku z tu obecnych miało podobne problemy, o oparzeniach nie wspominając. – Nieroztropne słowa Tikren Da-Deradha sprawiły, że postąpiliśmy wbrew woli Duchów Gór, przez co straciliśmy nie tylko broń bogów, lecz być może też przychyłność bytów opiekuńczych.

Hika No-Korto, najstarszy ze zwiadowców klanu, niski, ale potężnie zbudowany, uderzył aradem w otoczek leżący obok podestu, na którym przykucnął.

- Otwórz swoje membrany! – Tore Numa-Reh wskazał go świętym kosturem.
- Nie będę bronił Tikren Da-Deradha, oby jego wnętrzności posłużyły za

strawę taharom, ale sam nie potrafię uwierzyć, że posłańcy bogów, którzy od tyłu tysięcy starć słońc przekazywali swe słowa wyłącznie świętym mężom, pominęli ich teraz i wybrali zwykłego wojownika, który nie miał nawet bitewnego przydomku.

Rozległy się zduszone hurgoty, wielu członków rady zwijało jednocześnie wypustki.

– Na wszystkich ołtarzach od samego rana składane są ofiary – oznajmił Tore Numa-Reh, gdy wojownicy zamknęli w końcu membrany. – Przelaliśmy rzeki błękitnej krwi. Nie ma już jeńców w jamach klanu, ale nasze wysiłki na nic się zdały. Bogowie wciąż nie odpowiadają!

– Zdobycie jeńców to nie problem. Pozwól nam wyruszyć na równiny, a przywiedziemy ci więcej czworonogich, niżli zmieści się ziaren łuszczyku w twoim hełmie – zapewnił go najstarszy ze zwiadowców. – Bogowie zawsze chętnie przyjmowali daninę krwi – dodał, gdy nie doczekał się decyzji Najwyższego Suhura. – Dajmy im jej więcej, a z pewnością odpowiedzą.

– Tak! Tak! Potrzebujemy więcej krwi! – poparło go kilku innych członków rady.

– A może jest nas już za mało – wtrącił niepewnie potężny łowca Kano Kazo-Hota, gdy ucichły ostatnie hurgoty. – Nocą na wyżynach tli się zaledwie garść ognisk. Tymczasem kiedyś ze szczytów Siedmiu Wierchów widzieliśmy ich więcej niż gwiazd na niebie.

– Za mało na co? – zapytał Hika No-Korto.

– Na to, aby bogowie zaprzęтали sobie nami głowy...

– Niemożliwe! – przerwał mu ktoś z drugiej strony kildu.

– Kano Kazo-Hota słusznie prawi! – poparł sąsiada siedzący po jego prawicy Toreka Kar-Eni. – Nie spełniamy już ich oczekiwań, więc nas porzucili.

– Jakich oczekiwań? – zapytał Tore Numa-Reh, gdy opadła kolejna fala wrzawy.

– Gdy klanów było więcej, niż ziaren łuszczyku pomieści się w jednej tarczy, liczba ofiar składanych na świętej ziemi radowała serca Koreda, Yabhy i Thuba.

Były dni, gdy ze Stromeego Osypiska strącaliśmy dla nich całe pokonane klany – rzekł Kano Kazo-Hota, a pozostali wojownicy rozprostowali wypustki, popierając jego słowa. – My sami dawaliśmy im rzekę krwi, a miejsc takich jak sadyba klanu Trzykrotnie Przebitej Tarczy było w Suhurcie mrowie. Te kilka ołtarzy, które nam zostały, nie zaspokaja potrzeb pomniejszych bóstw, a wy chcecie przywołać nimi wszystkich bogów naraz? Nie wspomnę już o tym, że sto hełmów tej błękitnej brei nie jest warte jednej kropli brunatnej krwi.

– Mądre słowa, Kano Kazo-Hota, łowco, który brałeś udział w niezliczonych bitwach – pochwalił go Tore Numa-Reh. – Zatem przelewanie gurdyjskiej krwi nie ma sensu.

Zamilkli, rozmyślając nad tymi słowami.

– Złożmy w ofierze densha i te pisklęta, które nie potrafią unieść broni – zaproponował Hika No-Korto. – I tak czeka je śmierć z rąk czworonogich najeźdźców, jeśli nie obłaskawimy bogów.

Tym razem pozostali nie byli tak chętni do wyrażenia poparcia. Ale im dłużej trwało milczenie, tym więcej warknięć aprobaty rozlegało się pod sklepieniem kildu.

– Dlaczego upieracie się wciąż przy ofiarach dla bogów, którzy zdecydowali się nas opuścić? – zapytał nagle Kano Kazo-Hota. – Dlaczego nie spróbujemy odzyskać zaufania Duchów Gór, które nam sprzyjają? Im krew czworonogich zawsze smakowała.

– Jak chcesz tego dokonać? – prychnął Hika No-Korto. – Mamy odłupać z ołtarzy ryty Koreda, Yabhy i Thuba i zastąpić je symbolami Lut Se-Ifera i jego braci?

– Nie namawiam nikogo do niszczenia ołtarzy. Tym możemy co najwyżej zasłużyć na jeszcze większy gniew bogów, a widzieliście chyba, co potrafią, gdy im się ktoś sprzeciwi. – Dotknął opuchniętej powieki. – Myślałem raczej o wysłaniu grupki najmłodszych wojowników do jaskiń, w których Karan Degard doznał objawienia. Niech złożą tam daninę z własnej krwi.

– Tak postąpimy! – Najwyższy Suhur uderzył aradem w czarny kamień,

ucinając kolejną dyskusję. – Wyślemy do jaskiń garstnię Karana Degarda, złożymy w ofierze jego najwierniejszych towarzyszy broni. Jeśli Duchy Gór nie przemówią do nich w cztery wschody mniejszego słońca, zaczniemy składać bogom ofiary zgodnie z radą najlepszego spośród zwiadowców.

Żaden z wojowników nie odpowiedział. Kolejno uderzali aradami w swoje kamienie. Decyzja została podjęta jednogłośnie.

– Jest jeszcze coś – zahurgotał Tore Numa-Reh, gdy usłyszał ostatni dźwięczny stukot. – Musimy wydać wyrok na Tikren Da-Deradha.

– Spętanie rąk – zaproponował natychmiast Hika No-Korto.

– Spętanie rąk! – poparli go pozostali.

Tym razem uderzenia ich aradów rozbrzmiały niemal równocześnie.

SZEŚĆ

Święcki zdał stanowisko zmiennikowi, zasalutował przepisowo porucznikowi Valdezowi, który nie zamierzał opuszczać jeszcze centrum, po czym ruszył spokojnym krokiem w kierunku wyjścia, mieszając się z tłumem kończących służbę żołnierzy. Przed windami zebrała się już spora grupa pracowników technicznych obsługujących tę sekcję stacji. Henryan trzymał się z dala od nich. Ani myślał wracać w takim ścisku. Choć jeszcze niedawno rozpaczliwie tęsknił za towarzystwem ludzi, na stacji nie umiał przyzwycząić się do tłoku. Nie rozumiał własnej reakcji, ale na szczęście w odróżnieniu od większości personelu miał czas.

Po niecałym kwadransie na korytarzu zrobiło się luźniej. Kolejne wagoniki podjeżdżały co kilkanaście sekund. Jeszcze dwa albo trzy, ocenił, i pora szczytu się skończy. Tym razem nie spocę się jak mysz i oszczędzę wodę na wieczór. A tajemniczy podrzucacz kryształów będzie miał utrudnione zadanie, jeśli zechce powtórzyć tę sztuczkę. Uśmiechnął się pod nosem.

– Na co czekacie, Pry?

Głos porucznika wyrwał go z zamyślenia. Rzucił szybkie spojrzenie na zegar i skrzywił się. Tkwił na stacji kolejki niemal dwadzieścia minut.

– Klimatyzacja nie wyrabia w godzinach szczytu – wyjaśnił. – Wczoraj tak się spociłem, że musiałem zużyć pod prysznicem cały dzienny przydział wody.

– Mamy ostatnio nadkomplet – przyznał Valdez, stając obok. – A na dodatek za kilka dni zwali nam się na głowę wielka delegacja. Szczebel rządowy. Pół senatu i dwieście osób świty. Stary zapowiedział właśnie podniesienie stanu

gotowości dla całego działu technicznego i operacyjnego.

– Senatorowie? – zdziwił się Świącki. – Czego mogą tutaj chcieć?

– Nie domyślcie się? – Porucznik roześmiał się, zanim ruszył w stronę zatrzymującej się właśnie kolejki.

Henryan podążył za nim. Ledwie przekroczył próg, drzwi zasunęły się z cichym sykiem. Oprócz nich w kabinie było tylko kilku techników.

– Ostatnie dni zwierzaków – powiedział Valdez, zniżając konfidencjonalnie głos. – Kto by chciał przegapić takie widowisko? Miałeś fart, chłopie. Nie co dzień rozumna rasa znika z mapy wszechświata. Miejmy nadzieję...

– Przecież oni nie wyginą. To znaczy, nie całkowicie.

Valdez spojrzał na niego dziwnie.

– O co wam chodzi, Pry?

– Ja... Jajogłowi z pewnością nałapią wystarczająco dużo okazji do dalszych obserwacji i badań.

– No, no! – Porucznik uśmiechnął się i pogroził mu palcem. – Wasze szczęście, sierżancie. Bo już zaczynałem podejrzewać, że przesiąkliście propagandą Bogów.

– Nie skontaktowali się ze mną... – Henryan urwał w pół słowa i zmarszczył brwi.

– Coś nie tak? – zaniepokoił się Valdez.

– Nie. To znaczy tak. Wczoraj przydarzyło mi się coś dziwnego.

– W centrum dowodzenia?

– Nie, wieczorem, kiedy wróciłem do kabiny... – Zamilkł na moment, a potem opowiedział porucznikowi o całym zdarzeniu. Ze szczegółami. Zaczynając od znalezienia kryształu, a kończąc na wykryciu środka czyszczącego na panelu i blacie terminala.

Valdez słuchał z uwagą, nie wyglądał jednak na szczególnie poruszonego. Kiedy Świącki zakończył relację, milczał przez dłuższą chwilę, jakby zastanawiał się, ile może powiedzieć. Odezwał się dopiero wtedy, gdy minęli przedziały bezpieczeństwa.

– To nie był zwykły kawał.

– Tak pan sądzi? – zapytał zaskoczony Święcki.

– Ujmę to tak: chłopcy robią numery nowym, ale zawsze jest to coś, z czego wszyscy mogą się potem pośmiać. Podrzucenie kryształu nie jest zabawne, dlatego uważam, że mamy do czynienia z próbą kontaktu ze strony Bogów. Pierwszą i nie ostatnią. Spodziewaliśmy się, że będą szukali kontaktu, ale nie sądziliśmy, że tak szybko. Martwi mnie natomiast to obejście skanera. W tym mogła maczać palce wubecja.

– Wydział? Oni wiedzą, kim jestem?

– Nie, ale zająłeś miejsce Seiferta – przypomniał mu porucznik, zmieniając ton na nieco mniej oficjalny i automatycznie przechodząc z wy na ty. – Nic dziwnego, że cię sprawdzają.

– Gdybym ja chciał przeprowadzić taką akcję, wybrałbym inną porę dnia na wizytę. Mój brat był oficerem Wydziału Bezpieczeństwa. Wprawdzie od początku służył w pionie kryminalnym, ale poznałem dzięki niemu metody pracy agentów.

– Racja – przytaknął Valdez. – Siedziałeś w centrum bite osiem godzin.

– Sam pan widzi.

– Mimo wszystko jestem przekonany, że to musiał być Wydział Bezpieczeństwa. I nie mówimy o szeregowych skurwyklonach w czerni. Jedyne oficerowie kontrwywiadu są na tyle pedantyczni i popieprzeni, by dezynfekować cudze skanery. – Porucznik spojrzął w oczy Święckiego i zobaczył w nich czysty strach. Zainteresowanie kontrwywiadu mogło oznaczać poważne kłopoty. – Pewnie szukali kryształu.

– Skąd mogli wiedzieć, że ktoś mi go podrzucił?

– Podglądy, podsłuchy... – Valdez wzruszył ramionami. – To ich żywioł. Przeszukaliabinę, gdy wyszedłeś do mesy, przekonani, że podrzucony kryształ wciąż tkwi w kieszeni. Liczyli, że będą mieli więcej czasu, ale ty jak na złość się pośpieszyłeś. Dziesięć minut później niczego byś nie wyczuł.

– Kurwirtual! – Święcki poczuł zimne ciarki na krzyżu. – I co ja mam teraz

zrobić?

– Pamiętasz moją radę? – zapytał porucznik. – Nic nie rozumiesz, nic nie wiesz, nic cię nie interesuje. Trzymaj się z dala od tego bajzlu. Za tydzień albo dwa będzie po wszystkim. Nasi Bogowie rozejdą się do swoich zajęć i zapomnimy o aferze. Jeśli dostaniesz następną wiadomość, na kryształach czy jakimś innym cholerstwie, wywal ją natychmiast w diabły.

– Jasne.

Kolejka zaczęła hamować. Zbliżyli się już do sektorów mieszkalnych.

– Właściwie... – odezwał się nagle Valdez.

– Tak?

– Mam lepszy pomysł. Jeśli dostaniesz następną wiadomość, przyjdź z nią do mnie. Może uda mi się rozpracować tych drani. Kończy im się czas, a ludzie działający w pośpiechu zaczynają popełniać błędy.

– Nie ma sprawy – zgodził się bez oporów Święcki.

– I nie martw się. Nikt inny się o tym nie dowie. Jeśli wpadniesz z kolejnym kryształem, powiesz wubekom, że to część przygotowywanej przez nas prowokacji. Ja to potwierdzę.

Henryan skinął skwapliwie głową, a potem niespodziewanie zapytał:

– Kim oni są?

– Kto?

– Ludzie, których nazywa pan Bogami.

– To temat na dłuższą rozmowę – odparł enigmatycznie Valdez, spoglądając na wskaźnik położenia kolejki. Wagonik zaczynał właśnie hamować. – Dzisiaj nie mam czasu, muszę załatwić kilka spraw w pionie medycznym – dodał, podchodząc do wyjścia – ale jutro po wachcie możemy usiąść na tarasach widokowych i pogadać o tym wszystkim.

– Nie ma sprawy.

Drzwi kabiny otworzyły się z cichym sykiem, odsłaniając kompletnie pusty szeroki korytarz. Wychodząc z kolejki, Valdez dodał:

– Bez obaw, Pry. Nie wrócisz do kopalni, jeśli będziesz robił, co mówię. – Już

na peronie obrócił się przez ramię i rzucił: – Jeszcze jedno. To będzie prawdziwy koniec zwierzaków. Ich nie da się trzymać w niewoli. Dzień, dwa i padają...

Drzwi zamknęły się i rozdzieliły ich, zanim porucznik zdążył dokończyć zdanie.

SIEDEM

Tym razem Święcki nie poszedł prosto do kabiny. Był głodny i na tyle czysty, że mógł się najpierw udać do zatłoczonej mesy. Odbębnił swoje w długiej kolejce, napakował pełną tackę żarcia, a potem stanął pośrodku sali, szukając wzrokiem wolnego miejsca. Rotacja była szybka, nikt tutaj nie siedział i nie delektował się posiłkami. Racje były pożywne i o wiele smaczniejsze niż więzienne żarcie, ale o tym mało kto z mieszkańców stacji wiedział.

Na skraju długiej ławy po lewej zwolniło się krzesło. Wysoki i chudy jak tyczka lotnik mrugnął do Święckiego, gdy ten mijał go zręcznie, aby zająć upatrzone miejsce przed dziewczyną w mundurze służb technicznych.

– Wybacz. – Henryan uśmiechnął się do niej, zwinnie wsuwając tackę w zagłębienie blatu.

Ostrzyżona przepisowo blondynka wydeła pogardliwie usta i ruszyła w stronę następnego stolika.

– Prawo dżungli. – Siedzący naprzeciw technik wyszczerzył równiutkie białe zęby. – Sierzancie Pry... ze...

– Prydeinwraig – poprawił go odruchowo Święcki. – Ale nie łam sobie języka. Mówią na mnie Pry.

– Tregvas – przedstawił się tamten. – Kapral Tregvas, lokalne tanie przewozy pasażerskie... – Gdy dostrzegł zdziwienie rozmówcy, dodał szybko: – Śmigam wahadłowcem na Betę.

Podali sobie ręce.

– Tutaj zawsze taki tłok? – zapytał Henryan, nabierając pierwszą łyżkę papki.

Lotnik spojrzał na niego z zaciekawieniem.

– Kolega sierżant nowy?

Święcki skinął głową, przełykając gorący kęs.

– Wczoraj zamknięto sektor pierwszy, technicy i wojo mieszkają teraz razem – wyjaśnił Tregvas. – Dodatkowe dwieście gąb do wyżywienia musiało się odbić na przepustowości tej mesy. Co widać zwłaszcza po zakończeniu każdej zmiany.

– Wiecie, dlaczego wyłączyli z obiegu całą jedynekę? – zapytał Henryan.

– Szykują ją dla gości. – Lotnik ściszył konfidencjonalnie głos. – Ponoć ma nas odwiedzić ktoś ważny.

– I to nawet niejeden – mruknął Święcki.

– Kolega sierżant wie coś więcej?

Nie odpowiedział od razu. Przeżuwał przez chwilę kawałek wołowiny z pokładowej uprawy mięsa, zastanawiając się, czy nie palnął właśnie wielkiego głupstwa. Valdez opowiadał o wizycie delegacji, jakby to nie była żadna tajemnica, jednakże zwykły personel najwyraźniej nie miał o niczym bladego pojęcia.

– Za kilka dni zwali się tu pół senatu – odparł w końcu, uznawszy, że nie będzie to naruszenie tajemnicy służbowej.

– A niech mnie, wiadomość z pierwszej ręki! – Tregvas cmoknął z podziwem i odkładając sztucce, szybko dodał: – Kolega sierżant pracuje w centrum dowodzenia?

– Tak – odparł Henryan z pełnymi ustami.

– Można wiedzieć, na jakim stanowisku?

– W centrali łączności. – Odpowiedzi udzielił z pewnym opóźnieniem, dopiero gdy przepłukał usta wodą.

– Za Seiferta...

Siedzący obok Zajcew, czarnoskóry żołnierz kompanii wartowniczej, oderwał wzrok od posiłku. Teraz gapili się na niego we dwóch. Święcki oblizał powoli wargi.

– Chyba już pójdę – powiedział, chwytając tackę, na której wciąż było sporo

jedzenia.

– Spokojnie, kolego sierzancie – odezwał się Rosjanin. – Nie gryziemy.

– Louismail, to znaczy Seifert – zaczął wyjaśniać Tregvas – grywał w reprezentacji grawikosza. Większość z nas go znała. – Wskazał głową zatłoczoną salę.

– Można powiedzieć, że był popularny – dodał czarnoskóry wartownik.

– Przydzielono mnie na zastępstwo – rzucił zmieszany Świącki. – Nawet...

– Przecież wiemy – uspokoił go Zajcew. – I nic do kolegi nie mamy. Szkoda marnować tyle dobrego żarełka – wskazał na tackę.

Henryan usiadł wygodniej i przysunął do siebie jedzenie, ale z jakiegoś powodu kolejny kęs zaczął mu nieprzyjemnie rosnać w ustach.

– Wie kolega sierżant, co się z nim stało? – zapytał po chwili Tregvas, który najwyraźniej też stracił apetyt.

Świącki przełknął pikantną wołowinę i zapił ją wodą. Poczłł metaliczny posmak.

Siedzieli przez moment w milczeniu, wpatrując się w blat. Henryan też. Zastanawiał się właśnie, czy ci dwaj nie należą przypadkiem do Bogów i nie wrabiają go w jakąś aferę, gdy poczuł na ramieniu czyjąś ciężką rękę. Drgnął, zaskoczony, jakby go ktoś wrzątkiem oblał. Tacka z niedojedzonym posiłkiem poleciała w stronę Tregvasa, opryskując go całego. Henryan natomiast, zrywając się gwałtownie, oberwał w potylicę, aż mu zęby zadzwoniły. Syknął z bólu i odwrócił się z uniesionymi rękami, mając nadzieję, że czarni zrezygnują z bicia, jeśli podda się od razu. W kopalni to by nie zadziało, ale tutaj, przy tylu świadkach...

Opuścił ręce tak szybko, jak je podniósł. Przed nim stał wystraszony grubas w poplamionym kombinezonie trzymający zgiętą tackę.

– Człowieku, wrzuć na luz – wysapał z wyrzutem, przyglądając się rozbryzgniętej papce. – Chciałem tylko zapytać, czy już kończysz jeść...

Świącki rozejrzał się po mesie. Panowała w niej kompletna cisza. Oczy wszystkich były zwrócone na niego. Tylko Tregvas patrzył na siebie, usiłując

doczyścić bluzę.

– Przepraszam, kolego. Zaskoczyłeś mnie – wzruszył ramionami. – Chodź, kupię ci nową porcję.

Sięgnął do kieszeni po kartę i zbladł. Opuszkami palców trafił na zimny, twardy i cholernie znajomy kształt.

* * *

Znów musiał zużyć cały dzienny przydział wody, żeby domyć się po incydencie w mesie. Spora ilość sosu wylała mu się za kołnierz, gdy wstając raptownie, wytrącił obiad z ręki grubasa. Pomimo długiego prysznicza nadal czuł ostrą woń. Osiem litrów wody, nawet rozbitych na drobną zawiesinę, nie było w stanie zmyć całego sosu.

Padł ciężko na koję i spojrzał na blat biurka. Mikrokryształ leżał tam, gdzie go położył. Był większy i pojemniejszy od poprzedniego. Powinien zameldować o nim Valdezowi i miał szczerzy zamiar to zrobić, ale jeszcze nie teraz. Najpierw musiał ochłonąć. I przemyśleć sytuację.

Ktoś pogrywał sobie z nim, i to jawnie. Drugi kryształ wsunięto mu do kieszeni w mesie. Albo na korytarzu przed wejściem do niej, gdzie również panował niezły ścisk, a on w dodatku – po rozmowie z porucznikiem – był rozkojarzony. Tak: albo korytarz, albo mesa. Czyli pół segmentu podejrzanych.

Wzrok Henryana powędrował raz jeszcze w kierunku mikrokryształu. Porucznik miał rację – to nie był żart. Pierwszy kontakt był tylko testem. Nośnik nie zawierał żadnych informacji, na wypadek gdyby przejęła go bezpieka. Ot, taki psikus kolegów na powitanie. Chyba miał cholernie dużo szczęścia, że zabrał wtedy kryształ ze sobą. Agenci przekopali całą kajutę i niczego nie znaleźli. Skoro okazał się czysty, może dadzą mu spokój... Nie, na to raczej nie mógł liczyć. Valdez miał rację.

O co im chodzi? Co chcą osiągnąć, narażając mnie przy okazji na odesłanie do kolonii karnej? Święcki nie znał odpowiedzi na te pytania i na tysiąc innych,

które czekały w kolejce. Ale mógł to zmienić. Wystarczyło wstać, sięgnąć po naczołnik i umieścić kryształ w gnieździe. Zajęło mu to tylko kilka sekund.

Nie ma nic gorszego od niepewności, uznał, włączając przenośny wizualizator. Tym razem ciemność trwała znacznie krócej. Zgodnie z jego oczekiwaniami pojawił się napis. Nieco dłuższy niż poprzednio i bardziej tajemniczy:

JEŚLI CHCESZ POZNAĆ PRAWDĘ,
OBEJRZYJ TEN PRZEKAZ DO KOŃCA.

* * *

Nagranie przedstawiało wnętrze laboratorium medycznego ze stołem do sekcji pośrodku. Na lśniącem białym blacie leżał przypięty pasami magnetycznymi zwierzak. Wokół kręciło się parę osób w kombinezonach ochronnych. Naukowcy pobierali próbki, podłączali czujniki, sprawdzali aparaturę.

– Test numer trzysta osiemdziesiąt sześć – powiedział ktoś, gdy w polu widzenia pozostał tylko Suhur. – Obiekt pozyskany sześć godzin temu z dołów śmierci klanu Trzykrotnie Przebitej Tarczy. Stan terminalny. Włączamy wewnętrzne nanokamery.

W górnej części obrazu pojawił się zegar, w dolnej rząd dziesięciu okienek. Święcki najechał palcem na jedno z nich. Widok leżącego zwierzaka zmniejszył się i zastąpił go nowy obraz. Bardzo ciemny i dziwny. Mięsisty tunel, w którym poruszał się jakiś obły, oślizgły kształt. Henryan wskazał go palcem i natychmiast pojawiła się belka z informacją: „taha” i krótkim, znanym mu jeszcze z kursu opisem. Obrzydlistwo pełzło w stronę kamery, wypełniając już niemal połowę obrazu. Widać było wyraźnie kilka włoskowatych witek zdobiących koniec segmentowanego cielska. Robal zakręcił nimi nagle, kierując mikroskopijny łąpek w stronę brunatnej kropli zwisającej z jednego z wielu otworów. Witki smagnęły ściany tunelu, a gdy jedna z nich natrafiła na

życiodajny tłusty płyn, obły koniec tahara rozszczepił się nagle na siedem części jak rozkwitający kwiat i w ułamku sekundy robał dopadł jednej z ostatnich kropeł posoki starego wojownika.

Święcki sprawdził kolejne okienka – na większości widać było ujęcia dziwnych narzędzi, tyle że nie było tam żadnych robali. Zerknął na zegar. Wskazywał trzydziestą szóstą minutę testu, ale cyfry zmieniały się wyjątkowo szybko. Na belce informacyjnej widniała informacja: „Dwunastokrotne przyśpieszenie projekcji”.

Przeniósł wzrok na drgające śmiesznie ciało. Gdy konwulsje stały się silniejsze, sprawdził obrazy z trzech kamer opisanych „miękkisz”. Na żadnym nie było już taharów. Przełączył się na pozostałe obrazy i bardzo szybko znalazł robale, jednakże tam, gdzie ich być nie powinno. Szalały, przegryzając się przez tkanki różnych narzędzi, spijając i wysysając każdą kroplę brunatnej posoki, na jaką trafiły. Wyglądało to naprawdę okropnie. Po kilku minutach obserwacji Henryan jeszcze bardziej przyśpieszył projekcję.

Ciało pożeranego od środka Suhura znieruchomiało po jedenastu godzinach męki. Lektor opisujący eksperyment stwierdził między innymi, że: „Okaz numer trzysta osiemdziesiąt sześć zmarł o wiele szybciej niż obiekty poprzednich trzynastu testów, głównie z powodu podeszłego wieku i dużego osłabienia”.

Obraz ściemniał, ale na tle absolutnej czerni natychmiast pojawił się nowy napis:

WOLAŁBYŚ ZGINĄĆ W BITWIE
CZY DOCZEKAĆ TAKIEJ ŚMIERCI ZE STAROŚCI?

Święcki uśmiechnął się pod nosem. Odpowiedź była prosta.

BĘDIEMY W KONTAKCIE, SIERŻANCIE.

Zdjął naczolnik, wydlubał kryształ z gniazda i spojrzał na niego

w zamyśleniu. Podczas kursu przygotowawczego nie powiedziano mu wszystkiego. Nasłuchał się o okrucieństwie Suhurów, o krwawych rytuałach tej rasy i jej prymitywizmie. Dopiero przed chwilą zobaczył powód, dla którego Wojownicy Kości cenili sobie przemoc i śmierć. Jeśli to nagranie nie zostało sfabrykowane, rzucało na sprawę zupełnie nowe światło. I wiele tłumaczyło. Kto przy zdrowych zmysłach chciałby przeżyć tak straszne męczarnie, zwłaszcza gdyby w jego kulturze nie znano środków uśmierzających ból?

Zaczął powoli rozumieć, o co naprawdę chodzi Bogom. Podszedł do terminala i wybrał połączenie z numerem Valdeza. Holo migąło przez kilka sekund, potem przybrało kształt zaspanej twarzy porucznika i zniknęło.

– Teraz jesteśmy na bezpiecznej linii, mów. – Gdy Valdez pojawił się znowu, oczy miał wciąż zapuchnięte, ale spojrzenie trzeźwe.

– Dostałem drugi kryształ – powiedział Święcki.

– Rozumiem. Przynieś go jutro do centrum. O dwunastej dostaniesz fikcyjne zatwierdzenie rozkazu naprawy nadajnika. Wsiądziesz do windy technicznej i pojedziesz nią na piastę. Sfera techniczna, poziom sto czwarty. Z rozkazem otrzymasz kody dostępu do tej części stacji. Spotkamy się na tarasach, pod kopułą obserwacyjną.

– Dlaczego akurat tam? Nie możemy porozmawiać w centrum albo...

– Nikt nie może wiedzieć o naszej rozmowie – przerwał mu Valdez. – Uwierz mi, Pry, to najrozsądniejsze miejsce, jakie przychodzi mi do głowy.

– Tam chyba będzie pełno ludzi?

– Już ty się o to nie martw.

OSIEM

System Xan 4, Sektor X-ray,

08.09.2354

Siedząc pod przezroczystą czapą z plastali, można było ogarnąć wzrokiem nie tylko nieskończoną czerń pustki czy kotwicowisko okrętów floty, ale i samą Betę. Stacja została umieszczona na orbicie stacjonarnej, nad równikiem, po dziennej stronie planety. Każdy członek załogi mógł tutaj przyjść w wolnym czasie, zawisnąć nad jednym ze stanowisk – kopuła nie wirowała jak reszta stacji, więc panowała tutaj nieważkość – i patrzeć do woli na absolutną czerń kosmosu, świetliki gwiazd i seledynowo-złoty krąg planety, po którym nad zarysami kontynentów leniwie przesuwwały się ławice chmur.

Święcki nie wierzył w zapewnienia Valdeza, ale kiedy wysiadł z wagonika kolejki technicznej, rzeczywiście nie zobaczył nikogo. Przeleciał więc nad centralny sektor tarasów, przypiął linkę asekuracyjną do uchwytu stanowiska i zapatrzył się na majestatyczne dzieło matki natury. Ta planeta była tak inna od jego rodzinnej Sawy. Miała gigantyczny ocean, kontynenty, gęstą atmosferę, lodowe czapy, ale ani jednego księżycy.

– Dzięki, że przyszedłeś, Pry. – Porucznik zawisł nad sąsiednim stanowiskiem.

Henryan sięgnął do kieszeni i wyjął mikrokryształ. Ujął go w dwa palce, a potem rzucił w stronę Valdeza.

– Dostałem go w mesie – powiedział.

Porucznik chwycił szybującą wolno piramidkę.

– Obejrzałeś już zapis?

– Tak.

Święcki wiedział, że specjaliści potrafią wycisnąć z kryształów sporo informacji. Data ostatniego odtworzenia była jedną z nich. Nie opłacało się kłamać.

– Co na nim jest?

– Nagranie... – sierżant szukał przez chwilę odpowiedniego słowa – jakiegoś eksperymentu medycznego.

– Ciekawe... – Valdez wyjął z kieszeni hermetyczny pojemnik i schował do niego połyskującą zimno piramidkę.

– Kim oni są? – Henryan powtórzył swoje wcześniejsze pytanie, nie odrywając oczu od majestatu Bety.

– Tego niestety nie wiemy. Seifert i jego współpracownicy nikogo więcej nie sypnęli.

– Nie pytałem o nazwiska.

– Rozumiem. – Porucznik milczał przez chwilę, przybierając wygodniejszą pozycję. W końcu zaczął mówić. – Na początku były to tylko zwykłe wygłupy żołnierzy. Już w pierwszym roku misji mieliśmy prawie trzydzieści incydentów. Na szczęście niegroźnych. Większość udało się zatuszować...

– Zatuszować? Jak?

– Eliminując świadków. Zwierzaków było wtedy kilkanaście razy więcej niż teraz, a kleksów... Sam wiesz, ilu ich jest. Czasem pozorowaliśmy napad jednej bądź drugiej strony, ale najczęściej po prostu zwijaliśmy wszystkich, którzy coś widzieli, tutaj, na górę.

– Z przeznaczeniem na eksperymenty.

– Nie dramatyzuj, Pry. Naukowcy tak czy owak potrzebowali żywych obiektów do badań. Oni eksperymentowali na dostarczonym materiale i byli zadowoleni, a my niejako przy okazji likwidowaliśmy źródła zagrożenia. Liczyliśmy na to, że Bogowie zrozumieją w końcu, że zamiast pomagać Suhurom, wysyłają ich do laboratoriów. Zresztą po co ja się tłumaczę. Na Becie

każdego dnia ginie sto razy więcej kleksów i zwierzaków, niż my załatwiliśmy przez rok w laboratoriach stacji...

– Mieliśmy rozmawiać o Bogach – przypomniał mu Święcki, wykorzystując moment ciszy.

– A o czym mówimy jak nie o nich? Najpierw były to zwykłe wygłupy, w których nikt nie widział niczego złego. Wiesz, jak jest z wojem. Naukowcy słali skargi do admiralicji, a od czasu do czasu raporty, stary reagował stosownie do przewinień, pakując winnych do brygu albo ich degradując, i jakoś się żyło. Niestety z biegiem czasu coraz więcej żołnierzy ulegało fascynacji zwierzakami. Nie pytaj mnie dlaczego. Nieraz zastanawiałem się, co może pociągać nas, ludzi, w tych prymitywnych i odrażających istotach, ale nie znalazłem odpowiedzi na to pytanie. Z wiadomych powodów nie mogliśmy wprowadzić pełnej rotacji załogi. Rząd robi co w jego mocy, żeby istnienie odkrytych na Xanie 4 ras pozostało w tajemnicy. I chyba słusznie... – Porucznik zamilkł ponownie, gdy od strony najbliższego wejścia dobiegł głośniejszy stukot. Święcki, widząc jego reakcję, zrozumiał, że nie tylko on jest przewrażliwiony. Valdez zareagował równie nerwowo jak on wczoraj w mesie. – O czym to ja... A tak, mniej więcej pod koniec trzeciego roku misji zaczęły się konkretniejsze kontakty. Nie chodziło już o żarty z naukowców, ale o znacznie poważniejsze sprawy.

– Na przykład?

– Na przykład ktoś ostrzegął klany przed niebezpieczeństwem. Kleksy radziły w Treb'aldaledo o ataku na jakąś sadybę, a kilka godzin później wiadomość o tym docierała do suhurskich kapłanów i mieliśmy gotową rzeźnię. Czasami dowiadywaliśmy się o wszystkim po czasie, gdy zwierzaki opiewały jakąś wyjątkową masakrę w pieśniach. Tak, wiem, te ich brzęczenia trudno nazwać pieśniami. Ani to rytmu nie ma, ani melodii. Zwykła kakofonia.

– My mieliśmy parę stuleci temu tak zwaną muzykę współczesną – wtrącił Henryan z ironicznym uśmiechem. Gdy słuchał suhurskich bardów, miał wrażenie, że odtwarza któryś z kryształów kolekcjonowanych przez matkę. – Była bardzo podobna.

– Naprawdę? – mruknął zdziwiony Valdez. – Zresztą nieważne. Chociaż byliśmy świadomi tylko części tych działań, już po paru miesiącach dotarło do nas, że to nie są zwykłe wygłupy. Chłopcy zaczęli się bawić w bogów tej planety. I to na poważnie. Ze sztabu sektora przysłano nawet komisję, która po długim dochodzeniu ustaliła, że sprawcom chodziło wyłącznie o wywołanie większych jatek. Wiesz, że niby wojsko się nudzi i podjudza Suhurów do bitki. To uspokoiło admiralicję na jakiś czas. Dla trepów też było to sensowne i dopuszczalne wytłumaczenie. Ale my wiedzieliśmy, że prawda jest inna. I nie myliliśmy się. Rozkazy były jednak wyraźne: jeśli chłopcy poprzestaną na ostrzeganiu zwierzaków przed niebezpieczeństwami, mamy nie robić z tego wielkiego halo. W końcu, mniej więcej rok temu, wydarzyło się coś, co zmusiło starego do wydania Bogom otwartej wojny. Na powierzchni Bety mamy kilka stałych baz. Zakładamy je przeważnie na niedostępnych terenach, na przykład w wyższych partiach gór albo pod wodą, żeby nie pchać się w oczy Obcym. Przebywający na dole naukowcy mogą poświęcić więcej czasu na badania, zamiast co rusz wracać na orbitę. A my zapewniamy im całodobową ochronę. W każdej bazie stacjonuje drużyna ochrony składająca się z szesnastu żołnierzy. Dysponują oni dwoma grawiolotami do poruszania się w terenie i jednym ciężkim wahadłowcem na wypadek konieczności szybkiej ewakuacji sprzętu i personelu naukowego. Wyobraź sobie, że pewnego wieczoru dwóch idiotów poleciało nad największy krąg Gurdów w tej części kontynentu, wyłączyło kamuflaż i zawisło nad centralną dzielnicą, nadając z głośników komunikaty o boskiej klątwie, jaka spadnie na każdego błękitnokrwistego, który przekroczy koryto Valt Aram. Dopiero po kwadransie udało nam się przejąć kontrolę nad tą maszyną. W tym czasie na dole zapanowała taka panika, że setki kleksów zatratowały się na śmierć.

– Porąbało ich?

– Niezupełnie. Byli pijani w trupa, to fakt, ale kilka dni później udało nam się poskładać do kupy garść pozornie niepowiązanych faktów. Odkryliśmy, że niecałą godzinę przed wybrykiem gurdyjska Rada Najwyższa wydała dekret

o natychmiastowym rozpoczęciu ostatniej fazy kolonizacji. Odkryło się to w sercu Gurdu'dihanu, po drugiej stronie planety, nikt więc początkowo nie połączył tych wydarzeń. Pilot i nawigator grawiolotu szli w zaparte, tłumacząc, że był to zwykły pijacki żart, że założyli się z kolegami itepe, itede, jednakże pułkownik Rutta nie uwierzył w te zapewnienia. Kazał drążyć dalej. Przez kolejne dwa dni sprawdzaliśmy wszystkie bazy danych stacji, lecz nic nie znaleźliśmy. Od zarejestrowania informacji o planowanej nowej kampanii Gurdów przeciw zwierzakom nikt z orbity nie kontaktował się z Kwadrą, znaczy z bazą, z której wyleciał grawiolot. Stary był bardzo zawiedziony. My też. Wyglądało to rzeczywiście na zbieg okoliczności. Mieliśmy już odpuścić, ale pomógł nam przypadek. Ktoś z ekipy wpadł na pomysł, żeby sprawdzić łączność z innymi odbiornikami, nawet tymi najbardziej odległymi. No i trafiliśmy na coś dziwnego. Jeden z rutynowych radiogramów kontrolnych wysłanych do Septy, na południowy kraniec Suhurty, miał niezgodność w sumie kontrolnej. Normalnie nikt nie zwróciłby na to uwagi, bo takie błędy się zdarzają, ale stary kazał mi analizować każdą anomalię, więc przeanalizowaliśmy tę wiadomość i znaleźliśmy w jej kodzie dodatkowy zbiór. Zaszyfrowany. Wyszedł z centrali siedem minut po nadejściu wiadomości z Gurdu'dihanu. Zawierał skrót informacji o wydanym rozkazie.

– Strasznie to skomplikowane – mruknął Święcki.

– Czekaj, Pry, to jeszcze nie koniec. Mieliśmy już punkt zaczepienia. Wiedzieliśmy, kto wysłał plik i do kogo trafiła wiadomość. Po nitce do kłębka dotarliśmy do czterech kolejnych pośredników, ale na nich trop się urwał. Z Duala już nikt nie przesłał dalej tych danych. A dzieliło go od Kwadry ponad siedemset kilometrów. Choć oficjalnie nie mogliśmy postawić żartownisiom zarzutów, dowiedzieliśmy się, że są w naszych szeregach ludzie, którzy mają do tej sprawy inne podejście niż szefowie pionu naukowego. I są gotowi wiele zrobić, a nawet poświęcić, żeby chronić Suhurów.

– Rozumiem, że rozkaz ataku został odwołany.

– Nie, nie został – zaprzeczył Valdez. – Mimo to nikt go nie wykonał. Po raz

pierwszy w historii gurdyjskiej cywilizacji wszyscy sithu wymigali się od wykonania rozkazu Rady Najwyższej. Tamtego dnia zmieniliśmy... co ja mówię, Bogowie zmienili!... historię Bety. Rozumiesz?

Święcki skinął głową, po czym zdał sobie sprawę, że porucznik wcale nie musi na niego patrzeć. Rzucił więc pośpiesznie:

– Tak. Ktoś ocalił Suhurom dupy, na cały rok. A co się stało z tymi ludźmi?

– Osoby bezpośrednio zamieszane w sprawę trafiły do aresztu. Podejrzani o współudział zostali zdegradowani i do dzisiaj sprzątają kible albo łatają kadłub stacji. Ale nie ukrećiliśmy łba hydrze. Następne miesiące pokazały, że Bogowie mają się nieźle. Incydent z pancernownicą był piątym z kolei poważnym naruszeniem regulaminu.

– Czy oni naprawdę wierzą, że są w stanie ocalić Suhurów od wyginięcia? – zapytał Święcki.

– Na to wygląda – odparł porucznik.

– Ale dlaczego uwzięli się na mnie?

– Seifert wpadł, a oni wciąż potrzebują człowieka w pionie łączności, najlepiej na szczeblu centrum dowodzenia. Kogoś, kto ma dostęp do najświeższych informacji i kontrolę nad sprzętem. Bez tego nie mogą szybko reagować, a ostatnie nieposłuszeństwo zwierzaków pokrzyżowało im plany w najgorszym momencie. Zabicie wielkiego sampo-sithu na polu bitwy z takiej broni zostałyby uznane przez Gurdów za zapowiadaną boską interwencję. Ta zaś, przy tysiącach naocznych świadków, zmusiłaby Radę Najwyższą do rewizji dotychczasowej polityki wobec Suhurów. Tutejsze kleksy powoli zapominają o klątwie, ale wystarczy kolejny impuls i uciekną aż za Adal Vin.

– Z tego, co mi pan powiedział, jasno wynika, że Bogowie są dobrze zorganizowani. Nawet beze mnie będą w stanie dopiąć swego. Wystarczy przecież, jak sam pan powiedział, jeden impuls.

– Zapewniam cię, Pry, że my też nie próżnujemy. Zabezpieczyliśmy się na wszelkie możliwe sposoby. Zredukowaliśmy do niezbędnego minimum personel na powierzchni. Centra łączności w bazach zostały zautomatyzowane albo są

pod ścisłym nadzorem naukowców. Żaden żołnierz nie może opuścić posterunku bez autoryzacji dowódcy bazy. Odebraliśmy im też broń energetyczną. Tak więc, chcąc doprowadzić do czegoś, co mogłoby być uznane za spełnienie klątwy, muszą się teraz nieźle nagłówkować. Chyba że będą mieli swojego człowieka w centrum dowodzenia. Nic dziwnego, że robią wszystko, by do ciebie dotrzeć.

– W centrum pracuje setka ludzi – zauważył Świącki. – W większości o znacznie dłuższym stażu, a w części też na pewno ich znajomych. Ja jestem najgorszym wyborem z możliwych.

Valdez uśmiechnął się pod nosem.

– Ty nadal nic nie rozumiesz – powiedział. – Operacje na powierzchni nadzoruje osiemdziesiąt pięć osób na trzech zmianach, ale tylko cztery mają dostęp do kanału dowodzenia. Ja, ty i nasi zmiennicy. Nikt w centrum nie może kiwnąć palcem bez naszej wiedzy. Jeśli w sieci pojawi się nieplanowany przekaz, natychmiast go wychwycisz. Jeśli ktoś wyda nieautoryzowane polecenie, będę je miał na ekranie, zanim nadawca oderwie palce od klawiatury. Tak to działa. Bez dostępu do ciebie albo do mnie wszyscy Bogowie razem wzięci są bezradni.

– A nasi zmiennicy? – zapytał Henryan.

– Twojego przeniesiono z centrali wubecji. Wiesz, co to znaczy: facet jest nieprzemakalny. Swojego zmiennika też jestem stuprocentowo pewien. To dzięki niemu udało nam się wykryć sprawców większości incydentów.

Świącki przygryzł nerwowo wargę. Wiedział, że musi pomagać dowódcy stacji, nawet gdyby bardzo tego nie chciał. Pułkownik dobrze to sobie zaplanował. Kilka lat spędzonych w kolonii karnej zmienia optykę człowieka. Nieodwracalnie. Za nikłą szansę ucieczki osadzony oddałby wszystko, nawet własną matkę, a co dopiero jakąś prymitywną obcą rasę, która i tak jest skazana na wyginięcie. A jednak wspomnienie konającego w mękach Suhura wciąż go gnębiło jak wyrzut sumienia.

– Czy to nie nazbyt oczywiste, poruczniku?

– Co takiego?

– Moje pojawienie się na Xanie 4. Przylatuję znikąd i od razu trafiam na jedyne stanowisko, na którym zależy Bogom, a które wy powinniście obstawić razem z wubekami. Obawiam się, że oni od początku wiedzą, co jest grane. I bawią się z nami. Nie dojdzie do żadnego poważnego kontaktu...

– Już doszło. – Valdez podrzucił w dłoni piramidkę. – Zrozum, Pry, dla nich to wóz albo przewóz. Stracili głównego rozgrywającego w ostatnich minutach meczu, w dodatku przy niekorzystnym dla siebie wyniku. Muszą jakoś zareagować, w przeciwnym razie przegrają z kretesem. Teraz nawet czas działa na ich niekorzyść. Są naprawdę zdesperowani. I dlatego przyjdą do jedyne go człowieka, który jest kluczem do powodzenia akcji. Jeśli nie zechcesz współpracować z nimi po dobroci, może się zrobić groźnie. Ale ty nie staniesz po ich stronie, gdy dojdzie do ostatecznej rozgrywki. Rozumiemy się?

– Nie jestem szalony – zapewnił go Święcki. – Wolałbym zginąć, niż wrócić na Pas Sturgeona.

– Na taką odpowiedź liczyłem. – Valdez odpiął linkę i chwycił się poręczy. – A teraz posłuchaj mnie uważnie, Pry. Jeśli ktoś podrzuci ci nowy kryształ albo skontaktuje się z tobą w inny sposób, podejmij dialog.

– Ale...

– Nie przerywaj mi! – Porucznik podniósł głos. – Wyciągnęliśmy cię z kopalni, chociaż obaj wiemy, że powinieneś w niej zgnieć. To, że odpoczywasz sobie dzisiaj pod tą kopułą, zamiast drążyć kolejne sztolnie na niestabilnych asteroidach, zawdzięczasz wyłącznie nam. Mnie i pułkownikowi. Ale teraz to nie ja pociągam za sznurki. Jeśli stary uzna, że skrewiłeś, dostaniesz pomarańczowe wdzianko i jeszcze tego samego dnia pokicasz śladem Seiferta. Zrozum, człowieku – znowu ściszył głos – jestem po twojej stronie, ale obaj tkwimy w tym gównie po uszy. Nie masz wyjścia.

– Wiem...

– Posłuchaj zatem uważnie, Pry. Nie chcemy od ciebie wiele. Nie musisz wystawiać nam Bogów. Nie musisz składać raportów i donosić. Admiralicja nie jest zainteresowana ujawnianiem głębi tego spisku i kolejnych jego uczestników.

– Domyślam się... – mruknął Święcki.

– Chcemy tylko wiedzieć, co zamierzają Bogowie, aby móc pokrzyżować im szyki. Nie jestem idiotą, mam świadomość, że będą cię sprawdzali. Najprawdopodobniej dla własnego bezpieczeństwa do samego końca nie powiedzą ci, co naprawdę chcą zrobić. Może nawet podsuną kilka fałszywych tropów. – Porucznik zamilkł na chwilę, jakby się nad czymś zastanawiał. – Chciałbym, abyś zrozumiał, że nadrzędnym celem tej operacji jest niedopuszczenie do ingerencji w losy obu obcych cywilizacji. Damy Bogom wolną rękę, niech się cieszą złudnym poczuciem bezkarności. Zablokujemy dopiero ich ostatni, decydujący ruch. Jeśli kleksy uznały, że muszą się pozbyć zwierzaków, niech tak się stanie. Wiem, że to brzmi nieludzko i spiskowcy z pewnością zagrają na tej właśnie nucie, ale musisz pamiętać, że sprawa nie jest taka prosta, na jaką wygląda. Odbudowanie populacji Suhurów zaowocuje nowymi wojnami i powrotem do punktu wyjścia za kilkanaście, najdalej kilkadziesiąt lat. Przeciągające się starcia oznaczają kolejne miliony ofiar po obu stronach konfliktu. Pozwalając im żyć, usankcjonujemy niewyobrażalne rzezie. Eliminacja zwierzaków na tym etapie będzie oczywiście niepowetowaną stratą. Wszyscy rozumiemy, że mamy do czynienia z... rozumną starą rasą, spójrz jednak na ten problem z innej perspektywy. Wojownicy Kości stanowią zagrożenie nawet dla samych siebie. Widziałeś niedawno jakiś eksperyment, bez wątpienia niezbyt miły dla oka, ale idę o zakład, że Bogowie nie pokażą ci holo ze składania ofiar, także z osobników własnego gatunku, czy okaleczania piskląt. Mógłbym jeszcze długo wymieniać...

– Co mam zrobić? – Święcki postanowił zakończyć tę rozmowę.

– O tym sam zdecydujesz we właściwym momencie. Zależnie od rozwoju sytuacji. Ale pamiętaj o jednym: nie możesz się zgodzić od razu na ich propozycje. Pozwól im na kilka podejść. Zachowuj się nerwowo, jak do tej pory. Gdy zaczną naciskać, unikaj odpowiedzi, zwódź ich, proś o czas do namysłu. Im dłużej to przeciągniemy, tym bardziej będą zdesperowani, a co za tym idzie, nieostrożni. Od tej pory komunikujemy się tylko w centrum, wyłącznie słownie.

Żadnej elektroniki. Od jutra stary wprowadza stan podwyższonej gotowości, co oznacza zamknięcie większości kanałów łączności i ściślejszą kontrolę ruchu wewnątrz stacji. To powinno nam pomóc. Masz jeszcze jakieś pytania?

– Nie, panie poruczniku.

– Świetnie. W takim razie podpisz mi dokumenty potwierdzające zakończenie naprawy i wracaj na obręcz.

– Tak jest. – Święcki po raz ostatni spojrział na kontur Suhurty i jej wąski północny kraniec. Siedem Wierchów odcinało się wyraźnie od seledynowo-złotych wyżyn.

DZIEWIĘĆ

Zajcew czekał na niego w korytarzu przedziału mieszkalnego. Stał tuż za załomem grodzi, w miejscu, skąd mógł obserwować główne skrzyżowanie poziomu. Oparty o ścianę wpisywał coś do podręcznego komunikatora, uśmiechając się pod nosem, jakby go to bawiło. Na moment przed tym, nim Święcki zdążył skrócić w odnogę prowadzącą ku jego kabynie, czarnoskóry wartownik przerwał notowanie i spokojnie wmieszał się w tłum. Henryan był święcie przekonany, że ich spotkanie jest dziełem przypadku.

– Musimy pogadać, kolego sierzancie – rzucił półgębkiem Zajcew, nie odrywając wzroku od ekranu czytnika.

– Nie sądzę – powiedział ostrożnie Henryan.

– Wubecja węszy wokół kolegi – dodał szybko czarnoskóry wartownik.

– Wiem.

Zajcew zerknął na niego zaskoczony.

– Zwolni kolega trochę – poprosił, zmieniając ton.

– Śpieszę się. – Henryan zbył go ponownie, i to nie dlatego, że tak kazał porucznik. Naprawdę nie miał ochoty na drażnienie tej sprawy.

– A może jednak? – syknął poirytowany Zajcew. – Tym razem nie skończy się na rewizji pod nieobecność gospodarza. Czekają na kolegę.

Święcki wzruszył ramionami.

– Niech sobie czekają. Nic nie zrobiłem.

– Na kolegi miejscu sprawdziłbym wszystkie kieszenie – poradził mu Zajcew, po czym skrócił w odnogę korytarza, przepychając się między wracającymi do

kajut żołnierzami pierwszej zmiany.

Henryan zaklął i wbrew sobie zwolnił nieco. Zwalczył pokusę natychmiastowego sprawdzenia kieszeni. Mógł mieć ogon, skoro wubecja zdecydowała się na otwartą konfrontację. Od załomu, za którym zaczynał się jego korytarz, dzieliło go zaledwie kilkanaście kroków. Jeśli ma się pozbyć kryształu, to tylko tutaj. Wszedł w największy ścisk, wsunął dłonie do kieszeni, jakby sięgał po coś od niechcienia, i natychmiast trafił na zimną piramidkę. Chwycił ją w dwa palce. Zastanawiał się gorączkowo, co zrobić z tym kukułczym jajem... tak się chyba kiedyś mówiło na podrzucone ukradkiem przedmioty. W tej części korytarza nie było publicznych atomizerów. Mógłby upuścić mikrokryształ na kratownicę podłogi, bo w ścisku nikt by tego pewnie nie zauważył, ale to nie załatwiało sprawy. Za moment godzina szczytu się skończy i przezroczysta piramidka będzie kłuła w oczy każdego przechodnia. Nie mówiąc o kamerach monitoringu.

Nie, tak się jej nie pozbędę, pomyślał Święcki. Może lepiej podzucić ją komuś? Po namyśle zrezygnował i z tego rozwiązania. Nie był tak zręczny jak ten, kto raczył go wiadomościami od Bogów. Wpadka była niemal pewna, a kiedy „obdarowany” podniesie głos... Szlag by to! Nagle poczuł, że ktoś ujmuje jego dłoń, tę, w której trzyma piramidkę. Nie był to mocny chwyt, ale delikatne muśnięcie, tak zaskakujące, że nim zrozumiał, co się dzieje, mikrokryształ zmienił właściciela. Nie dostrzegł twarzy kobiety w białym mundurze medyka, która wyprzedziła go właśnie zdecydowanym krokiem, wybawiwszy przy okazji z kłopotu. Zanim zniknęła w tłumie, zauważył tylko, że ma ognistorude włosy i jasną, nakrapianą piegami skórę na karku.

Dzięki ci, pomyślał, skręcając w lewo, w wąski korytarz ozdobiony dwoma rzędami skanerów i włazów. Tutaj było o wiele spokojniej. Kilku żołnierzy, wracających z dyżuru jak on, zmierzało ku swoim kwaterom.

Kładąc dłoń na skanerze, Święcki głośno przełknął ślinę. Drzwi rozsunęły się z ledwie słyszalnym sykiem. W środku nie było całkiem ciemno, jak wtedy gdy wracał ze zmiany. Tym razem przywitał go miły półmrok. W przytłumionym

blasku paneli oświetleniowych dostrzegł trzy zwałiste sylwetki.

– Sierżant Prydeinwraig? – Pytający z pewnym trudem wymówił walijskie nazwisko. Sądząc z akcentu, trudny język, z którego pochodziło, był mu obcy.

* * *

Nie zabrali go do siebie. Nie musieli. Szybka, lecz dokładna rewizja z pełnym skanem układu trawiennego zajęła im zaledwie kilkadziesiąt sekund. Potem Świącki trafił na krzesło przy biurku. Funkcjonariusze Wydziału Bezpieczeństwa stanęli wokół niego tak, aby miał w polu widzenia tylko jednego z nich.

– Gdzie mikrokryształ? – zapytał najniższy, ale i tak przewyższający Henryana przynajmniej o głowę.

– Nie mam żadnych mikrokryształów – zapewnił go Świącki, zdając sobie momentalnie sprawę, że odpowiedź była zbyt konkretna i za szybka.

Wubek również uważał, że zaskoczony podejrzany powinien najpierw zapytać, o jaki kryształ chodzi. Na tej stacji wszyscy mieli z nimi styczność. Były najpowszechniejszymi nośnikami danych.

– To już wiemy – skwitował funkcjonariusz, strzepując pyłek z nienagannie skrojonego munduru. – Pytałem, co z nim zrobiłeś.

Świącki popatrzył mu prosto w oczy i nagle poczuł zimny dotyk w okolicach krzyża. To nie było spojrzenie normalnego człowieka.

– Trafił do najbliższego atomizera zaraz po tym, jak go znalazłem w kieszeni – wyjaśnił po chwili zastanowienia, starając się, aby jego słowa zabrzmiały szczerze. – Nie zamierzam bawić się w spiski i ratowanie zwierzaków. Nie nazywam się Seifert.

Wubecy wymienili spojrzenia.

– Proszę, proszę. Jak na kogoś, kto wyrzuca kryształy bez odczytania, zadziwiająco dużo wiesz o ich zawartości – rzucił z rozbawieniem przesłuchujący.

– Zostałem pouczony, by nie mieszać się w te zabawy – wyjaśnił Świącki.

– Kto cię nauczył?

– Porucznik Valdez.

– Kundel pułkownika – prychnął jeden z wubeków stojących za plecami Święckiego.

– Co ci takiego powiedział? – zapytał ten stojący na wprost.

– Nic konkretnego.

Wielka jak łopata dłoń spoczęła na ramieniu sierżanta. Wiedział, co taki gest może zwiastować. W kopalniach też go przesłuchiowano, gdy dochodziło do awarii pancerzy albo maszyn. Pomysłowość ludzka nie zna granic. Zarówno gdy w grę wchodzi odbieranie sobie życia, jak i wydobywanie prawdy.

– Postaraj się wyrażać precyzyjniej – poradził mu mężczyzna z tyłu.

– Wydawało mi się, że porucznik jest po waszej stronie... – zaczął Święcki i syknął głośno, gdy palce olbrzyma zacisnęły się na ścięgnie w jego ramieniu. Ten facet wiedział, jak zadawać ból. – Naprawdę! To on mnie ostrzegął przed próbami kontaktu ze strony Bogów. Radził, żebym trzymał się od nich z dala.

– I żebyś wyrzucał kryształki do atomizera?

– Nie – zaprzeczył Henryan. – Chciał, żebym mu je przekazywał.

– Dlaczego więc tego nie robiłeś?

– Ze... strachu.

– Przed czym?

– Przed takimi wizytami jak ta, przed wmieszaniem się w jakąś aferę...

– Wiemy, co jest w twoich aktach, sierżancie. A raczej czego w nich nie ma.

Czyżby stworzenie nowej kartoteki i zmiana wyglądu nie zmyliły czujności WB? Święcki przełknął ślinę i podniósł wzrok.

– Skoro wiecie o wyroku, powinniście się też domyślić, dlaczego Rutta ściągnął mnie tutaj.

– Niektórzy twierdzą, że nasz poziom intelektualny pozostawia wiele do życzenia, sierżancie. – Najniższy z agentów założył ręce na piersi. – Pewnie dlatego musimy się posiłkować tak brutalnymi metodami przesłuchań.

– Pułkownik chce, żebym robił za przynętę dla Bogów. – Henryan zrozumiał

aluzję.

Wubek uśmiechnął się. Naprawdę. Nie był to sadystyczny grymas, który często gościł na twarzach oprawców, gdy udawało im się w końcu złamać przesłuchiwanym, lecz normalny, szczerzy uśmiech rozbawionego człowieka.

– Stary dureń. Gdyby się nie mieszał i pozwolił nam działać, nie byłoby żadnych incydentów. Jaki plan ma tym razem?

Święcki opowiedział pokrótce o propozycji Valdeza, pomijając kilka mniej istotnych szczegółów, jak choćby oddanie porucznikowi poprzedniego mikrokryształu. Agenci wysłuchali go z uwagą, a kiedy skończył, milczeli przez chwilę. W końcu najniższy powiedział:

– A niech mnie, pieski wojny zaczynają bawić się w kontrwywiad.

Stojący za plecami Święckiego wubecy zarechotali.

– Posłuchaj mnie teraz uważnie, niedorobiony skurwyklonie strzelający do porządnych ludzi. – Lodowaty ton nie pasował do uśmiechu. – Od tej pory niczego nie będziesz wyrzucał. Każdy kryształ, który otrzymasz, odtworzysz natychmiast na tym terminalu. – Wskazał biurko w rogu. – Nie musisz go oglądać. Wystarczy, że zawartość zostanie skopiowana do systemu. Potem możesz go oddać Valdezowi, niech się bawi w detektywa.

Sierżant pokiwał gorliwie głową.

– Udawaj, że jesteś nadal przynętą starego, ale pamiętaj: od tej pory pracujesz dla nas, nie dla niego – dodał ten zza pleców.

Święcki znowu skwapliwie przytaknął.

– Jeden niewłaściwy ruch i wrócisz tam, skąd przyleciałeś. – Trzeci agent dorzucił pogrózkę.

– Rozumiem. Zrobię, co chcecie.

– Świetnie. – Wubek stanął na szeroko rozstawionych nogach, składając ręce za plecami. – Rutta nie zamiecie tej sprawy pod dywan. Nie tym razem. Stary dureń dopuścił do powstania nielegalnej tajnej organizacji. My ją zlikwidujemy, a ty nam pomożesz.

– Już powiedziałem, że zrobię, co chcecie.

Nacisk na ramię zelżał. Stojący naprzeciwko Henryana wubek, nie przestając się uśmiechać, skinął lekko głową. Ból, który przyszedł nagle, był ostry, przeszywający, nie do wytrzymania. Świecki zleciał z krzesła. Chciał zawyć, ale z jego ust wydobyło się tylko ciche stęknienie. Cios w nerkę pozbawił go tchu. Padł na kolana z wybałuszonymi oczami. Trzymając się dłońmi za gardło, próbował łapczywie chwycić choć odrobinę powietrza. Wubek pochylił się nad nim i poklepał go po spoconym policzku.

– To mała zaliczka, na wypadek gdybyś zmienił zdanie.

DZIESIĘĆ

System Xan 4, Sektor X-ray,

09.09.2354

Trafiłem z deszczu pod rynnę? Może jednak nie. Może uda mi się to dobrze rozegrać i wypłacę się z tego gówna...

Święcki siedział przed konsolą łączności i przyglądał się ludziom wypełniającym wielkie centrum dowodzenia. Nie widział żadnych śladów nerwowości, ukradkowych spojrzeń, znaczących gestów czy uśmiechów. Normalni wachtowi przy codziennej pracy. Ilu z nich było zamieszanych w spisek Bogów? Może wszyscy, a może żaden. Nie, kilku na pewno sprzyja zwierzakom, uznał po chwili zastanowienia. Porucznik Valdez musiał mieć podobne zdanie, skoro nalegał na ograniczenie kontaktów poza centrum.

– Nie śpijcie, Pry! – Sierżant poczuł na ramieniu rękę przełożonego.

– Nie śpię, panie poruczniku – powiedział, spoglądając za siebie. – Musimy pogadać – dodał szeptem.

Twarz Valdeza pozostała bez wyrazu.

– Pokaż mi jakiś problem na wyświetlaczu – szepnął po kilku sekundach, które spędził, bacznie wpatrując się w konsolę.

Henryan wskazał palcem jeden z widocznych na ekranie wykresów.

– Miałem wczoraj wizytę – poinformował półgłosem.

– Czyją? – zapytał Valdez, przywołując dotknięciem kciuka hologram.

– Wubecji.

Porucznik ukrył wykres i udał, że szuka czegoś w danych.

– To było do przewidzenia.

– Wiedzą o wszystkim. – Święcki uprzedził kolejne pytanie.

– Od ciebie?

– Nie. Tak. Częściowo... – zaplątał się.

– Rozumiem. – Valdez podniósł wzrok i spojrzał w stronę podwyższenia.

Stary nie patrzył na nich, rozmawiał właśnie z dwoma oficerami. – Czego chcieli?

– Wydawali się rozbawieni tym, co zamierzamy zrobić.

– Rozbawieni? – Porucznik zerknął na Święckiego, nie kryjąc zdziwienia.

– Tak – potwierdził sierżant. – Jeden z nich powiedział nawet, że może pan dalej udawać detektywa.

– Nie mogłeś trzymać języka za zębami?

– Próbowałem – warknął rozeźlony Henryan – i dlatego do tej pory sikam krwią.

Valdez wbił znowu wzrok w ekran i zmełł w ustach przekleństwo.

– Powinienem być się domyślić, że tak szybko wezmą cię w obroty.

– Mają moją teczkę. Tę prawdziwą – pozalił się Święcki.

– Oni mają własne bazy danych – wyjaśnił porucznik.

– Może powinniśmy się wyco... – Święcki przerwał w pół słowa na dźwięk syren alarmowych. Spojrzał na pulpit konsoli. Jedna z kontrolki migłała wściekłą czerwienią. Wachtowy ze stanowiska trzeciego machał w ich stronę ręką.

– Kurwirtual! – syknął wściekły porucznik. Zwrócili na siebie uwagę całego centrum. – Bierzcie się do roboty, sierżancie! – warknął, gdy zapadła cisza. – Kwestię awaryjności sond możecie omówić z inżynierami, byle po wachcie! – dodał, biegnąc do swojego stanowiska.

Henryan aktywował szybko połączenie z dołem. Na jego holo pojawiła się wykrzywiona wściekłością twarz jakiejś kobiety.

– Jak się nazywasz, głąbie jeden?! – wrzasnęła, ledwie włączył fonię, i nie czekając na odpowiedź, kontynuowała: – Dawaj mi zestaw kamer na stanowisko

osiemdziesiąt cztery! I to natychmiast! Jeśli za minutę nie będę miała pełnego przekazu, każę cię podać do raportu, ty niekompetentna szumowino... bez śmiesznej czapeczki! To sabotaż!

Święcki słuchał jej utyskiwań, przesyłając polecenia do najbliższych satelitów. Dwadzieścia sekund później rój nanobotów wysypał się z zasobnika i pomknął w dół, ku wyznaczonym koordynatom.

– Za dwie minuty będziemy gotowi, doktor... Godbless – zapewnił kobietę, gdy zamilkła na moment. – Mieliśmy mały problem... – Urwał, gdyż jej holograficzne popiersie właśnie zniknęło.

– Co wy tu wyprawiacie? – Pułkownik pofatygował się na niższy poziom.

– Sierżant zgłosił mi problem techniczny, sir – zameldował Valdez zza swojej konsoli. – Właśnie go analizowaliśmy, kiedy...

Rutta zmierzył ich wściekłym wzrokiem.

– Jemu się nie dziwię, ale że wy, poruczniku, robicie takie numery... – pokręcił głową.

Gdyby spojrzenie mogło zabijać, Święcki natychmiast zamieniłby się w kupkę popiołu.

JEDENAŚCIE

Naro zwolnił przed szczytem kolejnego wzniesienia. Ostatni rzut włócznią pokonał na czworaka, lawirując ostrożnie między głazami i kępami kolczastego łuszczyku. Dotarł do grani i zamarł, obserwując otoczenie.

W oddali ujrzał wylot szerokiego parowu, a za nim rozległą równinę, po której kroczyło majestatycznie stado wielkich jak szałaszy honbutów. W dole zbocza, na wprost niego, siedmiu członków garstni Karana Degarda kończyło właśnie przygotowania do łowów. Był z nimi stary Redu Nizo-Hakra, uczący młodzików, jak prawidłowo zastawić pułapkę na najpotężniejszego drapieżcę Suhurty.

Naro, widząc, że zdążył w porę, poderwał się na równe nogi. Zanim zszedł do myśliwych, wydał przenikliwy, bardzo niski hurgot klanowego pozdrowienia łowców, którego czające się w pobliżu bestie nie mogły usłyszeć. Wolał ujawnić swoją obecność zawczasu, nim skupieni wokół starca Wojownicy Kości wpadną w głębszy trans.

Kilkoma dobrze wyliczonymi susami pokonał strome zbocze i wylądował lekko na miękkim gruncie. Redu Nizo-Hakra wstał pierwszy. W jego hurgocie dało się wyczuć ostrą naganę.

– Na spasiono tahary wielkich wojowników, dlaczego ty, który nie masz jeszcze żadnego przydomku, śmiesz zakłócać nam łowy?

Naro przesłonił oczy grubszą powieką i skulił pośpiesznie wypustkę.

– Wybacz mi, wielki łowco. Jestem Naro z lęgu Darana Toku-Taro.

Najwyższy Suhur klanu wysłał mnie z wiadomością dla garstni Rekne Tare.

Pozostali łowcy poruszyli się nerwowo, słysząc jego hurgot.

– Otwórz zatem membrany – rozkazał stary Wojownik Kości.

– Zbór postanowił, że klan Trzykrotnie Przebitej Tarczy poprosi Duchy Gór o przebaczenie. Za trzy wschody, gdy rozpocznie się kolejne starcie słońc, wasza garstnia ma stanąć u wylotu jaskiń Bor Omot, by daniną własnej krwi wyblagać u bogów jeszcze jedną szansę.

– Za trzy wschody... – Redu Nizo-Hakra obliczał coś w myślach. – Czasu jest aż nadto i na podróż, i na łowy. A Duchom Gór ofiara będzie miłsza, jeśli składający ją wojownicy zdobędą własne miażdżery. I to ze szczęk najdorodniejszego hrylla, jaki kiedykolwiek chadzał po tej równinie!

Młodzi łowcy poparli go zgodnym głośnym hurgotem. To była ich pierwsza wyprawa na tak grubego zwierza. Każdy miał nadzieję, że dokona na niej czynu, który da mu prawo do bitewnego albo łowieckiego przydomku.

Spełniwszy powinność, Naro pozdrowił starego Suhura zgięciem rąk we wszystkich stawach. Życzył mu tym sposobem pomyślnych łowów, a potem nie otwierając już membran, ruszył w kierunku zbocza, z którego przed chwilą zbiegł.

– Zaczekaj! – zahurgotał rozkazująco Redu Nizo-Hakra, osadzając go w miejscu. – Skoro już tu jesteś, może zechcesz dołączyć do garstni, którą poprowadzę? Tylko na czas tego polowania. Karan Degard zginął, przyda się zatem ktoś, kto zajmie jego miejsce, aby było ośmiu łowców.

– To będzie dla mnie wielki zaszczyt – odparł posłaniec, który nie tak dawno opuścił kojec klanu i nie miał jeszcze szans na zdobycie choćby zwykłego przydomka.

Łowy na hrylla... Niewielu Suhurów w jego wieku mogło się pochwalić zabiciem tej bestii. Na zdobycie własnego miażdżera nie miał co liczyć, z giganta można było bowiem pozyskać tylko osiem kości nadających się na tę broń. Najlepsze trofea przypadną zatem czterem najdzielniejszym spośród siedmiu wojowników garstni, ale jeśli dobrze się sprawi, może zdobyć kilka

cennych kostek i ścięgien do swojej pierwszej zbroi. Ścisnął mocniej wypolerowany w kojcu dźgak, jedyną broń, jaką posiadał, i ruszył w kierunku kręgu.

Zajął wolne miejsce, by przesłoniwszy oczy grubszą powieką, chłonąć monotony warkot modlitwy będącej zarazem instrukcją dla każdego z młodych łowców. Uczył się jej na pamięć, powtarzając za starcem dźwięk po dźwięku. W sto spęcznień błony był gotowy, podobnie jak pozostali członkowie garstni. Przepęlniał go mistyczny zapach, który udzielał się nawet jego młodym taharom.

– Już czas! – Redu Nizo-Hakra zerwał się z miejsca w środku kręgu.

Choć zasady były bardzo proste, upolowanie takiej bestii nie należało do łatwych zadań. Istniał tylko jeden sposób na powalenie groźnego olbrzyma. Najpierw łowcy musieli wykopać doły, niewiele szersze od ich korpusów i głębokie na tyle, by po kucnięciu zniknąć w nich całkowicie. Redu Nizo-Hakra nakreślił na ziemi kilka długich linii, odmierzając je uważnie włócznią, po czym wyznaczył w każdym rogu powstałego prostokąta po dwa miejsca – to tam mieli się ukryć członkowie garstni. On sam wykopał sobie znacznie głębsze schronienie poza prostokątem, mniej więcej pośrodku krótszej linii. Gdy doły były gotowe, starzec kazał łowcom upleść osłony hełmów. Sporządzali je z gałązek roślin zrywanych na zboczach parowu. Dopasowywali kamuflaż kolejno, obserwowani czujnie przez starca i łajani, ilekroć zrobili coś nie tak.

Trzeba było wielu spęcznień błony, by stali się niewidzialni. W końcu i Naro, przyglądając się terenowi, nie umiał powiedzieć, która kępa roślin jest naturalna, a pod którą kryje się jeden z jego towarzyszy. Dół starego Wojownika Kości także został nakryty plecionką, mimo że w odróżnieniu od reszty pozostał pusty.

Kiedy garstnia zniknęła w przygotowanych kryjówkach, Redu Nizo-Hakra podniósł łuk i ruszył w kierunku równiny, wyhukując cicho znaną modlitwę myśliwych. Gdy odszedł, w parowie zapanowały głęboka cisza i bezruch. Naro nie potrafił powiedzieć, jak długo trwało to oczekiwanie. Wiedział jednak dobrze, co doświadczony łowca robił w tym czasie. Jego zadaniem było wyszukanie odpowiedniej zdobyczy, a hryllów w tej okolicy – zwłaszcza

w czasie migracji wielkich stad honbutów – nigdy nie brakowało. Następnie stary Suhur musiał zwrócić na siebie uwagę drapieżcy i odciągnąć go od niemal nierozłącznego towarzysza, co było jednym z najtrudniejszych i najbardziej niebezpiecznych elementów łowów. Z dwoma gigantami nie dałby sobie rady cały klan, a co dopiero garstnia młodzików. Wojownik Kości musiał podejść do czających się między skałami bestii tak umiejętnie, by leżący w pobliżu drugi hryll nie poczuł zapachu feromonalnej przynęty, którą łowca zamierzał przyciągnąć przyszłą ofiarę. Suhurowie znali wiele sztuczek pozwalających na zwabienie zwierzyny, a im starsi i bardziej doświadczeni byli, tym szybciej ją sprowadzali tam, gdzie zastawiano pułapki.

Redu Nizo-Hakra cieszył się opinią jednego z najlepszych łowców klanu, nic więc dziwnego, że wykonał swoją część zadania, zanim mniejsze słońce stanęło w zenicie. Ukryci w dołach myśliwi poczuli najpierw drżenie ziemi, a zaraz potem usłyszeli przenikliwy hurgot wracającego długimi susami mentora. Odważniejsi zerknęli w stronę wylotu parowu, unosząc nieco plecionki. Naro był jednym z nich, choć w jego wypadku należało mówić raczej o ciekawości niż brawurze.

Stary łowca gnał ile sił w nogach, a za nim pędził naprawdę dorodny hryll. Był kilka razy wyższy od wabiącego go Suhura. Z długiego korpusu zakończonego pękiem biczowatych ogonów sterczały dwie giętkie, długie szyje umieszczone nie z przodu, tam gdzie bestia miała oko, lecz po bokach, mniej więcej za nasadami przednich łap. Znajdujące się na ich końcach, wyposażone w cztery szczęki paszcze sięgały co rusz ku uskakującemu zwinnie Wojownikowi Kości. Redu Nizo-Hakra był jeszcze o strzał z łuku od swojej kryjówki, jednakże od kłapiących szczęk bestii dzieliły go najwyżej dwie długości włóczni.

Naro zaczynał wątpić, czy starzec da radę dobiec do pułapki. Jeszcze kilka spęcznień błony i masywne szczęki pochwycą go, a potem rozerwą na strzępy, czego młodzi myśliwi będą świadkami. Niedoświadczony posłaniec nie doceniał jednak kunsztu leciwego łowcy. Redu Nizo-Hakra sięgnął do worka

przerzuconego przez jedno z ramion i nie zwalniając nawet na moment, wyjął wydrążoną kość honbuta. Wyrwał zwinnym ruchem zatyczkę, zanim bestia zdążyła ponownie sięgnąć w jego kierunku, tym razem obiema paszczami naraz. Uskakując, chlusnął zawartością naczynia za siebie. Mknące znów w jego stronę szyje zwinęły się błyskawicznie, jakby ktoś zdzielił je miazdżerami. Moment później hryll wierzgnął dziko, próbując otrząsnąć się z nieznośnego dla niego zapachu. Ziemia zadrżała w posadach, gdy potężny zwierz opadł na cztery grube łapska. Wyglądał na naprawdę rozwścieczonego. Łowca oddalił się w tym czasie na względnie bezpieczną odległość i nie zwalniając, zaczął ćwierkać jak ranny skaklak, by dezorientowana ofiara nie zrezygnowała z pogoni.

Drapieżca usłyszał go i natychmiast podjął pościg. Ruszył przed siebie jak szalony, ale było już za późno. Redu Nizo-Hakra dobiegał właśnie do pułapki. Dwa susy wystarczyły, by minął pierwsze doły; dwa kolejne wydłużone kroki i stary Suhur wyhamował na krawędzi własnej kryjówki. Hryll także zwolnił, widząc, że mała ofiara przestała uciekać. Sunął teraz, przyginając przednie łapy, jakby gotował się do skoku. Obie paszcze trzymał wysoko uniesione, gotowe do pochwycenia i natychmiastowego rozszarpania bezczelnego Suhura.

Widząc, że gigant wchodzi pomiędzy nakreślone linie, stary łowca warknął najprzeróżliwiej jak umiał, a gdy paszcze drapieżnika pomknęły w jego kierunku, zeskoczył z gracją do przygotowanej uprzednio kryjówki i osłonił się dwiema włóczniami, które zostawił obok dołu.

To był sygnał dla garstni. Kiedy obie paszcze zaczęły ryć w ziemi, próbując dokopać się do zdobyczy, młodzi łowcy wyskoczyli z dołów i w całkowitej ciszy podkradli się do rozplaszczonych łap hrylla. Zaczynała się najniebezpieczniejsza część łowów. Ośmiu myśliwych musiało uderzyć równocześnie w doskonale zsynchronizowanym ataku. Zadaniem czterech było przecięcie ścięgien w łapach bestii, aby ją unieruchomić. Niepowodzenie byłoby równoznaczne z wydaniem wyroku na całą garstnię. Czterej pozostali Wojownicy Kości musieli zaatakować obie szyje, których nasady znajdowały się w tym momencie na wysokości ich ramion.

Naro miał unieruchomić prawą tylną kończynę. Przednimi, znacznie ruchliwymi, zajmowali się najlepsi z garstni: Rekne Tare, następca Karana Degarda, i Tilu Koru, najsilniejszy z nich wszystkich. Posłaniec uniósł pożyczony mu przez starego łowcę ścinak, skupiając się na drgających pod grubą skórą ścięgnach. Czekał na sygnał, reagując instynktownie na każdy ruch zwierzęcia.

Teraz liczyło się każde spęcznienie błony. Kryjówka starego Wojownika Kości była głęboka, lecz ta ogromna, głodna i rozwścieczona bestia mogła ją rozkopać i wydobyć smaczny kąsek, o ile pozostali łowcy nie okaleczą jej wystarczająco szybko. Aby to zrobić, musieli uderzyć jednocześnie. Porozumiewali się wysokimi, niesłyszalnymi dla zwierzęcia gwizdami, informując się wzajemnie, ilekroć byli gotowi do zadania ciosu. W końcu Naro usłyszał trzy potwierdzenia wygwizdane w tym samym czasie i widząc przed sobą rozpląszczoną prawą tylną łapę, odpowiedział umówionym sygnałem. Opuścił wypolerowaną i zaostrzoną kość tiskuta, przeciął szarą skórę w miejscu, gdzie była najbardziej naciągnięta i najjaśniejsza, przepołowił grubą jak jego ramię wiązkę ścięgien i – ścigany żalosnym rykiem – wskoczył do wykopanego przez siebie dołu.

Gdyby plan zawiódł, tylko tak zdołałby uratować życie. Z góry dobiegało przeraźliwe skrzeczenie ranionej bestii. Ziemia drżała od spazmatycznych uderzeń gigantycznego cielska. Doświadczony łowca potrafił wyczytać z tych dźwięków stan ofiary, ale dla Naro było to pierwsze polowanie w życiu, mógł więc jedynie kulić się w dole, czekając na śmierć: swoją, reszty wojowników bądź bestii. A może wszystkich pospołu.

Kilkanaście spęcznień błony później rozległ się głośniejszy łomot i nagle ziemia przestała wibrować. Naro, przypominając sobie instrukcje starego łowcy, spróbował podnieść osłonę. Rozprostował lekko nogi, jednakże poczuł opór. Pchnął mocniej – z równie marnym skutkiem. Coś leżało na jego kryjówce. Coś bardzo, ale to bardzo ciężkiego. Powalony hryll. Zatem łowy były udane, pomyślał, czując dumę, że nie zawiódł. Idąc za radą starca, użył dźgaka, by

sprawdzić, czy bestia zareaguje na ból. Ostry koniec kości wbił się w ciało drapieżnika, a to natychmiast zadrżało i poruszyło się niespokojnie.

Trudno, trzeba czekać. Ranny hryll straci w końcu siły. Jeśli w pobliżu są jakieś mniejsze drapieżniki, skona, zanim pierwsze ze słońc zdąży dotknąć szczytów gór. Jeśli nie ma w okolicy zwierza chętnego do dobicia i pożarcia giganta, Wojownicy Kości będą musieli poczekać, aż większe słońce zniknie za horyzontem. A gdy cielsko bestii przestanie wreszcie reagować na kolejne dźgnięcia, wyjdą z dołów, by oprawić upolowanego hrylla i zabrać wszystkie cenne kości, które posłużą im do wyrobu znakomitej broni i pancerzy.

* * *

Henryan nie zobaczył, jak młodzi łowcy oprawiają upolowanego hrylla, Suhurowie nie opuścili bowiem swych kryjówek do zakończenia jego wachty. Za to był pewien jednego – niedoświadczeni Wojownicy Kości nie zdążyli zranić hrylla, nim ten dokopał się do ich przewodnika. Stary tkwił wciąż w swoim dole, gdyż drapieżnik nie zdołał wyciągnąć go na powierzchnię, lecz masywne szczęki zadały mu tyle ran – obsługa centrum obejrzała je bardzo dokładnie, po tym jak naukowcy przejęli kontrolę nad większością kamer – że nie miał najmniejszych szans na przeżycie. Nawet gdyby młodzi łowcy wydostali się ze swoich dołów wcześniej, czego żaden z nich nie zrobił, chociaż tylko trzech zostali przygnieceni przez zdychającego hrylla.

Święcki, obserwując to polowanie z perspektywy nanokamer, zastanawiał się, czy stary Suhur był zły na podopiecznych za to, że spóźnili się z atakiem, czy raczej dumny z tego, że garstnia, którą poprowadził na polowanie, pokonała najpotężniejszego lądowego drapieżcę tej planety. Nie mógł tego wiedzieć. A raczej nie chciał. Gdyby sprawdził na kolejnej zmianie zapisy z tej sesji, znalazłby zapewne transkrypcje wszystkich rozmów Suhurów przed łowami, w ich trakcie i po zakończeniu. Jakie to jednak miało znaczenie? Stary łowca zginął tak, jak zapewne pragnął: w starciu z najgroźniejszym przeciwnikiem.

Zdążył też przekazać zdobytą wiedzę kolejnemu pokoleniu Wojowników Kości, zanim wiek i choroby skazały go na powolną i bolesną agonię. A młodzi, wspominając go, jak on wspominał wcześniej swojego mentora i jego poprzedników, nie pozwolą, by przekazana im wiedza poszła w niepamięć.

Cztery godziny standardowe po powaleniu bestii Henryan skończył pracę. Zdał stanowisko swemu zmiennikowi z wubecji, odmeldował się i ruszył w kierunku stacji kolejki. Zatopiony w myślach odczekał na peronie, aż skończy się szczyt, a gdy nadjechał pierwszy luźniejszy wagonik, wsiadł do niego, nie rozglądając się wokół.

Tym razem znalazł sobie miejsce siedzące – głównie po to, by sprawić problem temu, kto zamierzał podrzucić mu kolejny kryształ. Obok niego przystanąły dwie kobiety. Obie były niewysokie, jedna należała do personelu medycznego, druga – nieco cięższa od koleżanki – nosiła mundur służb technicznych. Zwrócił na nie uwagę, ponieważ miały na głowie naczolniki, a w uszach słuchawki i z wypiekami na twarzy oglądały jakiś przekaz. Rozłączyły się, dopiero gdy kolejka minęła sektor wubecji.

Medyczka pokręciła głową.

– Potworność – rzuciła, spoglądając w przestrzeń.

– Potworność i bezsens – dodała jej koleżanka.

– Bezsens? – zdziwiła się medyczka.

– Z tego, co zrozumiałam – techniczka zmarszczyła brwi, jakby się koncentrowała – młody zwierzak przyniósł myśliwym wiadomość, że mają się udać do jakiegoś miejsca i złożyć ofiarę. Z siebie, rzecz jasna.

– Poważnie? – zapytała medyczka, a potem prychnęła z odrazą. – Durne zwierzaki.

Henryan posmutniał, słysząc te słowa.

DWANAŚCIE

System Xan 4, Sektor X-ray,

10.09.2354

– Wybaczcie, sierżancie, nie zrozumiałem, co powiedzieliście. – Valdez oderwał się od czytnika. Wzrok miał mętny, wyglądał, jakby wyrwano go z głębokiego zamyślenia. – Możecie powtórzyć?

Święcki uśmiechnął się pod nosem, widząc zaczerwienione oczy porucznika.

– Ujmę to zgrabniej i krócej, sir. Musimy przetestować oprogramowanie identyfikacyjne.

– Oprogramowanie identyfikacyjne? – Adiutant dowódcy nadal nic nie rozumiał. – Po jaką cholere chcecie je testować? Czy nie wyraziliśmy się wystarczająco jasno? Macie zatykać dziury w systemie, a nie wyłapywać ludzi zamieszanych w incydenty.

– Wiem, sir. Nie zamierzam nikogo ścigać. Analizując systemy zabezpieczeń, na pańskie polecenie zresztą, zauważyłem, że pracujemy na bardzo starej wersji tego oprogramowania.

– Co wy wygadujecie, Pry? – Valdez zrobił wielkie oczy. – Aktualizujemy wszystko jak leci. Ilekroć otrzymujemy transmisje nadświatlne.

Henryan uśmiechnął się znacząco, wskazując brodą na konsolę przełożonego. Porucznik potrzebował kilkunastu sekund, by dotrzeć do odpowiednich logów.

– A to skurwyklon – jęknął, przerzucając kolejne zapisy. – Jak on to zrobił?

– To przecież banalnie pro... – zaczął Henryan, ale zamilkł w pół słowa,

widząc uniesioną dłoń przełożonego.

– Tak, wiem. Zastanawia mnie tylko, dlaczego nie zauważyliśmy tego wcześniej.

– Ukrycie tych zmian też nie było trudne, zwłaszcza że Seifert wiedział doskonale, jak przekierować dane, by w logach było info o...

– Nie traktujcie mnie jak durnia, Pry.

– Myślałem, że...

– To źle myśleliście – obruszył się porucznik. – Może jestem zmęczony, ale na pewno nie głupi. Wiem, jak to można zrobić, potrzebowałem tylko chwili czasu, by sobie to wszystko poskładać. Do siebie mówiłem, nie do was – wyjaśnił na koniec usprawiedliwiającym tonem, po czym zamyślił się głębiej, co zaniepokoiło Henryana.

– Mogę przeprowadzić losowy test tej wersji oprogramowania, którą mamy – zaproponował szybko.

– Po co?

– Żeby sprawdzić, dlaczego Seifert zadał sobie tyle trudu.

– To chyba oczywiste – prychnął poirytowany zastępca dowódcy.

– I jak to zrobił – dodał Święcki.

Valdez wykonał ponaglący gest.

– Siadajcie, Pry, na dupie i bierzcie się do roboty. Stary nie może się o tym dowiedzieć. Przeprowadźcie test losowy na... dziesięciu osobach, to powinno wystarczyć. Skrajne warunki. Gradacja progresywna. Jeśli zauważycie, że coś jest nie tak, skasujcie to draństwo w diabły i zainstalujcie nową, czystą wersję oprogramowania. Zdążycie do końca zmiany? – Sierżant pokręcił z powątpiewaniem głową. – Przekieruję wszystkie bieżące zadania na chłopaków z czwartym poziomem dostępu – obiecał porucznik. – Miejmy nadzieję, że zwierzaki nie zrobią dzisiaj niczego, co będzie wymagało zaangażowania całego zespołu...

– W takim razie biorę się do roboty, sir. – Henryan zsalutował sprężysto, robiąc natychmiast przepisywany zwrot, by porucznik nie zauważył, jak bardzo

ucieszył go ten rozkaz.

Nie tylko zarobił kolejnego plusa u przełożonych, ale zyskał też szansę na wyrobienie sobie lepszej pozycji negocjacyjnej w kontaktach z Bogami. A ta była mu teraz bardzo potrzebna. Tylko spiskowcy mogli mu pomóc w realizacji pewnego ryzykownego planu. Gdyby nie zmiany w oprogramowaniu, musiałby prosić ich o przysługę, co oznaczałoby konieczność zrobienia czegoś dla nich, a tego, z wiadomych względów, wolał unikać. Jeśli udowodni im jednak, że jest w stanie namierzyć każdego, spiskowcy powinni zrozumieć, że lepiej z nim nie zadzierać. Kobietę, która odebrała od niego kryształ, mógł znaleźć w znacznie prostszy sposób, na przykład przyciskając Zajcewa, który musiał ją znać, ale zamierzał rozegrać to po swoim, aby Bogowie otrzymali wyraźne ostrzeżenie.

Zdenerwowany zastępca dowódcy pojawił się przy konsoli Święckiego kilka minut później. Widząc, że porucznik zmierza w jego kierunku, Henryan uruchomił generator losowy, dzięki któremu wybrał dziewięć spośród dziesięciu celów analizy porównawczej. Ujęcie sylwetki tajemniczej kobiety, która odebrała od niego kryształ, dodał wcześniej.

– Zdążycie przed końcem zmiany? – zapytał raz jeszcze porucznik, zerkając z niepokojem w kierunku stanowiska dowódcy. Marny był z niego konspirator.

Święcki skinął głową.

– Rozpocznam właśnie testy na losowo wybranych członkach załogi stacji – poinformował. – To w pełni zautomatyzowany proces, którego nie muszę doglądać przez cały czas. Wystarczy, że będę autoryzował kolejne fazy poszukiwań, co zajmuje moment, zatem nawet jeśli Godbless wymyśli kolejną niecierpiącą zwłoki obserwację... – Zawiesił głos, czując, że nie musi dodawać nic więcej.

– Świetnie – ucieszył się Valdez, poklepał go po ramieniu, po czym ruszył chwiejnym krokiem w stronę wyjścia. – Dajcie mi sygnał, Pry, gdy zakończycie pełną diagnostykę.

– Tak jest – powiedział Henryan, odprowadzając go wzrokiem.

Nadeszła pora, by komputery stacji odwalily za niego większą część roboty.

* * *

Sprawa okazała się trudniejsza, niż przypuszczał. W ciągu pierwszego kwadransa poszukiwań system stacji rozpoznał aż sześć z dziesięciu osób wybranych do testu, chociaż Święcki podał wyjątkowo skąpe dane wyjściowe. Wgrywał do pamięci tylko jedno ujęcie z holokamery monitoringu przedstawiające – w najlepszym wypadku – słabo widoczny fragment sylwetki człowieka w gęstym tłumie. Aby skomplikować poszukiwania, wykasował wszystkie informacje dotyczące miejsca, w którym dokonano nagrania. Kolejnym ograniczeniem było wyłączenie zdecydowanej większości opcji, takich choćby jak sprawdzanie identyfikatorów baterii kombinezonu czy ustalanie numerów seryjnych urządzeń elektronicznych, które można było dostrzec na wybranych hologramach. Zgodnie z procedurami prowadzący test powinien włączać je stopniowo, począwszy od najmniej istotnych, i to tylko w przypadku, gdyby oprogramowanie nie radziło sobie z zadaniem.

Pierwszej korekty Henryan dokonał dopiero w dwudziestej siódmej minucie testu, gdy system powiadomił go o niemożności identyfikacji pozostałych czterech obiektów. Włączenie kolejnego modułu analizującego zwiększyło liczbę trafień do ośmiu. Trzecie rozszerzenie ujawniło dziewiąty cel w pięćdziesiątej trzeciej minucie poszukiwań. Za to ostatni, dziesiąty obiekt – ten właściwy – wciąż wymykał się wszechwidzącemu oku systemu, i to mimo zaprzęgnięcia do pracy wszystkich dostępnych modułów analizujących.

Święcki zgrał zapis całej sesji na mikrokryształ, a następnie przeinstalował oprogramowanie i przeprowadził nowy test, tym razem nie ingerując w generator losowy. Dzięki temu osiągnął stuprocentową wykrywalność już po włączeniu drugiego rozszerzenia. Na pół godziny przed końcem zmiany mógł przesłać porucznikowi zwięzły raport. Kryształy z oboma testami trafiły do jego kieszeni. Miał szczerzy zamiar wgrać zawartość tego drugiego do terminala w swojej kabinie – zgodnie z życzeniem wubecji. I tak nie zdołałby ukryć przed

zmiennikiem grzebania w oprogramowaniu, niech zatem czarni myślą, że został ich pieskiem. To także była część planu.

* * *

Po kolacji rozłożył się wygodnie na koi i korzystając z prywatnego naczelnika, odtworzył zapis poszukiwań rudowłosej zbawczyni. Był pewien, że sprzęt jest czysty – sprawdził go starannie po ostatniej wizycie czarnych, a potem nosił przy sobie, aby mieć pewność, że nie zainstalują mu oprogramowania szpiegującego.

Ta kobieta z pewnością nie była amatorką. Musiała doskonale znać rozmieszczenie kamer, gdyż poruszała się po stacji tak, by jak najrzadziej trafiać przed ich obiektywy. Pozostanie niezauważonym było niemożliwe, ale ona niezwykle umiejętnie korzystała z osłon, takich choćby jak idący obok niej ludzie, dzięki czemu przemykała niepostrzeżenie przez całe odcinki korytarzy. Henryan dysponował tylko kilkoma fragmentarycznymi ujęciami jej sylwetki, niestety na żadnym z nich nie znalazł się ani jeden znak szczególnie pozwalający na identyfikację. Koloru włosów nie liczył. Wspomagane najnowocześniejszą technologią, kobiety mogły wyczyniać cuda ze swoimi fryzurami; powszechnie dostępne nanolakiery umożliwiające błyskawiczną, a czasem też płynną zmianę koloru włosów należały do najprostszych środków kamuflażu. Dla świętego spokoju sprawdził, ile rudych kobiet służy na stacji – zgodnie z jego przypuszczeniami żadna z szesnastu wytypowanych przez system pracownic nie przypominała sylwetką, wzrostem ani wiekiem tej, którą widział w korytarzu swojego przedziału.

Prywatne śledztwo zaczął od analizy wyniku. Nie zamierzał marnować czasu na procedury – był człowiekiem, nie maszyną, pozwalał więc sobie na nieregulaminowe, za to niezwykle przydatne skróty. Tym bardziej że analizowanie kolejnych porażek komputera nic by mu nie dało. Wystarczyło jednak przeczytać podsumowanie ostatniego etapu poszukiwań, aby się

dowiedzieć, że Ruda zniknęła w przedziale pierwszym jego sektora, co mogło oznaczać, że właśnie tam zmieniła kolor włosów, a nawet strój, dzięki czemu przestała być celem, którego szukał system. Do przemiany nie doszło w żadnej z kabin, ponieważ ich wejścia były monitorowane, podobnie jak reszta pomieszczeń użyteczności publicznej, nie wyłączając toalet. O ile trwająca kilka sekund zmiana polaryzacji nanolakieru mogła się odbyć, gdy kobieta przyklęknęła, udając, że dopina rzepy buta, to już zmiana stroju na środku zatłoczonego korytarza stanowiła znacznie większe wyzwanie.

Czegoś takiego unikająca kamer osoba nie mogła zrobić niepostrzeżenie. Ściągnięcie kombinezonu medycznego i włożenie innego stroju wymagało czasu i przestrzeni. Mimo to Henryan był pewien, że Ruda zdołała tego dokonać, choć niekoniecznie w pobliżu ostatniego namiaru. Ustalił też, że z obu strojów wyjęto baterie kinetyczne; system doszedł do tego, porównując trzy rodzaje danych z punktów, w których uchwycono fragmenty sylwetki poszukiwanej: chodziło o liczbę osób widocznych na poszczególnych ujęciach, liczbę sygnałów wysyłanych przez baterie z tych miejsc oraz informacje napływające z czujników płyt naciskowych, dzięki którym samowystarczalne systemy stacji odzyskiwały znaczną część energii. Wdrażana ostatnio przez admiralicję polityka oszczędzania na wszystkim tym razem posłużyła czemuś, o czym jej twórcom nawet się nie śniło. Henryan uśmiechnął się pod nosem, gdy dotarło do niego, że pomysł, by dodać odczyty czujników do opcji oprogramowania identyfikacyjnego, okazał się strzałem w dziesiątkę. To właśnie analiza tego ostatniego czynnika wskazywała, że na korytarzu była jedna osoba więcej, niż wynikało to z przeliczenia ludzi w polu widzenia kamer. Dzięki temu Święcki złapał nowy trop.

Nie zadał sobie trudu, by sprawdzić, ile osób w tym czasie nie miało przy sobie baterii. O tej porze musiały być ich setki, jeśli nie tysiące. Po zakończeniu służby ludzie odzyskiwali wypracowaną w ciągu dnia energię, umieszczając akumulatory w gniazdach zasilających ich kabiny. Wielu z nich wychodziło potem do kantyny albo spotkać się ze znajomym, ale rzadko kto zabierał ze sobą

baterie. Poszukiwana z pewnością postąpiła tak samo, choć z nieco innego powodu.

Z tego wszystkiego można było wysnuć jeden logiczny wniosek: Ruda, jak nadal nazywał ją w myślach, musiała dokonać przemiany w piątym przedziale sektora medycznego, na korytarzu, w samym środku tłumu żołnierzy, medyków i techników. Ale jak zrobić coś takiego niezauważenie? Nie stała się przecież niewidzialna. Chociaż... Gdyby miała kilku współników, ci mogliby stworzyć sztuczny tłok i zasłonić przebiegającą się pośpiesznie koleżankę nie tylko przed oczami przechodniów, ale i przed obiektywami kamer.

Henryan znów uśmiechnął się pod nosem. Była to tak prosta zagrywka, że sztuczna inteligencja nigdy by na nią nie wpadła.

Najpierw sprawdził, w którym miejscu sygnatury płyt kinetycznych zaczynają się zgadzać z liczbą osób widocznych na nagraniach monitoringu. Potem, przeglądając zapisy z kilkunastu pobliskich kamer, zauważył coś, co uprawdopodobniało jego teorię. Pod ścianą, na skraju martwego pola między kamerami numer szesnaście i siedemnaście, stała grupka mężczyzn. Za ich plecami przelewała się nieprzerwanie rzeka ludzi. Nanosząc to miejsce na plan korytarza, Henryan poczuł rosnące podniecenie. Choć nie widział odcinka szerokości około połowy metra – tyle właśnie miał martwy punkt – domyślił się, że stoi tam jeszcze jeden, a może nawet dwóch konspiratorów. Pewność zyskał pół minuty później, gdy obserwowani przez niego żołnierze pożegnali się i rozplynęli w tłumie. W polu widzenia kamery szesnastej pojawiła się charakterystyczna zwalista sylwetka Zajcewa.

Zagadka rozwiązana. Pięciu ludzi wystarczyło, by ogłupić wart miliardy kredytów system komputerowy najnowszej generacji. Święcki ceniał się znacznie niżej, a mimo to nie zdołali wyprowadzić go w pole.

Wcześniej, zanim opuścił centrum dowodzenia, zgrał też na kryształ najnowszą wersję programu identyfikacyjnego. Wprawdzie jego prywatny naczelnik nie dysponował mocą obliczeniową pozwalającą na pełną analizę, ale proste zadanie polegające na porównaniu twarzy i sylwetek przechodzących

osób – przy wystarczającej ilości czasu – powinno okazać się wykonalne i ujawnić najważniejszą anomalię. Jeśli szczęście będzie mu dalej sprzyjało, rano znajdzie to, czego szukał.

Nie musiał doprowadzać tych poszukiwań do końca. Mógł najzwyczajniej w świecie poprosić Zajcewa o podanie nazwiska Rudej, skoro był już pewny, że czarnoskóry wartownik współpracował z nią od samego początku. Akcja z ostrzeżeniem przed wubecją była zbyt dobrze zgrana w czasie, aby pojawienie się zbawczyni można uznać za zbieg okoliczności. Nie mógł jednak iść na łatwiznę. Musiał działać zgodnie z planem, aby zaskoczyć Bogów z gaciami opuszczonymi do kostek. Odnalezienie Rudej na własną rękę, bez pomocy systemu, powinno dać mu fory w rozgrywce ze spiskowcami. A kto wie, czy dzięki temu nie przepali dwóch pancrzy jednym laserem.

TRZYNAŚCIE

System Xan 4, Sektor X-ray,

11.09.2354

Śledzenie Rudej było o wiele prostsze niż jej znalezienie. Pracowała w pionie technicznym, gdzie zajmowała się serwisowaniem robotów doglądających upraw hydroponicznych. Podczas rutynowej kontroli jednej z podstacji czwartego poziomu Henryan wykorzystał loginy jej użytkownika i sprawdził na grafikach służbowych, o której Annelly Lawrence kończy pracę. Przyjrzał się także zwyczajowej trasie, którą pokonywała, wracając do siebie. Dysponując wystarczającą ilością danych, postanowił zrobić pierwsze podejście.

Kończył służbę pół godziny przed Rudą, nie miał zatem zbyt wiele czasu na przygotowania. Zdał stanowisko zmiennikowi i wmieszał się w tłum żołnierzy zmierzających na stację kolejki. Tym razem wybrał najszybsze połączenie, a dotarwszy do swojego przedziału, przesiadł się na normalną linię. Tutaj, po przeciwnej stronie obręczy, za dwoma sektorami sypialnymi, tłok w wagonikach był już znacznie mniejszy, dostał się więc bez problemu do pierwszego składu, który pojawił się na stacji tuż za kolejką ekspresową. Zanim obły wagonik uniósł się na wysokość kilku metrów, by zniknąć w najszybszym tunelu, na peron wylały się tłumy zmęczonych pasażerów standardowej linii. Świecki poczekał, aż cuchnący potem strumień minie go, po czym wskoczył szybko do kabiny, by pokonać ostatnie cztery przystanki.

Zajął miejsce siedzące, zastanawiając się nad sensownością swoich poczynań.

Odtąd musiał działać w ciemno, ponieważ każde jego wejście do sieci zostałoby odnotowane i stanowiło trwały ślad, do którego bez trudu dotarłaby wubecja. Aby nie ryzykować za bardzo, poprosił Zajcewa o drobną przysługę, nie wyjaśniając, rzecz jasna, dlaczego jej potrzebuje. Czarnoskóry wartownik wsiadł na następnej stacji, przystanął obok niego, po czym gdy kolejka ruszyła, błyskawicznie zamienił baterie, korzystając z kilkusekundowego okienka, podczas którego uchwycony przez pole siłowe wagonik opadał do najniższego i najwolniejszego tunelu. Był to jedyny moment, w którym Wielki Brat stacji ślepl i głuchł. W pierwszym przedziale jedyńki rozstali się bez słowa i Henryan, przez komputerowy nadzór stacji postrzegany jako Stiepanandrij Zajcew, pojechał w odwiedzin do przyjaciółki, natomiast sierżant Święcki (zdaniem sieci) udał się do pobliskiej kantyny na zakupy. Na konsolach wubeków nie zaświeciła się żadna czerwona kontrolka. Zachowanie obserwowanych celów nie odbiegało bowiem od normy.

Kwadrans później Henryan trafił do przedziału, w którym mieszkała Annelly. Panował tutaj podobny ścisk jak w jego sektorze. Po wyłączeniu z użytku niemal jednej czwartej pomieszczeń mieszkalnych stacja zaczęła przypominać przetwórnę sardynek. Tak, to porównanie pasowało tu idealnie. Korytarze, zwłaszcza po zakończeniu zmiany, przypominały podajniki, którymi rzeczony rybki wpadały do puszek zwanych tutaj wagonikami kolejki magnetycznej. Wśród żołnierzy krążyły już plotki, że niektórzy szeregowcy stracili przywilej posiadania osobnych kabin, gdyż dokwaterowano im sublokatorów. Henryan nie znał wprawdzie nikogo, kto zostałby uszczęśliwiony w ten sposób, lecz podejrzewał, że w tych pogłoskach musi być ziarno prawdy.

Najpierw zajrzał do mesy, w której zwykle jadła Ruda. Zauważył ją niemal od razu: sterczała w kolejce, mniej więcej pośrodku długiej linii zmęczonych ludzi. Pomyślał, że jeśli tempo obsługi jest tu równie słabe jak w jego mesie, Annelly skończy jeść nie prędzej niż za pół godziny. Ponieważ sam też powoli zaczynał odczuwać głód, postanowił zająć inne, upatrzone wcześniej stanowisko, żeby oszczędzić sobie patrzenia na obżerające się tłumy i coraz

dokuczliwszego ssania w żołądku.

Załom korytarza przy rozwidleniu, tuż pod kamerą, był idealną kryjówką dla kogoś, kto nie chciał być zauważony. To właśnie w takim miejscu czekał na niego kilka dni temu Zajcew, aby przekazać ostrzeżenie o wizycie wubeków.

Henryan wyjął z kieszeni czytnik, włączył najmniejszy rozmiar wyświetlacza, po czym wybrał na chybił trafił jeden z kanałów informacyjnych, aby zabić czas. Media zachłystywały się wiadomościami o wyjazdowej sesji senatu, w której miało uczestniczyć kilkuset reprezentantów Federacji. Nikt nie wspomniał jednak o miejscu tego niezwyklego posiedzenia, jego dacie ani prawdziwym celu, ale tego nie można było przecież wyjawić ciemnym masom. Po co ludziom wiedza, że władcy znanego wszechświata przybywają na Xana 4, by nacieszyć oczy widokiem zagłady obcej inteligentnej rasy?

Uśmiechnął się mimowolnie. Valdez powiedział mu wczoraj w wielkim sekrecie, że senatorowie zażądali od admiralicji trzystu antygravitacyjnych spartanów, którymi będą mogli latać nad polem bitwy – oczywiście w pełnym kamuflażu – obserwując z bliska najciekawsze, to znaczy najkrwawsze starcia.

Znając życie, wiedział, że nawet tak nedorzeczne zachcianki polityków mogą zostać spełnione, a admirałowie, w podzięce za tę głupotę, otrzymają dodatkowe granty na tajne programy zbrojeniowe albo kolejne dożywotnie stanowiska doradców na Ziemi. Rączka rączkę myje, a obie wciąż brudne...

Święcki chłonał wiadomości jednym okiem, zerkając równocześnie w kierunku wyjścia z mesy. Nie chciał przegapić Rudej, a ta jak na złość wciąż nie wychodziła. Rzut oka na zegar w rogu wyświetlacza uświadomił mu, że niepotrzebnie się denerwuje, minęło bowiem dopiero siedem minut.

Pojawiła się na rozwidleniu korytarza po kolejnych dwóch kwadransach, uśmiechnięta i rozgadana. Minęła go rozbawiona do łez, idąc pod rękę ze skośnooką przyjaciółką. Niedobrze, pomyślał Henryan. Jeśli planowały babski wieczór, jego wysiłki spełzną na niczym, a Zajcew nie będzie już taki skory do pomocy, zwłaszcza gdy się zorientuje, gdzie sierżant spędził ukradziony systemowi czas.

Szedł dwa kroki za Rudą i jej towarzyszką. Kobiety wyraźnie zmierzały ku kabynie 1171, w której zakwaterowano Annelly. Jeszcze minuta i będą na miejscu. Jeszcze trzydzieści sekund, piętnaście... Henryan zwolnił. Nie chciał, by Ruda go zauważyła, gdyż zniweczyłoby to szanse na drugie podejście. Moment później zobaczył pozorowane cmoknięcie w policzek i papużki nierozłączki nareszcie przestały tworzyć parę. Skośnooka podeszła do skanera przy włączniku oddalonym o trzy numery od kabiny Rudej. Sierżant minął ją, przyśpieszając nieco, by dogonić pannę Lawrence, zanim ta zdąży zamknąć za sobą drzwi.

Stanął za nią, gdy odrywała dłoń od skanera.

– Cześć – rzucił przyjaznym tonem.

Odwróciła się w progu, wciąż uśmiechnięta i pogrążona w myślach. Zdążyła zrobić wielkie oczy, zanim znalazł się wraz z nią w kabynie. Drzwi zamknęły się z cichym sykiem, odcinając dobiegający z zewnątrz gwar.

Annelly odskoczyła od niego jak oparzona.

– Kim pan jest? – zapytała, blednąc.

– W rudym było ci bardziej do twarzy – powiedział, udając, że ta reakcja go nie uraziła.

– Nie jesteście na ty! – warknęła, nadal się cofając.

– Zatem pora to zmienić, Annelly.

– Naprawdę, sierżancie... Święcki?

W tym momencie i on przestał się uśmiechać. Zauważył błysk satysfakcji w jej oczach. Postanowił, że musi jej za to odpłacić, bez względu na koszty.

– Czy jest na tej pieprzonej stacji ktoś, kto jeszcze nie wie, jak się naprawdę nazywam? – zapytał, siląc się na kpiący ton.

– Może naukowcy – odparła z bezpiecznej odległości. – Są tak przejęci swoim projektem, że nie zwracają na nas uwagi. W ich oczach niczym się nie różnimy. Ot, pajace w identycznych ubrankach i śmiesznych czapeczkach – zacytowała Godbless, a może jakiegoś innego jajogłowego.

Nie skomentował tego, pozwalając, by cisza trwała. Oboje potrzebowali

czasu, by dojsć do siebie po tym, jak on ją zaskoczył, a ona wyprowadziła go z równowagi. Choć Annelly powinna być w większym szoku, pierwsza przerwała milczenie.

– Przychodząc tutaj, oddał pan niedźwiedzią przysługę nam obojgu – stwierdziła z rezygnacją.

Chyba się bała. Nie jego, ale wpadki. Trzech jej współników opuściło stację w pomarańczowych kombinezonach. Jeśli wubecy ją namierzą, też dostanie wyrok.

– Nie martw się – uspokoił ją szybko. – Zrobiłem z Zajcewem podmiankę na stacji.

Zaczynał odzyskiwać humor. Doszedł do wniosku, że jego sytuacja nie uległa większej zmianie. Co z tego, że Bogowie wiedzą, kim naprawdę jest? Skoro widzieli jego kartotekę, tym bardziej powinni się z nim liczyć.

– Zajcew! – prychnęła pogardliwie, nadal trzymając się z dala od Święckiego. – Mogłam się domyślić, że mnie wystawi. Durny Afro Europejczyk!

– On nie wie, że tu jestem – wyjaśnił Henryan. Widząc jej niedowierzanie, dodał: – Sam cię znalazłem, dzięki oprogramowaniu identyfikacyjnemu. Stiepanidziej pomógł mi tylko zniknąć na chwilę z pola widzenia systemu. Nie powiedziałem mu, jak zamierzam skorzystać z tej swobody.

– Akurat – zaśmiała się, ale bardzo nerwowo. Głos drżał jej lekko, gdy wypowiadała kolejne słowa. – Program nie mógł mnie wskazać.

– Masz rację – przyznał, podchodząc bliżej – choć nie do końca. Musimy pogadać. To będzie dłuższa rozmowa, więc lepiej usiądźmy. Półmrok mi nie przeszkadza...

Wskazała mu krzesło, sama zaś podeszła do gniazda, by umieścić w nim baterie kinetyczne. Moment później główny panel oświetleniowy rozjarzył się przyjemną żółcią.

– Jest pan chodzącą zagadką, sierżancie...

– Przejdźmy na ty. Mam na imię Henryan.

– Pozwoli pan, że sama zdecyduję, jak będę się do pana zwracać –

powiedziała z wyższością, przysiadając na koi. Była spięta i świadoma tego, że zdradza ją drżący głos oraz mowa ciała. Próbowwała zapanować nad strachem, ale nie bardzo jej to wychodziło.

– Jak chcesz – mruknął Święcki. On czuł się coraz swobodniej. Podjął temat jakby nigdy nic. – Potrafisz unikać kamer, ale każdy dobry operator mający do dyspozycji zaawansowane narzędzia, jakimi dysponuje ta stacja, namierzy cię bez trudu.

– Wcale nie – zaprotestowała nieprzekonująco.

– Chcesz wiedzieć, jaki błąd popełniłaś? – zapytał uprzejmie.

Nie odpowiedziała. Dłuższą chwilę siedziała ze spuszczoną głową, pewnie zastanawiając się nad tym wszystkim, po czym wreszcie podniosła wzrok i spojrzała w jego kierunku. Sądząc po minie, domyślała się prawdy.

– Bardziej mnie interesuje cel pańskiej wizyty, sierżancie.

Henryan usiadł wygodniej i obdarzył ją przyjaznym uśmiechem.

– Mam do ciebie dwie sprawy – zaczął. – Skoro wiesz, kim jestem i dlaczego Rutta ściągnął mnie na miejsce Seiferta, musisz też rozumieć, że nie macie co liczyć na moją pomoc. Uwierz mi, nie zrobię niczego, co groziłoby mi powrotem na Pas Sturgeona. Wolałbym zginąć w najokrutniejszy sposób, niż spędzić tam jeszcze jeden dzień. – Skinęła głową, jakby wiedziała, jak tam jest, lecz zrezygnowała z uświadamiania jej prawdy. Nie miał na to czasu. Może następnym razem, o ile będzie jakiś następny raz. – Wubecy siedzą mi na karku... – podjął, a ona poruszyła się niespokojnie. Widząc to, uniósł szybko dłoń i nie pozwolił jej dojść do głosu. – Jeśli wezmą mnie w obroty, wyśpiewam im wszystko, co wiem. Dlatego będę potrzebował twojej, a raczej waszej pomocy. – Podał jej złożoną równo kartkę. Gdyby Annelly nie należała do Bogów, zapewne zrobiłaby wielkie oczy na widok pisma ręcznego. W dobie aktywowanych głosem edytorów i translatorów ludzie zdążyli zapomnieć, czym jest kaligrafia. Nawet podpisy wyszły z mody, zastąpiły je skanery linii papilarnych, DNA i siatkówki oka. Tylko staromodni dziwacy i spiskowcy porozumiewali się jeszcze w ten sposób. On czuł się tym pierwszym, ona

z pewnością należała do drugiej grupy.

– To nie powinno być trudne – stwierdziła, przeczytawszy listę. – Nie rozumiem tylko...

– Uwierz mi, wiem, co robię – zapewnił ją z głębokim przekonaniem. – Dasz mi odpowiedź przez Zajcewa, gdy wszystko będzie gotowe.

– Decyzja, czy ci pomożemy, nie zależy ode mnie – zastrzegła, widząc, że Henryan wstaje.

– Wiem.

– Mój zwierzchnik może uznać, że pomaganie komuś, kto nie przysłuży się naszej sprawie... – zawiesiła znacząco głos.

– Wam bardziej niż mnie powinno zależeć na zneutralizowaniu działań wubeków. – Henryan ruszył w kierunku drzwi. – Rutta chce ukrećić łeb sprawie. Wubecja marzy o wykryciu spisku i wysłaniu nas wszystkich do kolonii karnej. Rachunek wydaje się prosty...

– Zaczekaj – przerwała mu. – Jaką mamy pewność, że nie organizujesz tego wszystkiego, by nas wsypać?

Święcki spojrzał na nią z politowaniem.

– Gdybym chciał was wsypać – odparł rozbawionym tonem – podałbym wubecji następujące nazwiska: Gortad, Simmons, Zajcew, Fourmiere, Ngogo. Mam nadzieję, że żadnego nie przekreśliłem. Mając na widelcu tyłu Bogów, bez problemu zgarnęliby całą resztę. Siedzieliby sobie spokojnie na dupach, a wy sami wpadalibyście w ich sieci. – Dostrzegłszy jej sceptycyzm, dodał jeszcze: – Jeśli mi nie wierzysz, sama załatw to, o co proszę. Nie musisz angażować w to przyjaciół.

Zaskoczył ją tą propozycją. Ochłonęła jednak, zanim dotarł do wyjścia.

– A ta druga sprawa? – przypomniała.

Henryan odwrócił się raz jeszcze.

– Sam nie dam rady załatwić tego wubeka. Będziesz mi potrzebna.

– Ja? – Annelly otworzyła usta ze zdziwienia.

– Tak, ty. Masz głowę na karku. Nie spanikujesz, jeśli coś pójdzie nie tak.

I będziesz umiała zniknąć po akcji. A uwierz mi, wszystko może się popieprzyć, jeśli źle oceniłem tego gnoja.

CZTERNAŚCIE

System Xan 4, Sektor X-ray,

12.09.2354

Gdyby wzrok mógł zabijać, Henryan zamieniłby się w sito, potem w krwawą miazgę, a na końcu w popiół. Zajcew czekał na niego w korytarzu przed stacją kolejki z taką miną, że niektórzy z przechodzących tamtędy żołnierzy omijali go szerokim łukiem. Święcki jednak się nie przejmował.

– Masz coś dla mnie? – zapytał, przechodząc od razu do sedna.

Wartownik błysnął groźnie białkami.

– Kolega nieźle mnie zrobił – powiedział, a zabrzmiało to jak pomruk budzącego się wulkanu.

– Nie, kolega w nic cię nie zrobił. Masz coś dla mnie?

Czarnoskóry wartownik skinął głową.

– Kazała powiedzieć, że wszystko jest gotowe. Zaproszenie wysłano na osiemnastą. Sześć, B, dwa, piętnaście.

– To wszystko?

Zamiast odpowiedzieć, urażony wciąż Zajcew zadarł nos i odszedł bez pożegnania. Święcki zignorował go. Annelly była naprawdę niezła, jeśli zdołała załatwić wszystko w jeden wieczór. Spodziewał się, że zajmie jej to kilka dni, a tu proszę, taka niespodzianka. Zaraz jednak przyszło otrzeźwienie. A może to pułapka? Za dużo wiedział, więc Bogowie uznali, że bezpieczniej będzie upozorować wypadek... Wsiadając do kolejki, potrząsnął głową. Nie, nie

ryzykowaliby, wiedząc, kim jestem i co potrafię. Nie są głupi, a przecież tylko kompletny idiota uwierzyłby, że nie zabezpieczyłem się na taką ewentualność! Zaśmiał się pod nosem. Jeśli ktoś tu jest idiotą, to tylko ja...

Na naprawienie błędu i umieszczenie w systemie zaszyfrowanego pliku z zebranymi do tej pory informacjami miał kilka godzin.

* * *

Na miejscu spotkania pojawił się punktualnie. Kwadrans przed spodziewanym przybyciem wubeka Annelly wysiadła na stacji kolejki w drugim segmencie sektora medycznego. Wyglądała na zdenerwowaną, a w każdym razie bardzo niepewną. Henryan zadał jej tylko jedno pytanie, a kiedy odpowiedziała twierdząco, polecił, by zajęła się ostatnią częścią zleconego jej zadania. Sam ruszył na koniec przedziału. Drzwi opatrzone numerem piętnaście otworzył na kilkadziesiąt sekund przed terminem spotkania.

Minął ciasną śluzę i rozejrzał się po pomieszczeniu. Było kompletnie puste, jak sobie tego życzył, uznał więc, że Ruda nie próbowała go oszukać. Stał pod ścianą na prawo od śluzy, aby wubek nie zobaczył go od razu, a potem machnął ręką, dając umówiony znak. Obserwująca go przez nanokamery współpracowniczka przyciemniła światła do miłego dla oka półmroku. Nie mogło być całkiem ciemno, gdyż przeciwnik powinien wejść w pułapkę, niczego nie podejrzewając.

Kilka chwil później rozległ się cichy syk, następnie dały się słyszeć odgłosy kroków i... zapadła cisza. Święcki zobaczył czarny płaszcz i wystającą ponad kołnierz łysinę.

– Kurwirtual, co to za głupie żarty?! – wydarł się wubek zaskoczony widokiem pustej sali.

Natychmiast rzucił się ku śluzie, ale prowadzące do niej drzwi nawet nie drgnęły, mimo że sterczał przed nimi jak posąg. W tym samym momencie Annelly zwiększyła moc paneli oświetleniowych.

– Witam – odezwał się Henryan, wychodząc zza załomu ściany. Wubek

zmierzył go wściekłym wzrokiem i sięgnął po broń, jednakże zamarł, ujrawszy wymierzoną w siebie lufę. – Pistołek, paralizator, pałeczka. Wszystko rzucamy na podłogę. Płaszcz też.

Czarny wahał się tylko przez chwilę. Wymieniona broń wylądowała z hukiem na metalowej kratownicy, moment później opadło na nią z łopotem ciężkie skórzane okrycie.

– Jesteś już trupem – syknął funkcjonariusz.

– Walnij gustowny pirucik i zakończymy grę wstępną. – Porucznik obrócił się dookoła własnej osi, a skaner trzymany przez Święckiego w lewej dłoni wskazał kilka przemyślnie ukrytych noży. – Koziki też wyrzucamy, wszystkie sześć. Dzisiaj nie będziemy strugać kogutków. – Czarny nie zrozumiał tego archaicznego powiedzenia, co było widać po jego minie. Gdy ostatnie ostrze wylądowało na płaszczu, Henryan wskazał pistoletem na głowę wubeka. – A teraz nasza śliczna, choć łysa księżniczka zdejmie tiarę i rzuci ją swojemu rycerzowi.

– Ciebie, Święcki, chyba naprawdę pogięło. Jeśli myślisz, że wyjdiesz stąd żywy, to grubo się mylisz – stwierdził czarny, sięgając jednak posłusznie po naczelnik. Cisnął go pod nogi sierżanta, a ten zręcznym ruchem rozgniół urządzenie na miazgę.

– Co ja myślę, nie jest teraz ważne – powiedział Henryan, każąc wubekowi odsunąć się od płaszcza i broni. – O wiele ciekawsza wydaje mi się kwestia, czy ty przeżyjesz nasze spotkanie.

Funkcjonariusz zmrużył lekko oczy. Był to ledwie zauważalny tik świadczący o tym, że strach zaczyna właśnie wypełzać z najmroczniejszych zakamarków jego podświadomości.

– Nie ważysz się mnie tknąć – rzucił pewny swego.

Wubeków z kontrwywiadu nie atakowano, to oni byli od bicia i zastraszania. Henryan podejrzewał, że w skrytości ducha wszyscy uważają się za nietykalnych. Pomyślał więc, że wystarczy postawić jednego w położeniu ofiary, a na efekty nie trzeba będzie długo czekać. Sądząc po kroplach potu, które

pojawiły się właśnie na wysokim czole czarnego, chyba miał rację. Kto strachem wojuje, ten od strachu ginie, jak mogłoby głosić inne stare powiedzenie.

– Rozbroiłem cię, to i przypieprzyć mogę – stwierdził rozbawiony. – Albo wypalić kilka nowych dziurek w tym gustownym wdzianku. Zanim jednak przejdziemy do ostrzejszych piesszot, pozwolisz, że zagaję tytułem wstępu. – Nie czekając na zgodę, kontynuował: – Znajdujemy się w sali szpitalnej, która trzy dni temu została zamknięta z powodu konieczności przeprowadzenia remontu. Prace, zgodnie z harmonogramem, zostaną rozpoczęte za – spojrzał na wyświetlacz przy zamku śluzy – dwadzieścia siedem godzin. Ten fakt ma jednak dla nas drugorzędne znaczenie, gdyż pozwoliłem sobie zablokować wszystkie urządzenia w tym pomieszczeniu, także pompy szybów wentylacyjnych, co znaczy, że powietrza wystarczy nam na dwadzieścia, trzydzieści minut. Stąd ten zaduch... – rozpiął zamek kombinezonu, jakby chciał się nieco ochłodzić. Wubek zaczął strzelać szeroko otwartymi oczami po ścianach, przyglądając się uważnie kratkom rozmieszczonym w regularnych odstępach pod sufitem. Puls przyśpieszał mu z każdą chwilą. – To daje nam kwadrans na dokończenie tej rozmowy. Albo i mniej. Napięcie powoduje, że oddycha się szybciej.

– Nie wytargujesz niczego, Świecki – wysyczał czarny. – Zabiję cię gołymi rękami.

– Możesz próbować. – Henryan nie przejął się pogroźką. Uniósł nawet charakterystycznie ułożoną lewą dłoń, jakby zapraszał go do walki. – Ale jak chyba wiesz, mój brat był kapitanem jednego z pionów Wydziału Bezpieczeństwa. Podczas siedmiu lat wspólnych treningów nauczył mnie tego i owego. Poza tym tylko ja znam kod otwierający drzwi. – Wskazał pistoletem na śluzę. – Tutaj jesteśmy sobie równi. Nie masz na swoje skinienie osiłków, którzy unieszkodliwią za ciebie ofiarę, żebyś mógł się na niej wyżyć. Tym razem będziesz musiał walczyć sam, i to ze mną, strasznym skurwyklonem, któremu, jak to pięknie i poetycko ujął prokurator, powieka nawet nie drgnęła, gdy strzelał przełożonemu prosto w twarz... – Przerwał na moment, jakby się nad czymś zastanawiał. – Wiesz w ogóle, za co poszedłem siedzieć? – zapytał, zmieniając

nagle ton. Wubek stał bez ruchu, nie spuszczać z niego oczu. To był dobry znak. – Jasne, że wiesz, widziałeś przecież moją kartotekę. Pozwól więc, że opowiem ci o czymś, czego nie znajdziesz w żadnych aktach. Trzy lata spędziłem w miejscu, przy którym piekło Dantego, kojarzysz gościa, mam nadzieję, wydałoby ci się domem spokojnej starości. Nasz komendant, dusza człowiek, w przyływie dobrego humoru urządzał więźniom turnieje. Grali w cokolwiek, na przykład w warcaby, a wiesz, co było główną nagrodą?... – Mimo zapraszającego zawieszenia głosu wubek nie zareagował, więc Henryan dokończył spokojnie myśl: – Zwycięzcy pozwalano popełnić samobójstwo. Dostawał na to tylko minutę. To mało, piekielnie mało, zwłaszcza gdy nie masz pod ręką niczego, co mogłoby posłużyć do odebrania sobie życia. Ludzie przeważnie odgryzali sobie języki albo rozpędzali się i rozbijali głowy o ścianę. Może nie uwierzysz, ale jeden własnoręcznie skręcił sobie kark. Sam do tej pory nie potrafię zrozumieć, jak to zrobił. W każdym razie daję ci słowo, że żadnego ze zwycięzców kilkunastu takich turniejów nie udało się odratować, choć zawsze wkraczaliśmy do akcji równo po sześćdziesięciu sekundach.

– Nie mam pojęcia, dlaczego opowiadasz mi te bajki – prychnął wubek.

– Może dlatego, że to wszystko czysta prawda – odparł Henryan. – Słuchaj dalej. Otóż, wyobraź sobie, nasz komendant, facet nazwiskiem Draccos, przydzielił mi funkcję ratownika. Na stałe. Widzę, że nie rozumiesz... Nie szkodzi. Chciał mnie tym sposobem złamać. Nie zdołał. Przetrwiałem trzy lata kolonii karnej, będąc najbardziej znienawidzonym więźniem. Odbierałem desperatom szansę na wyrwanie się z więziennego koszmaru. Musiałem to robić, ponieważ za niesubordynację karano nas niewyobrażalnymi torturami. – Spojrzał na zegar w rogu wyświetlacza śluzy, po czym otarł czoło z potu. Zrobił to powolnym, zamaszystym ruchem. – My tu gadu-gadu, a czas ucieka. Zostało nam już tylko jedenaście minut. Potem zaczniemy odczuwać skutki niedotlenienia. Zatem pora przejść do rzeczy.

Wubek skrzywił się kpiąco, lecz w jego oczach nie było już wcześniejszej buty. Pot ściekał mu strumyczkami pod kołnierz grubego kombinezonu. Sądząc

po gwałtownych ruchach jabłka Adama, zaczynało mu też zasychać w gardle. Święcki uznał, że już czas na kolejny, najryzykowniejszy etap planu. Uniósł pistolet, kierując lufę w stronę wubeka. Ten, widząc broń, odruchowo próbował uskoczyć, ale uderzył plecami o ścianę i tak zamarł, z pobladłą nagle twarzą i zamkniętymi oczami. W tym samym momencie Henryan przesunął rękę w bok. Strzelił tylko raz, w pusty metalowy pojemnik stojący w rogu sali. Naczynie potoczyło się po podłodze z rumorem.

Moment później rozległ się kolejny głośny brzęk.

– Twierdzisz, że opowiadam bajki – zaśmiał się Święcki, wskazując leżący przed wubekiem pistolet. – Sprawdź mnie. Stoję przed tobą nieuzbrojony. – Rozłożył szeroko ręce, po czym okręcił się na pięcie. – W magazynku masz jeszcze sześć naboii. – Choć nie widział czarnego, charakterystyczny trzask uświadomił mu, że tamten go sprawdza. – Ale jeśli tkniesz mnie choć palcem – ostrzegł, słysząc szybkie kroki za plecami – zdechniesz tu razem ze mną. Nie wrócę na Pas Sturgeona. Za nic. Wolę umrzeć od razu.

– Znam sposoby na wyciśnięcie z ciebie każdego strzępka informacji – usłyszał szept wubeka, który stał tuż za nim, ale zgodnie z przewidywaniami nie atakował.

– Znasz, wierzę, że znasz, ale czy dziesięć minut wystarczy ci, by złamać drania, który odsiedział trzy lata w najcięższej kolonii karnej, jaką stworzył człowiek? Takie pogrożki działają na ludzi, którzy mają coś do stracenia. A co ja mogę stracić? Tam, dokąd chcesz mnie posłać, tortury są na porządku dziennym. Przychodzili po nas regularnie, a jak już męczyli, to godzinami. Rażono mnie prądem, długo, boleśnie, aż do utraty przytomności, a potem cucono, czekano, aż wróci mi czucie, i zaczynało zabawę od nowa albo katowano na inne sposoby. Nie boję się więc niczego, co możesz mi zrobić, bo wiem, że wytrzymam dłużej niż te dziewięć minut. A ty nie masz już nawet tyle. Dlatego jeśli tkniesz mnie choć palcem, podzielisz mój los. Sam zdechniesz jak pies, walcząc o każdy oddech, dopóki nie wyczerpiesz ostatnich atomów tlenu. Znajdą cię tu jutro, sinego, spuchniętego, z wywalonym jęzorem, bo nie masz jaj

i nie odgryziesz go sobie jak ja.

– Zamknij mordę, śmieciu! – Gęsta ślina wylądowała na uchu Henryana.

– Osiem minut...

Przez moment słyszał tylko dyszenie tamtego.

– Czego ty ode mnie chcesz, skurwyklonie? – wycharczał w końcu czarny.

Święcki odwrócił się powoli i cofnął kilka kroków. Ciężko dyszący, spocony wubek ruszył za nim, mierząc wciąż z pistoletu.

– Chcesz pogadać, nie ma sprawy. Zaczniemy więc od początku. Ale tym razem bez całego tego cyrku. – Henryan opuścił ręce. – Porozmawiajmy jak cywilizowani ludzie.

Czarny nadal trzymał go na muszce.

– Mów – syknął.

– Wiesz, kim jestem, wiesz, za co siedziałem – powiedział spokojnie Święcki.

– Wiesz też, że gdybym chciał, mógłbym cię zabić nawet teraz, mimo że to ty trzymasz broń.

– Na co więc jeszcze czekasz? – warknął wubek, próbując trzymać fason. Jednak za bardzo łamał mu się głos.

– Nie zamierzam z tobą walczyć. Powiem ci, jak to załatwimy. Oddasz mi broń, odpowiesz na jedno proste pytanie i każdy z nas pójdzie w swoją stronę.

Wubek uśmiechnął się złośliwie. Nietrudno było odgadnąć, o czym teraz pomyślał.

– Jakie pytanie?

– Najpierw broń – zażądał Henryan. Pistolet wylądował z hukiem na podłodze. Święcki podniósł go, wsunął do kabury i dopiero wtedy spojrzał na przeciwnika. – Jak nazywał się gnój, który uderzył mnie podczas waszej wizyty?

Wubek zrobił taką minę, jakby nie wierzył własnym uszom.

– To jest pytanie, które chciałeś mi zadać?

– Tak.

– Ty naprawdę jesteś popierdolony.

– Nie wyzywaj mnie, tylko odpowiedz – poprosił Henryan.

Funkcjonariusz przełknął głośno ślinę. Wyglądał, jakby się zastanawiał, co właściwie powinien zrobić. Przez absurdalność tej sytuacji pogubił się do reszty. W końcu, dostrzegłszy światełko w tunelu, wybrał wyjście, które w tej chwili wydawało mu się najrozsądniejsze. Świącki doskonale wiedział, jakie myśli krążą draniowi po głowie. Nie naciskał, zdając sobie sprawę, że czas działa na jego korzyść. Złośliwie rozpiął mocniej kombinezon i ponownie otarł czoło z potu.

– Poetze – wyszeptał w końcu wubek. – Gunterneś Poetze.

Henryan uśmiechnął się, a następnie podszedł do skanera przy drzwiach służby. Czarny patrzył za nim z nienawiścią. Biedny głupiec. Świącki odwrócił się do niego twarzą.

– Wspominałeś coś o tym, że nie wyjdę stąd żywy?

Tamten wyszczerzył zęby.

– Wspominałem.

– Pozwól zatem, że coś ci wytłumaczę. Wiem od Liambrose'a, to znaczy mojego brata, że ludzie pracujący w Wydziale Bezpieczeństwa najbardziej cenią sobie lojalność. Są jak bracia, więcej nawet, jak bliźniacy. Ten, kto wyda partnera, ma przesrane... – w tym momencie zbierający swoje rzeczy wubek zrozumiał, gdzie popełnił błąd. Jeszcze bardziej poczerwieniał na twarzy i rozejrzał się szybko, szukając ukrytych kamer. Nie znalazł ich, ponieważ te, które go nagrywały, były mniejsze od drobinki pyłu. – Dobrze kombinujesz – dodał Świącki, widząc lęk na twarzy wubeka. – Nasza rozmowa została nagrana, a jej ostatnia część krąży już po sieci, multiplikując się co kilka sekund. Nie usuniesz jej, choćbyś się zesrał. – Zaczerpnął głęboko tchu i zakończył na jednym wydechu: – Jeśli jeszcze raz zobaczę twój wredny ryj albo poczuję, że któryś z was węszy mi koło dupy, cała stacja ujrzy, jak w krótkiej, miłej rozmowie wsypujesz Poetzego, mimo że nie tknąłem cię palcem. Patrz i ucz się, biedna mendoweszko.

Wyświetlacze na sali ożyły, rozwijając się do maksymalnych rozmiarów. Przedstawiły doskonale czytelne ujęcia obu rozmówców. Nagranie zaczynało

się od słów: „Porozmawiajmy jak cywilizowani ludzie”. Wubek oglądał je w milczeniu, coraz bardziej siniejąc.

– Zajebię cię, skurwyklonie. Zajebię.

– Nie, gnido, to ja ciebie właśnie zajebałem. Rozgniotłem obcasem na miazgę. Jesteś skończony. Żyjesz tylko dlatego, że pozwalam ci oddychać. Tak na marginesie, nie próbuj tłumaczeń, że musiałeś mi ulec, bo kończył ci się tlen. Każda analiza systemu wykaże, że szyby wentylacyjne cały czas działały normalnie. Ja podkreśliłem jedynie ogrzewanie. Drzwi także nie były nawet przez moment zablokowane. To sala szpitalna. Tutaj drzwi nie otwierają się automatycznie. Trzeba przyłożyć dłoń do skanera i przytrzymać przez chwilę, żeby autoryzować polecenie. Źródło wszystkich twoich problemów tkwi tu... – postukał palcem w skroń. – Twój strach pozwolił mi cię oszukać. A teraz miłego wieczoru życzę. I radzę nie zapominać, że osadzeni przepadają za czernią, a strażnicy wiedzą, kiedy odwrócić wzrok, bo nawet dla takich szumowin jak oni widok gwałconego brutalnie więźnia jest zbyt odrażający.

* * *

Henryan wyszedł, zostawiając w sali klnącego na czym świat stoi wubeka. Annelly zdążyła już zniknąć. Wykorzystując swoje umiejętności, przedostała się na wyższy poziom segmentu, gdzie złapała kolejkę, by wrócić na kwaterę. Taki był plan.

Maszerując pośpiesznie do najbliższej windy, Święcki nie słyszał niczego prócz łomotu krwi w skroniach. Pozwolił sobie na chwilę rozluźnienia dopiero teraz, po zakończeniu konfrontacji. Stres, dotąd trzymany w ryzach, wykorzystał tę okazję z właściwą sobie intensywnością. Wbił lodowate pazury w serce i sprawił, że zaczęło walić, jakby chciało się wyrwać spomiędzy żeber i wydać rozdygotane ciało na pastwę śmierci czającej się w zakamarkach pogrążonych w półmroku korytarzy.

Henryan nie do końca rozumiał, skąd to zdenerwowanie. Planując schadzkę

z czarnym, wiedział przecież, że dopnie swego bez względu na to, jak skończy się rozmowa. Tylko dlatego mógł odegrać swoją rolę z taką pewnością i spokojem. Wygrałby, nawet gdyby czarny nie okazał się takim tchórzem i bez namysłu wypalił mu w łeb, jak on kiedyś Renaudowi. Szybka śmierć oszczędziłaby mu dalszej męki.

Dręczyło go poczucie winy – bardziej nawet niż afera, w którą został wplątany po przybyciu na Xana 4. Wytrzymał trzy lata w kolonii karnej i zdzierzyłby kolejne dwadzieścia, ponieważ był pewien, że postąpił słusznie, mszcząc śmierć brata i czterdziestu jeden innych niewinnych osób. Ale potem, gdy zobaczył u Draccosa raport admiralicji, coś w nim pękło...

Wciąż czuł się oszołomiony tym, że wyrwano go z piekła, jakim była kolonia karna. W ciągu minionych kilku dni płynął na fali uniesienia, jakby odurzył go zapach odzyskanej cudownym zrządzeniem losu wolności. Wizyta w centrum dowodzenia sektora trwała zbyt krótko, by zdążyć wszystko przemyśleć. Tyle dobrego, że dzięki panującemu tam zamieszanemu udało mu się zachować naczelnik komandor Derrick, który okazał się nader przydatny w zaistniałej sytuacji. Po kilkunastu minutach rozmowy z nieznanymi mu trepami odebrał nowy przydział i trafił do ośrodka medycznego, w którym przeprowadzono kilka zabiegów, zmieniając mu permanentnie kolor włosów i oczu. Admiralicja nie chciała, by ktoś rozpoznał w nim głośnego przestępcę. Z tego też powodu musiał zmienić nazwisko. Prosto ze szpitala trafił na kolejną jednostkę kurierską, którą dotarł do wielkiego węzła tranzytowego w nieznanym mu gromadzie kulistej, a stamtąd wahadłowcem zabrano go na Xana 4. Potem było już tylko gorzej. Informacja o istnieniu Obcych pozwoliła mu zapomnieć o pożarze, który z dala od zajętego pracą umysłu wypalał systematycznie ostatnie skrawki duszy. Natłok późniejszych niezbyt przyjemnych wydarzeń dodatkowo przesunął w czasie moment odkrycia szokującej prawdy.

Olśnienia doznał dopiero teraz. Stojąc na stacji kolejki magnetycznej, zrozumiał, że nade wszystko chodziło mu o uwolnienie się od wszystkich problemów. Powodem stresu było to, że przeżył spotkanie. Z przerażeniem zdał

sobie sprawę, że nadal będzie musiał się zmagać z coraz bardziej ciężącym poczuciem winy.

Chyba że znajdzie sposób na jej odkupienie...

PIĘTNAŚCIE

System Xan 4, Sektor X-ray,

13.09.2354

– Człowieku, ty naprawdę jesteś popieprzony – powiedziała Annelly, kręcąc z niedowierzaniem głową.

Zgodnie z umową spotkali się następnego ranka w kolejce wiozącej pracowników stacji na pierwszą zmianę. Ludzie znani Henrynanowi z nagrań stworzyli wokół nich szczelny kordon, odcinając jeden z narożników wagonika, aby dać im odrobinę prywatności i osłonić ich przed wszechobecnymi kamerami. Obserwując swobodę, z jaką zainscenizowano to przypadkowe spotkanie grupki znajomych, Święcki nie zdołał powstrzymać uśmiechu.

– Dlaczego tak uważasz? – zapytał. – Może po prostu jestem nie gorszym aktorem niż wy?

– Byłam tam. Widziałam wszystko. – Pochyliła się ku niemu. – Zrobiłeś na kimś ogromne wrażenie. Ten ktoś chce z tobą porozmawiać.

– Nie jestem zainteresowany – zbył ją, zanim zdążyła coś dodać.

Odmowa ją zabolęła. Święcki zrozumiał to, widząc przygasające ogniki w jej oczach. Tylko to ją zdradziło, w dalszym ciągu bowiem uśmiechała się pogodnie, jakby zgodził się na rzuconą przed momentem propozycję.

– Chodzi tylko o chwilę rozmowy – rzuciła.

– Uważasz, że warto omawiać sprawy, które zostały już raz ustalone? – zapytał, patrząc jej chłodno w oczy.

Pokręciła głową, mimo że wyraźnie miała inne zdanie na ten temat.

– Tak czy inaczej, przygotuj się na to spotkanie – poradziła. Gdy wzruszył ramionami, jakby mało go to obchodziło, dodała: – Pozwól, że o coś zapytam... Jak unieszkodliwiłeś pozostałe ładunki w pistolecie, który ci dałam?

– Dlaczego sądzisz, że coś z nimi zrobiłem? – zdziwił się.

– Nie mogłeś mieć pewności, że nie strzeli ci w plecy. Szczególnie że wcześniej celowo go rozwścieczyłeś.

– Może liczyłem na to, że nie stchórzy i pociągnie za spust?

Zaśmiała się niepewnie i zaraz zmierzyła go baczным spojrzeniem.

– Mówisz poważnie?

Przytaknął.

– Śmiertelnie poważnie.

SZESNAŚCIE

System Xan 4, Sektor X-ray,

13.09.2354

Nazwa Bor Omot oznaczała w wolnym tłumaczeniu Gardziel Śmierci. Tym mianem określano rozległy system jaskiń uznawanych przez okoliczne klany za święte. Był to mroczny kult, krwawy i odrażający. Przed setkami starc słońc młodzi Wojownicy Kości zsuwali się w czeluść Bor Omot, aby w jej wiecznym mroku przejść ostateczną inicjację. Pokonywali skomplikowany labirynt korytarzy zdani wyłącznie na instynkt i prymitywną broń. Wielu nigdy więcej nie ujrzało światła dziennego. Powtarzane od zarania dziejów legendy mówiły, że Suhurowie, którzy przepadli w Gardzieli Śmierci, nie zginęli, lecz dołączyli do czających się w ciemnościach potworów, aby sprawdzać męstwo tych, którzy przyjdą tam po nich.

W czasach, gdy klanów było więcej niż gwiazd na niebie, podobne rytuały odprawiano na całej Suhurcie. W regionach górzystych wykorzystywano do tego celu jaskinie i wąwozy, na równinach zaś bagna albo inne wrogie, niedostępne tereny. Każdy pisklak musiał udowodnić, że wart jest miejsca przy ognisku i garści nasion sągrowca. Zaraz po wypuszczeniu z kojca wysyłano go więc w święte miejsce, gdzie przechodził inicjację. Zbór Najwyższych odrzucił tę tradycję dopiero niedawno, gdy błękitnokrwisci odebrali Suhurom znaczną część ich terytoriów i wytrzebili większość klanów. Wodzowie zaryzykowali niezadowolenie Duchów Gór, wiedząc, że odtąd każdy miażdżer i dźgak będzie

się liczył podwójnie. Młodzicy zaczęli dowodzić swej przydatności podczas łowów albo walk z Gurdami. Wieczny mrok jaskiń zastąpiła im ciemność nocy. Daninę własnej krwi – strumienie posoki przelewanej na polowaniach lub w szturmowanych kręgach wroga.

Wojownicy Kości nie zapomnieli jednak o bóstwach zamieszkujących czeluść Bor Omot. Ich przychylność miały zapewnić klanom ofiary składane teraz niemal wyłącznie z błękitnokrwistych jeńców. Przed każdym starciem słońc spędzano ich tutaj dziesiątkami, a przy znaczniejszych okazjach nawet setkami; wycieńczonych wielodniowym marszem, poranionych w bitwach, przerażonych... Jaskinie połykały tę daninę z ogromną ochotą. Podobnie było w wypadku nielicznych Suhurów, którzy z poświęceniem dobrowolnie oddawali się w ręce Duchów Gór, aby zapewnić swoim klanom pomyślność w boju.

Karan Degard był jednym z takich ochotników. Zstąpił do Gardzieli Śmierci, aby ofiarować swoje życie bogom, jednakże ci – ku wielkiemu zaskoczeniu wszystkich – odrzucili go. Gdy wyświstywał w mroku modlitwy, słysząc szmer podkradających się ku niemu bestii, nagle doznał objawienia – otrzymał wiadomość od Lut Se-Ifera, nowego opiekuna tych jaskiń. Wiadomość ta mogła zmienić bieg historii. Gdyby nie interwencja kapłana, który nakazał złamanie danego Duchom Gór słowa, los walecznej rasy wcale nie musiał być przypieczętowany.

Rekne Tare stanął na obrzeżu wielkiej studni zwanej przez okoliczne klany Gardzielą Śmierci. Wojownicy z jego garstni dołączali kolejno, stając po jego prawej i lewej stronie na wąskim pasie skały oddzielającym wlot jaskini od porośniętego gęstymi sykwanimi zbocza. Było ich siedmiu: zbyt młodych, by zasłużyć na przydomki bitewne, zbyt dzielnych, by odmówić tej ofiary. Ostatni przybył nowy kapłan klanu Trzykrotnie Przebitej Tarczy. Hakrad Redo-Tele był młodszy od swojego poprzednika. Powierzono mu tę zaszczytną funkcję, chociaż przy ołtarzach służyło wielu starszych i bardziej doświadczonych od niego. Dano mu władzę duchową nad klanem, ponieważ jako jeden z nielicznych nie odrzucił zwiastowania Duchów Gór.

– Przybyliśmy, o czcigodny. – Rekne Tare przymknął oczy, aby okazać szacunek zbliżającemu się kapłanowi.

Hakrad Redo-Tele dotarł tam, skąd mógł spojrzeć w głąb niknącej w mroku stromizny. W wielu miejscach znaczyły ją niebieskie plamy – ślady po składanych jakiś czas temu ofiarach. Nasyciwszy się tym widokiem, uderzył aradem w zagłębienie świętej skały.

– Pozdrawiam was, bezcielesne Duchy Gór! Ja, Hakrad Redo-Tele, ten, który rozmawiał z bogami już jako pisklę, przybywam do Bor Omot prosić was o wybaczenie czynu przekłętogo po wsze czasy Tikren Da-Deradha. Suhurowie wielbią was! Wojownicy Kości oddają wam należną cześć! Ten, który was zlekceważył, został ukarany, jak nakazuje tradycja! – W oddali pojawiła się kolejna garstnia. Wojownicy przedzierali się przez niskie zarośla, wiodąc na uplecionych ze ścięgien postronkach rząd czworonogich jeńców. – Złożymy dzisiaj hojną ofiarę! Niech krew tych Gurdów doda sił pełzającym w mroku Gardzieli Śmierci sługom, ażeby mogli was przyzwać! – zakończył, uderzając po raz kolejny aradem.

– Co rozkażesz, o czcigodny? – zapytał Rekne Tare, gdy kapłan umilkł.

– Nie traćmy czasu – odparł Hakrad Redo-Tele, skupiając przez moment wzrok na pustych zagrodach po obu stronach wylotu jaskini. – Rozpocznijcie rytuał, jak tylko Temeh Dokru-Kume dotrze na miejsce.

Garstnik otworzył szeroko oczy i wycofał się pośpiesznie, aby przygotować swoich wojowników. Grupa błękitnokrwistych zbliżała się wolno, lecz nieustannie do krawędzi urwiska.

– Tilu Koru, Reme Naro, Kraga Snaro. – Rekne Tare wskazał najbliższą trójkę. – Wy zajmiecie się pierwszą grupą.

– Jak każesz! – padła jednogłośnie odpowiedź.

Wybrani wojownicy pozostali na środku skalnego kołnierza, reszta garstni zaś odeszła w stronę zagród. Tam, nieco poniżej obręczy gardzieli, znajdowały się ślady po ognisku, przy którym nocowali ongiś strażnicy i kapłani.

Kraga Snaro, najpotężniej zbudowany z wybranych, wyjął z trzymaka

masywny miążdżer. Z twardego, owiniętego ciasno grubym ścięgnem uchwytu wystawała wypolerowana szczęka hrylla, lekko zakrzywiona na końcu, kryjąca sześć rzędów dłuższych od grotu i twardszych od kamienia zębów.

Tilu Koru i Reme Naro, nieco młodszy i mniej doświadczony wojownik garstni, stanął kilka kroków za nim, a w ich rękach pojawiły się dźgaki i zwykłe kościane pałki. Garstnik z kapłanem trzymali się z boku. Zajęli miejsca na niewielkim występie, z którego było dobrze widać stromą gardziel jaskini. Stamtąd zawsze przyzywano byty opiekuńcze.

Temeh Dokru-Kume pojawił się na obręczy kilka spęcznień błony później. Znał ten rytuał doskonale, nikt więc nie musiał mu mówić, co ma robić. Gdy tylko zobaczył przygotowanych młodzieńców, zahurgotał do podwładnych:

– Dawać ich tu węzłami!

Moment później na płaski teren wkroczyło dwóch potężnych Wojowników Kości wiodących siedmioro czworonogich. Były wśród nich dwa jajoskłady, płodonos i czwórka szczeniąt. Pętle zaciskające się na ich smukłych wypustkach i kończynach przytwierdzono do długiej, grubej żerdzi. Gurdownie byli przerażeni. Młode dreptały nerwowo, a jajoskłady zaczęły się wyrwać, ale każdy mocniejszy ruch zaciskał tylko więzy pod szczelinami oddechowymi, odcinając im dostęp powietrza, szybko więc nieruchomiały.

Tilu Koru i Reme Naro odcięli od węzła stojące na przedzie szczenię. Czarna skóra młodego Gurda pokryła się w jednej chwili śliską mazią – był to naturalny mechanizm obronny mieszkańców Gurdu'dihanu, jednakże dziś nie mógł im on w niczym pomóc. Wojownicy Kości chwycili postronki, którymi opasane były przednie kończyny jeńca, i pociągnęli go ku krawędzi obręczy, gdzie czekał już Kraga Snaro. Niesłyszalny dla Suhurów pisk młodego Gurda zamienił się w skowyt, kiedy zębiska hrylla rozorały jego skórę. Cięcia były szybkie, płytkie. Młody wojownik zadbał o to, by ofiara obficie krwawiła, a potem jednym mocnym zamachem strzaskał jej przednie kolana. Ciało jeńca uderzyło głucho o podłoże i zsunęło się po pochyłej gładkiej skale.

Hakrad Redo-Tele obserwował sunącego w dół Gurda, a gdy pozostawiająca

za sobą smugę świeżej posoki ofiara zniknęła w zalegającym na dnie jaskini mroku, uderzył aradem w występ.

– Przybywajcie! – wyświszczał, pochylając się nad czeluścią. – Radujcie się daniną klanów! Posilcie się do woli i poproście swych panów, aby wysłuchali naszej prośby!

Na jego znak Tilu Koru i Reme Naro przywiedli na skraj przepaści drugiego jeńca. Dorodny jajoskład wyrywał się znacznie mocniej, nie bacząc na duszące go pęta. Nie pomagały razy pałek ani smagnięcia biczem. Uspokoił się dopiero wtedy, gdy Kraga Snaro sprawnym ruchem rozciął zgrubienie widoczne w przedniej części tułowia. Wypustka jajoskłada opadła bezwładnie na tułów. Z szerokiego rozcięcia popłynęła spieniona, błękitna posoka.

Rytuał powtórzył się. Trzy cięcia po bokach, tam gdzie nie było ważnych narządów, aby zapach krwi mógł zwabić odrażających mieszkańców jaskiń, i na koniec zmiżdżenie stawów przednich kończyn. Sześć spęcznień błony później okaleczona istota zaczęła się bezwładnie zsuwać w stronę mroku.

Trzecie było znów szczenię. To szło na rzeź o wiele spokojniej i ciszej. Zapierało się wprawdzie jak mogło, kiedy Wojownicy Kości ciągnęli je na miejsce kaźni, ale widać było, że młodziutki Gurd jest znacznie bardziej oszołomiony niż poprzedni jeńcy z tego wężła. Kilka zamachów miażdżerem i ofiara została złożona. Hakrad Redo-Tele przyjrzał się uważnie zaokrąglonym bokom kolejnego błękitnokrwistego, skupiając uwagę na miejscu, w którym spod śliskiej mazi przezierały czerwone plamki.

– Tego zostawcie na później – rozkazał, wskazując aradem na zagrodę. – Jest brzemienny, nada się do odprawienia rytuału dziękczynnego!

Wojownicy spełnili jego polecenie, przekazując płodonosa strażnikom i wracając po kolejnego jeńca.

Drugie słońce wynurzyło się zza pobliskiej grani, oświetlając lepiej południowe zbocza Samotnego Wierchu i rozciągającej się u jego stóp wyżyny. W oddali, na horyzoncie i za nim, ku niebu unosiły się słupy dymu znaczące szlak niedawnego wypadu klanów.

- Pośpieszcie się! – Hakrad Redo-Tele ponaglił młodych Wojowników Kości.
- Duchy Gór łakną krwi!

W tym momencie Rekne Tare zauważył jakiś ruch na zboczu. O dwa strzały z łuku od wylotu jaskini dostrzegł kolejny wąż czarnych postaci, a za nim w podobnej odległości następny. Wiedział, że jest ich tam jeszcze wiele. Aby Duchy Gór dały się przebłagać i przeprosić za zdradę, w najbliższych dniach skały będą musiały zabarwić się na niebiesko.

A potem pokryją się brązem.

* * *

Pułkownik kazał zdjąć przekaz z panoramiconu centrum, zanim strącono w przepaść ostatniego jeńca z pierwszego węzła. Nie dlatego, że obrazy z jaskiń były zbyt okrutne. Wręcz przeciwnie. Los Gurdów najwyraźniej nie interesował nikogo prócz Świąckiego. Ludzie służący w kwaterze głównej od lat obserwowali rzezie, które fundowały sobie wzajemnie obie strony konfliktu, zdążyli więc przywyknąć do podobnych widoków. Wachtowi z innych pionów rozmawiali i uśmiechali się cały czas, nawet gdy trwała relacja na żywo. A chłopcy z łączności mieli zbyt wiele roboty z obsługą przekazu, żeby się nim pasjonować.

Świącki także został w końcu przywołany do rzeczywistości. Opalizujące popiersie doktor Godbless pojawiło się na wyświetlaczu jego konsoli zaraz po złożeniu ofiary z siódmego więźnia.

– Będę potrzebowała jeszcze jednego zestawu kamer – oświadczyła szefowa pionu naukowego głosem wypranym z uczuć. – Wyślijcie mi nanoboty zdolne do operowania w jaskiniach. Najlepiej spektrowizyjne.

Henryan sprawdził dostępność tego rodzaju kamer.

– Doślę sześć jednostek za godzinę – powiedział po odczytaniu wyników.

– Za godzinę? – Twarz doktor Godbless stężała. – Ja potrzebuję ich teraz!

– Wszystkie zestawy spektrowizyjne mamy na satelitach wiszących nad nocną

stroną Bety – wyjaśnił, przesyłając rozmówcy odpowiednie dane.

– To skandal! – Godbless spurpurowiała na twarzy. – Zadbam, żeby raport w tej sprawie trafił gdzie trzeba. Przełącz mnie do pułkownika, natychmiast!

Święcki z ulgą wykonał jej polecenie, rzucając okiem na podwyższenie mostka. Z tej odległości nie mógł słyszeć rozmowy, ale po mimice starego widział, że nie jest ona przyjemna. Przełączył się na kamery w Bor Omot. Rzeź trwała w najlepsze. Dokonujący egzekucji Wojownicy Kości byli niebiescy od lepkiej krwi Gurdów. Właśnie podprowadzono do nich kolejny węzeł. Tym razem przeważały w nim dorosłe nasienniki.

– Sierzancie! – Pułkownik odezwał się nie z głośników, tylko zza pleców Święckiego.

– Tak jest! – Henryan zerwał się z fotela i stanął na baczność.

– Dajcie tej cholernej babie, o co prosi!

– Już wysłałem polecenie na nocną stronę, ale to musi potrwać – zameldował.

– Zmieńcie dyslokację tak, żeby nad Siedmioma Wierchami stacjonował na stałe co najmniej jeden zasobnik tych kamer – polecił Rutta.

– Tak jest!

– I jeszcze jedno... – Dowódca zawiesił głos. – Jeśli to stare pudło albo inny jajogłowy cep znów zażąda połączenia ze mną, macie ich spławić bądź przekierować na stanowisko kontroli. – Wskazał ściankę, za którą siedział Valdez. – Zrozumiano?!

– Stare pudło?! – Zza pleców Święckiego dobiegł głos rozwścieczonej Godbless. – Kogo nazwałeś starym pudłem, ty pokraczny skurwykloni pomiole w fikuśnej czapeczce?! – Kobieta wydarła się, zanim sierżant dopadł sterownika konsoli. – Żeby cię... – Dalszych jej bluzgów nikt już nie słyszał.

Pułkownik zsiniał na twarzy, podniósł rękę i wymierzył drżący palec w Henryana. Przez moment wydawało się, że i on wybuchnie, ale zdołał zapanować nad gniewem i wysyczał tylko:

– Po służbie stawicie się u mnie. – Wskazał głową na mostek.

– Tak jest! – Święcki strzelił obcasami.

Rutta wrócił na swoje stanowisko, a sierżant opadł ciężko na fotel. Durne babsko, wciąż drące się wniebogłosy, załatwiło mu właśnie kilkanaście godzin szorowania kibli, jeśli nie coś gorszego. Podkreślił trochę głośność, na tyle, by zrozumieć słowa Godbless.

– ...zasrane, w dupę kopane, multiklonowane żołnierzyki! Jeśli myślicie, że admiralicja będzie tolerowała taką niekompetencję, grubo się mylicie. Jeszcze dzisiaj napiszę raport w tej sprawie z żądaniem, aby usunięto was wszystkich z zajmowanych stanowisk!

– Zasobnik z kamerami spektrowizyjnymi został już wysłany z orbity – wtrącił Świącki, gdy zamilkła na moment, aby zaczerpnąć powietrza. – Czy to wszystko, czego pani potrzebuje?

– Nie – burknęła doktor Godbless. – Zróbcie mi dokładny zwiad pogórza. Chcę mieć dane na temat liczby jeńców prowadzonych do Bor Omot.

– Czy mogę wycofać spod jaskiń któreś z mniej potrzebnych kamer? – zapytał sierżant, robiąc szybki przegląd obrazów. Co najmniej trzy nanoroboty nie miały w polu widzenia niczego ciekawego.

– Ani mi się waż, półgłówku! – wysyczała Godbless.

– Rozumiem – powiedział najspokojniej, jak potrafił. – Już wysyłam nowy zasobnik.

Zniknęła z jego pulpitu. Tym razem sprawdził, czy zakończył połączenie, i dopiero gdy zyskał całkowitą pewność, polecił przeskanować teren jednemu z wachtowych.

Dane napłynęły po kilkunastu minutach. Przejrzał je i rutynowo przesłał porucznikowi Valdezowi do zatwierdzenia. W kierunku wylotu Gardzieli Śmierci prowadzono jeszcze siedemdziesiąt trzy grupy błękitnokrwistych. Najmniejsza liczyła sześciu jeńców, największa – dwudziestu czterech.

* * *

Lepka niebieska posoka zabarwiła już spory odcinek pochyłej skały. Kraga

Snaro zamachnął się kolejny raz miażdżerem. Zmęczenie i śliskie podłoże sprawiły, że chybił nieznacznie. Obuch kościanej broni zdruzgotał tylko jedno kolano ofiary. Dorodny nasiennik ustał mimo potwornego bólu i dopiero kopnięcie drugiego wojownika posłało go w głąb jaskini. To był ostatni Gurd z szóstego wężła.

Hakrad Redo-Tele uderzył aradem w występ skalny.

– Już czas! – zawołał.

Kraga Snaro wyprostował się, unosząc wysoko zakrwawioną broń. Tilu Koru i Reme Naro stanęli po jego bokach. Z wielkim żalem oddał im morderczą maczugę, którą sam zrobił, polerując kość szczękową bestii z równin. Miażdżer daleki był od ideału, Kraga Snaro nie miał bowiem czasu na jego dokończenie, o wyryciu symboli opisujących własne dokonania i męstwo nie wspominając. Upolowali giganta zaledwie kilka dni temu. Gdyby wiodący ich na łowy Redu Nizo-Hakra nie zginął, to właśnie on, jako wabiciel, dostałby najlepsze kości hrylla. Kraga Snaro zastanawiał się, czyby nie wybrać dla siebie piszczeli. Hryll, którego udało im się powalić, był naprawdę wielki, tak że nawet doświadczeni starzy wojownicy nie mieliby tak okazałych ostrzy, jakie on mógł pozyskać z masywniejszych tylnych łap bestii. Nie zdecydował się jednak na odcięcie nóg. Kiedy stanął przed leżącą w pyłe na wpół rozchyloną prawą paszczą, zrozumiał, że najdoskonalszą bronią Wojownika Kości są miażdżery i że to z nimi w dłoniach chciałby kiedyś polec. Rozsupłując rzemienie ze ścięgien, żałował, iż los odebrał mu szansę na wspaniałe dokonania w przyszłości. Ale najbardziej było mu żal tego, że nie zginie na polu bitwy, czując w dłoni chropowaty uchwyt najdoskonalszej i najbardziej morderczej broni Wojowników Kości.

Zdjął klekoczącą zbroję, pogładził czule wyszczerbienia w miejscach, w których smagneła ją broń przeciwnika albo pazury drapieżcy, a potem pieczołowicie ułożył misterną plecionkę ze ścięgien i setek kości obok miażdżerów i skórzanego worka łowcy. Wyprostował się znowu, tym razem całkiem nagi, i ruszył w stronę rozpadliny, z której dna wciąż dochodziły przeraźliwe, choć niedocierające do jego membran piski pożeranych żywcem

ofiar. Posłał ich dzisiaj w mrok ponad setkę. Przelał rzekę błękitnej krwi.

– Jesteś gotów, Kraga Snaro z łęgu niezłomnego Krute Kon-Toko? – zapytał kapłan.

– Jak zawsze – odparł zgodnie z tradycją Wojownik Kości.

– Ręce! – warknął Rekne Tare.

Tilu Koru podniósł z ziemi kawał ochlapanego błękitną posoką rzemienia. Kraga Snaro złączył dłonie jak do modlitwy. Kilka spęcznień błony później rytualne węzły oplotły go dokładnie.

– Klatka! – Z występu padła kolejna komenda.

Reme Naro przesunął drewniany wysięgnik, na którym wisiała kościana klatka. Była na tyle duża, by zmieścić się w niej dorosły Suhur. Tilu Koru rozplątał rzemienie przytrzymujące drzwiczki, a potem przyciągnął klatkę do krawędzi występu, wpasowując ją w specjalnie wyciosaną wnękę. Przytrzymał ją, aby wpędzający do środka skrępowany Kraga Snaro nie spadł przypadkiem w otchłań. Masywny wojownik z trudem zmieścił się w ciasnej klatce, ale gdy w końcu mu się to udało, z niewielką tylko pomocą towarzyszy, drzwiczki zostały ponownie zamknięte.

– Rany! – zakomenderował Rekne Tare.

– Jedna! – Odpowiedź była głośna i wyraźna.

Kapłan przysłonił oczy grubszymi powiekami. Młody wojownik wykazał się wielką odwagą i hartem ducha. Sprawnie nacięty skonałby do zmierzchu, zgodnie z honorowym rytuałem. Jedna rana oznaczała, że tahary przystąpią do dzieła dopiero za trzy, a może nawet cztery wschody mniejszego ze słońc.

– Niech tak będzie! – Hakrad Redo-Tele uderzył aradem.

Tilu Koru rozciął pokrytą piroglifami skórę między płytkami kostnymi na plecach składanego w ofierze wojownika. Szanując jego wybór i odwagę, postarał się, by rana nie była zbyt głęboka. Gdy Rekne Tare dał mu znak, otarł ostrze dźgaka, wsunął go do skórzanej pochwy i dołączył do Reme Naro przy kołowrocie.

– Opuszczać!

Przesunęli wysięgnik nad przepaść i powoli opuścili klatkę. Kraga zawisł w połowie drogi między obręczą a mrokiem. Nie słyszeli jego modłów, podobnie jak dochodzących z dołu kwików i pisków pożeranych żywcem ofiar, lecz wiedzieli, że od tej pory będzie przyzywał Duchy Gór. A oni dołączą do niego niebawem, jako że do odprawienia tego rytuału trzeba było co najmniej trzech Wojowników Kości.

– Reme Naro, twoja kolej!

Wywołany przymknął membrany, a gdy rozległo się kolejne stuknięcie arada, wydobył z pochwy gładziutki, lśniący nowością miazdzer i stanął na obręczy, nieco z prawej, aby nie wdepnąć w kałużę błękitnej posoki.

Z zarośli wynurzył się raz jeszcze Temeh Dokru-Kume. Kolejni jeńcy przybyli na miejsce kaźni.

* * *

Święcki dopilnował wprowadzenia kamer spektrowizyjnych do Gardzieli Śmierci i zlecił nadzór nad nimi trzem wachtowym. Kalibrując urządzenia, starał się nie patrzeć na wyświetlacze, lecz nawet te ułamki sekund wystarczyły, by stracił apetyt. Napatrzył się na śmierć podczas służby i w kopalniach Pasa Sturgeona, ale czegoś takiego w życiu nie widział.

Stosy na wpół pożartych trupów zalegały całe dno jaskini. Oszalałe ze strachu czarnoskóre istoty gramoliły się po spadzistej ścianie, nie bacząc na ból i kolejne rany, czepiając się każdego występu, każdej nierówności, depcząc się nawzajem, byle znaleźć się dalej od pełzających w mroku ślepych bestii zwabionych zapachem krwi i świeżego mięsa. Wielonogie i beznogie, miękkie i opancerzone, blade i czarne – wszelakich kształtów i rozmiarów, lecz nieodmiennie wygłodzone potwory wpięrow rzuciły się do zabijania na oślep, jednakże z czasem, gdy już zaspokoili pierwszy głód, zaczęły się bawić ofiarami. Atakowały wolno i z rozmysłem, wciągając wciąż jeszcze żywych Gurdów w labirynt tuneli. Z trudnych do zapomnienia materiałów szkoleniowych

Święcki wiedział, że niektórzy czworonodzy, zanim skonają omotani kokonami, będą trawieni po kawałku przez najbliższe dni, a nawet tygodnie. Doktor Godbless domagała się większej liczby kamer spektrowizyjnych, ponieważ chciała mieć zapisany na kryształach każdy szczegół tej hekatombi. Henryan właściwie się temu nie dziwił. Jeśli Valdez miał rację, mogła to być ostatnia taka okazja dla naukowców.

Kiedy wszystko było już skalibrowane, sierżant przesłał do Primy informację o wykonaniu zadania. Zwykłą wiadomością tekstową zamiast holo. W tym momencie wolał nie oglądać tej naburmuszonej kobiety, a i ona chyba nie łaknęła dalszych kontaktów z centrum. W każdym razie nie raczyła nawet potwierdzić otrzymania przekazu.

Mijały godziny, podczas których zmieniali się jedynie prowadzący egzekucję. Zanim Święcki zdał stanowisko zmiennikowi z wubecji, w klatkach zawisło jeszcze trzech młodych Suhurów. Ściskając rękę wubekowi, rzucił okiem na podwyższenie. Pułkownik Rutta stał tam z rękami założonymi na piersi i patrzył w jego stronę.

Jeden koszmar się skończył, czas zacząć drugi, pomyślał Święcki, wchodząc na szerokie schody. Teraz rozumiał, dlaczego tę część mostka starzy wachtowi nazywali szafotem. Zanim znalazł się na stanowisku dowodzenia, pułkownik zdążył już usiąść w swoim fotelu. Podniósł też zasłony energetyczne oddzielające jego konsolę od reszty pomostu.

– Sierżant Prydeinwraig melduje się zgodnie z rozkazem! – Henryan strzelił obcasami i zasalutował.

– Spocznij. – Głos starego był mniej jadowity, niż się spodziewał.

– Dziękuję, sir! – Rozstawił nogi, ręce schował za plecy, ale szybko je wyprostował, przypomniawszy sobie obrazki z jaskiń.

Rutta zauważył jego zakłopotanie.

– Nie przejmujcie się tak, sierżancie – rzucił.

Henryan przełknął nerwowo ślinę. Tyle się nasłuchał o złośliwości starego, że zaczął wietrzyć jakiś podstęp.

– Tak jest! – zawołał, nie bardzo wiedząc, co innego mógłby powiedzieć.

– Wiecie, po co was tutaj wezwałem? – przeszedł do rzeczy pułkownik.

– Tak jest.

– No to słucham. – Rutta rozparł się w fotelu.

– Doktor Godbless, ja... – Świącki nie wiedział, od czego zacząć. –
Przepraszam, sir! Sądziłem, że przerwała połączenie...

– Żołnierz, synku, nie sądzi – wpadł mu w słowo Rutta. – Od tego mamy sądy i sędziów. Wasza robota polega na sprawdzaniu, sprawdzaniu i jeszcze raz sprawdzaniu.

– Tak jest!

– A wyście sądzili, zamiast sprawdzać.

– To się już nie powtórzy, sir!

– Wiem... – Pułkownik uśmiechnął się pod nosem. Ten ton, ten uśmiech... Henryan poczuł ciarki na krzyżu. Stary coś szykował. Pytanie tylko co. – Powinienem was skierować do szorowania kibli, a tych, możecie mi wierzyć, sierżancie, mamy na stacji tysiące. Niestety jesteście mi potrzebni tutaj. No i powstał problem...

– Problem, sir? – zapytał ostrożnie Świącki.

– Tak, problem. Jeśli was porządnie ukarzę, możecie z niewyspania spieprzyć coś na służbie. Ale jeśli nie poniesiecie kary po tym, jak to... to...

– Stare pudło – podrzucił Henryan.

Pułkownik skrzywił się na dźwięk własnych słów, a Świącki natychmiast pomyślał, że lepiej będzie, jeśli zamilknie i da się wygadać przełożonemu.

– ...jak to stare pudło – kontynuował Rutta – zrobiło ze mnie głupca na oczach całej pierwszej zmiany, stracę autorytet wśród załogi.

– Rozumiem, sir.

– Cieszę się, że mnie rozumiecie, sierżancie, ale to nie załatwia sprawy.

– Panie pułkowniku!

Obaj drgnęli, gdy z głośników dobiegł głos Valdeza. Rutta z niechęcią wywołał hologram porucznika.

– Nie widzi pan, poruczniku, że rozmawiam z Prydewi... Preyd... Prywe... z sierżantem? – zapytał dodatkowo rozzłoszczony tym, że nie potrafi wymówić skomplikowanego nazwiska.

– Ja właśnie w jego sprawie, sir! – zameldował Valdez.

– Tak? No to słucham.

– Przed wizytą delegacji senatu przeprowadzamy prace konserwatorskie jedyńki i tarasu widokowego – poinformował Valdez. – Może pan przydzielić sierżanta do ekip pracujących na terenie zamkniętym. Ja nadzoruję te roboty, więc...

Pułkownik kiwał się przez chwilę w fotelu, milcząc.

– Więc wilk będzie syty i owca cała – powiedział cicho Henryan.

– Te wasze archaiczne przysłowia – jęknął pułkownik, zanim odwrócił się do Valdeza. – To brzmi rozsądnie, poruczniku. – Zwracając się do Henryana, dodał:

– Możecie odejść, sierżancie.

– Jedną chwileczkę, sir! – odezwał się Święcki.

– Coś wam nie pasuje? – Na twarzy starego malowało się zaskoczenie. Valdez był nie mniej zdziwiony.

– Skądże, sir! Zasłużyłem na karę.

– Zatem o co chodzi?

– O to... O to, co dzieje się w jaskiniach.

– Myślisz, synku, że mnie się podoba ta masakra? – zapytał pułkownik. – Niestety nic nie możemy poradzić.

– Możemy, sir – zapewnił go Święcki.

– Niby jak?

– Jeśli Suhurowie otrzymają wiadomość od Duchów Gór, odejdą. – Oburzony Rutta zerwał się z fotela. – Źle mnie pan zrozumiał, pułkowniku – dodał szybko Henryan, blednąc i cofając się o krok.

– Wręcz przeciwnie, sierżancie. Wyraziliście się piekielnie jasno!

– Nie mówimy o przekazie, o jaki chodzi Bogom... – Święcki próbował wybrnąć z sytuacji. – Powiemy Wojownikom Kości byle co: że Duchy Gór

kochają ich bezgranicznie, że wygrają nadchodzącą bitwę, cokolwiek, co zakończy tę rzeź. Pułkownik, oni w najbliższych dniach zamordują kilka tysięcy kleksów.

– Gurdów, synu – poprawił go pułkownik, zaciskając zęby. – Gurdów!

– Tak jest. Gurdów.

– To nie jest wcale taki głupi pomysł – wtrącił Valdez.

– Nie wierzę własnym uszom! – Rutta opadł ciężko na fotel. – Poruczniku, opowiada się pan za kolejną ingerencją w historię tej planety? Pan?!

– Tak, sir. To znaczy nie, nie jestem za ingerencją, ale wydaje mi się, że pomysł sierżanta ma sens. Pozwoli pan, że wyjaśnię osobiście...

Pułkownik opuścił na chwilę pole siłowe, a Valdez przeszedł szybko na stanowisko dowodzenia i stanął obok Święckiego.

Rutta włączył znów bariery energetyczne oddzielające ich od reszty centrum dowodzenia.

– Niech pan kontynuuje, poruczniku.

– Jedyne sposoby na zneutralizowanie Bogów to przeniknięcie do ich struktur. Na tym zależało nam od samego początku, prawda? – Pułkownik skinął głową. – Jak wiadomo, ci dranie są cholernie nieufni. A taki ruch mógłby przekonać ich do sierżanta i...

– Chyba za panem nie nadążam, poruczniku... – przerwał mu stary.

– Jeśli sierżant Pry przerwie masakrę, Bogowie zobaczą w nim potencjalnego sprzymierzeńca.

– Sprzymierzeńca, powiada pan...

Valdez pokiwał głową.

– Ale co konkretnie chcecie zrobić? – Na to pytanie nie umieli odpowiedzieć.

– Czy coś takiego może się w ogóle udać przy wzmożonych środkach bezpieczeństwa? – Rutta machnął ręką. – Nawet jeśli my odpuścimy sobie odszukanie źródła tego komunikatu, wubecja wyniucha je w kilka godzin. Nie. Nie ma mowy. Odmawiam!

– Godbless szlag trafi, jeśli Suhurowie przerwą składanie ofiar i odejdą –

wtrącił niby mimochodem Henrynan.

Pułkownik skrzywił się, usłyszawszy nazwisko szefowej pionu naukowego. A potem na jego twarzy pojawił się uśmiech. Złośliwy uśmiech.

– Zgoda. Pokombinujcie nad tym wspólnie, ale pamiętajcie: ja o niczym nie wiem. Macie czas do rozpoczęcia następnej zmiany. Zrozumiano?

– Tak jest! – odparli unisono.

– I jeszcze jedno – dodał pułkownik. – Chcę mieć holo miny, jaką robi to stare pudło, kiedy się o tym dowie.

* * *

– Chyba wiem, jak do tego podejść – oznajmił Świącki chwilę później, gdy stali już w pustym korytarzu, czekając na przyjazd kolejki.

Valdez spojrzał na niego badawczo.

– Przejmując obowiązki po Seifercie, dokonałem gruntownej analizy zabezpieczeń i znalazłem coś, co chyba umknęło wszystkim – wyjaśnił Henrynan.

– Nikt nie uprzątnął nanobotów wysłanych przez Seiferta do jaskiń. Dezaktywowano je wprawdzie, ale zostawiono na dole.

Porucznik zmrużył oczy. Na jego twarzy pojawił się wyraz zakłopotania. To on odpowiadał za sprowadzanie tego sprzętu i na niego spadała wina za przeoczenie.

– Mów dalej – rzucił niechętnie.

– Mógłbym wysłać im krótki komunikat.

– Jak?

– Wykorzystując nadajnik zewnętrzny. Na przykład z którejś jednostki stacjonującej na kotwiczowisku.

– Nie da rady. – Valdez pokręcił zdecydowanie głową. – Od czasu prowokacji nad Treb'aldaledo wubecja monitoruje wszystkie połączenia między okrętami floty.

– W takim razie podepnę się do głównej anteny stacji – zaproponował

Święcki.

– Jak?

– Jeśli uda mi się dostać na poziomy techniczne, zyskam bezpośredni dostęp do obwodów anteny. Już poza systemem. Komunikat trafi prosto do nanobotów, razem z poleceniem autodestrukcji po wykonaniu zadania. Kontrola w centrum niczego nie wykaże. Żadna wiadomość nie przejdzie przez nasze łącza. – Henryan był tego całkowicie pewien; tak samo pewien diler komunikował się ze współnikami na Epsilonie Nowej Boliwii. Gdyby nie długi jęzor, nikt by go nie przyłapał na przemyście prochów do tamtejszej bazy.

Valdez nerwowo oblizał wargi. Sierżant pokazał mu właśnie lukę w systemie, której istnienia nikt nawet nie podejrzewał. Lukę, którą mogli wykorzystać Bogowie...

– Sprytne, bardzo sprytne – przyznał zamyślony. – Skontaktuję się z tobą za godzinę, po posiłku. Wtedy uzgodnimy szczegóły. – Na pożegnanie wyciągnął do niego rękę.

Tego gestu Święcki się nie spodziewał. Odruchowo odwzajemnił uścisk i natychmiast się skrzywił. Poczuł w dłoni chłodny kanciasty kształt.

– Odtwórz to wubekom – szepnął Valdez, widząc jego zaniepokojone spojrzenie. – Zyskamy trochę czasu i swobody.

– Dobrze.

Drzwi wagonika otworzyły się, jednakże porucznik nie wsiadł.

– Muszę ustalić ze starym szczegóły twojego przydziału – wyjaśnił, zanim kolejka ruszyła.

SIEDEMNAŚCIE

W zamkniętym sektorze paliło się tylko co trzecie światło i mimo wyłączonej klimatyzacji panował w nim miły chłód. Człowiek nie pocił się przy każdym ruchu, a puste korytarze dawały poczucie większej swobody, co było wielką odmianą po wizycie w zatłoczonej mesie. Gdyby nie to, że dodatkowa służba odbierała niemal cały wolny czas poza regulaminowymi sześcioma godzinami na sen, można by ją uznać za świetną odskocznię od codziennej rutyny.

Święcki stanął na peronie stacji obok pięciu podobnych do niego nieszczęśników, zajmując miejsce na końcu równego szeregu. Pozostali odbywający karę żołnierze rozglądali się niepewnie po pustym korytarzu, on jednak czekał spokojnie na przybycie Valdeza. W odróżnieniu od nich wiedział, jaka robota go czeka. Obok jego nogi spoczywała duża skrzynka narzędziowa, którą wydał mu przed chwilą otyły podoficer z intendentury.

Świat jest jednak mały, pomyślał Henryan, uświadomiwszy sobie, że wśród skazanych na dodatkową służbę widzi znajomą twarz. Kapral Tregvas stał na drugim końcu szeregu. Z obojętną miną przyglądał się planowi poziomu zdobiącemu przeciwległą ścianę. Czyżby przypadek?

Porucznik zjawił się minutę po czasie. Nie wysiadł z kolejki, jak się spodziewali, lecz wyłonił się nagle z bocznego korytarza. Zaskoczeni jego nadejściem z nieoczekiwanej strony, stanęli na baczność sekundę później, niż trzeba.

– Spocznij! – rzucił i natychmiast zaczął przydzielać zadania. – Bodko i Ramirez, korytarz główny. Stuyvesant i Kimmie, strefa trzecia. Tregvas i Pry,

za mną.

Schylając się po skrzynkę narzędziową, Święcki zerknął na kaprała. Kolejny przypadek?

Ruszyli w głąb korytarza, którym przyszedł porucznik. Przed nimi szła para zmierzająca do strefy trzeciej, ale już na następnym rozwidleniu zostali sami. Stuyvesant i Kimmie skręcili w prawo. Valdez poprowadził Święckiego i Tregvasa w drugą stronę. Nie odezwał się słowem, dopóki nie dotarli do celu, którym była śluza techniczna w samym sercu jedyńki.

Porucznik zatrzymał się przy pancernym włączniku. Dalej znajdowały się schody łączące wszystkie poziomy tego sektora obręczy. Pokonując je, dotrą do śluzy na najwyższym poziomie stacji. Pomieszczenie to przylegało do jednego z ośmiu ramion biegnących z piasty do sektorów mieszkalnych i tylko z niego można było przejść do ciągnących się wokół całej obręczy korytarzy technicznych, aby dostać się do upraw hydroponicznych albo magazynów i maszynowni zapewniających funkcjonowanie całego sektora.

– Kapralu – Valdez zwrócił się do Tregvasa – zajmiecie się ustawieniami modułów sterujących we wszystkich windach tego ramienia. Kabiny mają się zatrzymywać tylko na wydzielonych poziomach mieszkalnych, na stacji tarasów obserwacyjnych i przy bramce kosmoportu. Wszystkie pozostałe przystanki zablokujecie. Elektronicznie i mechanicznie. Zrozumiano?

Tregvas skinął głową.

– Zrobi się, sir.

– Sierżancie – porucznik przeniósł wzrok na Henryana – waszym zadaniem będzie przeprowadzenie diagnostyki technicznych wind wewnątrzprzedziałowych. Skafander ciśnieniowy znajdziecie tam – wskazał palcem włącznik.

– Mam włożyć skafander do sprawdzenia wind? – zdziwił się Święcki.

– Oszczędzamy na czym się da. Dlatego w korytarzach technicznych nie utrzymujemy atmosfery – wyjaśnił pośpiesznie Valdez, jakby przyłapano go na czymś wstydlivym. – Zaczniecie od pomieszczeń po tamtej stronie ramienia.

– Tak jest! – odpowiedział przepisowo Święcki i na tym skończyła się krótka odprawa.

Zostali sami. Henryan podniósł skrzynkę narzędziową i podszedł do włazu śluzy. Aktywował zamek kartą i czekał spokojnie, aż niewielkie pomieszczenie napełni się powietrzem. Tarcza zamka powoli zmieniała kolor z czerwonego na zielony.

– Za co zesłali kolegę na roboty? – zagaił Tregvas.

– Za nic – odparł Henryan, nie odwracając głowy.

– Jak nas wszystkich. Pułkownik Bruttal ma twardą rękę – podsumował kapral i zamilkł. Najwyraźniej brakowało mu pomysłu, jak rozpocząć właściwą rozmowę.

Święcki postanowił skrócić jego męki.

– Jeśli zamierzasz znów uderzyć do mnie z jakąś propozycją, to możesz sobie darować – powiedział, gdy tarcza zamka przybrała ciemnozielony kolor i masywny wąż odskoczył z sykiem od kołnierza.

– Wystarczyłoby zwykłe dziękuję – burknął Tregvas.

– Za co?

– Choćby za ostrzeżenie.

– Serio? – Sierżant ruszył w górę wąskich schodów. – Mam dziękować za to, że ostrzeżliście mnie, gdy wubecja przyszła zabrać jakieś gówno, które wcześniej mi podrzuciliście? Może to raczej ja powinienem usłyszeć słowo przepraszam.

Kapral spuścił wzrok.

– Staraliśmy się, żeby kryształ trafiły do kolegi...

– Nie jestem waszym kolegą, kapralu! – Ostatnie słowo zabrzmiało w ustach Święckiego jak obelga.

– Przepraszam, sierżancie.

– Za kryształ?

– Nie, za kolegę.

Dalej szli w milczeniu. Gdy dotarli na najwyższy poziom, Tregvas trzymał się

z dala od Święckiego. Stał pod ścianą i patrzył spode łba, jakby ktoś go skrzywdził.

– Dostałem przez was niezły wpięprz od czarnych – rzucił poirytowany jego zachowaniem Henryan. – Do tej pory mam krew w moczu. Za to też moglibyście przeprosić.

– Nie wiedzieliśmy, naprawdę...

– Nie wiedzieliście, że wubecja będzie miała na oku następcę Seiferta?

– Nie wiedzieliśmy, że czarni posuną się do bicia. Nigdy wcześniej nie tknęli żadnego z naszych.

Święcki sprawdził dane na wyświetlaczu śluzu. Włożenie skafandra trwało około trzech minut, mieli więc chwilę na wyjaśnienie sobie paru spraw. Po uszczelnieniu hełmu zamierzał zająć się wykonaniem powierzonego mu zadania. Każda chwila zwłoki mogła oznaczać śmierć kolejnego kleksa... Gurda, poprawił się w myślach.

– Mów, co masz do powiedzenia. Daję ci tyle czasu, ile zajmuje włożenie skafandra. Potem zabieram skrzynkę i znikam.

Tregvas oblizwał spierzchnięte wargi. Pot perlił się na jego czole, choć w śluzie wcale nie było gorąco. Ta sytuacja musiała go mocno stresować...

– Jestem tylko pionkiem – zaczął ostrożnie, wkładając stopy w rozpięty na stelażu skafander. – Jednym z wielu. Kazali mi nawywijać w kantynie, żebym tutaj trafił. Cała piątka, tam, przy windach, była od nas. Chcieliśmy mieć pewność, że Valdez nie przydzieli panu sierżantowi nikogo innego. – Zniżył konfidencyjalnie głos. – By pan sierżant mógł porozmawiać w spokoju z kimś ważniejszym.

– O czym ty gadasz, człowieku? – Święcki spojrział na niego jak na wariata.

Tregvas wskazał głową drzwi prowadzące na poziom techniczny.

– Tam czeka ktoś, kto wie znacznie więcej niż ja. Ktoś, kto naprawdę będzie mógł pana przeprosić.

* * *

Korytarz techniczny na najwyższym poziomie obręczy był znacznie węższy niż te w sektorach mieszkalnych. Druga – nie mniej ważna – różnica polegała na tym, że jego plastalowe ściany pozostawały cały czas przezroczyste. Za nimi ciągnęły się w nieskończoność ogrody hydroponiczne i komory z uprawami mięsa. Między kolejnymi polami dało się zauważyć obłe kształty zbiorników. Zielone zawierały zapasy wody, w białych gromadzono tlen.

Widząc ogrom tego miejsca, Henryan zrozumiał, dlaczego dowództwo zrezygnowało z utrzymywania atmosfery na poziomie technicznym stacji. Plantacje były w pełni zautomatyzowane, pracownicy obsługi pojawiali się w nich od święta, zazwyczaj wtedy, gdy dochodziło do poważniejszej awarii, z którą nie potrafiły sobie poradzić roboty. Ciągące się wzdłuż całej obręczy korytarze miały wiele kilometrów. Oszczędności na ogrzewaniu i napowietrzaniu tak dużej przestrzeni musiały być gigantyczne.

Teraz jednak admiralicja uznała, że zaplecze techniczne stacji może być idealnym, a zarazem odizolowanym szlakiem komunikacyjnym dla ważnych gości. Wystarczyło zablokować dostęp do kilku wind z poziomów pośrednich ramienia, aby powstała niezależna alternatywna struktura pozwalająca na szybkie przemieszczanie się dużej liczby osób między poziomami mieszkalnymi, tarasami i kosmoportem. Dzięki zamknięciu całego sektora stworzono warunki do przyjęcia i zakwaterowania kilku setek rozkapryszonych parlamentarzystów, jednakże wąskim gardłem projektu były wciąż windy, a właściwie ich brak. W każde ramię wbudowano bowiem tylko osiem szybów, zbyt mało, by wszyscy chętni mogli się dostać w tym samym czasie z obręczy na tarasy albo do kosmoportu, jeśli admiralicja zgodzi się wysłać nad pole bitwy tak wiele spartanów.

Z tego powodu pułkownik nakazał służbom technicznym zamknięcie jeszcze dwóch ramion w sektorach przylegających do wydzielonego obszaru. Dzięki temu senatorowie zyskają dostęp do kolejnych szesnastu szybów, co powinno rozładować ewentualne kolejki VIP-ów; wygodami załogi nikt się oczywiście

nie przejmował. Aby zapewnić gościom pełne bezpieczeństwo, trzeba było zablokować wszystkie wyjścia awaryjne prowadzące z części mieszkalnej na poziom techniczny – i tym właśnie, między innymi, zajmowali się teraz ukarani żołnierze.

Zewnętrzny luk otworzył się bezgłośnie. Kilka obłoczków pary poszybowało w głąb okrągłego korytarza, gdy Henryan wychodził ze śluzy. Zatrzymał się już po dwóch krokach, na jego drodze stał bowiem olbrzymi humanoidalny robot. Jedna z maszyn nadzorujących uprawy hydroponiczne, aktualnie w stanie spoczynku. Świąćki rozejrzał się niespokojnie, ale prócz zastygłej w bezruchu maszyny nie zauważył niczego ani nikogo.

Tregvas wyminął go jakby nigdy nic.

– Co wy wyprawiacie, kapralu? – zapytał zdezorientowany Świąćki. – Ja pracuję w korytarzu! Wy mieliście zająć się ramieniem.

Kapral nie zatrzymał się nawet.

– Polecenie z góry. Rozmowa potrwa trochę, a pan sierżant nie może zaliczyć kolejnej podpadziochy. Zrobię pierwszy z pańskich szybów, potem zajmę się swoimi. Szybki jestem – dodał tonem usprawiedliwienia.

– Ani kroku dalej! – ostrzegł go Świąćki. – Nie wkurzajcie mnie bardziej, Tregvas. Wracajcie natychmiast!

– Ale...

– Nie ma żadnego ale.

– Jak pan chce, sierżancie. – Tregvas wzruszył ramionami. – Chciałem tylko pomóc.

– Obejdzie się – mruknął Henryan.

Mało brakowało, a ten cholerny głupek by odkrył, że przydzielone Henryanowi szyby już zabezpieczono.

– Gdzie ten wasz „ktoś ważniejszy”? – zapytał wracającego kaprala.

Ten – nadąsany – odparł dopiero po dłuższej chwili:

– Pan aktywuje robota...

Świąćki pochylił się, odłożył skrzynkę narzędziową, a potem wcisnął

czerwony guzik na torsie plastikowego giganta. Wyświetlacze wbudowane w szkielet robota zaczęły się budzić do życia. Pół minuty później maszyna wyprostowała się płynnym ruchem.

– Dobry wieczór, sierżancie – z głośników w skafandrze Henryana dobiegł mechaniczny, bezosobowy głos.

Kimkolwiek był człowiek przemawiający przez tę maszynę, dobrze się zabezpieczył przed rozpoznaniem.

Sprytne posunięcie, uznał Święcki.

– Nie mam czasu – burknął. – Przejdźmy do konkretów.

– Wiesz, po co to spotkanie?

– Poniekąd.

Dziwny dźwięk wydobywający się z głośników skafandra mógł być westchnieniem. Albo czymkolwiek innym, nie wyłączając zwykłego zakłócenia.

– Dajmy spokój tym gierkom. Za cztery tutejsze dni rozkazy Rady Najwyższej Gurdu'dihanu dotrą do najważniejszych sithu i rozpocznie się ostatni etap krucjaty przeciw Suhurom. Nie możemy przyglądać się biernie temu, jak ginie jedna z trzech rozumnych ras w znanym wszechświecie. Zrobimy wszystko, aby nie dopuścić do jej zagłady. Jesteśmy gotowi poświęcić wiele...

– Na przykład mnie – wtrącił ostro Henryan.

– Nie, to nie tak – zaprzeczył spiskowiec mechanicznym głosem. – Louismail był jednym z nas. Ale działał z własnej i nieprzymuszonej woli. To on wymyślił plan dostarczenia broni Wojownikom Kości i to on go zrealizował. Niestety wpadł i dlatego potrzebujemy teraz twojej pomocy... – Spiskowiec zamilkł. – Bez ciebie cała nasza dotychczasowa praca pójdzie na marne.

– I dobrze, mój tajemniczy przyjacielu. Tak będzie chyba najlepiej dla wszystkich. – Święcki zmienił ustawienie serwomotorów skafandra; mógł w nim teraz wygodnie usiąść. – Mam na karku was i wubecję, nie mówiąc już o zespole dochodzeniowym starego. Nie ma chwili, żebym nie był inwigilowany przez którąś ze stron. Chcąc ze mną porozmawiać, musicie posuwać się do takich

sztuczek. Nie widzisz, człowieku, że nie jestem w stanie wam teraz pomóc?

– Mylisz się.

– Nie, nie myślę się! – wybuchnął Henryan. – I co więcej, nie zamierzam być kolejnym Seifertem.

– Nie żądamy tego od ciebie – zapewnił go spiskowiec.

– Naprawdę? – zakpił Święcki. – Czego w takim razie ode mnie chcecie?

– Wyłącznie pomocy.

– No właśnie. Za pomaganie wam grozi mi bilet w jedną stronę. Do miejsca gorszego od piekła. Wiem, co mówię, bo zajrzałem tam kiedyś. Po drodze mi było...

– Dołożymy starań, żeby do tego nie doszło.

Kolejne obietnice bez pokrycia.

– Dołożycie starań... – prychnął Święcki. – A jak coś pójdzie nie tak, znów mnie szczerze przeprosicie.

Przywódca Bogów nie odpowiedział. Święcki sięgnął do klawiatury, aby ponownie aktywować serwomotory. Zmarnował wystarczająco dużo czasu.

– Zaczekaj. – Mechaniczny głos znów popłynął z głośników. – Nie znasz całej prawdy o nas i o sprawie. Wiesz tylko tyle, ile przekazuje ci strona przeciwna, a to nie jest zbyt miarodajne źródło.

– Proszę bardzo, masz okazję uświadomić mnie tu i teraz – rzucił zniecierpliwiony Henryan.

– Nie mogę.

– Sam widzisz.

– Przekazując ci te informacje, naraziłbym zbyt wiele przyzwoitych osób.

– Sugerujesz, że powinienem wam pomóc, nie mając bladego pojęcia, co robię i dlaczego?

– Tego nie powiedziałem.

– Ciekawa sprawa, bo ja właśnie coś takiego usłyszałem.

– To bardziej skomplikowane, niż myślisz. Chociaż co do jednego masz rację. Potrzebujemy twojej pomocy i możemy wiele dać w zamian. Ale to nie

wszystko. Powinieneś wiedzieć, że Rutta nie gra z tobą uczciwie.

– Doprawdy?

– Widziałem twoją kartotekę...

– I co z tego? – zapytał Święcki. – Chyba tylko Godbless nie ma pojęcia, z kim rozmawia, kiedy łączy się z centrum dowodzenia.

– I to z tego, że Rutta pozbędzie się ciebie, gdy tylko przestaniesz mu być potrzebny.

Henryan roześmiał się na głos.

– Masz na to jakieś dowody?

– Mam.

– Ale nie możesz mi ich pokazać.

– Mogę.

– Zatem proszę, nie krępuj się...

Odpowiedź nadeszła po nieco dłuższej przerwie.

– Jutro dostaniesz przesyłkę z kodami dostępu do zastrzeżonych baz danych. Sam będziesz mógł sprawdzić korespondencję pułkownika w tej sprawie. Rutta potrzebował kogoś, kto będzie mu bezwzględnie posłuszny, dlatego kazał sprawdzić pod tym kątem przede wszystkim kolonie karne i więzienia. W ten sposób trafił na ciebie. Nadajesz się do jego celów idealnie, ale możesz być pewien, że gdy tylko doprowadzi tę sprawę do końca, wrócisz tam, skąd przybyłeś.

– I tu się grubo mylisz – powiedział Święcki bez namysłu. – Nie wrócę na Pas Sturgeona. Nigdy.

– Sprawdź korespondencję Rutty, a zrozumiesz, który z nas tkwi w błędzie.

– To nie będzie takie proste – zauważył Henryan.

– Wiem. Ale wierzę w ciebie. Rozgryłeś Annelly, choć wydawało jej się, że jest sprytniejsza od systemu. To było świetne posunięcie, przyznaję. Gdybyś przycisnął Zajcewa, zamiast udowadniać nam, jak jesteś dobry, to spotkanie wyglądałoby inaczej. Nie byłbym aż tak ostrożny.

– Myślisz, że ten kamuflaż cię ochroni?

- Tak. – Odpowiedź była krótka i stanowcza.
- Skąd ta pewność?
- Annelly jest jak dziecko: uwielbia bawić się w podchody, ale nie dostrzega szerszej perspektywy. Ja postępuję inaczej.
- To jeszcze nie znaczy, że nie zdołam cię wyśledzić. Zostawiasz ślady jak każdy. Trzeba je tylko umieć znaleźć w informatycznym szumie.
- Zatem pobaw się w detektywa, sierżancie. Uprzedzam jednak, że tym razem szum będzie przytłaczający. Nie usłyszysz w nim niczego sensownego. Pozwól, że oszczędzę ci kolejnych nieprzespanych nocy. Robot, przez którego do ciebie przemawiam, jest teraz podłączony do tysiąca czterystu terminali w sześciu sektorach obręczy, nie mówiąc o kilkuset kolejnych urządzeniach w piaście.
- Parę dni poszukiwań...
- Zgadza się. Parę dni wytężonej pracy przyniosłoby efekt, ale musiałbyś zaprząć do roboty główne komputery stacji, a tego nie możesz zrobić. Jeśli spróbujesz namierzyć mnie domowymi sposobami, nie odkryjesz prawdy przed ostatecznym rozstrzygnięciem.
- Henryan nie odpowiedział od razu. Jego rozmówca miał rację. Od ostatniej bitwy dzieliło ich już tylko kilka dni, a Rutta i Valdez siedliby mu na karku, gdyby zauważyli, że w takim momencie zaczął coś robić na własną rękę.
- Pogadamy, jak zobaczę te pliki – rzucił w końcu.
- W porządku. Daj znać Tregvasowi, gdy będziesz gotowy na następne spotkanie. Tylko pamiętaj: czas ucieka.

* * *

Święcki sprawdził po raz trzeci mocowanie linki asekuracyjnej, a potem nacisnął czerwony guzik otwierający zewnętrzny właz ostatniej śluzy. Jeden ruch ramienia wyrzucił go w niezmierną czerń pustki. Elastyczna linka, którą był przywiązany do pancerza stacji, naciągnęła się płynnie i zatrzymała go moment później. Poczuł lekkie szarpnięcie, po którym zaczął się zbliżać do obręczy.

Silniczki manewrowe pozwoliły mu na wykonanie prawidłowego obrotu, a po chwili magnetyczne podeszwy butów przywarły do porowatej powierzchni gigantycznej piasty.

Zrobił kilka niezdarnych kroków, pochylił się i sprawdził oznaczenia prowadnic. Na wózku trzeciej zobaczył symbol głównej anteny. Przypiął się do uchwytu karabińczykiem asekuracyjnym i chwilę później zwolnił zaczep magnetyczny linki. Opuścił go ostrożnie na pole kotwiczne, a gdy półkula elektromagnesu zetknęła się płaską podstawą z wypolerowanym metalem, szarpnął trzykrotnie, żeby sprawdzić, czy mocno trzyma.

Wszystko było w najlepszym porządku, mógł więc uruchomić dyszę i ruszyć. Unosząc się nad niewielkim wózekciem, sunął wzdłuż szyny prowadzącej do odległej o kilkaset metrów anteny. Jazda trwała wystarczająco długo, aby mógł się zastanowić nad swoją niewesołą sytuacją.

Rozmowa z przywódcą Bogów wstrząsnęła nim bardziej, niż przypuszczał. Kazała mu też poważnie zastanowić się nad tym, co powinien teraz zrobić. Bał się dalszego życia z poczuciem winy, a to coraz bardziej go przytłaczało. Był jednak człowiekiem – istotą genetycznie uwarunkowaną do walki o przetrwanie. Nie mógł, nie umiał poddać się depresji, choć ta wciąż brała górę, jak choćby wtedy, gdy postawił się wubecji. Wówczas miał gdzieś, czy przeżyje, ba – wolał nawet zginąć z ręki tego sadysty, byle nie musieć już więcej myśleć. Był gotów na wiele, żeby tylko nie wrócić na Pas Sturgeona, i wiedział, że jeśli ktokolwiek spróbuje go tam odesłać – Bogowie, Rutta czy jakiś czarnuch – ten mocno się zdziwi.

Do niedawna uważał, jak widać naiwnie, że w tym tunelu jest światełko i że jedyną szansę na odzyskanie pełnej wolności da mu bezwzględne posłuszeństwo wobec pułkownika. Tymczasem – jeśli w słowach, które usłyszał w korytarzu technicznym, było ziarno prawdy – nawet to rozwiązanie gwarantowało mu powrót do kolonii karnej, i to bez względu na to, jak zakończy się konfrontacja z Bogami. Spławienie wubecji niczego nie zmieniło. A Rutty nie może przecież zaszantażować w podobny sposób.

Co mi zatem pozostaje, zakładając, że Bogowie nie kłamią? Wyłącznie odejście, uznał w myślach. Skoro tak, odejdę z takim hukiem, że cały znany wszechświat o mnie usłyszy.

Zaraz jednak odezwał się w nim głos rozsądku. Najpierw trzeba było sprawdzić, czy przywódca Bogów faktycznie nie kłamał.

Uśmiechnął się pod nosem. Wbrew pozorom spiskowcy dotarli do niego w idealnym momencie.

Wózek zaczął zwalniać. Święcki zbliżał się już do obłej podstawy, na której zamocowano pęk długich masztów antenowych. Szyna przewodnicy skręcała tutaj długim łagodnym łukiem pod kątem dziewięćdziesięciu stopni i biegła dalej aż do szczytu najdłuższego z nich. Cel jego wyprawy znajdował się jednak o wiele niżej, tuż nad podstawą konstrukcji. Gdy wózek się zatrzymał, Henryan poluzował nieco linkę, przesunął się nad moduł złącza i przymocował do niego dwoma karabińczykami. Dopiero po trzykrotnym sprawdzeniu linek wyłączył elektromagnesy podtrzymujące przytroczony do lewej nogawki kombinezону pakunek z konsolą przenośnego komunikatora i podłączył urządzenie do jednego z gniazd.

Odczekał kilkanaście sekund, pozwalając, by konsola wykonała wszystkie testy, a gdy zapalił się rząd zielonych kontrolek, wcisnął kwadratowy klawisz aktywujący nadajnik. Milisekundowy impuls opuścił antenę i pomknął z prędkością światła ku nanobotom pozostawionym przez Seiferta w jaskiniach. Moment później na ekranie konsoli pojawiły się wiadomości zwrotne.

Święcki uśmiechnął się. Zadanie wykonane. Wypiął konsolę z gniazda, rozejrzał się, po czym wziął szeroki zamach i cisnął ją w przestrzeń.

OSIEMNAŚCIE

System Xan 4, Sektor X-ray,

14.09.2354

Hakrad Redo-Tele przykucnął przy ognisku, aby rozgrzać zziębnięte ręce. Służąc przy ołtarzach na wyżynie, rzadko miał okazję uczestniczyć w rytuale mającym na celu przebłaganie bogów. Zdarzało mu się złożyć w ofierze kilku czworonogich, lecz nigdy nie trwało to tak długo.

Większe ze słońc chyliło się ku zachodowi, gdy garstnia Temeha Dokrukume doprowadziła do jaskiń kolejne węzły jeńców. Kapłan przyjrzał się stojącemu po drugiej stronie płomieni młodemu Wojownikowi Kości. W klatkach wisiało już sześciu jego towarzyszy broni. Za chwilę powinien dołączyć do nich ostatni z garstni.

Hakrad Redo-Tele wstał wolno, wspierając się na aradzie, po czym ruszył na występ. Rekne Tare cofnął się z szacunkiem na obręcz jaskini i złożył dłonie na plecach.

– Już czas – powiedział kapłan.

– Dakko Turi!

Z ciemności wynurzyła się przygarbiona i długoręka sylwetka młodego Wojownika Kości z garstni mającej zastąpić ofiarników. Krępy, lekko kulejący na prawą nogę i zlany niebieską posoką Rekne Tare zdjął pazurzaste rękawice i rzucił je na skałę tuż obok sześciu nieregularnych stosów. Chwilę później nakryła je lśniąca kościana zbroja.

– Jesteś gotów, Rekne Tare z łęgu mocarnego Mare Deto-Zuri? – zapytał najstarszy kapłan.

– Jak zawsze!

Arad powędrował w górę, ale zanim jego końcówka opadła na kamień, z głębi jaskini rozległ się głośny hurkot. Hakrad Redo-Tele zamarł.

– To znak! – zawołał Rekne Tare, podbiegając do skraju rozpadliny. – Kraga Snaro! Kraga Snaro doznał objawienia! – Garstnik odwrócił się do powstających z miejsc wojowników. – Duchy Gór wysłuchały naszych próśb!

Wszyscy pośpieszyli w stronę drewnianej konstrukcji, na której końcu wisiała klatka Kragi Snaro. Dwaj Wojownicy Kości kręcili już kołowrotem, zwijając skórzaną linę. Zanim jednak zdolali obrócić wysięgnik i oswobodzić wyczerpanego towarzysza, z ciemności dobiegł kolejny hurkot.

– To Reme Naro! – poinformował wszystkich Rekne Tare. – Reme Naro także doznał łaski!

Najstarszy kapłan skinął aradem w jego stronę.

– Wyciągnijcie ich obu, przypalcie rany i przywieźcie do mnie – zarządził.

Ruszył do ogniska, czując drżenie we wszystkich członkach. Oto nadchodził wielki moment w historii Suhurty, a on miał być jego świadkiem i piewcą niosącym wieści reszcie klanu. Przykucnął pośpiesznie i pewniej ujął trzon arada. Był gotów na wysłuchanie objawienia.

Kraga Snaro i Reme Naro pojawili się razem, prowadzeni przez wojowników z garstni Kire Tako-Dote. Obaj ledwie trzymali się na nogach, ale dzielnie odmawiali przyjęcia pomocy.

– Otwórzcie membrany! – Hakrad Redo-Tele uderzył aradem z całych sił, aż poszło echo.

– Duchy Gór przemówiły... Wasza ofiara została przyjęta – zahurgotał ledwie słyszalnie wycieńczony Kraga Snaro.

– Bogowie opuścili was, ale w nadchodzącej bitwie staniemy po waszej stronie – dodał jeszcze ciszej chwiejający się na nogach Reme Naro.

Zapadło milczenie. Przez kilka spęcznień błony było słyhać tylko trzaskający

ogień. W końcu kapłan wstał.

– Wyciągnijcie pozostałych – rozkazał, przywołując garstnika. – Wyruszam natychmiast do sadyby klanu Trzykrotnie Przebitej Tarczy, aby zanieść Najwyższemu Suhurowi wyczekiwaną nowinę.

– A co z resztą jeńców? – zapytał Kire Tako-Dote ledwie mającący w gęstniejącym półmroku.

Hakrad Redo-Tele skupił uwagę na zagrodzie, w której zgromadzono już kilkanaście płodnosów. Miał nadzieję wypatroszyć je osobiście ku chwale bogów Słońc i Gwiazd. Niestety Duchy Gór pokrzyżowały jego plany.

– Ofiarujcie ich do ostatniego – odparł, wskazując ręką na zbocze, po którym prowadzono następne węzły jeńców. – Podziękujmy Duchom Gór za okazaną nam łaskę.

Gdy opuszczał wzniesienie, ze wszystkich stron dobiegały świsty zadowolenia.

DZIEWIĘTNAŚCIE

System Xan 4, Sektor X-ray,

14.09.2354

Święcki zauważył, że coś jest nie tak, gdy tylko wysiadł z kolejki. Na korytarzu przed centrum dowodzenia roiło się od ludzi w niebieskich kombinezonach pionu naukowego. Sądząc po ich minach, byli mocno wzburzeni. Wielu dyskutowało zażarcie, wymachując rękami i czytnikami. Przy grodzi stało też znacznie więcej strażników niż zwykle. Skanowali uważnie każdego, kto wchodził do środka.

Henryan minął posterunki bez większych przeszkód i skierował się prosto do swojego stanowiska. Za konsolą siedział jego zmiennik z wubecji, wyraźnie wściekły.

– Co tu się wyprawia? – zapytał go sierżant, ale w odpowiedzi usłyszał jedynie głośnie burknięcie.

Przejęcie służby poszło o wiele szybciej niż zazwyczaj. Czarny odcisnął kciuk na ekranie czytnika, nie patrząc nawet na zapisy. Święcki zajął zwolnione miejsce i zwyczajowo dokonał szybkiego przeglądu sprzętu. Gdy zaczął sprawdzać bieżące przekazy, poczuł na ramieniu czyjąś dłoń.

– Nie rób zdziwionej miny, kiedy dotrzesz do stanowiska numer czternaście – usłyszał porucznika Valdeza.

Czyżby coś poszło nie tak? pomyślał Henryan, sprawdzając kolejne połączenia. Gdy doszedł do przekazów z jaskiń, z najwyższym trudem opanował

zaskoczenie. Na pokrytej posoką obręczy nadal stali trzej Wojownicy Kości. Jeden z nich brał właśnie zamach miazdzerem, by połamać przednie kończyny beczułkowatego Gurda. Czarnoskóra istota padła na skaliste zbocze i z przeraźliwym kwikiem zaczęła się zsuwać ku mrocznemu dnu jaskini... Suhurowie nie przerwali ceremonii? rozmyślał gorączkowo Święcki. Przekaz do nich nie dotarł? Skąd więc ten szum przed drzwiami centrum?

Po zakończeniu rutynowej kontroli Święcki spisał krótki raport, a potem opadł ciężko na oparcie fotela. Dzięki środkom uspokajającym zdołał przetrwać noc, ale był wykończony. Informacja o nieczystych zamiarach Rutty zasiała w nim coś więcej niż tylko niepokój. Spojrzał na podwyższenie, jednakże niczego nie zobaczył, gdyż ekrany otaczające stanowisko dowodzenia były podniesione. Przeniósł więc wzrok na Valdeza. Porucznik stał u podnóża schodów, czekając chyba na odpowiedni moment, by porozmawiać ze starym. Co ciekawe, wyglądał na odprężonego. To mogło znaczyć, że Rutta jest zadowolony z efektów misji, chociaż nie udało im się przerwać upiornego spektaklu.

Na panelu holowizora pojawiła się świetlista bryła, która po kilku sekundach przybrała kształt łysej głowy o azjatyckich rysach.

– Centrum, tutaj doktor Fukkuya – z głośników popłynął melodyjny głos. – Potrzebuję dodatkowego zestawu kamer na stanowisku szesnastym. Natychmiast.

– Stanowisko szesnaste, przyjąłem – powiedział szybko Henryan, odwracając się do konsoli. – Kamery będą na miejscu za trzy minuty.

– Dziękuję, bez odbioru.

Hologram zniknął.

Przez kilka chwil nic się nie działo. W centrum dowodzenia panował idealny spokój. Wystarczyła jednak sekunda, by za plecami Henryana rozpełtało się piekło.

– Ja was wszystkich załatwię! – Piskliwy głos dobiegający z podwyższenia był tak donośny, że nawet ludzie w korytarzu umilkli, gdy go usłyszeli. – Admirał Okonera dowie się o wszystkim! To sabotaż! Sabotaż!

Gdy doktor Godbless stanęła na najwyższym stopniu schodów, porucznik odsunął się na bok, z trudem powstrzymując śmiech. Zasalutował, gdy go mijiała, ale służbowy gest rozsierdził ją jeszcze bardziej. Podniosła palec oskarżycielskim gestem, zamachała nim Valdezowi przed twarzą, otworzyła usta, a potem zamknęła je, nie wydawszy żadnego dźwięku. Moment później znalazła się za grodzią, gdzie natychmiast otoczył ją tłum naukowców. Gwar powrócił, jeszcze żywszy i głośniejszy.

– Pry!

Henryan oderwał oczy od zbiegowiska, by spojrzeć na mostek. Porucznik zapraszał go ruchem głowy na podwyższenie. Rutta stał tam z dłońmi opartymi o barierkę, wolno poruszając szczęką. Nie wyglądał na bardzo zdenerwowanego, aczkolwiek ten dziwny ruch zuchwy... Świątki przekazał kontrolę nad łącznością wachtowemu ze stanowiska trzeciego, upewnił się, że jego nieobecność nie zwiększy chaosu, i dopiero wtedy ruszył w kierunku schodów. Pokonał szybkim krokiem czternaście stopni prowadzących do królestwa Bruttala. Stał obok wyprężonego Valdeza i czekał, aż dowódca ponownie odizoluje tę część centrum dowodzenia. Ekrany energetyczne zamruczały kojąco, ledwie pułkownik usiadł za biurkiem.

– Świetna robota, sierżancie – rzucił Rutta, odchylając się w fotelu.

Henryan najpierw strzelił przepisowo obcasami, a potem położył na blacie osobisty czytnik, w którym opisał przebieg misji. Starał się zachowywać normalnie, chociaż wspomnienie tego, co usłyszał w korytarzu technicznym, ani na moment go nie opuszczało. Niestety jak dotąd nie udało mu się zweryfikować wiadomości od przywódcy Bogów. Choć regularnie sprawdzał wszystkie kieszenie, nie znalazł w nich kryształu.

– Szkoda, że zupełnie niepotrzebna – mruknął, nie kryjąc zawodu.

Pułkownik uśmiechnął się półgębkiem, sięgając po czytnik.

– Zależy, jak na to spojrzeć – stwierdził.

– Nie rozumiem... – Świątki rzucił okiem na milczącego wciąż Valdeza.

– Z punktu widzenia Gurdów rzeczywiście niewiele się zmieniło – powiedział

Rutta. – Za to z naszego... – zawiesił znacząco głos.

– Dzięki wam, sierżancie, udało się wyeliminować ostatni słaby punkt w zabezpieczeniach stacji – wtrącił szybko porucznik, kiedy stary zagłębił się w lekturze raportu. – Gratuluję. Mieliście znakomity pomysł. Nawet wubecja kupiła wyjaśnienie, że to niespodzianka pozostawiona przez Seiferta. Wasz zmiennik przekopał cały system łączności, ale nie znalazł niczego, co wskazywałoby na źródło transmisji. No i Godbless dostała za swoje. Nie nakręci samobójczej śmierci młodych Wojowników Kości.

Ale nie osiągnęliśmy głównego celu, którym było ocalenie kilku tysięcy gurdyjskich jeńców, pomyślał Henryan, słuchając radosnego tonu Valdeza.

– Staram się jak najlepiej wykonywać powierzone mi zadania – wyrecytował wyświechtaną formułkę, kiedy porucznik w końcu zamilkł, i znów strzelił obcasami.

Mimo zażycia dwu tabletek z każdą chwilą czuł się gorzej. Widok rozradowanych przełożonych przywodził mu na myśl usłyszane poprzedniego dnia słowa. Jeśli mechaniczny głos nie kłamał...

– Na to liczyliśmy, oferując wam zwolnienie warunkowe – odezwał się Rutta, kładąc czytnik na blat. – Niestety nie mogę cofnąć wam karnych wacht, jednakże porucznik zadba o to, byście mieli wystarczająco dużo wolnego czasu.

– Dziękuję, sir. – Świącki pochylił się, aby zabrać urządzenie.

– Zanim odejdziecie – pułkownik położył dłoń na obudowie czytnika – możecie mi wyjaśnić, co robiliście na zewnątrz przez trzydzieści siedem minut?

– Miałem problem techniczny, sir. Nie mogłem odzepić elektromagnesu linki asekuracyjnej. Musiałem ją w końcu przeciąć, żeby wrócić na stację. Nie opisałem tego w raporcie, ponieważ była to zwykła awaria, niemająca nic wspólnego z celem misji. Chyba nie powinniśmy meldować o niej intendenturze...

– Tym razem przymknę na to oko. – Rutta cofnął powoli rękę. – Załatwimy to po cichu. Na przyszłość jednak wolałbym, abyście umieszczali w raporcie wszystkie szczegóły. Nawet te, które wydają się wam mało istotne.

– Tak jest.

Pułkownik odwrócił się, sięgając do wyłącznika pola siłowego.

– To wszystko. Możecie odmaszerować.

DWADZIEŚCIA

Ten mikrokryształ był mniejszy. Henryan obracał go w palcach, siedząc na koi. Miał niespełna godzinę do rozpoczęcia dodatkowej służby. Zjadł szybki obiad, wziął krótki prysznic i usiadł, aby zastanowić się nad kolejnym ruchem. Ta przezroczysta piramidka kryła odpowiedź na dręczące go od wczoraj wątpliwości. Bardzo chciał ją poznać, ale odczuwał też strach. Sięgnął po naczelnik. Dalsze zwlekanie nie miało sensu. Wcisnął mikrokryształ do komory i oparł się plecami o chłodną gródź.

Najpierw zobaczył obiecane kody, chwilę później w ciemności pojawiły się też foldery z przejętą przez Bogów korespondencją pułkownika. Nie zamierzał ich otwierać. Dobry informatyk mógł umieścić w kopiach wiadomości dowolne treści, nie zostawiając śladów wprowadzonych zmian, a on nie miał czasu na żmudne analizy wszystkich plików. Jeśli miał uwierzyć, że to nie kolejna podpucha, musiał dostać się do oryginalnych plików.

Moment później w polu widzenia zobaczył trójwymiarową mapę poziomą – jeśli wierzyć napisom, jednego z tych, które odcięto na potrzeby delegacji senatu. W kilku miejscach pulsowały czerwone punkty. Święcki zrobił zbliżenie jednego z nich. Zestaw trzech sąsiadujących kabin połączono w wygodny apartament, który zgodnie z opisem został przydzielony jednemu z marszałków senatu. W środkowym pomieszczeniu znajdowało się przenośne centrum komunikacyjne o najwyższym poziomie dostępu. Z takiej maszynki, gdyby udało się ją zhakować, można by nadać każdy sygnał, obchodząc nawet blokady dowództwa stacji. Za jej pomocą Bogowie mogliby zarządzić nawet

bombardowanie gurdyjskiej stolicy. Jednakże nie to było najbardziej interesujące...

Henryan sprawdził też pozostałe znaczki – wszystkie wskazywały na kabiny znanych senatorów i miały podobny status. Z każdego z nich dało się dotrzeć do wybranych plików. Jedyny problem stanowiło dostanie się do tych pomieszczeń. Na pewno były zamknięte na cztery spusty i monitorowane całą dobę.

Sprytnie sobie pogrywacie, moi drodzy, pomyślał, gdy zrozumiał, że nie uda mu się skorzystać z tych urządzeń bez wzbudzania podejrzeń pułkownika oraz co obecnie było dla niego mniejszym problemem – wubecji. Pokazujecie mi korespondencję, być może sfabrykowaną, i miejsca jej pozyskania, do których nigdy nie zdobędę dostępu.

ZGŁOŚ VALDEZOWI PODEJRZENIE
ZHAKOWANIA TYCH KONSOL.

Henryan drgnął, gdy przed oczami zapłonął mu nagle ten napis. Litery rozplynęły się po chwili, ale to wystarczyło, by zrozumiał, że podsunęto mu bardzo proste i skuteczne rozwiązanie. Musiał przyznać, że Bogowie zaplanowali tę akcję z wielką starannością. Był jedną z dwu osób zdolnych wykryć złamanie procedur. I chyba jedyną, którą Rutta i Valdez darzyli zaufaniem. To mogło się udać...

ZAINSTALUJ WIRUSA, KTÓREGO ZNAJDZIESZ
NA TYM KRYSZTALE.
OPROGRAMOWANIE SEIFERTA
UMOŻLIWI CI PODGLĄD
I ŚCIAgniĘCIE ZASTRZEŻONYCH PLIKÓW
W TYM SAMYM CZASIE, GDY DOSTĘP DO NICH
BĘDZIE MIAŁ SAM RUTTA.

Kolejna znakomita myśl. Jeśli pułkownik wejdzie na własną pocztę, program Seiferta umożliwi jej podgląd, a nawet ściągnie zawartość wskazanych plików

na konsole parlamentarzystów. System nie odnotuje oddzielnego wejścia do tej bazy danych, a Rutta nie znajdzie zapisu o otwarciu któregokolwiek z plików w czasie, gdy sam nie korzystał z sieci.

To takie proste, że aż genialne, pomyślał Święcki, ściągając naczelnik.

Do rozpoczęcia karnej służby pozostało mu jeszcze dwadzieścia pięć minut.

* * *

Ten sam korytarz, ta sama ekipa. Za to sprzęt inny. Tym razem nie dostali wielkich skrzynek narzędziowych, lecz przenośne skanery i analizatory. Tregvas znów stanął na przeciwnym końcu krótkiego szeregu. Tego dnia był o wiele pogodniejszy i chyba spokojniejszy. Nie musiał brać na siebie roli pośrednika ani liczyć się z dodatkową robotą.

W porę dostrzegli porucznika. Tym razem przełożony pojawił się w głębi głównego korytarza. Mieli zatem czas przygotować się na jego nadejście.

– Spocznij. Bodko i Ramirez, zajmiecie się programowaniem skanerów w korytarzu głównym. Stuyvesant i Kimmie biorą odgałęzienia po lewej. Tregvas i Pry wszystkie kabiny na prawo od tego miejsca. – Valdez wskazał środek korytarza. – Jakież pytania?

– Tak jest! – Kapral wystąpił przed szereg.

– Słucham.

– Proszę o pozwolenie na późniejsze rozpoczęcie pracy!

– Co takiego?

– Melduję, że otrzymałem wezwanie na badania kontrolne. – Tregvas wyciągnął dłoń z kartą danych.

Porucznik podszedł do niego, wsunął nośnik do czytnika, uważnie przestudiował zapis, a potem spojrział na zegarek.

– Badania zaczynają się za pół godziny, potrwać około czterdziestu minut. Macie być na miejscu o osiemnastej zero zero, zrozumiano?

– Tak jest! – Tregvas wyprężył się jak struna.

– Sprzęt możecie zostawić tutaj. – Valdez wskazał złożone siedziska pod przeciwległą ścianą. – Reszta, odmaszerować!

Henryan poprawił wiszący na ramieniu skaner i zrobił w lewo zwrot, podobnie jak pozostali. Kiedy wzrok porucznika spoczął na jego twarzy, dał umówiony znak i chwilę później zniknął za załomem korytarza. Pierwsza kabina znajdowała się zaledwie kilka kroków od rozwidlenia.

Podłączył sprzęt diagnostyczny do gniazda pod panelem, by wgrać nowe oprogramowanie. Instalacja poszła gładko. Otworzył kontrolnie drzwi, zamknął je i odhaczył numerek na liście. To była pierwsza ze stu trzydziestu takich kontroli, jakie powinien przeprowadzić tego dnia. Na jego szczęście dwa dni wcześniej inny ukarany żołnierz wykonał już tę robotę. Wystarczyło więc dojść do kolejnego zakrętu i zniknąć na dwie, a nawet trzy godzinki w którejś z kabin. Henryan postanowił poczekać w korytarzu do chwili, gdy Valdez załatwi swoje sprawy i wróci. Nie trwało to długo. Widocznie porucznika też interesowało, co podwładny ma do powiedzenia.

Spotkali się przy siódmych drzwiach, już za rogiem.

– Co się dzieje? – zapytał Valdez, sprawdzwszy, czy pracujący po przeciwnej stronie sektora Stuyvesant i Kimmie także dotarli do bocznych odnóg korytarza.

– Chyba wiem, co kombinują Bogowie – odparł z podnieceniem Święcki, starając się wypaść jak najnaturalniej.

– Mów. – Porucznik wyglądał na szczerze zainteresowanego.

– Chcą wykorzystać którąś z konsol na tym poziomie do obejścia systemu.

Valdez zmarszczył brwi. Doskonale wiedział, że Henryan nie ma dostępu do informacji o zainstalowanym tu sprzęcie. Chyba że był w kontakcie ze spiskowcami, którzy o wszystkim go informowali.

– Jak zamierzają to zrobić? – zapytał.

– Seifert zhakował kilka z nich.

– Nonsens! – obruszył się Valdez. – Seifert już siedział, kiedy instalowaliśmy je w apartamentach senatorów.

– A skąd je pobraliście? – spytał Święcki, nie kryjąc ironii.

- Z magazynów stacji – odparł zdziwiony porucznik.
 - Z tych samych, z których znikają od dawna części pancernicy?
 - Kurwirtual! – ryknął Valdez, cofnął się o krok i jeszcze raz wyjrzał zza węgła. – Wiesz, o które stacje chodzi?
 - Nie mam bladego pojęcia, ale zakładam, że o wszystkie z najwyższym poziomem dostępu.
 - Dlaczego tylko o nie?
 - Bo tylko z nich można obejść systemy stacji.
- Porucznik zasępił się.
- Fakt – mruknął, sprawdzając coś na czytniku. – Będziemy musieli sprawdzić aż szesnaście terminali. Ile to może potrwać?
 - Sprawdzenie jednego systemu tej mocy to, bo ja wiem... od ośmiu do dziesięciu godzin.
 - Szybciej się nie da? – naciskał Valdez.
 - To zależy. Jeśli trafię na modyfikacje już w pierwszych obwodach... – zawiesił głos, a potem pokręcił głową.
 - Co? – zaniepokoił się zastępca dowódcy.
 - Znając Bogów, to mogłaby być podpucha. Oni są naprawdę cwani. Musimy zrobić pełną diagnostykę każdego terminala po kolei.
 - No dobrze... Chodźmy.

Chwycił Henryana za ramię i pociągnął go w głąb bocznego korytarza. Minęli kilka grodzi, skręcili wiele razy. W końcu znaleźli się przed szybem windy technicznej. Tam Valdez wyjął komunikator i odbył krótką rozmowę z pułkownikiem. Na uboczu, żeby przypadkiem Święcki go nie podsłuchał. Jednakże nawet z daleka było widać, że porucznik ma niezłego stracha. Pod jego nosem doszło do kolejnego krytycznego przeoczenia. Najpierw kamery pozostawione samopas w jaskiniach, potem anteny zewnętrzne, a teraz na domiar złego zhakowane konsole przeznaczone dla najważniejszych notabli. Nagrał sobie, i to zdrowo.

- Stary jest wkurwiony na maksa – rzucił Valdez, wróciwszy pod windę – ale

nie pozwolił, żebym wprowadził cię do kabin przygotowanych dla senatorów. To teren zastrzeżony. Nie wejdzie tam nikt, kto nie ma najwyższego stopnia dostępu.

– Zdalnie tego nie zrobię – zastrzegł się Święcki.

– Wiem... – westchnął porucznik.

Milczeli przez dłuższą chwilę. Valdez główkował, Henryan udawał zatroskanego. Wiedział, że dopuszczą go w końcu do któregoś terminalu, w przeciwnym razie musieliby je wszystkie usunąć, czego władza by im nie wybaczyła.

– Lepiej się pośpieszmy, jeśli mamy zdążyć – ponaglił go Święcki.

– Nie poganiaj mnie. – Valdez raz jeszcze wyjął komunikator i odszedł na bezpieczną odległość.

Tym razem rozmowa była krótka, a jego gesty o wiele żywsze i bardziej zdecydowane. Wrócił po kilkunastu sekundach.

– Możesz tam wejść, ale będziesz pracował pod moim nadzorem. Mam cię nie spuszczać z oka.

– Nie ma sprawy. – Henryan przystał na tę propozycję od razu. O coś takiego właśnie chodziło. – Ale gołymi rękami tego nie załatwię. Tym złodem też raczej nie. – Wskazał na przenośne zestawy diagnostyczne.

– Zrób listę tego, co będzie ci potrzebne. – Porucznik podał mu czytnik.

Chwilę później zrobił wielkie oczy.

– O co chodzi z tym żarciem?

– Przecież to nie potrwa godzinę – wyjaśnił sierżant. – Niewykluczone, że spędzimy tam większą część nocy.

– Kurwirtual! – Valdez nie wyglądał na uszczęśliwionego.

– Sam pan mi powiedział pierwszego dnia, żebym nie liczył na wiele luzu...

Te słowa zastępcy dowódcy zmilczał.

* * *

Święcki wiedział, gdzie szukać modyfikacji zostawionych przez Seiferta. Właściwie znalazłby je równie szybko, nawet gdyby tajemniczy informator Bogów nie pokazał mu wszystkich zmian na schematach zhakowanych urządzeń. Oprogramowanie centrów komunikacji nie miało przed nim żadnych tajemnic. Zamiast pełnego skanu – a taki zamierzał zrobić na użytek porucznika – wybrałby do sprawdzenia trzy kluczowe bloki, dzięki czemu załatałby wszystkie dziury w systemie, tracąc najwyżej godzinę. Wykrycie i zneutralizowanie modyfikacji dokonanych przez Bogów było jednak wstępem do znacznie poważniejszego zadania. W którymś momencie będzie musiał wgrać własny soft potrzebny do przechwycenia poczty pułkownika.

Wiedział, że Valdez nie spuści go z oka nawet na sekundę. Liczył jednak na to, że kilka godzin beczynnego ślęczenia uśpi jego czujność albo przynajmniej znacznie ją ograniczy. Dlatego czekał cierpliwie, wykorzystując ten czas na przygotowania.

Uświadomił sobie przy tym, że nadzór Valdeza umożliwi mu szybkie wykonanie najtrudniejszej części zadania. Nie będzie musiał czekać, aż stary aktywuje prywatną konsolę komunikacyjną. Wystarczy przecież, że jego zastępca połączy się z nim na zastrzeżonym kanale, aby zameldować o sukcesie...

* * *

– Mam go! – Święcki odchylił się na fotelu, pozwalając znudzonemu porucznikowi spojrzeć prosto w wyświetlacz konsoli. Czerwone okienka informowały o wykryciu kodu niezgodnego z wzorcem systemu.

– Świetnie! – Valdez wyprostował się, rozciągając usta w tryumfalnym uśmiechu. Zerknąwszy na wyświetlacz czytnika, rozpromienił się jeszcze bardziej. – Tylko cztery godziny i już mamy sukces.

Po wcześniejszych narzekaniach sierżanta spodziewał się zakończenia pierwszego etapu prac dopiero w porze pobudki.

- Mamy, ale nie całkowity – zgasił go natychmiast Świącki.
- Słucham?
- To pierwsza modyfikacja, ale na pewno nie ostatnia. Znam ten system, wiem zatem, że trzeba co najmniej trzech podobnych, by zyskać całkowitą pewność, iż wszystko zadziała jak należy.
- Aż trzech?
- Czasem nawet czterech i więcej. To zależy wyłącznie od skali zmian, jakie chce wprowadzić haker.
- No nie... – Porucznik opadł ciężko na fotel.
- Spokojnie – pocieszył go Henryan – zlokalizowanie pozostałych zmian potrwa znacznie krócej. Teraz już wiem, czego szukać.
- Ile czasu jeszcze potrzebujesz?
- Godzinę, w najgorszym razie półtorej... – Świącki zamilkł, widząc niepewną minę Valdeza. – Ale już bez konieczności pilnowania tego złomu – dodał.
- Lejesz miód na moje serce. – Zaspany porucznik uśmiechnął się szeroko. Bezczynność go wykańczała; ilekroć nie miał na czym skupić myśli, powoli odpływał.
- Gdy wykryjemy wszystkie modyfikacje w tej konsoli – zapewnił go Henryan – wpiszę je do trackera, którego wykorzystamy do automatycznego wyszukiwania i blokowania wszelkich nadpisanych treści. Dzięki niemu w zaledwie parę godzin sprawdzimy i wyczyścimy wszystkie konsole w tym sektorze. Będą działały jak poprzednio, odpowiadając na sygnały testowe, ale o godzinie zero nie wykonają żadnego polecenia z zewnątrz. Bogowie do samego końca nie będą wiedzieli, że je znaleźliśmy i zneutralizowaliśmy.
- Rewelacja! – Tym razem Valdez zareagował bardziej entuzjastycznie.

* * *

Świącki zwlekał z następnym ruchem do momentu, w którym opuchnięte

powieki porucznika zaczęły mimowolnie opadać. Bezmyślne patrzenie na wyświetlacze, po których spływały kaskady linii kodu, otepiało umysł równie sprawnie jak zażycie substancji odurzającej. Może z tą różnicą, że narkotyki działały o wiele szybciej, a człowiek miał po nich znacznie bardziej kolorowe wizje...

Henryan otrząsnął się z zamyślenia. Proszę, oto najlepszy dowód na to, co taka monotonna praca może zrobić z człowiekiem. Mimo że miał zajęcie, sam zaczynał odpływać. Kolejne spojrzenie na porucznika utwierdziło go w przekonaniu, że może zaczynać.

– Jestem gotowy – rzucił, nie odwracając się nawet do przełożonego.

– Gotowy? – zabelkotał wyrwany ze stuporu Valdez. – Możemy już iść? – zapytał półprzytomnie.

– Napisałem program skanujący – sprecyzował Henryan, pokazując mu kryształ wyjęty przed momentem z przenośnego kodera.

– Tak. Tak. – Valdez próbował się skupić.

– Możemy zaczynać? – Świącki przysunął się do konsoli, spoglądając pytająco na przełożonego.

– Jasne...

Zanim sierżant zdążył wsunąć piramidkę do komory, poczuł na ramieniu dłoń Valdeza.

– Moment! – rzucił nagle porucznik.

Henryan jęknął głośno, żeby tamten to usłyszał, po czym odsunął się powoli od urządzeń.

– Co znowu? – zapytał.

Valdez wyciągnął do niego rękę.

– Muszę najpierw sprawdzić, co jest na tym kryształ. – Widząc błagalne spojrzenie podwładnego, wyjaśnił: – Nie ja ustalam zasady, Pry.

– Rozumiem. – Świącki podał mu lśniąca piramidkę, a ta trafiła natychmiast do analizatora porucznika.

Kilka minut później Henryan otrzymał kryształ z powrotem, a uspokojony

i usatysfakcjonowany Valdez przetarł oczy, ziewając przy tym, jakby zamierzał połknąć cały świat. Sierżant na to tylko czekał. Jeden szybki ruch dłoni wystarczył, by podmienić nośniki danych. Taka sama jak poprzednia piramidka trafiła do komory, a wraz z nią odpowiednie oprogramowanie. Pięć minut później na wyświetlaczach pojawił się sygnał o całkowitym zabezpieczeniu centrum komunikacyjnego.

Henryan wyjął kryształ, odwrócił się, by schować go do etui, ale zamarł w pół ruchu, po czym wyciągnął rękę w kierunku Valdeza. Porucznik spojrział tępo na podmieniony po raz drugi kryształ, jakby nie rozumiał, o co chodzi.

– Lepiej niech pan go trzyma – powiedział Świącki, zdławiwszy ziewnięcie. – To nam oszczędzi kolejnych kontroli.

Valdez pokiwał głową, znów zerkając na wyświetlacz czytnika, aby sprawdzić godzinę.

– Dobry pomysł, Pry – wymamrotał. – Zbierajmy się. Musimy złapać chwilę snu.

Henryan skrzywił się w myślach. Czyżby porucznik nie zamierzał skontaktować się z Rutką, by poinformować go o sukcesie? Gdy przeniósł wzrok na wyświetlacz i zobaczył, jak jest późno, zrozumiał, dlaczego ten punkt planu nie wypali.

Szkoda... Trzeba będzie poczekać do rana.

Valdez wstał, sięgnął po czytnik i ruszył chwiejnym krokiem do drzwi. Zatrzymał się jednak, zanim przekroczył próg. Przepuścił Henryana, spoglądając na niego przepaszająco.

– Zaczekaj w korytarzu – poleciał.

– Stało się coś? – Świącki udał zaniepokojenie.

– Nie, nic. Muszę tylko zameldować staremu, na czym stoimy.

Sierżant wzruszył ramionami, jakby ta sprawa zupełnie go nie obchodziła.

– Niech pan się pośpieszy – poprosił, opierając się plecami o chłodną gródź. – Padam z nóg.

Valdez skinął głową i wrócił do kabiny. Henryan uśmiechnął się lekko, gdy

przełożony zniknął z pola widzenia. Sięgnął też instynktownie do kieszeni, w której spoczywał naczelnik. Jednak nie będzie musiał czekać do rana, by zweryfikować wiadomość Bogów.

DWADZIEŚCIA JEDEN

Wojsko korzystało z dwóch rodzajów środków łączności. W normalnych warunkach przesyłano z prędkością światła szyfrogramy do jednostek kurierskich stacjonujących przy punktach wyjścia – jak nazywano potocznie wloty tuneli czasoprzestrzennych – a te dostarczały je do docelowych systemów gwiazdnych, co oczywiście trwało. Naukowcy robili zatem co mogli, by wymyślić alternatywne sposoby szybkiego przesyłania informacji na odległości liczone często w setkach lat świetlnych. Dzięki mechanice kwantowej zdołali osiągnąć połowiczny sukces. Wykorzystując splątanie cząstek, udoskonaliли mechanizm teleportacji danych – proces znany (teoretycznie rzecz jasna) już w początkach dwudziestego pierwszego wieku. Metoda ta pozwalała na prowadzenie rozmów w czasie rzeczywistym bez względu na odległość. W teorii wyglądało to pięknie. Praktyka wykazała jeden, ale za to zasadniczy problem.

Admiralicja wykladała bajorńskie sumy na badania, pion naukowy Federacji obiecywał, że lada moment nastąpi przełom, dziesięciolecia mijały jedno po drugim, a hipery, jak nazywano moduły łączności kwantowej, wciąż nie wyszły poza pierwszą fazę rozwoju.

Wszystko rozbijało się o koszty transmisji, a konkretnie o ilość energii potrzebną do teleportacji danych. Zasada była prosta: im większa odległość i im „cięższa” przesyłka, tym więcej terawatów trzeba, by wiadomość dotarła do adresata. Z tego też powodu hipery stosowano znacznie rzadziej, niż życzyliby sobie tego wojskowi. Sprawdzały się świetnie w łączności wewnętrznej, zwłaszcza gdy komunikaty nadawano z powierzchni planet, gdzie utrata

znacznej ilości energii nie była tak bolesna jak w wypadku okrętu. Problem ten można wyjaśnić bardzo obrazowo. Wyobraźmy sobie, że chcemy dokonać transmisji między obiektami oddalonymi o pięć godzin świetlnych, bo taki jest mniej więcej promień przeciętnego układu planetarnego. Pracujące pełną mocą reaktory najpotężniejszych pancerników pozwalały przesłać na taką odległość niecałą minutę pełnego przekazu holo bądź pięć minut prymitywnej wiadomości audio-wideo, pół godziny transmisji dźwiękowej czy wreszcie pięćset megabajtów plików tekstowych. A mówimy o przekierowaniu do hiperów stu procent mocy, którą dysponowały najdoskonalsze okręty skonstruowane przez ludzkość.

Powszechna łączność kwantowa między okrętami znajdującymi się kilkadziesiąt lat świetlnych od baz a dowództwem była zatem niemożliwa. Na takim dystansie zużyto by całą moc reaktorów do nadania zaledwie kilkuznakowej wiadomości tekstowej. Z tego właśnie powodu hipery wykorzystywano w bardzo ograniczonym zakresie i umieszczano je niemal wyłącznie na planetach, gdzie znacznie łatwiej o źródła energii potrzebnej do zasilania tych energożernych potworów.

Tym większe było zdziwienie Henryana, gdy odkrył, że Draccos komunikował się z Rutką za pomocą hiperów. O tym, że w Pasie Sturgeona znajdowały się trzy ogromne przetwórnice rudy helonu dysponujące wystarczającym zapasem energii, by spełnić każdą fanaberię despotycznego komendanta, przypomniał sobie dopiero po chwili, kiedy minął już pierwszy szok.

Historia korespondencji obu pułkowników sięgała dnia, w którym namierzono i aresztowano Seiferta. Kilka godzin po umieszczeniu go w areszcie Rutta wysłał do dowództwa szyfrogram z opisem sytuacji i prośbą o nazwiska łącznościowców odsiadujących długie wyroki. Dwa dni później admiralicja przekazała mu tradycyjnym sposobem krótką listę kandydatów. Tylko trzech osadzeni w koloniach karnych mieli kwalifikacje szóstego stopnia – wśród nich Święcki. Pozostali dwaj trafili do kopalń za malwersacje i przemyt. Rutta

sprawdził dokładnie wszystkich trzech, po czym już następnego dnia zwrócił się do admirała Okonery z wnioskiem o przydzielenie mu więźnia numer siedem dwa jeden.

Sprawę załatwiono od ręki, czego dowodem była właśnie przesłana za pomocą hiperów wiadomość tekstowa, która dotarła na Xana 4, gdy Świącki wysiadał z wahadłowca. Draccos żądał w niej od Rutty ponownego przemyślenia dokonanego wyboru, a gdy ten kazał mu się odpieprzyć (tradycyjnym sposobem), przesłał nieco dłuższy elaborat, którego treść zainteresowała Henryana najbardziej.

Nie jestem pewien, czy Pan wie, pułkowniku, że nasza placówka uznawana jest za jedną z najcięższych kolonii karnych. Mamy do czynienia z najgorszymi złoczyńcami, jacy kiedykolwiek przywdziali mundur. Człowiek, o którego poprosił Pan admiralicję, jest jednym z nich. To pozbawiony skrupułów zabójca. Zastrzelił przełożonego na oczach dowódcy okrętu i niemal całe kadry oficerskiej. Co więcej, nigdy nie przeprosił za ten czyn ani nie wyraził skruchy, chociaż śledztwo wykazało, że zabił całkowicie niewinną osobę, która, nadmienmy, nie zrobiła niczego, aby sobie na taki los zasłużyć. A to jeszcze nie wszystko, ponieważ lista odrażających zbrodni tego odszczepieńca jest długa. Tak, to nie jedyne przestępstwo, jakie można zarzucić osadzonemu numer siedem dwa jeden.

Przesyłając w załączeniu stosowne dokumenty, pragnę Pana poinformować, że podczas odbywania kary w naszej placówce wspomniany więzień dopuścił się szeregu zabójstw. Mówimy o bardzo inteligentnym złoczyńcy, który wie, jak zaplanować morderstwo, i umie zacierać za sobą ślady. Tylko dlatego nie stanął jeszcze przed kolejnym trybunałem, ale proszę mi wierzyć, to tylko kwestia czasu. Nasi śledczy kompletują właśnie dokumentację trzech zabójstw, które możemy mu przypisać z absolutną pewnością. Pracujemy także nad sześcioma kolejnymi przypadkami, których sprawcą mógł być siedem dwa jeden.

Oto z jakim człowiekiem będzie Pan miał do czynienia. Nie rozumiem, dlaczego siedem dwa jeden został wybrany, wiem tylko, że obiecano mu przedterminowe zwolnienie, jeśli wykona ściśle tajne zadanie. Ta obietnica to błąd, ogromny błąd, który staram się Panu uświadomić. Apeluję do Pańskiego honoru oficerskiego i proszę, aby rozważył Pan następujące rozwiązanie:

W ciągu tygodnia złożymy w admiralicji materiał dowodowy pozwalający na oskarżenie więźnia siedem dwa jeden o pierwsze trzy z zarzucanych mu czynów (proszę zapoznać się z załączonymi dokumentami; zobaczy Pan, że dowody, choć poszlakowe, są jednoznaczne). Nie zrobiliśmy tego wcześniej, gdyż chcieliśmy zgromadzić materiał pozwalający na postawienie mu zarzutów we wszystkich sprawach jednocześnie, aby sąd w końcu zobaczył, z kim naprawdę ma do czynienia (nad pozostałymi sześcioma przypadkami także pracujemy, ale ich udokumentowanie będzie wymagało sporo czasu). Niestety Pańska prośba o zwolnienie go uniemożliwiła nam zakończenie

przygotowywanej od pewnego czasu prowokacji, dzięki której zamierzaliśmy zdobyć niepodważalne dowody winy tego zwyrodnialca.

Nie wiem, czym siedem dwa jeden zajmuje się teraz i ile ma swobody, ale jedno jest pewne: ten człowiek zrobi wszystko, by uniknąć powrotu do kolonii karnej. Wszystko bez wyjątku. Jeśli stanie Pan między nim a wolnością, nie zawaha się nawet przez moment, może mi Pan wierzyć. Mówimy o bezwzględny socjopacie, który nie cofnie się przed najpotworniejszym czynem. Ludzkie życie nic dla niego nie znaczy.

Nie możemy dopuścić do tego, by się zorientował, że ma zostać ponownie zatrzymany, gdyż zachodzi uzasadniona obawa, iż kogoś zabije lub spróbuje odebrać sobie życie. Siedem dwa jeden doskonale zdaje sobie sprawę, że tym razem sędziowie nie dadzą się omamić i wymierzą mu najwyższy wymiar kary, czyli bezwzględne dożywocie w najcięższych kopalniach rudy helonu.

Moja propozycja jest zatem następująca: proszę przetrzymać siedem dwa jeden do momentu złożenia nowego aktu oskarżenia, nawet jeśli wcześniej wykona zlecone mu zadanie. Rozmawiałem już na ten temat z admirałem Okonerą, który zapewnił mnie, że dowództwo wycofa się z zawartej umowy, jeśli materiał dowodowy okaże się wystarczająco wiarygodny, a z tym nie powinno być większych problemów. Lada dzień bowiem spodziewamy się zdobyć zeznania, które potwierdzą większość odkrytych dotąd poszlak.

Zaklinam Pana, proszę nie robić niczego, co naraziłoby Pana na niebezpieczeństwo. Musi Pan jedynie zadbać o to, by siedem dwa jeden do ostatniej chwili nie wiedział, że postawimy go ponownie w stan oskarżenia i skazemy. Z chwilą wydania nowego nakazu aresztowania prześlemy waszej komórce Wydziału Bezpieczeństwa zestaw kodów aktywujących niespodziankę, jaką standardowo fundujemy każdemu naszemu podopiecznemu. Tylko dzięki temu zyskamy pewność, że ten zwyrodnialec nie wymknie się wymiarowi sprawiedliwości. A może być Pan pewien, że urządziłby wam tam piekło, gdyby wyczuł, co dla niego szykujemy.

Jak Pan widzi, pułkowniku, nasz plan nie wymaga żadnej aktywności z Pańskiej strony. Wystarczy, że postara się Pan, aby siedem dwa jeden miał zajęcie do momentu, gdy moi ludzie wkroczą na scenę...

Henryan zaklął w myślach. Z pisma wynikało niezbicie, że komendant kolonii karnej nie zamierza odpuścić. Rzut oka na załączniki uświadomił sierżantowi, że Draccos przygotował naprawdę paskudną niespodziankę i chce obarczyć go winą za śmierć kilku samobójców. Dowody zostały tak spreparowane, aby wszystkie poszlaki wskazywały na umyślne działanie osoby trzeciej, którą zdaniem śledczych był on. Co ciekawe, przypisywano mu też sprawstwo w wypadkach, o których nawet nie słyszał. To wszystko jednak nie miało najmniejszego znaczenia. Sędziowie trybunału będą go widzieć tak, jak zostanie przedstawiony w tych dokumentach, a to oznaczało pewne dożywocie.

Niedoczekanie, pomyślał Święcki przekonany, że dzięki wglądowi w pocztę Rutty zdoła uprzedzić każdy ruch komendanta. Zaraz jednak poczuł niepokój rodzący się gdzieś w zakamarkach podświadomości. Raz jeszcze przeczytał wiadomość i nagle oblał go zimny pot. Co to za niespodzianka, o której wspomina Draccos? Do czego mają służyć kody, które ta gnida zamierza przesłać tutejszej wubecji?

Aż się wyprostował, próbując rozwikłać zagadkę, lecz nic nie przychodziło mu do głowy.

Zwlekł się z koi i pokręcił chwilę po kabinie, nie wiedząc, co ze sobą zrobić. Rozpromienił się dopiero na widok konsoli komputera. Kilka ruchów palca i na padzie rozkwitło holograficzne popiersie Zajcewa.

– Musimy pogadać – oznajmił Henryan.

Zaspany czarnoskóry wartownik przecierał oczy.

– O tej porze? – wychrypiał, nie kryjąc zdziwienia.

Święcki przypomniał sobie, że jest środek ciszy nocnej. Ta sprawa naprawdę zaczynała go przerastać.

– Nie – rzucił pośpiesznie. – Spotkamy się w mesie. Punkt szósta.

DWADZIEŚCIA DWA

System Xan 4, Sektor X-ray,

15.09.2354

Po rozpoczęciu wachty nie mógł usiedzieć na miejscu. Zajcew rano powiedział, że zrobi co w jego mocy, ale za rezultaty nie ręczył. A dla Henryana to było teraz najważniejsze.

– Może raczyłybyś patrzeć tam, gdzie trzeba, zasepiony kmiotku.

Drgnął na dźwięk znajomego kobiecego głosu, który dobiegł z za jego pleców. Obrócił się natychmiast. Znad pada konsoli spoglądały na niego wściekle świńskie oczka doktor Godbless.

– Przepraszam panią, już łączę z pułkownikiem.

– W dupie mam twojego pułkownika – prychnęła szefowa pionu naukowego.

– Macie rozmieścić kamery nad wszystkimi sadybami klanów.

– Nad wszystkimi?

– Czy ja seplenię? – zapytała, kierując to pytanie do kogoś, kto stał za kręgiem holokamer.

Przeczącą chóralną odpowiedź usłyszeli oboje.

– To potrwa chwilę – zastrzegł Henryan.

– Czy wy, cienkie fiutki w mundurkach, umiecie w ogóle liczyć? – zapiała Godbless. – Co znaczy chwilę? Pięć minut, dziesięć? Kwadrans może?

– Raczej pół godziny – zaczął ostrożnie Święcki.

– Co takiego?! – wrzasnęła.

– Doktor Fukkuya...

– W dupie mam dok... – Nie pozwoliła mu dokończyć, ale sama też zaraz umilkła, zauważywszy, że za daleko się posunęła. – Nie zamierzam słuchać żadnych durnych wymówek. Kamery. Nad wszystkimi sadybami. Natychmiast!

– Zrobię co w mojej mocy – przyrzekł Henryan, przerywając połączenie.

Sprawdził rozmieszczenie dostępnych zasobników z kamerami, a potem przydzielił je szybko do konkretnych stanowisk. Doktor Fukkuya poprosił wcześniej o kilkanaście dodatkowych nanobotów, by rozszerzyć obserwację jaskiń, przy których wciąż składano ofiary. Valdez, zawsze działający po linii najmniejszego oporu, kazał przerzucić tam sprzęt znad pobliskich sadyb zwierzaków, przez co teraz trzeba było ściągać zapasowe zasobniki aż z orbity. To musiało potrwać – pierwsze zestawy pojawią się nad szalasami Wojowników Kości za kilka minut, ostatnie dotrą na wyznaczone miejsca dopiero po upływie niemal półgodziny. Henryan nie miał na to żadnego wpływu. Na wszelki wypadek jednak modlił się, by Godbless przyjęła do wiadomości, że tym razem powinna mieć w dupie nie wojsko, lecz swojego serdecznego kolegę.

DWADZIEŚCIA TRZY

Najwyższy Suhur klanu zatrzymał się przed kojcem, patrząc z góry na kilkanaście piskląt, które przycupnęły pod strzelistym totemem klanu. Na długie żebra zekkela nanizano setki niemal identycznych kości. Każdą z nich pobrano z ciała wojownika, który zginął chwalebną śmiercią na polu walki albo został zabity podczas łowów. Upamiętnienia odmawiano tylko tym, którzy pomarli w dołach śmierci albo nie dożyli inicjacji. Po każdym innym członku klanu pozostawał trwały ślad: jedna jedyna kość ozdobiona ornamentem sławiącym bohaterskie czyny poległego. Nieliczne gładkie należały do młodych Wojowników Kości, którzy postradali życie zaraz po opuszczeniu kojca, zabici w pierwszej bitwie bądź rozszarpani przez zwierzęta podczas nauki łowów.

Przyglądający się pisklątom Tore Numa-Reh zauważył, że poganiani przez denshę wojownicy, którzy pilnowali ognisk rozpalonych za kręgiem kościanych szałasów, zaczynają gromadzić się za jego plecami.

– Już czas – zacharczał, unosząc arad. – Przygotujcie kamienie! Otwórzcie kojec!

Towarzyszący mu mennici zaczęli wrywać z twardej ziemi kolejne żebra honbutów. Rzucali je na klekoczący stos, dopóki nie zrobili w ogrodzeniu przejścia szerokiego na tyle, by densha mógł dostać się do środka. Napiętnowany zaschniętymi pełchawkami wojownik przemknął obok Najwyższego Suhura, zasłaniając oczy grubszymi powiekami, jak nakazywała tradycja.

– Dokonaj wyboru – rozkazał Toroy Numa-Rej.

Selekcja nie trwała długo. Cztery najmniejsze pisklęta z ostatniego lęgu zostały oddzielone od reszty jako za młode na poddanie ich rytuałowi nacinania, a co dopiero wypalania. Pochwalając wybór kapłana, wódz przywołał go do siebie.

– Jaskinie czy ołtarz? – zapytał.

– Ołtarz – zdecydował po namyśle Hakrad Redo-Tele.

Stuknięcie arada przypieczętowało jego odpowiedź. Densha wyprowadził maluchy za ogrodzenie, gdzie przejęli je towarzyszący kapłanowi mennici i szybkim krokiem powiedli w kierunku głazu, na którym składano ofiary.

Pozostałe pisklaki stały rzędem pośrodku kojca, zwrócone mackami do kościanego totemu. Najwyższy Suhur dał kolejny znak i młodzicy opuścili schronienie, w którym przebywali od wycięcia z pełchawek nosiciela. Nadszedł dla nich czas inicjacji, obrzędu, po którym zostaną uznani za pełnoprawnych członków klanu i będą mogli wziąć udział w zbliżającej się rozstrzygającej bitwie.

Rozstawiono ich parami, po dwóch na ognisko. Gdy wszystko było gotowe, Najwyższy Suhur raz jeszcze uderzył aradem o twardą ziemię.

Czekający za szalasami Wojownicy Kości wyjęli z żaru rzeźbione płaskie kamienie i zamontowali je szybko w kościanych uchwytach. Nie czekając na dalsze polecenia, zbliżyli się do pisklaków i zwrócili rytualne kamienie płaską stroną w ich kierunku. Gdy wszyscy znaleźli się na swoich miejscach, Toroy Numa-Rej uderzył aradem po raz kolejny i pisklęta wystąpiły równocześnie do przodu, napierając torsami na rozgrzane kawałki skały. Palona skóra zaskwierczała i był to jedyny dźwięk, jaki dało się słyszeć do następnego stuknięcia arada. Po nim pisklaki odsunęły się i znów znieruchomiały. Na ciele każdego z nich, poniżej trzeciej ręki, pojawił się wyraźny piroglif z symbolem klanu. Pierwszy z setek, jakie pokryją całą ich skórę, prócz tej nad miękkiszem.

Rytuał trwał, wyznaczany rytmem uderzeń arada i skwierczenia przypalanej skóry, którą densha utwardzał od pewnego czasu, nacinając co rusz, najpierw delikatnie, potem mocniej. Dzięki tym zabiegom pisklaki mogły teraz

wytrzymać kontakt z rozgrzanym w ogniu kamieniem, mimo że nadal odczuwały ból.

W połowie rytuału, po kolejnej komendzie Najwyższego Suhura, prócz skwierczenia dał się słyszeć cienki świst. Wódz klanu wskazał ręką młodzika, który nie wytrzymał bólu. Stojący najbliżej mennita wysunął miażdżer z trzymaka i płynnym ruchem opuścił go na korpus podrostka. Masywna broń rozorała skórę i strzaskała delikatne wciąż kości, posyłając na wszystkie strony rozbryzgi brązowej posoki. Jedno uderzenie wystarczyło, by zabić niegodnego. Densha natychmiast odciągnął truchło, by nic już nie zakłócało ceremonii.

* * *

– Sierżant Pryde...?

Henryan oderwał wzrok od wyświetlaczy, usłyszawszy za sobą kobiecy, ale nie napastliwy głos.

Przy jego stanowisku zatrzymała się smukła kobieta w kombinezonie służb medycznych. Na plakietce zdobiącej jej płaską pierś widniało nazwisko Bonicelli.

– Tak – uciął jej męki. – Sierżant Teddie Prydeinwraig. Słucham?

Wyciągnęła do niego trzymany w dłoni czytnik.

– Stawi się pan dzisiaj po osiemnastej dwadzieścia w bloku medycznym 74C celem przeprowadzenia badań okresowych. Obecność obowiązkowa.

– To jakaś pomyłka. – Udał zdziwienie, dostrzegłszy zaciekawione spojrzenie Valdeza. – Zaraz po przylocie zrobiono mi komplet testów.

Medyczka wzruszyła ramionami.

– Może zrobiono, może nie zrobiono. Tu jest wezwanie. Proszę pokwitować odbiór.

Przycisnął kciuk do podsuniętego mu urządzenia, a potem zgrał dokument na swój czytnik, zerkając na zaciekawionego porucznika, który zdążył już podejść do jego konsoli. Gdy medyczka ruszyła w stronę wyjścia, Valdez wyciągnął

rękę.

– Nic z tego nie rozumiem... – rzucił Henryan, pokazując wezwanie.

– Może to oni – zasugerował porucznik, skończywszy czytać.

– Bogowie?

– A któż by inny? – Valdez pochylił się nad konsolą i zniżył głos. – Sprawdź to. Może chcą się z tobą skontaktować. Dyskretnie.

– Ale...

– Żadnych ale, sierżancie – powiedział głośniejszym głosem, prostując się. – Macie się stawić na badaniach. To rozkaz.

– A co z robotą? – zapytał Henryan.

Valdez poklepał się po kieszeni, w której trzymał kryształ z trackerem.

– Wiem, jak go zainstalować. Zajmę się sprawdzaniem konsol, dopóki nie wrócicie z PiMed-u.

– Skoro pan nalega... – Valdez oddał mu czytnik i odwrócił się, ruszając w stronę własnego stanowiska. – Panie poruczniku! – zawołał za nim Świątki.

– Tak?

– Mogę o coś zapytać?

– Słucham.

– O co chodzi z tym rytuałem zwierzaków? – Henryan wskazał na wyświetlacz.

Zastępca dowódcy spojrział na niego zaskoczony, ale już moment później w jego oku pojawił się błysk zrozumienia.

– No tak, ty jeszcze nie widziałeś, jak robią z nich pisanki. – Valdez zawrócił, oparł się łokciami o ściankę konsoli, a potem zaczął wyjaśniać: – To ich obrzędy inicjacyjne. Żaden Suhur nie zostanie Wojownikiem Kości, dopóki nie przejdzie kilku rytuałów. Jakiś czas po umieszczeniu w kojcu ich opiekun, znaczy ten, który nie staje się na powrót... jak by to ująć...

– Wiem, o kogo chodzi – wtrącił Henryan.

– Tak, tak... – mruknął rozkojarzony porucznik i dopiero po chwili podjął: – Pierwszym rytuałem jest, jak my to nazywamy, robienie pisanek. Densha nacina

skórę miejsce przy miejscu, najpierw bardzo płytko i delikatnie, a potem, gdy rany się zagoją i blizny stwardnieją, znowu, tyle że głębiej i mocniej. Może się to wydawać okrutne, ale jeśli spojrzysz na sprawę od praktycznej strony, zrozumiesz, że bardzo tego potrzebują. Suhurowie nie znają medycyny. Ranny Wojownik Kości albo wydobrzeje sam, zanim jego organizm osłabnie na tyle, by tahary zaczęły go pożerać, albo zginie. Pancierz kostny wykształca się dopiero w późniejszym okresie, zatem to jedyny sposób, by młodzi Suhurowie stali się odporniejsi, choćby na ukąszenia, a nie zapominaj, że niemal wszystko, co żyje w Suhurcie, jest jadowite. Przy okazji densha uczy ich panowania nad bólem. Widziałeś, co się stało z tym, który nie wytrzymał? – Świątki skinął głową. Wciąż miał przed oczami ten obraz. Podrostek został zabity w okamgnieniu i chociaż świadkami była cała grupa Suhurów, żaden nawet nie drgnął. – Tak traktują każdego pisklaka, który nie spełni wymagań.

– A co z tymi najmniejszymi, które gdzieś zabrali? – dopytywał Henryan.

Porucznik zasepił się.

– Zostaną złożone w ofierze – odparł po chwili milczenia.

– Jak to? Dlaczego?

– Widzicie, Pry... – zaczął porucznik, ale zaraz urwał, jakby zabrakło mu słów. – Może ujmę to tak. Oni wiedzą, że lada dzień będą musieli stoczyć decydującą bitwę. Są prymitywni, ale nie głupi. Zdają sobie sprawę, że tym razem nie mają żadnych szans na zwycięstwo. I że wróg wyrznie wszystkich, którzy przeżyją. Wolą więc rozprawić się z bezbronnymi pisklakami sami.

– A jeśli jakimś cudem wygrają?

Valdez wzruszył ramionami.

– Jeśli wygrają, będą żyli dalej, nie czując wyrzutów sumienia. Nie próbujcie ich oceniać w naszych kategoriach, sierżancie. Oni są inni. Nie tylko z wyglądu.

DWADZIEŚCIA CZTERY

Henryan pojawił się w poczekalni bloku medycznego 74C kilka minut przed czasem. Oprócz niego w oświetlonym jasno pomieszczeniu znajdowało się jeszcze kilku nieznanym mu żołnierzy i techników. Równo o osiemnastej dwadzieścia nad drzwiami jednego z gabinetów pojawiło się nazwisko „Prydeinwraig”, wszedł więc do środka, rozglądając się niepewnie.

Obok stołu diagnostycznego stała niepozorna blondynka o bardzo jasnej cerze. Doktor Ashnalia Gupta, jeśli wierzyć plakietce. Uśmiechała się uprzejmie, gdy wyciągała rękę po czytnik. Henryan nie podał go jej od razu, ale to nie zmieniło pozytywnego nastawienia lekarki.

– Spokojnie, sierżancie Świątki. Ja nie znam hasła, pan nie zna odzewu, albo odwrotnie, jednakże może mi pan zaufać. – Tym razem czytnik przeszedł z rąk do rąk. – Co pana gnębi?

– Chciałbym, aby zrobiła mi pani kompletny skan.

– Czego szukamy?

– Wszystkiego, co odbiega od normy. Dodatkowych wszczepów, ciał obcych, zmian. Także w skali nano.

Wyduła usta, a potem przygryzła wargę.

– To wykracza daleko poza zakres rutynowych badań – stwierdziła po chwili zastanowienia.

– Zajcew wyjaśnił chyba, o co mi chodzi?

– Powiedział mu pan więcej niż mnie? – zapytała, posyłając mu protekcjonalny uśmiech medyka.

– Nie mogę powiedzieć więcej, niż sam wiem – zaczął jeszcze raz. Jego zdaniem zabrzmiało to wystarczająco szczerze. – Dzięki wam otrzymałem informację, że komendant kolonii karnej, w której siedziałem, chce mnie udupić. W tym celu prześle wubecji jakieś kody. Chcę znaleźć to, co zamierza za ich pomocą aktywować.

– No proszę. Odrobina wysiłku intelektualnego i mamy konkrety. To zawęża pole poszukiwań, możemy bowiem wykluczyć wszelkie modyfikacje biologiczne. – Podeszła do stołu diagnostycznego. – Proszę się rozebrać i położyć.

Zdjął kombinezon, potem bieliznę i nagi ułożył się na chłodnym tworzywie. Miękka powierzchnia aparatury medycznej dopasowała się idealnie do kształtu ciała. Blondynka stanęła przy konsoli za głową Henryana. Moment później wypukły klosz skanera opadł i rozpoczęło się badanie. Trzy kolejne, coraz dokładniejsze skany trwały najwyżej minutę. Zanim Henryan zdążył się w pełni rozluźnić, poczuł lekkie pieczenie na prawym przedramieniu i nagle otaczający go oślepiający blask zaczął wolno przygasać.

– Proszę się ubrać – rzuciła obojętnym tonem kobieta, gdy klosz uniósł się pod sufit.

Henryan zeskoczył na podłogę i po chwili stanął przed lekarką, dopinając kombinezon.

– W pańskim ciele nie ma nic, czego w nim nie powinno być. Mówię o wszczepach, chipach itepe. Przynajmniej w skali makro. Dla pewności wstrzyknęłam panu nanoanalizatory, które w ciągu doby dokonają przeglądu organizmu na poziomie komórkowym. Bez obaw, wydali je pan w ciągu kolejnych dwudziestu czterech godzin.

– Coś musi tam być – upierał się Henryan.

– Sierzancie – zachnęła się lekarka – nie jestem ślepa, a nasza placówka dysponuje sprzętem najnowszej generacji. Nic się przed nim nie ukryje. Jedynym ciałem obcym w pańskim organizmie jest standardowy chip medyczny, który...

Święcki uśmiechnął się szeroko.

– Ma pani sprzęt do diagnostyki tych maleństw?

Zmierzyła go wzrokiem, jakby zapytała, czy nie ukrywa pod pachą trzeciej piersi.

– Owszem.

– Możemy?

– Możemy.

– Mam się znów rozebrać?

Wybuchnęła śmiechem.

– Jeśli czuje pan nieprzepartą chęć obnażania się przed kobietami, to proszę bardzo. Choć byłoby to dziwne przy takich dawkach środków otępiających, jakie podają tutaj pracownikom i żołnierzom.

Pokręcił głową.

– Nie jestem ekshibicjonistą – zapewnił.

– W takim razie wystarczy, że usiądzie pan tam i pochyli głowę. – Wskazała kolejne stanowisko medyczne.

Henryan usadowił się wygodnie w fotelu z wysokim oparciem, a ten po aktywowaniu zmusił go, by dotknął brodą klatki piersiowej.

– Momencik – rzuciła stojąca za urządzeniem medyczna. – Jeszcze chwila... Już.

– I jak? – zapytał Święcki, siedząc wciąż w niewygodnej pozycji.

– Wspak – odparła.

– Słucham? – Spróbował się poruszyć, ale im mocniej naciskał na zagłówek, tym większy czuł opór. – Hej! Mogę już stąd wyjść?

– Och! – Fotel wyprostował się równocześnie z jej westchnieniem, uwalniając pacjenta. – Przepraszam, zagapiłam się...

– Nic nie szkodzi. – Henryan pokręcił głową, jakby sprawdzał, czy nadal może nią poruszać. Chwilę później zobaczył minę kobiety i także zbladł. – O co chodzi?

Blondynka przełknęła głośno ślinę, zanim się odezwała.

– To, co ma pan w głowie, wygląda jak normalny chip medyczny, ale na pewno nim nie jest.

– Nie rozumiem.

– Udało mi się nawiązać połączenie, ale gdy włączyłam analizator... – Głos jej zadrżał. – To coś nie tylko nie dało się zbadać, ale zablokowało mi też dostęp do moich urządzeń.

– Jak to możliwe? – Widząc, że lekarka kręci głową zamysłona, powtórzył nieco głośniejszym i dobitniejszym głosem: – Jak to możliwe?

Za drugim razem wyrwał ją ze stuporu.

– To musi być jakaś ściśle tajna wojskowa technologia. Nigdy nie widziałam czegoś takiego.

– Do czego służy?

Spojrzała na niego kpiąco.

– Czyta w myślach, pierze, gotuje, a jak będzie pan niegrzeczny, zamieni pańskie organy w galarete.

– Jaja pani sobie ze mnie robi?

– Pan zaczął! – warknęła. – Przecież mówię wyraźnie, że nigdy wcześniej nie spotkałam się z taką technologią.

Miała rację, zachował się jak głupiec.

– Przepraszam... Muszę się jednak dowiedzieć, co to jest i jak to zablokować.

– Ja panu w tym nie pomogę. – Wzruszyła ramionami.

– A nie zna pani kogoś, kto by mi pomógł?

Zastanawiała się dłużej chwilę.

– Może...

– Kto? – chciał wiedzieć Henryk.

– Jeden z naszych techników – odpowiedziała po pewnym wahaniu. – Zaufany człowiek. Umówię was.

– Na kiedy? – oburzył się Święcki. – Z wachty już się przecież nie urwę. Zwłaszcza do działu technicznego. Mam poprosić przełożonego o wolne, bo muszę wymienić olej w głowie? Nie sądzę, żeby to zadziałało. A po robocie

mam karną służbę, też pod nadzorem porucznika Valdeza. Mógłby zacząć coś podejrzewać.

To była tylko część prawdy. Najbardziej zależało mu na czasie.

– W takim razie bardzo mi przykro, ale...

– To jeden z waszych serwisantów, jeśli dobrze zrozumiałem? – zapytał, a gdy lekarka przytaknęła, poprosił: – Niech go pani wezwie do naprawy analizatora.

– Teraz ma wolne – zgasła go już na wstępie.

– I co z tego? – Henryn nie dał się zbić z tropu. – Wszyscy inni technicy są na pewno zajęci, a pani ma pacjenta na stole i nie może dokończyć niezbędnych badań...

Spojrzała na niego dziwnie, jakby namawiał ją do grzechu.

– Pan zawsze taki pomysłowy? – zapytała, sięgając po komunikator.

– Tylko w sytuacjach podbramkowych – odparł, wiedząc, że kobieta i tak nie zrozumie tego archaicznego powiedzonka.

* * *

– Dupa zbita – podsumował technik ściągnięty przez Ashnalię.

On, choć nosił rosyjskie nazwisko, był dla odmiany biały. Zwalisty blondyn o okrągłej twarzy i dłoniach wielkich jak bochny śmigał palcami po wirtualnych klawiaturach z taką gracją, jakby był wirtuozem dającym koncert na laserowych harfach. Jego wysiłki spełzły jednak na niczym. Chip bronił się przed każdą próbą ingerencji w jego zawartość. I kontratakował, gdy tylko dano mu okazję.

– Żadnych szans? – zapytał Henryn, choć z góry znał odpowiedź.

– Najmniejszych – potwierdził Makarkadij. – Ktoś zadał sobie wiele trudu, by zabezpieczyć to cudeńko. Ktoś, kto ma kupę kasy i czasu albo wielu zmyślnych ludzi do dyspozycji.

– Czyli rząd – podsumowała lekarka.

– Albo admiralicja – dodał technik, zbierając sprzęt.

– Usmaż to cholerstwo – poprosił Henryn, chwytając go za rękę.

Technik spojrział na niego z rozbawieniem.

– Widziałeś, jak wygląda ten chip? – zapytał, poczuwszy, że uścisk staje się mocniejszy. Święcki pokręcił głową. – Pokaż mu, Ashnalia.

Kobieta rozciągnęła wyświetlacz skanera i moment później wszyscy troje zobaczyli holograficzne odzwierciedlenie wnętrza czaszki siedzącego wciąż w fotelu Święckiego. Kilka powiększeń pozwoliło na ograniczenie pola widzenia do potylicy i tkwiącego w niej cylindrycznego przedmiotu, z którego wystawały dziesiątki cieniutkich wąsów oplatających sporą część płata mózgu.

– Usmażysz chipa, usmażysz siebie – rzucił technik.

– Wolę to, niż obudzić się ponownie na Pasie Sturgeona. – Henryan spojrział na niego błagalnie.

– Wybacz, przyjacielu, nie wiem, co to za pas ani kim jest Sturgeon, ale ja nie jestem w stanie ci pomóc. Ta technologia wyprzedza moją wiedzę o lata świetlne. Gdyby nie numery seryjne, mógłbym pomyśleć, że zaobrączkowali cię Obcy. – Odwrócił się do koleżanki. – Pora na mnie – powiedział i wyszedł, zostawiając ją sam na sam ze zrozpaczonym sierżantem.

Ashnalia podeszła do fotela.

– Pan, sierżancie, też musi już iść. Był pan tutaj dwa razy dłużej, niż powinien. Jeśli wubecja ma pana na oku, może to zauważyć.

– Jasne, rozumiem. – Henryan zeskoczył na kratownicę podłogi i bez słowa pożegnania ruszył w stronę drzwi.

* * *

Dowlókł się do swojej kabiny tuż przed capstrzykiem. W mesie mało co zjadł, bo ilekroć pomyślał o Draccosie, opuszczał go apetyt. Komendant pragnie mnie dopaść za wszelką cenę, jakby postawił to sobie za punkt honoru. I zawczasu postarał się o to, by mieć nade mną przewagę... Henryan poczuł się bezsilny. Za każdym razem, gdy już myślał, że widzi światełko w tunelu, okazywało się, że jasność jest oznaką kolejnego, jeszcze większego zagrożenia. Dlaczego los

uwziął się właśnie na mnie? pomyślał, otwierając drzwi. Czy tylko dlatego, że zabiłem niewinnego człowieka?

Zanim ta myśl przemknęła mu przez głowę, zrozumiał, że coś jest nie tak.

W kabinie paliło się światło. Przełknął ślinę i przestąpił próg. Przy konsoli komputera zobaczył znajomą sylwetkę łysego mężczyzny w czarnym kombinezonie i płaszczu z syntetycznej skóry. Niezapowiedziany gość zerwał się na równe nogi, unosząc ręce w przeproszającym geście.

– Co ci powiedziałem, skurwyklonie jeden?! – wysyczał Świącki. – Przychodząc tutaj, podpisałeś na siebie...

– To nie tak! – przerwał mu wubek.

Jego płaczliwy ton zaskoczył Henryana. Wszystkiego by się spodziewał po czarnym, ale nie takiej reakcji. Zaraz jednak wróciło zdenerwowanie.

– Powiedziałem wyraźnie, że jeszcze raz zobaczę twoją mordę, a... – Wyjął z kieszeni naczolnik.

– Poczekaj, daj mi wytłumaczyć – błagał wubek.

– A co tu jest do tłumaczenia?

– Musiałem do ciebie przyjść. Gdybym tego nie zrobił, od jutra miałbyś na karku inny zespół dochodzeniowy – wypalił czarny, wypowiadając kolejne słowa w takim tempie, że trudno było wychwycić przerwy między nimi.

– Co? – Henryan był zbyt skołowany, by go zrozumieć.

Wubek powtórzył wszystko wolniej, dodając na koniec:

– Gdybym odpuścił ci tak nagle, góra zorientowałaby się, że coś jest nie tak. Wbrew temu, co myślisz, moi szefowie nie są głupcami. Dlatego od czasu do czasu musimy się widywać, żeby nie nabrali podejrzeń. Nie będziemy rozmawiać, jeśli nie chcesz. Odczekam parę minut i wyjdę.

Świącki opuścił dłoń, naczolnik wrócił do kieszeni.

– Jeśli to jakaś kolejna wasza ściema, cokolwiek wykombinujesz, i tak zdążę cię udupić.

– Nie ma żadnej ściemy. Chcę to rozegrać jak najspokojniej. Do bitwy zostało już tylko kilka dni, potem każdy z nas pójdzie swoją drogą.

Henryan poczłapał do koi i opadł na nią ciężko.

– Kilka, czyli ile? – zapytał, udając obojętność.

– Wszystko wskazuje na to, że armia sampo-sithu dotrze nad Valt Aram za sześć dni, więc ostatecznego starcia możemy się spodziewać już za tydzień.

Tydzień. Draccos zdobędzie nakaz... – Henryan sięgnął pamięcią do korespondencji, którą czytał minionej nocy – dwa, może trzy dni, jeśli termin, o którym wspomniał, był realny. Dzień później czarni dostaną kody, którymi będą mogli aktywować chip i przy pierwszej nadarzającej się okazji przejąć kontrolę nad jego mózgiem. W każdym razie jedno wydawało się pewne: dopadną go dopiero wtedy, gdy przestanie być potrzebny pułkownikowi.

Zastanawiał się przez chwilę, czyby nie zaszantażować czarnucha bardziej i nie zmusić go do wydania kodów, ale po namyśle zrozumiał, że niewiele by dzięki temu zyskał. Spryciarz Draccos skontaktuje się z dowódcą tutejszego wydziału, a nie z podrzędnym funkcjonariuszem, nawet jeśli ten został mianowany aniołem stróżem jego ofiary. Durny łysy wubek do samego końca nie musi wiedzieć o istnieniu kodów; sieć na stacji docierała wszędzie, zatem aktywowanie nowych funkcji chipa może się odbyć z każdego miejsca, także z centrali Wydziału Bezpieczeństwa.

Rozważał jeszcze jakiś czas rozmaite warianty i każdorazowo dochodził do takiego samego wniosku: ma przesrane, ostatecznie i nieodwołalnie. Siedząc na koi i wbijając wzrok w ponurego, milczącego wubeka, podjął ostateczną decyzję. Wiedział już, które rozwiązanie wybierze. Wiedział też, jak to wszystko się skończy.

– Czas na ciebie – rzucił, wstając.

Tamten skinął głową i natychmiast ruszył do wyjścia. Jednakże zatrzymał się przed włazem, po czym spojrzał lękliwie przez ramię. Minę miał nietęgą.

– Mogę o coś zapytać? – odezwał się lekko drżącym głosem.

– Nie przeginaj...

– Naprawdę tylko jedno pytanie. Niezwiązane z tą sprawą.

Święcki skinął głową. Zrobiłby wszystko, żeby pozbyć się tej gnidy ze swojej

kabiny i ze swojego życia.

– Nawijaj i spierdalaj.

– Ciekawi mnie, dlaczego tak bardzo nienawidzisz ludzi z Wydziału Bezpieczeństwa, skoro twój brat...

Henryan poczerwieniał na twarzy.

– Nigdy, ale to nigdy nie wspominaj mojego brata, błady skurwyklonie. On nie był taki jak ty i twoje sługusy z kontrwywiadu. To, że nosisz czarny płaszczyk, nie czyni z ciebie prawdziwego oficera wydziału. Chcesz wiedzieć, jak cię widzę? Jesteś zwykłym szpiclem, kapusiem, który uwielbia się pastwić nad bezbronnymi, więc bądź łaskaw nie bezcześcić pamięci bohatera, który poległ na służbie, walcząc z prawdziwymi bandytami.

Czarny, czerwieniejąc na twarzy, wymknął się chyłkiem za drzwi.

DWADZIEŚCIA PIĘĆ

System Xan 4, Sektor X-ray,

16.09.2354

Następnego ranka Henryan zerwał się z koi, gdy tylko zagrano pobudkę. Czuł się dziwnie, ale na czym polegała zmiana, zrozumiał dopiero po dłuższej chwili. Czuł się nadspodziewanie dobrze. Wprawdzie nie mógł powiedzieć, że tryska humorem, ale całe napięcie zniknęło, opadło jak poziom ciśnienia w otwieranej śluzie. Koszmarne, dołączające myśli także go opuściły. Nie, wróc, nie opuściły. Wciąż tkwiły w jego głowie, lecz nie miażdżyły już swoim ciężarem i nie wduszały w lepkie objęcia depresji.

Ulżyło mu tak bardzo, ponieważ podjął ostateczną decyzję. Do tej pory miotał się. Brnąc przez labirynt losu, trafiał na kolejne ślepe odnogi, zawracał i dalej szukał na oślep wyjścia, gdyż święcie wierzył, że wbrew przeciwnościom znajdzie właściwą drogę, że ona gdzieś tam jest. Dzisiaj nareszcie obudził się w miejscu, które wyglądało jak długi prosty zaułek, gdzie nie ma żadnych kryjówek, odnóg i bram. Nie musiał się więcej stresować. Cel jego życiowej podróży był wyraźny i po raz pierwszy od dawna znajdował się w zasięgu wzroku. Wystarczyło iść prosto przed siebie, nie martwiąc się niczym...

Tak też zamierzał postąpić. Brakowało mu tylko ostatniego elementu, aby złożyć tę układankę w naprawdę wybuchową całość.

DWADZIEŚCIA SZEŚĆ

System Xan 4, Sektor X-ray,

19.09.2354

Trzy dni później kara dobiegła końca. Przez cały jej czas Valdez zgodnie z umową przydzielał mu prace, które wcześniej wykonali dla niego inni żołnierze, dzięki czemu Henryan mógł się byczyć popołudniami, znikając w kabinach na niższym poziomie mieszkalnym, gdzie przygotowano miejsca dla mniej znaczących parlamentarzystów, bądź – jeśli nie chciało mu się akurat spać – chodził po przydzielonym mu terenie i sprawdzał, czy poprzednicy zrobili wszystko jak trzeba.

Na kilka godzin przed zakończeniem ostatniej karnej wachty padł na miękką koję ze szczerym zamiarem przespania reszty wyroku. Zanim jednak zdążył przymknąć powieki, usłyszał melodyjny sygnał dobiegający z rogu pogrążonego w półmroku pomieszczenia. Wsparł się na łokciu, mrużąc oczy, jakby to mogło pomóc. Brzęczyk komunikatora zamontowanego w konsoli? Tutaj? Niemożliwe. Przecież poziomy tego sektora były niezamieszkałe, o czym wszyscy na stacji doskonale wiedzieli.

Zdziwiony, ale i zaciekawiony podszedł do konsoli. Zawahał się, ale po kolejnym natrętnym sygnale przytknął kciuk do chłodnej szklistej tafli. Holopad ożył i po chwili pojawiło się nad nim opalizujące znajome popiersie.

– Witaj, sierzancie – rozległ się mechaniczny głos.

Zadzwoił do niego robot. Ten robot! A raczej korzystający z takiej

przykrywki Bóg.

– Całkiem cię popieprzyło – mruknął zniesmaczony Henryan. – Idę o zakład, że czarni mają już w centrali informację o tym połączeniu.

– Przegrałeś – powiedział jego rozmówca. – A o co się założyliśmy?

Mechaniczny głos pozostał obojętny, lecz Święcki podejrzewał, że używający modulatora człowiek musi być w tym momencie szczerze rozbawiony.

– O nic – burknął. – Czego chcesz?

– Przecież wiesz. Daliśmy ci czas. Pora na odpowiedź. Widziałeś korespondencję. Wiesz, co cię czeka. – Henryan kiwał głową po każdym zdaniu robota. – Skoro tak, pomóż nam. Współpraca i tak nie zmieni twojej sytuacji, ale...

– Nie – odpowiedź była krótka i dobitna.

– Nie?

– Co chcecie osiągnąć, sabotując poczynania Gurdów? – zapytał Święcki, ledwie tając irytację.

– Zamierzamy powstrzymać zagładę jednej z trzech inteligentnych ras, jakie istnieją w znanej nam części wszechświata – wyjaśnił spiskowiec za pośrednictwem robota.

– Propagandowe pieprzenie.

– A przy okazji najczystsza prawda. Te istoty nie zasługują na wymarcie.

– Wszystkie gatunki czeka ten sam smutny los, nas też. Może nawet szybciej, niż myślimy.

– Może... – przyznał po chwili zastanowienia mechaniczny głos. – Ale...

– Nie ma żadnego ale – przerwał mu Święcki. – Suhurowie zostaną wymazani z kart historii. Jeśli nie dzisiaj, to jutro, za miesiąc albo za kilka lat. Oszczędzając ich teraz, zafundujecie obu stronom konfliktu stukrotnie większe cierpienia. Tak się składa, że kilka dni temu próbowałem interweniować za wiedzą i zgodą dowódcy. Zanim uszczelniliśmy zewnętrzne nadajniki, wysłałem komunikat do zwierzaków w jaskiniach, mając nadzieję, że zakończę tym dokonującą się na naszych oczach rzeź. Wiesz, jak to się skończyło. Ocaliłem

kilku młodzików, którzy i tak zginą za parę dni. Tysiące kleksów zostało przerobionych na karmę dla odrażających robali. Chcesz obejrzeć kilka holo z tej uczty? Z tego, co wiem, ona trwa nadal i potrwa jeszcze długo, bo niektóre istoty zamieszkujące podziemne tunele nie zabijają swoich ofiar od razu... – Zamilkł, by nabrać tchu.

– Tak – odezwał się Bóg, wykorzystując chwilę przerwy. – Wiem, że Suhurowie są odrażający, okrutni, bezwzględni i pozbawieni większości znanych nam wyższych uczuć. Ale to tylko jedna strona medalu. Patrzysz na problem z ludzkiej perspektywy. A to błąd. Poważny błąd.

– A z jakiej perspektywy wy patrzycie?

Zapadła przedłużająca się cisza. W końcu robot znowu przemówił.

– Z perspektywy rasy skazanej na zagładę.

– A dlaczego nie oczami Gurdów? – zapytał całkiem poważnie Henryan.

– Może dlatego, że ich nie mają – odparł jego rozmówca i uprzedzając kolejny atak, dodał: – To był żart. Głupi żart. A tak poważnie, to Gurdowie są w tym wypadku oprawcami.

– Waszym zdaniem ich podboje różnią się w istotny sposób od konkwisty czy kolonizowania Ameryki Północnej? – Święcki postanowił docisnąć Boga.

Znów zmusił rozmówcę do chwili zastanowienia.

– Nie rozumiem, o czym mówisz – odparł tamten mechanicznym, obojętnym głosem.

– I na tym właśnie polega twój, a raczej wasz problem – prychnął Henryan. – Reagujecie automatycznie, nie zastanawiając się nad szerszym kontekstem.

– Wyjaśnij mi zatem, jak wygląda ten szerszy kontekst.

Sierżant zaśmiał się.

– Obawiam się, że tym razem to ja nie będę w stanie sprostać wyzwaniu. Aczkolwiek nie do końca z własnej winy...

– Mimo to spróbuj – zachęcił go mechanicznym głosem rozmówca.

– Dobrze. – Święcki opadł na głęboki fotel zamontowany specjalnie dla VIP-a. – Pozwól zatem, że na początek wyjaśnię jedno. Mój ojciec wykładał na

akademii sektora historię, stąd moja znajomość antyku i nietypowe spojrzenie na problem. Dzięki znajomości historii mam znacznie szerszy ogląd, wiem na przykład, że na Ziemi istniały w dawnych czasach podobne kultury.

– Nie cofajmy się do pradziejów człowieka.

– Nie wiedziałem, że dziewiętnasty wiek to pradzieje – zakpił Henryan.

Na hologramie w dalszym ciągu widać było pozbawioną mimiki twarz robota. Święcki żałował, że nie może zobaczyć w tej chwili prawdziwego oblicza swojego rozmówcy. Musiało wyglądać zabawnie, kiedy próbował się otrząsnąć z szoku. Ciekawe, czy opadła mu szczeka...

– O czym ty mówisz?

– Na przykład o Aborygenach. Poszukaj w galaktopedii, warto.

Tym razem cisza była jeszcze dłuższa. W końcu jednak Henryan znów usłyszał wypowiedane mechanicznym głosem słowa.

– Widzę pewne podobieństwa...

– Etruskowie, Tasmańczycy... W historii ludzkości znajdziesz dziesiątki, jeśli nie setki ludów, które wymarły bądź zostały wybite przez lepiej przystosowanych sąsiadów.

– To prawda, ale wszyscy oni byli ludźmi, należeli do jednego gatunku, który przetrwał do dzisiaj.

– Dlatego nie powiedziałem, że się mylisz, tylko że brak ci spojrzenia na problem z szerszej perspektywy. Gdybyś wiedział to co ja, być może dotarłoby do ciebie, że upadek Suhurów jest nieunikniony. Podziela los dinozaurów, tygrysów szablozębnych, mamutów i milionów innych gatunków, które kiedyś zamieszkiwały znane nam planety.

Bóg milczał.

– Może gdyby dać im szansę... – zaczął po dłuższym zamyśleniu.

– Kilkudziesięciu tysięcy lat tradycji nie wykorzenisz w jednej chwili. Trzeba na to wielu pokoleń, a tyle czasu nikt im nie da. Podziela los Tasmańczyków, z tą tylko różnicą, że nie będą się mogli krzyżować z najeźdźcami, więc nie rozmyją się w nowym społeczeństwie, tylko zostaną unicestwieni. Jeśli

powstrzymasz ich zagładę dziś, Gurdowie dokończą dzieła za kilka lat, gdy odleciemy stąd w końcu, zostawiając ich samym sobie.

– W tym, co mówisz, jest wiele racji, ale... – Robot nagle zamilkł.

– Ale? – zachęcił go Henryan.

– Nie robiliśmy tego wszystkiego tylko po to, by Suhurowie mogli dalej wyrzynać Gurdów. Szczerze mówiąc, mamy świetny pomysł na rozwiązanie całego problemu.

– Powiesz mi jaki? – Święcki przypuszczał, że raz jeszcze zostanie zbyty, lecz się pomylił.

– Zamierzaliśmy przemówić jednym i drugim do rozsądku. Stworzyć wielki hologram bogów, którzy nakazaliby obu rasom zaprzestać wojowania. Religia to potężne narzędzie nacisku. Może to powstrzymałoby Wojowników Kości od atakowania kleksów, i to od razu, nie za kilka pokoleń.

– Zapominasz wciąż o jednym. Gurdowie nie wierzą w istoty nadprzyrodzone. Wątpię więc, by uszanowali rozkaz „bogów”, zwłaszcza takich, którzy nie będą mogli im nic zrobić, jeśli warunki rozejmu zostaną naruszone.

– Wiem. Niektórzy z nas podzielają twoje wątpliwości. Uznaliśmy jednak, że lepiej zrobić cokolwiek, niż przyglądać się biernie zagładzie Suhurów.

– Dobrymi intencjami piekło jest wybrukowane – rzucił sentencjonalnie Henryan, wstając z fotela.

– Nie pomożesz nam zatem? – zapytał człowiek kryjący się za mechanicznym głosem.

– Wręcz przeciwnie – odparł Święcki. – Wyświadczam wam ogromną przysługę, chroniąc wasze dupy przed spędzeniem reszty życia w pomarańczowych wdziankach.

– Bez przesady. Seifert dostał tylko pół roku w kolonii o zaostrowym rygorze.

To było coś nowego. Henryan spojrział na hologram spod lekko przymkniętych powiek. Na widok więźniów w pomarańczowych kombinezonach natychmiast założył, że wszyscy dostali długoletnie wyroki i skończyli w miejscu przypominającym Pas Sturgeona. Jak widać, całkowicie

mylnie.

Bóg zauważył jego zdziwienie i dodał:

– Rutta kazał transmitować proces. Wszyscy widzieliśmy, jak zapada wyrok.

Henryan wziął się w garść.

– Ingerencję w losy tej bitwy będzie osądzać wubecja, co oznacza zero pობлаżania i raczej wyższe wyroki – powiedział.

– Tobie powinno być wszystko jedno – stwierdził spiskowiec.

– Fakt. Jakbyś się nie odwrócił, dupę zawsze będziesz miał z tyłu – przyznał Henryan.

– Bardzo obrazowe wyrażenie. I jakże celne.

– Nie zagaduj – uciął Święcki. – Powiedziałem: nie.

– A gdybym powiedział, że jestem w stanie przechwycić te kody...

– Uznałbym to za wierutne kłamstwo. Obaj wiemy, że Draccos prześle kody tutejszemu szefowi Wydziału Bezpieczeństwa, a na niego nie masz żadnego przełożenia. Nie możesz nic zrobić. Wyrok już zapadł, czego mam pełną świadomość. Dlatego oszczędzę wam wszystkim mojego losu.

– Utrudnisz nam sprawę, ale jej nie uniemożliwisz. Nie powstrzymasz nas...

Henryan się zaśmiał.

– Już was powstrzymałem. Ta rozmowa jest tego najlepszym dowodem. Nad polem bitwy nie pojawi się żadna projekcja. Dla twojej wiadomości: stary kazał rozmieścić nad Valt Aram kilka zagłuszaczy, więc gdyby nawet jakimś cudem udało się wam wysłać sygnał do ukrytych tam wcześniej urządzeń, o których nie mamy pojęcia, niczego nie aktywujecie. Dajcie sobie spokój z zabawą w Boga, nawet Jemu nie udało się stworzyć sensownego świata. – Sięgnął do wyłącznika.

Hologram rozplynął się w powietrzu, kiedy robot zaczynał coś mówić. Święcki dla pewności odłączył konsolę od źródła zasilania. Wracając na koję, uśmiechał się pod nosem. Dzięki tej rozmowie znalazł ostatni fragment łamigłówek.

DWADZIEŚCIA SIEDEM

System Xan 4, Sektor X-ray,

20.09.2354

Ten dzień miał być początkiem końca. Jeśli Draccos nie blefował, nakaz z admiralicji powinien się pojawić w skrzynce pułkownika wraz z najbliższym pakietem wiadomości. Statki kurierskie docierały do punktu wyjścia Xana 4 dwa razy na dobę – o szóstej i o osiemnastej czasu standardowego, do tego należało dodać dwugodzinną zwłokę powodowaną odległością Bety od tunelu czasoprzestrzennego. W porannej poczcie nie było jednak niczego ciekawego, Henryan mógł zatem spokojnie czekać na koniec zmiany, obserwując sytuację na planecie. A działa się tam, oj, działa.

Sampo-sithu, czyli wódz wszystkich wodzów, przybył dwa dni wcześniej do Treb'aldaledo i prowadził teraz gurdyjskie armie w kierunku Valt Aram. Nie śpieszył się, wiedząc, że zwycięstwo jest pewne. Sto tysięcy uzbrojonych w najnowocześniejszą broń palną kleksów nie mogło przegrać z trzykrotnie mniejszymi siłami Suhurów.

Ostrzeżone przez zwiadowców klany gromadziły się powoli po swojej stronie rzeki. Obradujący niemal bez przerwy zbór uznał wreszcie, że wróg musi zapamiętać, jak odchodzili ostatni z najwaleczniejszych. Zmuszenie Gurdów do sforsowania koryta Valt Aram wydawało się idealnym sposobem na zadanie im jak największych strat. Najwyżsi Suhurowie i Najstarsi Kapłani nie mogli jednak wiedzieć, że przeciwnik nie marnował czasu, dzięki czemu jego broń najnowszej

generacji miała znacznie większą donośność i celność niż stosowane wcześniej samopały. Z ludzkiego punktu widzenia była wciąż prymitywna, ale niejedna ziemská armia z połowy dziewiętnastego wieku wiele by dała za skonstruowane w Gurdu'dihanie karabiny i armaty. Tak klasyfikowano tę broń, chociaż Święcki nie widział podobieństw z archaicznymi produktami Mausera czy Springfield Armory.

Koryto rzeki, choć szerokie, nie było już żadną przeszkodą dla strzelców, zwłaszcza że Gurdowie dysponowali statkami powietrznymi – czymś w rodzaju sterowców – które unosiły się dzięki owocom lek'teru, jednej z najpowszechniejszych roślin Gurdu'dihanu. Wielkie skórzane kadłuby wypełniano przed lotem dziesiątkami tysięcy tych dziwacznych owoców. Segmentowa konstrukcja części nośnej pozwalała lotnictwu kleksów na przetrwanie najsilniejszego nawet ostrzału. Owoce były bardzo wytrzymałe, a wypuszczone w kierunku sterowców strzały przebijały tylko kilka z nich naraz, nie czyniąc tak wielkich szkód, jak to się zdarzało w wypadku ziemskich balonów. Jedynym problemem było to, że owoce utrzymywały szczelność zaledwie przez kilkanaście godzin od zerwania i napełnione nimi statki powietrzne nie mogły zbyt długo nękać wroga. Samo napełnianie kadłubów zabierało niemal połowę dostępnego lotnikom czasu, a trzeba było jeszcze dotrzeć do celu i wrócić za własne linie. Niemniej dzięki plantacjom drzewek lek'teru, które zapobiegliwi błękitnokrwieści założyli na równinach po swojej stronie rzeki, alag'terysmy – jak zwano te pseudosterowce – z pewnością poczynią ogromne spustoszenia w szeregach Wojowników Kości.

Suhurowie mieli przesrane, zupełnie jak Henryan, lecz ich los nie był jeszcze przesądzony, nawet jeśli prawdopodobieństwo korzystnego dla nich obrotu spraw wydawało się bardzo niewielkie.

Zafascynowany Święcki przyglądał się marszowi długich kolumn gurdyjskich żołnierzy, którzy wyglądali jak postacie z kart upiornej bajki. Cały ekosystem Bety był tak odmienny od tego wszystkiego, co ludzie znaleźli dotychczas na odkrytych przez siebie planetach, że nie dziwił się zapałowi, z jakim Godbless

i jej koledzy zgłębiali tajemnice obu kontynentów. Zwłaszcza że rozpoczęte niedawno wykopaliska zaczynały dostarczać naukowcom dowodów na istnienie tam w poprzednich cyklach innych, nie mniej rozwiniętych cywilizacji. Henryan żałował, że nie będzie mógł się zapoznać z wynikami tych badań. Nie dalej jak wczoraj Valdez powiedział mu, że Gorelic, szef pionu archeologicznego, dokonał przełomowych odkryć podczas wykopalisk prowadzonych w Gurdu'dihanie. Wszystko wskazywało na to, że w poprzednim cyklu oba kontynenty zamieszkiwała wysoko rozwinięta rasa, która mogła dysponować technologiami umożliwiającymi podróże międzygwiazdne, i to ponad pół miliarda lat przed tym, nim pierwszy hominid wyprostował plecy.

Najwyraźniej misja tej stacji nieprędko dobiegnie końca, jednakże Henryan nie miał złudzeń: jego los był ściśle związany z Suhurami, a nawet nie tyle z nimi, ile z nadchodzącą bitwą, która zakończy etap... czerwonego migotania?

Zamrugął, wracając do rzeczywistości. Kontrolki na panelu hipera błyskały jak szalone. Przekaz kwantowy. Priorytetowy. Zerknął na wyświetlacz. Do wieczornej transmisji pozostało kilka godzin, a tę wiadomość nadano z siedziby admiralicji. Kilka ruchów palcami po wirtualnej klawiaturze uświadomiło mu, że się nie mylił. To był szyfrogram z dowództwa sektora centralnego. Wolał nie myśleć, ile energii zużyto, by pchnąć ten pakiet danych na odległość tysiąca dwustu sześćdziesięciu lat świetlnych.

Przez moment zastanawiał się, czy to nie sprawa Draccosa, ale zaraz odrzucił tę myśl. Dusigrosze z admiralicji nie wsparliby tak hojnie krucjaty szalonego komendanta kolonii karnej. Zwłaszcza że chodziło o nic nieznaczącego człowieka, którego nazwiska nikt nie kojarzył i który nie zagroziłby ciepłym posadkom grubych ryb, nawet gdyby wymordował połowę załogi tej stacji.

Henryan zerknął na porucznika. Valdez także wyglądał na zaskoczonego. Stary zniknął za ścianą pola siłowego, gdy tylko otrzymał informację o przekazie. Przez pół minuty w centrum dowodzenia słychać było wyłącznie szmery rutynowych rozmów. Żaden z wachtowych nie wiedział, że nadeszła

pilna wiadomość. Transmisjami na tym szczeblu zajmowały się tylko dwie osoby: szef zmiany i główny łącznościowiec, co w tym wypadku oznaczało porucznika Valdeza i sierżanta Prydeinwraiga.

To było ostatnie trzydzieści sekund ciszy przed burzą, o czym na razie nie wiedział nikt prócz Rutty.

Nagle, zupełnie niespodziewanie dla wszystkich, rozległ się dźwięk syren alarmowych i w całym pomieszczeniu rozbłysły czerwone światła. Zaskoczeni wachtowi oderwali wzrok od wyświetlaczy. Czerwony alarm?

– Pry! – zawołał moment później Valdez, przywołując Henryana na swoje stanowisko. – Pułkownik nas wzywa.

Wbiegli na schody równocześnie, bariera pola siłowego opadła, gdy znaleźli się na przedostatnim stopniu, i zamknęła, ledwie ją minęli.

Rutta był szary na twarzy. Patrzył na nich takim wzrokiem, jakby sam nie mógł uwierzyć w to, co mu przesłano.

– Jakiś problem, sir? – zapytał porucznik.

Dowódca spojrzał na niego dziwnie.

– I to wielki – mruknął, a potem przełknąwszy głośno ślinę, dodał: – Za chwilę ogłoszę ewakuację. Dopilnujcie, żeby podlegające wam głębokości nie spanikowały, tylko zajęły się dopięciem wszystkich procedur.

– Ewakuujemy stację? – zdziwił się Valdez.

– Ewakuujemy cały system – burknął stary, odwracając się do nich plecami. – Zaraz otrzymacie harmonogramy przesłane przez admiralicję. Rozdysponujcie je wśród swoich ludzi według dołączonego klucza dostępu. I jeszcze jedno. Nie życzę sobie żadnych opóźnień, rozumiano?

Strzelili obcasami, zaszalutowali, ale zanim opuścili podwyższenie, porucznik zapytał jeszcze:

– Czy to ćwiczenia?

Rutta obrócił się wolno. Wyglądał, jakby chciał ich skłąć, ale nie zrobił tego. Kiedy się odezwał, z trudem usłyszeli jego słowa.

– Nie. To wojna. Zostaliśmy zaatakowani przez Obcych.

* * *

Gdy wracali na stanowiska, byli równie bladzi jak ich przełożony. Syreny już nie wyły, wciąż jednak migały światła alarmowe. Zdezorientowani wachtowi spoglądali w ich kierunku, nie wiedząc, czy to nieplanowane manewry, czy może wydarzyła się jakaś katastrofa. Świącki i Valdez nie mogli pozwolić sobie na błąd. Mieli dwie minuty na przekazanie rozkazów podwładnym, aby ci jak najszybciej rozpoczęli wdrażanie procedur ewakuacyjnych, co przy obiekcie tej wielkości nie było wcale takie proste.

Henryan zrobił, co do niego należało, kilka sekund przed terminem. Zerknął w stronę zajętego wciąż porucznika, a potem przeniósł wzrok na podwyższenie otoczone opalizującą ścianą pola siłowego. Gwar rozmów wokół niego cichł stopniowo, gdy zaskoczeni żołnierze zapoznawali się z rozkazami. Chwilę później rozpętało się pandemonium. Mało kto pamiętał o możliwości odizolowania swojego stanowiska, wystarczył zatem moment, by spanikowani wachtowi zaczęli się przekrzykiwać. Valdez przewidział taki rozwój wypadków. Jeden ruch jego ręki wystarczył, by wszystkie stanowiska zniknęły za błyszczącymi zasłonami barier energetycznych, a w centrum dowodzenia znów zapanowała błoga cisza.

Świącki spojrział na listę poleceń, których wykonanie przypadło mu w udziale. Dostał od starego czysto techniczne zadania. Transportowce floty miały opuścić kotwiczowisko za cztery godziny. Do tego czasu trzeba było przesłać na nie cały sprzęt krążący na orbicie, w tym pełen zestaw satelitów Cerbera. Henryan odhaczał pozycję po pozycji, wysyłając kody i rozkazy, a następnie sprawdzał, czy urządzenia reagują prawidłowo i przemieszczają się w kierunku czekających na nie okrętów. Plan ewakuacji tego systemu został przygotowany przed wieloma laty, kiedy rozpoczynała się obserwacja obu cywilizacji Bety. Wojsko lubiło mieć procedury na każdą okazję i choć rzadko z nich korzystano, tego dnia okazały się naprawdę przydatne. Biurokraci z admiralicji uwzględnili

najdrobniejsze szczegóły akcji, a komputery stacji w ciągu kilku sekund wygenerowały harmonogramy pozwalające na bezproblemowe wykonanie rozkazów w przeznaczonym na to czasie. Jedynym niepewnym elementem był jak zwykle człowiek. A konkretnie – sierżant Henryan Świącki.

Alarm pomieszał mu szyki. Misterny plan odejścia z hukiem legnie w gruzach, jeśli ewakuacja przebiegnie tak sprawnie, jak tego oczekiwano. Henryan nie mógł jednak nic na to poradzić. Każde odstępstwo od harmonogramu zostanie zauważone przez system i zaraportowane przełożonym. Musiał coś wymyślić, i to natychmiast, zanim znad Bety zniknie sprzęt, którego potrzebował. Dioda przy holopadzie rozjarzyła się soczyście zielenią. Zerknął na wyświetlacz. Godbless. Nic dziwnego, że zaczęła się dobijać do centrum. Została odcięta od Bety, jak tylko padły pierwsze rozkazy. Henryan sięgnął do klawisza, ale nie dotknął jego migoczącej w powietrzu powierzchni. Cofnął rękę, uśmiechając się pod nosem. To może być ciekawe...

Zjawiła się w centrum dowodzenia kilka minut później, maszerując wyjątkowo żwawo jak na sto trzydzieści kilogramów ciała i pokrywającego je tłuszczu. Za nią podążała nieodłączna świta w niebieskich kombinezonach pionu naukowego. Jej przybycie zapowiedziały dzikie wrzaski przy wejściu. Wartownicy przegrali to starcie błyskawicznie, gdy w przerwach między wyzwiskami uświadomiła im, że to ona dowodzi tą operacją, w tym wojskiem. Z pokonaniem schodów poszło jej już gorzej, ale żaden z przydupasów nie śmiał wyprzedzić szefowej. Kiedy zatrzymała się na dziesiątym stopniu, by odetchnąć, Rutta opuścił pole siłowe. Stał na szeroko rozstawionych nogach, blokując skraj podestu, jakby nie zamierzał wpuścić naukowej zarazy do swojego sterylnego królestwa.

Henryan nie wiedział, czy twarz Godbless jest purpurowa z wysiłku czy to raczej efekt przepełniającej ją wściekłości.

– Odpieprzyło wam, pajace? – wysapała jadowicie. – Co to wszystko ma znaczyć? Żądam...

– Otrzymaliśmy rozkaz ewakuacji – przerwał jej bezceremonialnie

pułkownik.

– A spieprzajcie sobie choćby do sąsiedniej galaktyki, tylko zostawcie mi mój sprzęt! – Godbless od razu przeszła do ataku.

– Sprzęt jest własnością admiralicji. – Rutta nie mógł jej ustąpić, choćby błagała go na kolanach, i nie zamierzał tego robić.

– Coś ci się chyba pofyrdało, paciuloku w śmiesznej czapeczce! – ryknęła Godbless, najwyraźniej nie zdając sobie sprawy z tego, że wojna z inną rasą kompletnie zmieniła układ sił i jej sytuację.

Za to pułkownik Rutta doskonale wiedział, co się święci. I tego dnia to on miał w ręku silniejsze karty. Postanowił więc zagrać va banque. Uniósł rękę, uciszając na chwilę szefową pionu naukowego. Zamilkła, ale widać było, że to tylko efekt zaskoczenia, już bowiem otwierała usta, by rozpocząć kolejną tyradę.

– Czy według pani zdanie, że jestem stary, brzydki i niezbyt rozgarnięty, byłoby obelgą czy raczej potwierdzeniem prawdy? – Zadał jej tak absurdalne pytanie, że potrzebowała dłuższej chwili, by zrozumieć, o co mu chodzi. – Proszę odpowiedzieć, doktor Godbless – ponaglił.

– Co to za brednie? – burknęła, wciąż zbita z tropu.

– Chciałbym usłyszeć odpowiedź na moje pytanie. – Rutta wydawał się uosobieniem spokoju, co jeszcze bardziej ją rozsierdziło.

– Według mnie ten opis pasuje do pana idealnie! – warknęła, odwracając się do swojej świty.

Stojący za nią naukowcy zaśmiali się, ale niezbyt przekonująco.

– Świetnie! – Rutta także się ucieszył, jakby usłyszał komplement. – W takim razie nie obrazi się pani, doktor Godbless, jeśli powiem, żeby zabrała pani stąd swoją starą, tłustą i obwisłą dupę! Wypieprzać mi z centrum dowodzenia!

Zatkało ją. Henryan po raz pierwszy widział, jak się zatchnęła. Purpura na jej twarzy przeszła w siność. Zaczął się nawet obawiać, że to pierwsze oznaki zawału albo udaru, lecz med na jej przedramieniu nadal miał zieloną barwę, choć teraz już o wiele jaśniejszą niż przed momentem.

– Co...? – stęknęła. – Coś ty powiedział, wypierdku? – Z każdym słowem

odzyskiwała rezon. – Admirał Okonera dowie się o wszystkim!

– O tym, że nazywasz go pajacem w śmiesznej czapeczce, też? – zakpił pułkownik. – To ci chyba bardziej zaszkodzi, niż pomoże, stara torbo.

– To skandal. Skandal! – darła się Godbless. Jej świta wyglądała na równie oburzoną. – Nie ujdzie ci to płazem, gnoju! Zniszczę cię! Zniszczę!

– Macie dziesięć sekund na opuszczenie centrum dowodzenia! – rzucił Rutta obojętnym tonem, jakby rozmawiał z nią o pogodzie.

– Albo co? – zakpiła, aczkolwiek nieco mniej pewnie.

Dziwiła ją ta nagła zmiana postawy uległego zazwyczaj pułkownika.

– Albo zostaniecie aresztowani i oskarżeni o sabotowanie ważnej operacji wojskowej – wyjaśnił, wskazując pluton żandarmów mijający właśnie pole siłowe przy wejściu.

– Ale... ale... – Godbless zgłupiała do reszty. – Przecież my prowadzimy tu niezwykle ważne badania. Nie możecie... Ja tu dowodzę...

– Dowodziłaś – poprawił ją Rutta. – Z chwilą wybuchu wojny dowodzenie nad wszelkimi operacjami w dalekiej przestrzeni przejęła flota, czyli ja. Mamy osiemnaście godzin na opuszczenie tego systemu.

– To wystarczy do rozłokowania sprzętu na...

– Ogarnij się, durna babo! – wrzasnął na nią pułkownik, nakazując gestem, by żandarmi wyprowadzili intruzów. – Wasz... nasz sprzęt wędruje właśnie do ładowni transportowców, które muszą opuścić orbitę Bety za niespełna cztery godziny, jeśli mamy zniknąć z tego systemu w wyznaczonym czasie.

– A co z Suhurami? – jęknęła, zanim dwaj żandarmi ujęli ją za łokcie.

– A kogo to obchodzi?! – odburknął. Gdyby nie wybuch wojny, ta ewakuacja byłaby dla niego zbawieniem. Nie musiał się już przejmować, czy Bogowie wytną mu na koniec jakiś numer. Spojrzał na nią z góry, tryumfalnie. – Macie chłodnie pełne ich ciał i magazyny wypchane artefaktami. Czego jeszcze chcecie? Mało śmierci naoglądaliście się przez te sześć lat? Niech choć wyginą w spokoju.

– To ty, kanalio! – wrzasnęła, wyszarpując się żandarmom. – Wiedziałam!

– Zamknij ryj, kretynko! – nie pozostał jej dłużny. – Nie miałem nic wspólnego z tą debilną zabawą, ale powiem ci szczerze: z każdą twoją wizytą tutaj, z każdą połajanką przez holo traciłem ochotę na dorwanie bałwanów mieszających wam w badaniach. Wyprowadzić stąd tę jędzę!

– Puśćcie mnie! – wydarła się, gdy żandarmi próbowali ją schwytać. – W dupie mam...

– To wyłącznie twój problem, rozworo – nie pozwolił jej dokończyć. – Mieściłabyś się w normalnym fotelu, gdybyś nie miała w dupie tyłu porządnych ludzi. Odprowadzić doktor Godbless do kabiny, spakować i wpięprzyć na pierwszy wahadłowiec. A po dotarciu na *Nexusa* natychmiast osadzić w brygu.

Szamotała się i bluzgała, kiedy ją eskortowali, a on odprowadzał ją wzrokiem, uśmiechając się, jakby wygrał właśnie pierwszą bitwę nadchodzącej wojny. Spojrzawszy w kierunku Valdeza i Świąckiego, skinął głową. Henryan uznał, że to doskonały moment, by ugrać swoje.

– Sir! – zawołał, zanim usatysfakcjonowany pułkownik wrócił na fotel.

– Czego chcesz? – Rutta znów był oschłym, wymagającym trepem.

– Mam mały problem z kilkoma urządzeniami.

– Raport na mój czytnik. Natychmiast.

Świącki był na to przygotowany. Stary otrzymał krótką listę, na której znajdował się satelita Cerbera i jeden zasobnik z nanokamerami. W obu nie odpaliły silniki manewrowe.

Moment później popiersie starego pojawiło się na jego holopadzie.

– Sprzęt, który nie zdoła dotrzeć na transportowce, ma zostać zniszczony. Dopilnujcie, Pry, żeby ślad po nim nie został.

– Tak jest. Mam meldować, gdybym trafił na kolejne awarie?

Rutta zastanawiał się przez chwilę.

– Nie. Nie będę miał czasu na takie pierdoły. Valdez też nie. Admiralicja liczy się z pewnymi stratami w sprzęcie. Priorytetem jest ewakuacja ludzi, okrętów i stacji. Zrozumiano?

– Tak jest!

Henryan był zachwycony. Lepszej informacji nie mógł usłyszeć. Na orbicie znajdowało się jeszcze sporo sprzętu, który będzie mu potrzebny. Żałował tylko, że senatorowie nie zobaczą przygotowywanej dla nich niespodzianki.

DWADZIEŚCIA OSIEM

Dwie godziny później wysiadł z kolejki. Na korytarzach w jego sektorze mieszkalnym nie było prawie nikogo. Większość personelu została ewakuowana do piasty, gdzie wszyscy czekali teraz w długich kolejkach na wahadłowce krążące nieustannie między kotwicowiskiem floty a kosmoporciem. Operacja przebiegała sprawnie; jeśli nic jej nie zakłóci, za siedemdziesiąt minut taras widokowy zostanie automatycznie odrzucony, a jego miejsce zajmie moduł napędowy orbitujący do tej pory w pobliżu stacji. Gigantyczna konstrukcja wyruszy w podróż do punktu wyjścia, zanim ostatni okręt floty opuści kotwicowisko, z tym że najpierw w jej opustoszałych wnętrzach rozegra się ostatni akt dramatu jednego aktora: byłego kapitana, obecnie sierżanta, który zrobi wszystko, by nie dać satysfakcji swojemu prześladowcy.

Idąc korytarzami, Henryan uśmiechał się do swoich myśli. Niemal trzy stulecia eksploracji przestrzeni. Kilkanaście tysięcy przebadanych systemów gwiazdnych, ponad tysiąc zasiedlonych planet i ani śladu obcej inteligencji. Aż tu nagle, w ciągu zaledwie kilku lat, a dla niego w niespełna dwa tygodnie, na horyzoncie pojawiają się aż trzy cywilizacje. Dwie totalnie odmienne i jeszcze dość prymitywne oraz trzecia, o której właściwie nic nie było wiadomo... z wyjątkiem tego, że jest na tyle potężna, by wypowiedzieć wojnę rasie władającej pięćdziesiątą częścią ramienia spiralnej galaktyki.

Mijając wejście do mesy, zwolnił, po czym zawrócił. Na karcie miał jeszcze sporo punktów żołądu, a skoro nie musiał wydawać ich na dodatkową energię, to chociaż porządnie się naje. Niestety okazało się, że wygaszanie stacji rozpoczęto

od odłączenia najmniej potrzebnych systemów, do których należały dyspensery żywności. Trudno, pomyślał. I tak nie zdąży porządnie zgłodnieć.

Dotarł do swojej kabiny. Tym razem musiał użyć kodu awaryjnego, który wydano wszystkim pracownikom centrum dowodzenia, aby mogli obejść blokady uruchomione procedurami ewakuacyjnymi. Pogrążony w myślach nie zwrócił uwagi na to, że za drzwiami nie jest ciemno. Zatrzymał się dopiero wtedy, gdy zobaczył czarnego siedzącego jak poprzednio przy konsoli.

– To znowu ty... – mruknął, czując, że na dnie żołądka zaczyna mu się formować ciężka lodowa kula.

Przyszli po mnie. W tym całym zamieszaniu nikt nie zauważył, że jeden z żołnierzy zniknął bez śladu. Żeby ich wszystkich szlag trafił! pomyślał. A tak niewiele brakowało...

Rozejrzał się szybko w poszukiwaniu pozostałych agentów. Wubek był sam. Mimo to Henryan nie dostrzegł na jego twarzy pokory ani strachu. Najwyraźniej przyszedł się zemścić za wszystkie upokorzenia, które go spotkały.

– Gdzie twoje kundły? – warknął Święcki, chwytając naczelnik.

Mężczyzna nie zareagował. Uśmiechnął się tylko przyjaźnie – przyjaźnie! – i wskazał sierżantowi krzesło.

– Czas pogadać, ale tym razem tak od serca – stwierdził.

Święcki nie skorzystał z zaproszenia. Wychylił się za to za drzwi, sprawdzając, czy nie ma za nimi Gunternesta Poetzego i tego trzeciego. Nie zobaczył żywej duszy.

– Czego chcesz? – zapytał, gorączkowo się zastanawiając, czy zdoła sobie odgryźć język jak więźniowie, którzy dostawali minutę na ucieczkę z kolonii.

Nie mam wyjścia. Będę musiał to zrobić, i to błyskawicznie, żeby wubek nie zdążył aktywować kodów. Nie mogę rzucić się do ucieczki, bo to sprowokowałoby natychmiastową reakcję czarnego. Ale mogę spróbować go zagadać, a kiedy straci na moment czujność...

– Przecież powiedziałem. – Wubek śmiał się szczerze, nawet radośnie. – Czas odkryć wszystkie karty.

– Skoro tego sobie życzysz... – Święcki oblizał wargi. – Tylko pamiętaj: jeśli coś mi się stanie, pewni ludzie i tak rozpowszechnią holo z twoim udziałem.

– Myślisz, że Annelly zrobiłaby mi takie świństwo? – Czarny wyglądał na zdrowo rozbawionego. – Siadaj wreszcie na dupie i przestań kombinować, jak skończyć ze sobą, zanim cię obezwładnię kodami i uprowadzę, żeby przekazać oprawcom Draccosa. – Henryan zdębiał. Ruda pracuje dla wydziału? Wodzą go za nos od samego początku? To wszystko była ściema? – Ty dalej nie wiesz, kim jestem? – Wubek spoważniał w jednym momencie. – Nie domyśliłeś się, czemu musiałeś rozmawiać z tym nieszczęsnym robotem hydroponicznym?

– Nie chciałeś, żebym rozpoznał twój głos – odparł Święcki, nadal ściskając kurczowo naczolnik.

– Nareszcie zaczynasz jarzyć. A dlaczego nie chciałem, żebyś rozpoznał mój głos? Usiądź, zanim zaczniesz odpowiadać. Nic ci z mojej strony nie grozi. Gdybym chciał użyć kodów Draccosa, nie czekałbym, aż wymyślisz sensowny sposób popełnienia samobójstwa.

Tym razem Henryan posłuchał. Opadł na obrotowe krzesło naprzeciw wubeka i opuścił dłoń, w której trzymał naczolnik z nagraniem kompromitującym jego najgorszego wroga na tej stacji.

– Gdybym go rozpoznał, pomyślałbym, że to prowokacja.

– Ciepło, zimno... W sumie masz rację, tyle że nie do końca. Prawda, uznałbyś, że to prowokacja, ale byś się pomylił.

Święcki spojrzał na niego uważniej. Coraz mniej podobała mu się ta rozmowa. Albo czarny z nim pogrywał, albo...

– Nie, nie możesz być szefem Bogów – wyszeptał mimowolnie.

– Dlaczego tak uważasz?

Sierżant nie odpowiedział. Wszystko zaczęło mu się mieszać.

– Sam nie wiem – przyznał bezradnie.

– Nie zastanawiało cię, skąd mam dostęp do prywatnej poczty starego? Jesteś lepszym specem od Seiferta, ale bez moich podpowiedzi niewiele byś zdziałał.

Henryan przytaknął odruchowo. Nagle stało się dla niego jasne, że to

wszystko musiała być robota kogoś nie tylko dobrego w swoim fachu, ale też świetnie ustawionego. Na przykład kogoś takiego jak oficer Wydziału Bezpieczeństwa prowadzący dochodzenie w sprawie pułkownika.

– Czego chcesz? – powtórzył nieco mniej napastliwie.

– Pozwól, że najpierw się przedstawię. Nazywam się Gunternest Poetze. Porucznik Gunternest Poetze. – Wyświetlił legitymację. – Teraz już wiesz, że twój szantaż na niewiele by się zdał, gdybyś w którymś momencie chciał mi zaszkodzić.

– Wiedziałaś... Od początku wiedziałaś – wymamrotał Henryan, gdy minął największy szok. – Ruda też brała w tym udział?

– Kto?

– Ruda. Annelly.

– Ona nie jest... Nie. Nikt zwerbowany przez Seiferta nie miał pojęcia, kto dowodzi tą akcją. Tak było bezpieczniej.

– Dla ciebie – stwierdził Święcki.

– Owszem. Głównie dla mnie. Ale dla nich też. Gdyby się dowiedzieli, że pracują dla kogoś z Wydziału Bezpieczeństwa, pewnie posraliby się ze strachu. Wybacz, ale sam wiesz, jak ludzie na nas reagują.

– Dlaczego? – zapytał Henryan, spuszczaając głowę.

– Nie rozumiem, o co pytasz.

– Dlaczego zastraszałeś mnie jako wubek, skoro chciałeś, żebym współpracował z Bogami?

Poetze nie odpowiedział od razu, a gdy otworzył w końcu usta, dobierał słowa bardzo ostrożnie.

– Przepraszam cię za tamto najście. Z początku myślałem, że mam do czynienia ze zwykłym zwyrodnialcem i mordercą. Dlatego zostałeś potraktowany z buta. Za ostro, przyznaję, ale wiesz, jak jest. Nie byłem pewien, co kombinuje Rutta. Nie mogłem pozwolić, żeby cię przekabacił. Potem jednak, gdy już przejrzałem twoje akta i dowiedziałem się co nieco o Pasie Sturgeona, zmieniłem zdanie. Jesteś bardzo mądrym człowiekiem i groźnym

przeciwnikiem. Weźmy na przykład tę akcję w sektorze medycznym. Zaplanowałeś ją i rozegrałeś po mistrzowsku. Gdybym nie wiedział, co planujesz, pewnie narobiłbym ze strachu w gacie. – Pokiwał z uznaniem głową.

Święcki od dłuższej chwili drżał na całym ciele. Wzmianka o kolonii karnej obudziła w nim wszystkie demony.

– Mam tego dość, pozwól mi odejść... – poprosił łamiącym się głosem.

– Chcesz, żebym patrzył, jak popełniasz samobójstwo? – obruszył się Poetze.

– Wyświadczyłbyś mi w ten sposób ogromną przysługę.

– Człowieku, wybuchła wojna. Obcy zaatakowali kilka systemów w zewnętrznych sektorach, a ty mi tu pieprzysz o umieraniu? Jesteś znakomitym żołnierzem i łącznościowcem. Będziemy potrzebowali takich ludzi jak ty.

– Jestem mordercą. Zabiłem niewinnego człowieka.

– Co ty bredzisz? – jęknął czarny. – Odstrzeliłeś jednego z najgorszych skurwysynów, jacy nosili mundur floty.

– Widziałem raport.

– Jaki raport?

– Z dochodzenia przeprowadzonego przez admiralicję.

– I co w nim było takiego strasznego?

Święcki wzruszył ramionami.

– Sam przeczytaj.

– Czytałem. Był w twoich aktach.

– Nie rozumiem... – Henryan spojrzał na niego podejrzliwie.

– Śledztwo przeciw Renaudowi zostało umorzone z braku dowodów, które pechowo pofrunęły w kosmos, ale wszystkie poszlaki wskazywały na to, że tkwił w procederze handlu narkotykami po uszy. Wiem też, choć z innych źródeł, że w admiralicji zastanawiano się, czyby nie złagodzić ci wyroku. Jednakże sprawa została zbyt nagłośniona w mediach... Przyznawanie się do błędów nie należy do ulubionych dyscyplin sportowych naszych admirałów.

– Kłamiesz.

– Nie. Słowo daję, że to kute na cztery gwiazdki skurwyklony.

– Kłamiesz w sprawie raportu. Ja go widziałem.

– Gdzie?

– Draccos mi pokazał.

– I ty mu uwierzyłeś?!

– Sprawdziłem logi... – Henryan wyprostował się nagle. Sprawdził, ale wyłącznie logi wiadomości z admiralicji, nie samego raportu. – Kurwirtual! – Przeniósł wzrok na porucznika. – Co z kodami?

– Dotarły dzisiaj rano razem z dokumentami dla pułkownika – odparł Poetze spokojnie, lecz widząc niewyraźną minę Święckiego, dodał zaraz: – Nie masz się czego bać. Dokumenty skasowałem, a kody zabezpieczyłem.

– Dlaczego? Przecież odmówiłem wam...

– Którym nam?

– Wubecji... Bogom zresztą też.

– Teraz to już bez znaczenia. Zwłaszcza dla nas... to znaczy dla Bogów – sprecyzował szybko. – Miałeś sporo racji. Nie widziałem szerszej perspektywy. Dzięki tobie to pojąłem. Jesteśmy tylko ludźmi, nie powinniśmy bawić się w Boga.

Henryan pokręcił głową.

– Ja też wiele wyniosłem z naszej ostatniej rozmowy – przyznał. – Wracając do tych kodów...

Wiadomość o sfałszowanym raporcie, którą swoim zwyczajem zamierzał sprawdzić przy pierwszej okazji, znów zmieniła jego podejście do życia. Zaulek wiodący prosto ku śmierci zyskał nagle wiele nowych, obiecujących odgałęzień.

– Przejąłem je. Nie musisz się nimi martwić.

– Muszę. Draccos oskarżył mnie o kolejne zabójstwa, o czym doskonale wiesz, bo czytałeś jego korespondencję z Rutką. Ty mi odpuszczasz, ale twoje miejsce może zająć wkrótce ktoś, kto będzie miał inne zdanie w tej sprawie.

– Spokojnie. Nosisz w głowie technologię opracowaną przez Federację, a my, to znaczy Wydział Bezpieczeństwa, też wiemy o niej немало. – Poetze wstał i nie czekając na Święckiego, ruszył w kierunku drzwi. – Zbieraj łachy, po

transferze na okręt zgłosisz się natychmiast do przedziału kontrwywiadu. Dezaktywujemy tego cholernego chipa, skoro tak bardzo się go boisz. Suhurów nie zdołaliśmy ocalić, ale mamy kolejną wojnę do wygrania.

Henryan uśmiechnął się pod nosem, czego wubek nie mógł już zobaczyć.

EPILOG

System Xan 4, Sektor X-ray,

25.09.2354

Tego dnia oba słońca Bety wschodziły zaraz po sobie. Najpierw zza horyzontu wychynęła tarcza mniejszego Thuba, a moment później nad wzgórzami pojawił się zrab gorętszego Koreda. To był znak, na który czekały obie strony konfliktu. Wojownicy Kości opuścili obozowiska rozbite wzdłuż rzeki, zbierając się w garstnie, aby stanąć za Najwyższymi Suhurami swoich klanów. Stawili się wszyscy. W opuszczonych sadybach, których nie obserwowały już żadne kamery, pozostały tylko rozplątane zwłoki złożonych w ofierze pisklaków.

Zgodnie z przyjętą wcześniej taktyką Suhurowie czekali na swoim brzegu, uważnie obserwując zbliżającą się armię wroga. Przez równiny maszerowało chwiejnym krokiem mrowie błękitnokrwistych żołnierzy, których pancerze lśniły oślepiająco w promieniach obu słońc. Był to piękny widok, ale tylko dla człowieka – Gurdowie nie mieli oczu w ludzkim rozumieniu tego słowa, a narząd wzroku Suhurów rejestrował zupełnie inne pasma fal. Żadna ze stron nie mogła się więc zachwycić tym szczegółem. A gdyby nawet była w stanie, mało prawdopodobne, aby miała na to ochotę w obliczu zbliżającej się bitwy.

Takeli'toko, sampo-sithu błękitnokrwistych, przybywał nad Valt Aram, aby zakończyć trwającą od tysiąca wylewów wojnę z dzikimi mieszkańcami podbitej Suhurty. Chłonąc ich chaotyczne szeregi, ciągnące się za rzeką na przestrzeni wielu obrotów kół, nie czuł strachu. Jego karne oddziały dysponowały bronią,

która rozbije w pył dumnych, choć prymitywnych autochtonów. Ciągnięte za piechotę armaty i przewożone na pokładach alag'terysmów bomby przetrzebią armię wroga, a gdy Wojownicy Kości pójdą w rozsypkę, on i najdzielniejszy z Gurdów sforsują rzekę przygotowanymi zawczasu tratwami, by rozgromić ostatecznie tych, którzy do końca pozostaną na posterunku. Obawiał się jedynie tego, że przeciwnik odstąpi i ucieknie na widok przeważających sił Gurdów, co byłoby równoznaczne z koniecznością przedłużenia walk o kolejnych kilka dni. Końcowego efektu był wszakże pewny: za stu tysiącami żołnierzy, których prowadził, szły kolejne, jeszcze liczniejsze oddziały wsparcia sprowadzone nad Valt Aram z pozostałych części kontynentu. Sampo-sithu nie pozostawiał niczego przypadkowi.

Takeli'toko ucieszyłby się, gdyby znał myśli Najwyższych Suhurów. Wojownicy Kości zdawali sobie bowiem sprawę ze swego niekorzystnego położenia, aczkolwiek nie czuli strachu. I nie chodziło bynajmniej o obietnice złożone młodym wojownikom przez Duchy Gór. Widząc nadciągającą potęgę, dumni autochtoni szybko zrozumieli, że ta bitwa będzie ostatnim bojem dumnych klanów. Wszyscy Wojownicy Kości zostali na to przygotowani. Żaden z nich nie cofnie się więc o krok. Skoro mają zginąć, uczynią to z radością, zabierając ze sobą tylu wrogów, by najeźdźca pamiętał o ich oporze jeszcze długo po tym, jak ostatnie szkielety poległych poszarzeją na słońcu i porosną knelem.

Gurdowie zakończyli przygotowania do ataku, zanim podwójne cienie porastających brzeg rzeki sągrowców przesunęły się na piaszczysty brzeg. Na skraju koryta po ich stronie złożono zbite z grubych bali tratwy, a za pierwszą linią oddziałów rozstawiono wielkie grzmiące pnie. Nad polem bitwy pojawiły się też bulwiaste kształty machin latających, które powoli szybowały nad pozycjami piechoty, kierując się ku rzece.

Obie armie czekały już tylko na ostatni rozkaz. Przenikliwy pisk sampo-sithu został powtórzony przez dowódców oddziałów. Piechurzy wymierzili broń w tłum Suhurów oczekujących w ciszy na drugim brzegu rzeki. Odciągnięto

wielkie młoty zamków dział. Drugi pisk wodza utonął w ryku setek gromów.

Pięćdziesiąt trzy tysiące kul i niemal sto wypełnionych łatwopalnym olejem wielkokalibrowych pocisków pomknęło w kierunku stojących nieruchomo Wojowników Kości. Odpalone z tak bliska powinny przetrzebić dumne klany. Ofiary tej jednej salwy mogły iść w tysiące zabitych i rannych. A każdy żołnierz błękitnokrwistych zdoła wystrzelić jeszcze dziesięć pocisków, zanim będzie zmuszony do przeładowania broni.

O tym, że coś jest nie tak, obie armie przekonały się, gdy wielkokalibrowe pociski rozprysły się w połowie drogi, nad korytem rzeki, jakby trafiły tam na niewidzialną ścianę. Rozbryzgi oleju zajęły się natychmiast ogniem, ten zaś spływał wolno w powietrzu, jakby niemal nic nie ważył. Drugą salwę spotkał podobny los. Trzecią też. Ani jeden Wojownik Kości nie ucierpiał, mimo że w ich kierunku nieprzerwanie mknęła lawina żelaznych kul.

Sampo-sithu wydał rozkaz przerwania ognia, gdy pierwsze alag'terysmory dotarły nad koryto rzeki. Niesamowita bariera zbiła go z tropu i przeraziła wielu żołnierzy, którzy do tej pory wierzyli bezgranicznie w skuteczność nowej broni. Takeli'toko nie rozumiał, jak prymitywni łowcy wzniesli niewidzialny mur zdolny do powstrzymania tylu pocisków, był jednak pewien, że znajdzie sposób na pokonanie tej przeszkody. Na przykład górą.

Statki powietrzne dotarły do miejsca, w którym olej wciąż płonął, spływając powoli ku wodzie, minęły spokojnie niewidzialną ścianę i sunęły dalej w kierunku zbitej masy Suhurów. Jeszcze chwila i załogi alag'terysmów będą mogły zrzucić na zwarte szeregi wroga jeszcze potężniejsze bomby. Sampo-sithu obserwował z uwagą każdy ich ruch. Teraz! Od gondol oderwały się obłe kształty i zaczęły spadać na patrzących w górę wciąż nieruchomych wrogów.

I znów – w połowie drogi między statkami powietrznymi a ziemią – wszystkie pociski popękały, a znajdujący się w nich olej zapłonął i zawisł nad klanami, rozlewając się coraz szerzej, jakby Suhurów chronił lity dach odlany z niewidzialnej masy. W tym momencie Takeli'toko dopuścił do siebie myśl, że może nie wygrać tej bitwy. Działo się tu bowiem coś, co przekraczało jego

rozumienie. Coś, co zapowiadały głosy słyszane nocą nad Treb'aldaledo. Czyżby plotki o mocach Wojowników Kości nie były czczym wymysłem spanikowanych rolników? Dlaczego więc armie Gurdów, które mnóstwo razy walczyły z klanami, nigdy jeszcze nie napotkały czegoś równie niewytłumaczalnego?

Widząc, że bombardowanie nie przynosi efektów, dowódcy zawrócili alag'terysmy nad własny brzeg.

* * *

Suhurowie przyglądali się w milczeniu, jak pociski wroga rozbijają się najpierw o jedną, potem o drugą barierę, jakby za każdym razem powstrzymywali je bogowie albo byty opiekuńcze. Tore Numa-Reh, któremu zbór powierzył dowodzenie w tej bitwie, jako że miała się ona rozegrać na terenach należących do klanu Trzykrotnie Przebitej Tarczy, uniósł arad i uderzył nim z całych sił w ziemię. Jego gest powtórzyli wszyscy Najwyżsi Suhurowie.

– Duchy Gór spełniły obietnicę. Chronią nas swoją nadprzyrodzoną mocą. Udowodnijmy im, że zasługujemy na okazaną nam łaskę. – Wskazał aradem przeciwległy brzeg, drugą ręką sięgając po miazdżer. – Uderzmy na wroga! Niech jego krew zabarwi wody świętej rzeki stąd aż do morza!

Gorimowie podali dalej jego rozkaz. Tysiące Wojowników Kości ruszyło ku Valt Aram. Wody w tym miejscu nie były głębokie ani rwące, więc dwukrotnie wyżsi od swoich wrogów Suhurowie mieli pewność, że szybko dostaną się na drugi brzeg. Zanim jednak pierwsze szeregi armii zjednoczonych klanów dotarły między poskręcane sągrowce i parchany, w wody rzeki uderzyła dziwna prosta błyskawica, taka sama jak ta, która zniszczyła Siewcę Gromów. Wojownicy zatrzymali się na swoim brzegu, nie wiedząc, jak zinterpretować to zdarzenie. Czy był to dalszy ciąg pokazu mocy Duchów Gór, czy może raczej ostrzeżenie zesłane przez bogów?

* * *

Konsternacja nie trwała długo. Na niebie, wysoko nad różowawymi wodami Valt Aram, pojawiła się gigantyczna, dziwna, na wpół przezroczysta istota. Nie przypominała niczego, co chłonęli do tej pory Gurdowie ani co widzieli Wojownicy Kości. Była zadziwiająco wiotka, miała dwie różniące się pary odnóży i dziwną kulistą wypustkę nad korpusem. Stojący nad rzeką Suhurowie usłyszeli melodyjny hurkot, jakby ktoś odezwał się tuż przy membranach.

– Jam jest Hen Ra-Yan, bóg przybywający z mrocznej otchłani, w której bledną słońca i gasną gwiazdy. Od dzisiaj macie mnie czcić, jak robią to już Duchy Gór, Równin i Wód. Pokonałem Koreda i Thuba, ale nie rozbiłem ich tarcz, jak oni uczynili z Yabhą, aby dalej mogli obdarzać was życiodajnym ciepłem. Teraz zmuszę błękitnokrwistych, by odeszli aż za Adal Vin, pozostawiając klanom wszystkie ziemie po tej stronie największej z rzek, gdzie Wojownicy Kości, ku mej chwale, znów staną się liczniejsi od gwiazd. Nikt już nie odbierze wam tych równin, pozostaną wasze po kres czasu. Zabraniam wam jednak przechodzić na ziemie Gurdów, jeśli nie wyrażą na to zgody. Moje święte błyskawice spopiela każdego, kto złamie ustanowione przeze mnie przymierze. Jam jest ten, który daje i odbiera życie, nie wściecie się zatem składać mi żadnych ofiar z jeńców i pisklaków. Od tej pory jedynymi wotami, jakie przyjmę, będą kotory zmarłych i zregi upolowanych bestii. A teraz wzywam was, odstąpcie natychmiast i schowajcie broń.

* * *

W tym samym czasie Gurdowie chłonęli pisk. Docierał on do każdego żołnierza i dowódcy, nie wyłączając samego sampo-sithu. Wszakże przeznaczone dla nich słowa brzmiały zupełnie inaczej.

– Nazywam się Henryan Świącki, jestem człowiekiem, istotą rozumną zamieszkującą odległe systemy gwiazdne. Przybyłem do was w pokoju, ale gdy

ujrzałem wasze czyny, stałem się śmiercią, niszczycielem światów. Mam moc, o jakiej wasi uczeni jeszcze nie śnili. Ujarmiam żar słońc, ścieram w pył planety, niosę zagładę całym rasom. Jednym skinieniem palca pokonam wasze armie, jednym oddechem wyjąłowię pola, które uprawiacie, jednym spojrzeniem zmiażdżę wszystkie kręgi, które zbudowaliście od zarania dziejów. Uczynię to bez wahania, jeśli nie wykonacie moich rozkazów! Słuchajcie zatem, jaka jest moja wola: odejdziecie za rzekę zwaną Adal Vin i zostanieie za nią już na zawsze. Najdłuższa z rzek Suhurty będzie od tej pory nieprzekraczalną granicą dla was i dla Wojowników Kości. Macie moje słowo, że żaden Suhur nie dotknie szponami południowego brzegu, jeśli mu na to nie pozwolicie. Każdego wojownika, który mi się przeciwstawi, spalę na popiół, nie zostawiając nawet jednej kostki, by mogła trafić na klanowy totem. Jeśli wy mnie nie posłuchacie, wygnam was z Suhurty na dobre, a potem poprowadzę nieprzeliczone klany na żyzne równiny Gurdu'dihanu, by zamieniły go w martwą pustynię. Odejdźcie natychmiast, a zostanieie oszczędzeni.

Po tych słowach z bezchmurnego nieba zaczęły strzelać kolejne dziwaczne błyskawice. Uderzały w wodę, zamieniając ją w parę, trafiały w oba brzegi z dala od zgromadzonych na nich armii, ryjąc wielkie kratery i wzniecając pożary. Sampo-sithu, należący do największych mędrców swojej rasy, zrozumiał od razu, że Gurdowie nie mogą się równać z gigantami, którzy przybyli z gwiazd. Wiedział też, że Rada Najwyższa podzieli jego zdanie, gdy otrzyma szczegółowe raporty.

Podbój skończył się tego dnia nad tą rzeką, aczkolwiek nie tak, jak to sobie zaplanowano w głównym kręgu Gurdu'dihanu. Wojownicy Kości wycofywali się już do swoich sadyb. Takeli'toko, nie mając wyjścia, wydał rozkaz odwrotu i rozpoczął długi marsz ku Adal Vin, aby nie ściągnąć na siebie gniewu człowieka.

* * *

Obie strony wygrały tę wojnę, choć nieobecny twórca ich sukcesu nie wątpił, że upłynie wiele czasu, nim Suhurowie i Gurdowie pogodzą się z nową rzeczywistością. Do tej chwili – albo do powrotu ludzi na Xana 4 – pokoju na planecie będą strzegły przejęte przez niego podczas ewakuacji satelity bojowe i setki podłączonych do nich nanokamer obserwujących z niskiego pułapu, czy obie rasy przestrzegają warunków rozejmu.

Nowy Bóg nie mógł pozwolić, by Jego słowa zostały potraktowane jak czcze pogróżki.

Spis treści

ŁATWO BYĆ BOGIEM

Część pierwsza. MISJA NOMADY

Jeden

Dwa

Trzy

Cztery

Pięć

Sześć

Siedem

Osiem

Dziewięć

Dziesięć

Jedenaście

Dwanaście

Trzynaście

Czternaście

Część druga. KOLONIA

Prolog

Jeden

Dwa

Trzy

Cztery

Pięć

Sześć

Część trzecia. STACJA

[Jeden](#)

[Dwa](#)

[Trzy](#)

[Cztery](#)

[Pięć](#)

[Sześć](#)

[Siedem](#)

[Osiem](#)

[Dziewięć](#)

[Dziesięć](#)

[Jedenaście](#)

[Dwanaście](#)

[Trzynaście](#)

[Czternaście](#)

[Piętnaście](#)

[Szesnaście](#)

[Siedemnaście](#)

[Osiemnaście](#)

[Dziewiętnaście](#)

[Dwadzieścia](#)

[Dwadzieścia jeden](#)

[Dwadzieścia dwa](#)

[Dwadzieścia trzy](#)

[Dwadzieścia cztery](#)

[Dwadzieścia pięć](#)

[Dwadzieścia sześć](#)

[Dwadzieścia siedem](#)

[Dwadzieścia osiem](#)

[Epilog](#)

[Spis treści](#)

[Strona redakcyjna](#)

Copyright © by Robert J. Szmidt, 2014
All rights reserved

Copyright © for the Polish e-book edition by
REBIS Publishing House Ltd., Poznań 2014

Informacja o zabezpieczeniach:

W celu ochrony autorskich praw majątkowych przed prawnie niedozwolonym utrwalaniem,
zwielokrotnianiem i rozpowszechnianiem każdy egzemplarz książki został cyfrowo zabezpieczony.
Usuwanie lub zmiana zabezpieczeń stanowi naruszenie prawa.

W publikacji wykorzystano czcionkę z rodziny Liberation (<https://fedorahosted.org/liberation-fonts/>)

Redaktor: Adam Nowak

Projekt, opracowanie graficzne okładki oraz ilustracja na okładce: Tomasz Maroński

Wydanie I e-book
(opracowane na podstawie wydania książkowego:
Łatwo być Bogiem, wyd. I, Poznań 2014)

ISBN 978-83-7818-300-6

Dom Wydawniczy REBIS Sp. z o.o.
ul. Żmigrodzka 41/49, 60-171 Poznań
tel. 61-867-47-08, 61-867-81-40, fax 61-867-37-74
e-mail: rebis@rebis.com.pl
www.rebis.com.pl

e-Book: Sławomir Folkman / www.kaladan.pl